

Lek
który wywołuje miłość
kluczem do panowania
nad światem

MICHAEL CORDY

Autor bestsellera *Kod Mesjasza*

**KRYPTONIM
WENUS**



CORDY MICHAEL

Kryptonim Venus

MICHAEL CORDY
(The Venus Conspiracy)

Przełożył Jan Hensel

*Idź po to ziele. Znasz je dobrze
przecie.*

*Wiesz, że gdy sokiem z niego
pryśniesz w oczy,
To do szaleństwa będą zakochane
W każdym stworzeniu, które wtedy
ujrzą.*

**William Szekspir, 1596 przeł.
Konstanty Ildefons Gałczyński**
*Większość naszych produktów jest
identyczna z naturalnymi, co znaczy,*

*że ich budowa chemiczna i właściwości
nie dają się odróżnić
od odpowiednich substancji roślinnych
czy zwierzęcych.*

Roche Holding AG, 2003

PROLOG

Obudź się, Max. Wstawaj! Musimy uciekać.

Max nie słyszy ponaglącego szeptu matki. Śpi i śni mu się, że jeździ na czerwonym rowerze, który ma nadzieję dostać jutro na dziewiąte urodziny. Kilka godzin temu był tak rozemocjonowany, że matka musiała długo głaskać go chłodną dłonią po czole, żeby zasnął. Teraz nic nie jest w stanie go obudzić. Nawet hawajski księżyc w pełni, który świeci przez cienkie zasłony, oblewając jego platynowe włosy i opaloną skórę błękitną poświatą. Ani fale rozbijające się o plażę na tyłach samotnego drewnianego domku na palach. Ani nawet ostre głosy i ciężkie kroki na tarasie.

Ta sama chłodna dłoń, która wcześniej go usypiała, teraz nim potrząsa.

--Obudź się, Max. Już.

Max otwiera oczy. Matka ma na sobie białą koszulę nocną i wygląda na zaniepokojoną, cień rzeźbi jej wysokie kości policzkowe, długie włosy migoczą w błękitnej poświacie.

--Idą po nas, Max. Musimy uciekać. Szybko i po cichu.

--Znowu? Nie teraz, mamó -- jęczy. -- Chce mi się spać.

--To nie ćwiczenie, Max. Oni naprawdę tu są.

Słyszy gardłowe głosy na zewnątrz i coś zimnego rozwija się w jego brzuchu. Nagle cała senność pryska, urodziny już się nie liczą.

--On też tu jest? -- szepcze.

Matka spogląda na niego szeroko otwartymi oczyma, kiwa głową i przykładą palec do ust.

Kiedy prowadzi go korytarzem do swojej sypialni, rozlega się łoskot. Frontowe drzwi pękają z trzaskiem, w rozszczepionym drewnie pojawia się ostrze siekiery. Odcięty od światła bungalow na północnozachodnim brzegu Kauai, najdalej wysuniętej na zachód z Wysp Hawajskich, dał im kiedyś schronienie. Teraz to odludne miejsce sprawia, że są bezbronni.

W sypialni ryglują drzwi i zastawiają je komodą. Matka sięga pod łóżko i wyciąga kij bejsbolowy, dwa spakowane plecaki i foliową torebkę; jest w niej plik dolarów oraz trzy paszporty: amerykański wystawiony na jej panieńskie nazwisko, Collins, oraz dwa paszporty ze zdjęciami Maksa -- jeden szwajcarski, drugi amerykański. W szwajcarskim widnieją oba imiona i nazwisko: Max William Kappel. Amerykański zawiera drugie imię i panieńskie nazwisko matki: William Collins. Matka zwinia dywan, ciągnie za mosiężny uchwyt w drewnianej podłodze i otwiera klapę.

Zeskakują na piasek, a gdy przeciskają się między palami podtrzymującymi dom, Max słyszy ciężkie kroki nad głową. Matka ciągnie go ku frontowi domu, lecz on dostrzega parę nóg przy wejściu na ganek. Kręci głową i wskazuje krzew uroczynu z boku. Droga będzie dłuższa, ale drzewa ich osłonią.

Ciepłe powietrze jest przesiąknięte słodkim zapachem uroczynu, gdy czołgają się w głąb

lądu, na twardszy grunt. Czekają, aż księżyc schowa się za chmurą, żeby w mroku przemknąć przez piaskową dróżkę przy bramie i schronić się pod wiatą, gdzie stoi ich stary dżip. Max jest wysoki jak na dziewięciolatka, ale ma nieskoordynowane ruchy i biegnie niezdarne. Kiedy dociera do wiaty, jest mocno zdyszany. Gdy matka otwiera dżipa, chłopiec spogląda na bungalow, który przez ostatnie dwa lata był ich domem. Rozlupane frontowe drzwi wyglądają jak złamany ząb, w środku błyska latarka. Max przenosi wzrok dalej, na molo. Widzi duży jacht motorowy zacumowany przy ich maleńkiej jolce.

Otwiera drzwiczki samochodu i wyczuwa w powietrzu specyficzny zapach. Pamięta skądś tę gryzącą woń, ale nie wie skąd. Matka zwalnia ręczny hamulec, przekręca kluczyk w stacyjce i wciska pedał gazu.

Nic się nie dzieje.

Próbuje jeszcze raz. Wciąż nic.

--Cholera.

Max po raz pierwszy widzi w jej oczach panikę i czuje, jak coś ściska go w żołądku. Jest inaczej niż przy poprzednich ćwiczeniach. To wcale nie jest zabawne.

Matka znowu próbuje.

I znowu nic.

Przed samochodem wyrasta cienista postać i rzuca na maskę splątane poprzecinane przewody. W mroku jarzy się końcówka papierosa i teraz Max rozpoznaje znajomy zapach tytoniu, który wyczuł wcześniej. Gdzieś w pobliżu jest jego ojciec.

Drzwiczki od strony Maksa otwierają się gwałtownie i silne ramiona wyciągają go z wozu. Max jest wysoki, ale nie ma szans w walce z mężczyzną, który go trzyma. Szamocze się i krzyczy, lecz napastnik jest za silny. Ma długie kruczoczarne włosy związane w kucyk, cuchnie potem i morską wodą.

--Zostaw mojego syna! -- woła matka, wyskakując z dżipa. Uderza mężczyznę kijem bejsbolowym, a Max z całej siły wpycha mu dwa palce do lewego oka. Gałka oczna przypomina w dotyku jajko na twardo. Z gardła mężczyzny wyrывa się krzyk, lecz Max wciąż naciska, desperacko usiłując się wyswobodzić. Zjawiają się dwaj następni mężczyźni, przewracają matkę na ziemię i odciągają ręce Maksa za plecy. Pierwszy mężczyzna pochyla nad nim twarz; puchnący oczodół lśni od posoki, ale zdrowe oko wpatruje się w chłopca z taką furją, że Max zaciska powieki.

--*Achtung*, Stein? -- ostrzega z ciemności znajomy głos. -- Nie rób mu krzywdy. Zabierz oboje na łódź.

Mężczyźni wloką Maksa i jego matkę na plażę, w stronę smukłego białego jachtu. Wiatr przybiera na sile i gdy docierają do mola, sunące po niebie chmury odsłaniają księżyc. W jego poświacie Max spostrzega ojca. Jest nienagannie ubrany, w krawacie, zaprasowanych w kant spodniach i blezerze. Starannie uczesane włosy mają ten sam platynowy odcień co włosy syna. Pali papierosa w czarnej bibulce. Ledwo spojrzawszy na Maksa, zwraca się do matki. Jego jasnobłękitne oczy są zimne i nieruchome.

--Nie powinnaś była wracać do panieńskiego nazwiska, Jean -- stwierdza. -- Właśnie dzięki temu was znaleźliśmy.

Matka podchodzi bliżej, bez strachu.

--Zostaw nas w spokoju, Helmut. Nie masz się czego obawiać z mojej strony. Gdybym

chciała powiedzieć cokolwiek władzom, już bym to zrobiła. Nie obchodzi mnie, co zrobiłeś, ale nie mogę pozwolić, żebyś demoralizował mojego syna.

--Twojego syna? -- Helmut Kappel nadyma się, jakby nie mógł zapanować nad złością. Ale jego głos jest tak cichy, że ledwo przebija się przez świst wiatru. -- To mój syn. Ten chłopak to Kappel. Ma swoje obowiązki. Swoje przeznaczenie. -- Milczy przez chwilę, a gdy znowu się odzywa, jego głos jest jeszcze cichszy. -- Nie powinnaś była odchodzić, Jean. Nie mogę uwierzyć, że to zrobiłaś. Nikt nie porzuca Kappelów.

--Już cię nie kochałam.

Jego oczy pochmurnieją.

--A co miłość ma z tym wspólnego? Oczekiwałem po tobie tylko lojalności i spełniania obowiązków.

Matka mruga, jakby wymierzył jej policzek.

--Ale kiedyś cię kochałam, Helmut. Bardziej, niż możesz przypuszczać. Po prostu nie jestem w stanie zaakceptować zbrodni, które popełniłeś w imię swojej rodziny.

--To była nasza rodzina. -- Helmut wyjmując czarnego papierosa z ust i zerknąwszy przelotnie na złoty filtr, wrzuca go do wody. -- Dość już tego. -- Zwraca się do mężczyzny z czarnym kucykiem, który zdążył sobie zabandażować krwawy oczodół. -- Możecie ją wprowadzić na pokład, Stein.

--Ja zostanę z chłopakiem -- mówi krępy brodaty mężczyzna o jasnobłękitnych oczach i jasnych włosach, ubrany w lekki wieczorowy garnitur. To młodszy brat Helmuta, Klaus. -- Aż do twojego powrotu.

--Nie, Klaus. Chcę, żeby to zobaczył. -- Helmut odwraca się zamaszyście, ukazując kawałek szkarłatnej podszewki niebieskiego blezera. -- Chłopak musi się uczyć.

Łódź ma ponad dziesięć metrów długości i kabiny w dziobie, lecz mężczyźni rzucają Maksa i jego matkę na nieosłonięty pokład na rufie. Dwaj siadają po bokach chłopca, trzymając go za nadgarstki, trzeci razem ze Steinem siedzi przy matce. Ktoś podnosi kotwicę i jacht odbija od mola. Helmut kiwa głową do Klausa stojącego przy sterze i silnik budzi się z warkotem do życia. Wypływają na fale Pacyfiku.

Ojciec staje nad chłopcem i pochyla się niczym starotestamentowy prorok.

--Zabieram cię z powrotem do Zurychu, żebyś kontynuował naukę. Jesteś moim dziedzicem, Max. Matka ukradła dwa lata twojego życia, ale nadrobisz zaległości. W końcu jesteś Kappel.

Max wychyla się, żeby zobaczyć, co dzieje się za plecami ojca, lecz mężczyźni chwytają go jeszcze mocniej.

--Co robisz mamie?

--Zapomnij o niej, Max. -- Chmury znowu zakrywają księżyc, ocieniając twarz ojca. -- Musisz się nauczyć, synu, że miłość przynosi tylko cierpienie i chaos. Świat bez niej byłby lepszy. W najlepszym razie jest banalną rozrywką. W najgorszym staje się niebezpieczną chorobą, która osłabia umysł i mąci trzeźwość sądu. Trzeba nad nią panować. -- Helmut Kappel zerka przez ramię na kobietę, która od jedenastu lat jest jego żoną. -- Nikt nie jest odporny na jej truciznę. W rodzinie liczą się tylko obowiązki i lojalność, lecz twoja matka nigdy tego nie pojęła.

--Nie słuchaj go, Max -- mówi matka. -- Obowiązek i lojalność nie liczą się bez miłości.

Helmut Kappel prostuje się i Max widzi, że Stein obwiązał jej nogi liną. Podąża wzrokiem za mokrymi zwojami, które spoczywają na pokładzie niczym uśpiony pyton. Serce podskakuje mu do gardła, gdy dostrzega kamienny blok przy jej stopach.

--Jak tu głęboko? -- pyta ojciec.

Stryj Klaus zerka na mapę, a potem wyteżę wzrok, spoglądając poprzez strugi deszczu i słabą poświatę księżycy na wysokie, zębate klify brzegów Na Pali.

--Ponad sześćset pięćdziesiąt metrów.

--Postawcie ją na nogi, Stein.

--Nie! -- krzyczy Max. -- Nie, *Vater*, nie! -- Wyciąga rękę do matki, lecz mężczyźni chwytają go mocniej.

Jej oczy lśnią żarliwą namiętnością.

--Nie znienawidź ojca za to -- mówi. -- Nie pozwól, żeby przerobił cię na swoje podobieństwo.

Stein stawia ją przy burcie, łypie jedynym okiem na Maksa i uśmiecha się. Chmury znowu się rozstępują i księżyc świeci niczym srebrne słońce. Biała koszula matki lśni w tej widmowej poświacie. Na sygnał Kappela Stein wyrzuca kamienny blok za burtę i śliskie zwoje suną za nim do wody. Matka unosi ręce nad głowę, jakby przygotowywała się do zanurkowania. Jest taka piękna i tak spokojna, że mężczyźni wpatrują się w nią zaurczeni i rozluźniają uchwyt.

--Bądź dobrym człowiekiem, Max -- mówi matka. -- Kocham cię. Zebrawszy wszystkie siły, Max wyrывa się z uścisku i biegnie do niej, ale w tej chwili lina napręża się i wyrzuca ją za burtę.

--Zatrzymać go! -- krzyczy ojciec, gdy Max chwytą matkę za nadgarstki i bierze głęboki wdech.

Kiedy pogrąży się w wodzie, nie odczuwa strachu. Na lądzie jest niezdarny, ale woda to jego żywioł. Jeśli się postara, zdoła ją uratować. Matka była kiedyś pływaczką olimpijską. Wspólnymi siłami pokonają ciężar kamiennego bloku.

W podwodnej poświacie jej oczy otwierają się szeroko, z ust wydobywają się bąbelki. Upadek wypchnął z jej płuc drogocenne powietrze. Teraz wszystko zależy od Maksa. Musi wyciągnąć ją na powierzchnię.

Mocnymi ruchami nóg stara się przewyciężyć ciężar kamiennego bloku, lecz ten wciąż opada coraz głębiej.

Matka próbuje wyrwać się z jego uścisku, ale Max nie puszcza. Kiedy zalewa ich atramentowa czerń, spogląda na niego, błagając, żeby ją zostawił. On jednak wciąż trzyma. Zimne dno oceanu wydaje się nieskończenie cieplejszym miejscem niż to, co czeka go na górze. Kocham cię, deklaruje w duchu, spoglądając jej w oczy.

Wtedy ciało odmawia mu posłuszeństwa. Wzrastający poziom dwutlenku węgla we krwi sprawia, że potrzeba oddychania wzmagą się i w panice organizm poddaje się mimowolnemu nakazowi przetrwania. Max puszcza nadgarstki matki i płynie ku powierzchni. Kiedy się wynurza, nabiera powietrza z łapczywością noworodka. Sękaty dłoń chwytają go i wyciągają z wody.

Rozdygotany wymiotuje na pokład, nienawidząc się za to, że pozwolił matce umrzeć, ale jeszcze bardziej za to, że sam przeżył. Ojciec gromi go wzrokiem.

--Nauczysz się nigdy nie robić takich bzdur, chłopcze -- mówi. -- Nie będziesz niczego czuł,

nigdy nie okażesz bólu ani słabości.

Część pierwsza

IDENTYCZNA Z NATURALNĄ

1

Trzydzieści lat później, 28 lipca

Dzzz, bzzz, bzzz.

Brzęczenie dzwonka przy wejściu przebiło się przez szum klimatyzacji, jedwabiste mruczenie nowoczesnej aparatury badawczej i piosenkę *Hotel California* grupy The Eagles, leżącej z odtwarzacza CD. Dźwięk sprawił, że profesor Carlo Bacci, siedzący w małym prywatnym laboratorium na północnych przedmieściach Turynu, drgnął z zaskoczenia. Podniósł wzrok znad ekranu komputera i instynktownie sięgnął po jeszcze ciepłą fiolkę białego proszku na blacie obok. Na nalepce widniał napis: „Próbka testowa. MIN nr 072. Test nr 2. Informacja genetyczna: Ja”. Zerknął na zegarek. Dochodziła szósta po południu. Tego dnia wcześniej zwolnił laboranta, żeby móc w spokoju dokończyć eksperyment.

Otworzył górną szufladę biurka i wyjął aparat do robienia bezbolesnych zastrzyków. Była to bezigłowa strzykawką drugiej generacji, nie większa od szminki, z wypukłym napisem „PowerDermic”, wytłoczonym na beżowej polipropylenowej obudowie. Bacci wsunął do środka fiolkę z białym proszkiem i włożył pistolecik do kieszeni znoszonej bawełnianej marynarki wiszącej na oparciu krzesła.

Bzzz, bzzz, bzzz.

Pomimo klimatyzacji na wysokim czole profesora pojawiły się kropelki potu, serce zabiło mu szybciej. Nie robił nic złego: jak zapewnienie szczęścia ukochanej osobie mogło być złe? Wiedział jednak, że dzisiejszy test jest nieetyczny. Miał prawie sześćdziesiąt lat i całą zawodową karierę spędził na badaniach naukowych w Stanach Zjednoczonych, pracując w ośrodkach akademickich Ivy League i laboratoriach wielkich koncernów farmaceutycznych. Wieloletnie kontakty z facetami w garniturach od Armaniego, którzy mieli obsesję na punkcie zysków, nauczyły go, że werbalne stosowanie się do zasad etyki nie zawsze oznacza, iż postępuje się słusznie.

A już nigdy nie oznaczało nagród i sławy, które mu się należały.

Bzzz, bzzz, bzzz.

Postanowił zignorować dzwonek i wrócił do ekranu komputera, żeby dokończyć to, co zaczął. Druga połowa lipca we Włoszech zawsze była gorąca, ale w tym tygodniu rtęć w termometrze podskoczyła prawie do czterdziestu stopni. Jeśli sprawa jest naprawdę ważna, ktokolwiek stał teraz na rozgrzanym asfalcie przed wynajętym anonimowym budynkiem na tyłach kompleksu biurowo-przemysłowego Agnelli, przyjdzie później.

Uśmiechnął się i oliwkowa skóra wokół jego ciemnych oczu ściągnęła się i pokryła setkami zmarszczek. Zerknął na zdjęcie córki stojące na biurku. Isabella nigdy nie zaakceptowałaby tego, co zamierzał zrobić, lecz umocnił się w swoim postanowieniu, kiedy przypomniał sobie, jaki numer wyciął jej Leo. Bacci miał nadzieję, że gdy w końcu przedstawi światu wyniki swojej pracy, córka wykaże zrozumienie: jego odkrycie sprawi, że każdy będzie mógł być szczęśliwy.

Ekran pokazywał tabelę z czterema kolumnami zatytułowaną „Harmonogram testów MIN. Wersja nr 069”. Pierwsza kolumna miała nagłówek „Data iniekcji”, druga: „Obiekt”, trzecia: „Czas trwania”. Czwarta, opatrzona nagłówkiem „Genetyczny kod twarzy”, zawierała

wygenerowane komputerowo podobizny kobiecych twarzy. Przeprowadził piętnaście testów, za mało do ustalenia wymaganej statystycznej korelacji, ale zarazem dość, by przekonać się, że terapia działa.

Kolumna z tytułem „Data iniekcji” potwierdzała, że pierwsze dwanaście testów odbywało się w tygodniowych odstępach przez trzy miesiące. Dane osobowe każdej z kobiet widniały pod wizerunkami ich twarzy, choć żadna nie zdawała sobie sprawy z tego, że bierze udział w eksperymencie. Większość nawet nie znała Bacciego. Kolumna z oznaczeniem „Czas trwania” wskazywała, że wszystkie testy trwały od czterdziestu siedmiu do czterdziestu dziewięciu godzin. W każdym wierszu kolumny „Obiekt” widniał ten sam napis: „Ja”. Dwunasty test został przeprowadzony ponad rok temu, po nim zaś nastąpiła trzymiesięczna przerwa.

Kiedy dziewięć miesięcy temu eksperymenty zostały wznowione, wzorzec się zmienił. Ostatnie trzy wpisy następowały w tygodniowych odstępach, czas trwania nadal wahał się w okolicach czterdziestu ośmiu godzin, a obiekt był ten sam, ale w rubryce „Genetyczny kod twarzy” widniał obraz tej samej kobiety: miała szeroką, okrągłą twarz, nos jak guziczek, ciepłe orzechowe oczy i kręcone kasztanowe włosy. Pod spodem znajdowało się jej imię i nazwisko, Maria Danza, wiek: czterdzieści cztery lata, oraz adres i numer telefonu.

Bacci przewinął tabelę w dół i ukazała się czerwona pozioma linia. Pod nią widniał nowy tytuł: „Harmonogram testów MIN. Wersja nr 072”. Poniżej był tylko jeden wpis, dokonany trzy miesiące po ostatnim teście z wersją 069, z tym samym obiektem i genetycznym kodem twarzy Marii Danzy, lecz z jedną zasadniczą różnicą: rubryka „Czas trwania” zawierała wpis: „Nieograniczony”. To było sześć miesięcy temu.

Bacci wymacał naładowany PowerDermic w kieszeni marynarki, po czym wklepał drugi wpis do tabeli wersji 072. Nie wstrzyknął jeszcze białego proszku, ale zamierzał to zrobić dziś wieczorem. Zostawił rubrykę dotyczącą czasu trwania pustą i kliknął dwa razy na pole w czwartej kolumnie, importując obraz z bazy danych połączonej z genoskopem w przyległym pokoju laboratoryjnym. Twarz, która pojawiła się w rubryce, nie należała do żadnej kobiety, lecz do samego Bacciego. Pod spodem wpisał: „Ja”. Wreszcie przeniósł kursor na pole w kolumnie „Obiekt” i zawahał się.

Wcześniejsze testy były nieautoryzowane, lecz przeprowadzał je tylko na sobie. Dzisiejszy eksperyment był inny: Bacci dotarł do etycznej granicy, której nigdy przedtem nie przekroczył. Ale wynik będzie rozstrzygający, powiedział sobie. Ponad wszelką wątpliwość udowodni, że terapia działa, co zagwarantuje fundusze. Jego kuzyn Marco Trapani już polecił mu pewien prywatny bank. Tak czy siak, pomyślał, ta sprawa jest ważniejsza od Marii i mnie, a jeśli przy okazji zapewni nam szczęście, to komu to zaszkodzi? Każdy skorzystałby z tej terapii, gdyby tylko mógł. W pole obiektu dzisiejszego testu wpisał nazwisko Marii Danzy.

Mięśnie jego pleców naprężyły się. Telefon komórkowy zaczął wibrować. Podniósł go i spojrzął na ekran.

--Ciao, Maria. Mam nadzieję, że nie dzwonisz, żeby odwołać spotkanie.

W jej głosie pobrzmiwał śmiech.

--Oczywiście, że nie.

--Dobrze. To w końcu nasza rocznica. Trzysta sześćdziesiąt pięć dni. Usłyszał jak westchnęła. -- Nie przejmuj się -- powiedział prędko. Potraktujemy to lekko, obiecuję.

Maria była przywiązana do swojej niezależności: prowadziła własny interes, przeżyła

wyniszczający rozwód i nie mogła mieć dzieci. Co najmniej trzy razy mówiła mu, że nie chce, by ich związek stał się poważny -- z całą pewnością nie chciała wychodzić powtórnie za męża.

--Po prostu miło spędzimy wieczór, okej? Gdzie jesteś?

--W laboratorium.

--Musisz być bardzo zajęty.

--Właśnie kończę. Wrócę do domu po samochód i podjadę po ciebie o siódmej. -- Maria prowadziła sieć sklepów jubilerskich w Turynie. Mieszkała w apartamencie nad swoim flagowym salonem w pobliżu Duomo. -- Możemy się wybrać do restauracji.

--Mam lepszy pomysł. Podwiozę cię swoim samochodem.

Uśmiechnął się.

--Dobra, spotkajmy się u mnie.

--A nie w laboratorium?

Spojrzał przez szklaną szybę oddzielającą „biuro” od części laboratoryjnej. Probówki, szalka Petriego zawierająca dwa jego włosy, pipeta i reszta śmieci pozostałych po preparowaniu dzisiejszej próbki leżały na blacie. Będzie musiał włożyć wszystko do autoklawu i usunąć wszelkie ślady tego, co zrobił, zanim jutro rano zjawi się laborant.

--Muszę się przebrać.

--Podrzucę cię do domu.

Nie tak to sobie zaplanował. Spojrzał na zegarek i włożył marynarkę.

--Wolałbym się z tobą spotkać u mnie. Już wychodzę.

--A ja wolałabym się z tobą spotkać w laboratorium.

--Czemu?

Roześmiała się.

--Z dwóch powodów. Po pierwsze, nigdy w nim nie byłam. A po drugie, jestem już na miejscu.

Ogarnęła go nagła panika. Powędrował wzrokiem do ekranu komputera, skąd spoglądała na niego jej twarz. Tylko spokojnie, powiedział sobie.

--Jak to? -- spytał.

--Od kwadransa stoję przed wejściem i naciskam dzwonek. Jest straszny upał. Pośpiesz się, Carlo, i wpuść mnie do środka.

Drżącą dłonią wyjął z kieszeni pistolet do iniekcji. Pozbawione igły urządzenie zostało zaprojektowane z myślą o dzieciach i pacjentach bojących się ukłucia. Wykorzystując sprężony hel, wtłaczało drobno sproszkowany lek przez naskórek z prędkością trzykrotnie

przekraczającą prędkość dźwięku. Lekarstwo, przedostawszy się przez tę cienką, lecz mocną warstwę tkanki, rozpuszczało się w krwiobiegu. Zabieg był bezgłośny, bezbolesny i nie pozostawiał żadnego śladu na skórze. Maria nigdy się nie dowie, co zrobił.

Wziął głęboki oddech. Nie robię nic złego, powtórzył w myślach i ruszył do drzwi, ukrywając pistolet w prawej dłoni.

--Chwileczkę, Mario. Już idę.

Tydzień później, 5 sierpnia

Ojciec zostawił Isabelli Bacci dwie wiadomości na poczcie głosowej: jedną na oddziale neurologii kliniki uniwersyteckiej, gdzie pracowała, a drugą w mediolańskim apartamencie Phoebe Davenport, gdzie mieszkała, odkąd dwadzieścia sześć dni temu Leo zerwał z nią zaręczyny. W obu nagraniach miał podekscytowany głos i zapraszał ją na kolację: „*Bella, chcę ci coś powiedzieć. Chcę, żebyś dowiedziała się o tym pierwsza*”.

Kiedy oddzwoniła, żeby potwierdzić przyjęcie zaproszenia, usłyszała tylko automatyczną sekretarkę. Teraz, jadąc przez północne przedmieścia Turynu, zastanawiała się, co takiego ojciec chce jej zakomunikować. Droga z Mediolanu zajmowała zwykle półtorej godziny, lecz w fiaciku, który pyrkał na autostradzie jak podrasowana kosiarka, podróż zdawała się dłuższa. Isabella zmieniła CD na składankę, którą wypaliła na swoim macu, i podkreśliła głośność. Pink zaśpiewała *Just Like A Pill*, przekrzykując wyjący silnik. Isabella kupiła fiacika po przeprowadzce do Włoch prawie rok temu, bo doskonale nadawał się do jazdy po zatłoczonych ulicach Mediolanu. Na dłuższe wycieczki jeździli samochodem Leo. Ale teraz Leo wykreślił ją ze swojego życia i wszystko się zmieniło.

Rozruszała zeszywniale barki i spojrzała na pierścionek zaręczynowy, który przełożyła na prawą rękę. Nie zdjęła go, powodowana irracjonalnym przeświadczeniem, że dopóki będzie go nosić, istnieje nadzieja, iż Leo do niej wróci. Ciągle pamiętała, jak się ucieszyła, kiedy Leo jej się oświadczył. Był Włochem, studiował prawo międzynarodowe w Baltimore i gdy poprosił, żeby pojechała z nim do Mediolanu, bez wahania zgodziła się porzucić dla niego życie w Stanach Zjednoczonych i karierę naukowo-medyczną na prestiżowym Uniwersytecie Johna Hopkinsa. Wszystko układało się dobrze. Jej ojciec pracował w Turynie, najlepsza przyjaciółka, Phoebe, mieszkała w Mediolanie, ona sama zaś szybko znalazła pracę w szpitalu uniwersyteckim. Była pewna swojego wyboru i pełna nadziei.

Skręciła na zaniedbany podjazd prowadzący do willi ojca. Skromny, otulony wisterią domek w milej podmiejskiej okolicy w łagodnym świetle późnego popołudnia wyglądał prawie pięknie. Stara lancia ojca stała na podjeździe, a rower górski Cannondale, którym codziennie jeździł do kompleksu biurowo-przemysłowego Agnelli, gdzie wynajmował laboratorium, opierał się o ganek. Patrząc na tę ubogą scenerię, trudno było uwierzyć, że kilka lat temu profesor Bacci dostał w spadku dość pieniędzy, by zrezygnować z pracy dla wielkich korporacji w Ameryce i podjąć badania na własną rękę w „starym kraju”.

Jedyna wizyta w laboratorium ojca uświadomiła Isabelli, na co poszły pieniądze: kupił sprzęt co najmniej równie dobry jak ten, do którego miała dostęp w laboratoriach uniwersytetu. A ilekroć próbowała podpytać go o pracę, odpowiadał: „Jak będę gotowy, Bella, wszystko ci pokażę”. Może właśnie to chciał dzisiaj zrobić.

Zaparkowała przy lancii ojca i przejrzała się w lusterku. Miała sięgające ramion czarne włosy, pełne wargi, wydatny nos i duże brązowe oczy. Przynajmniej nie były zaczerwienione od płaczu jak podczas jej poprzedniej wizyty.

Frontowe drzwi były otwarte na oścież, z zapachem kwiatów mieszały się aromaty dochodzące z kuchni. Minęła przestronny korytarz i zatrzymała się w progu kuchni. Ojciec, w fartuchu okrywającym wydatny brzusek, stał przy kuchence i mieszał swój popisowy sos do spaghetti. Wszędzie dookoła były porzrzucone patelnie, łupiny cebuli, główki czosnku i zioła.

W świetle wpadającym przez okno butelka zielonkawej oliwy i miska krwistoczerwonych pomidorów lśniły jak na obrazie jednego z dawnych mistrzów martwej natury. Ze starej wieży stereo w kącie płynął głos Leonarda Cohena śpiewającego *Suzanne*. Isabella wróciła myślami do czasów dzieciństwa. Odkąd szesnaście lat temu umarła jej matka, ojciec zastępował jej oboje rodziców. Podeszła do niego i uściskała.

--Dzień dobry, profesorze Bacci.

Jego ciemne oczy błysnęły radośnie.

--Dzień dobry, doktor Bacci.

Zanurzył drewnianą łyżkę w bulgoczącym sosie, wyjął i podał córce do spróbowania.

Sos był pyszny, ale nie idealny.

--Przydałoby się więcej cytryny.

Posmakował.

--Święta racja. -- Wcisnął do garnka połówkę cytryny, spróbował znowu i pokiwał głową.

Odłożył łyżkę, wytarł ręce o fartuch i podszedł do lodówki. Nalał kieliszek asti i podał go Isabelli. -- Dla mojej córeczki, która uwielbia słodczyce -- powiedział i nalał sobie kieliszek barolo.

W alkowie za jego plecami Isabella zobaczyła puste puszki po herbatnikach i butelki po winie. Ojciec był niepoprawnym bałaganiarzem, który wszystko chomikował. Druga sypialnia w domu była zavalona stosami poślódkłych czasopism naukowych i gazet. Isabella przestała go już nawet upominać, żeby je sprzątnął.

Napiła się asti.

--Więc co to za nowiny, tato?

Łyknął wina.

--Poczekajmy na Marię. Nie martw się, to dobra wiadomość.

--Chodzi o twój projekt badawczy? Jak ci idzie?

--Opowiem ci, kiedy skończę.

Uśmiechnęła się. Raz wyrwało mu się, że wyniki tego tajemniczego projektu mogą jej się przydać w badaniach nad prozopagnozją, ale nie powiedział nic więcej. Przypisywała tę skrytość rozczarowaniu wobec korporacji farmaceutycznych w Stanach; ojciec nigdy nie doczekał się uznania, którego pragnął, i uważał, że firmy, dla których pracował, przywłaszczyły sobie jego najlepsze pomysły. Teraz nie ufał niczemu ani nikomu. Nawet jej.

--A jak twoja praca? -- zapytał.

Isabella była neurologiem w szpitalu uniwersyteckim i równocześnie prowadziła badania nad rzadkim i intrygującym zaburzeniem, prozopagnozją. Osoby dotknięte tą przypadłością nie były w stanie rozpoznawać ludzkich twarzy, nawet jeśli miały doskonały wzrok i świetną pamięć.

--Powie ci, kiedy skończę.

Roześmiał się i pogłaskał ją po plecach.

--Jak się czujesz, Bella? Wyglądasz na szczęśliwszą niż ostatnim razem. Czyżby Leo przejrzał wreszcie na oczy?

--Nie.

--Jeszcze przejrzy.

Wzruszyła ramionami i obróciła pierścionek zaręczynowy, żeby ukryć brylant. Kiedy

przyjechała do ojca po rozstaniu z Leo, wykazał zrozumienie i umocnił ją w postanowieniu, by nie uciekać do Stanów. Nazwał Leo głupcem i powiedział, że szkoda, że nie ma już z nimi matki, bo ona zawsze wiedziała, jak człowieka pocieszyć. Jego próby były raczej niekonwencjonalne: odwołując się do swej rozległej wiedzy w dziedzinie neurologii i genetyki, tłumaczył, dlaczego nie potrafi przestać myśleć o Leo, dlaczego czuje potrzebę dzwonienia do niego o każdej porze dnia i nocy, a nawet dlaczego obserwowała z ukrycia jego mieszkanie, by zobaczyć, jak Giovanna wije sobie gniazdko w domu, z którego ją wyrzucono. Wnikliwe uwagi ojca nie ukoili cierpienia -- świadomość, dlaczego coś boli, nie uśmierza bólu -- lecz szczere przekonanie, z jakim zapewniał, że wszystko się ułoży, poprawiło jej humor.

--Nie jestem pewna, czy tego chcę, tato.

Zerknął na jej pierścionek.

--Jeśli uznasz, że chcesz, to go odzyskasz. -- Łyknął wina. -- Nadal mieszkasz z Phoebe?

--Tak, dopóki nie znajdę własnego lokum.

--Okazała się dobrą przyjaciółką.

--Najlepszą. Za jakiś tydzień pomoże mi przenieść resztę rzeczy. Potem wybierzemy się razem na wakacje.

--Świetnie. Dokąd?

--Na Riwierę Francuską. Antibes. Do Hotel du Cap Eden-Roc.

Gwizdnął z podziwem.

--No, no!

Roześmiała się.

--Nie będziemy płacić. Hotelowi zależy na sławnych gościach i dyrektor wręcz błagał Phoebe, żeby zajęła apartament. Jej siostra i Kathryn Walker są w Europie, więc też do nas dołączają.

--Cudownie.

Zadzwoił telefon. Bacci słuchał przez chwilę wiadomości.

--Carlo, tu Marco Trapani.

Podniósł słuchawkę.

--*Ciao*, Marco. -- Sięgnął po leżący obok telefonu długopis i zaczął notować. -- Za cztery dni. Dziewiątego sierpnia. Na pewno nie sprawi ci to kłopotu? Byłoby wspaniale, gdybym ich poznał. Dzięki, kuzynie.

Kiedy odłożył słuchawkę, tym razem Isabella gwizdnęła.

--Czy to był wujek Marco Trapani, mafioso? -- Pół wieku temu jej dziadek uciekł z Włoch z młodą sycylijską żoną i małym synkiem, żeby podjąć pracę lekarza w Bostonie i uniknąć wplątania się w „rodzinny interes” Trapanich. Ojciec wiele jej o nich opowiadał. „Może to i rodzina, Isabella -- mawiał -- ale z wyjątkiem babci nigdy nie ufaj żadnemu z Trapanich”.

Bacci zmarszczył brwi i skrzyżował ręce na piersiach.

--To stare dzieje -- rzekł. -- Teraz Marco jest szanowanym biznesmenem. I dobrze mu idzie. Wciąż mi powtarzasz, że kiepsko radzę sobie z pieniędzmi, a on polecił mi bank, który zadba o moje interesy.

Z tym akurat nie mogła się spierać.

--Jego bankierzy -- ciągnął ojciec -- organizują w przyszłym tygodniu okolicznościowe przyjęcie i Marco zaprosił mnie na nie, żebyśmy mogli ich poznać.

Na podjeździe zatrąbił klakson. Bacci się rozpromienił.

--To pewnie Maria -- oznajmił.

Isabella odwróciła się w stronę drzwi, podekscytowana nie mniej niż ojciec. Wreszcie się dowiedziała, dlaczego zaprosił ją na kolację.

Maria Danza miała czterdzieści kilka lat, była więc sporo młodsza od ojca Isabelli, ale oboje cechowała podobna radość życia. Isabella lubiła ją, co pomogło parze zbliżyć się do siebie. Poznali się, kiedy ojciec wybierał dla niej urodzinowy prezent w jednym z salonów jubilerskich Marii.

Przez wiele lat Isabella myślała, że ojciec nigdy nie przeboleje śmierci matki. Ucieszyła się więc, kiedy Maria pojawiła się w jego życiu, pomimo iż od początku było jasne, że choć go uwielbia, nie zamierza się z nim wiązać na stałe. Ale teraz, gdy weszła do kuchni ubrana w elegancki lniany garnitur, który podkreślał jej pełne kształty, wydawała się odmieniona. Jej twarz była jak zwykle lekko opalona, orzechowe oczy starannie umalowane, a włosy gładkie i lśniące. I również jak zwykle wyglądała niczym chodząca reklama swoich sklepów: miała bransoletkę, ogromne zwisające kolczyki i perłowy naszyjnik. Była jednak niezwykle rozpromieniona, a gdy uściskała Isabellę, wprost nie posiadała się z radości.

Bacci nalał jej kieliszek barolo, objął i uśmiechnął się jak sztubak.

--Zaprosiłem cię dzisiaj, Bella -- powiedział do córki -- bo chcę, żebyś pierwsza dowiedziała się, że poprosiłem Marię o rękę.

Maria zachichotała, oblala się rumieńcem i pokazała pierścionek zaręczynowy.

--A ja powiedziałam „tak”.

Isabella była zdumiona. Maria nie należała do kobiet tęskniących za zamążpójściem. Mawiała, że już raz się sparzyła. Isabella, choć zaskoczona, cieszyła się ze szczęścia ich dwojga, ale też trochę im zazdrościła.

--To fantastycznie. -- Obejrzała pierścionek z brylantem i szafirami. -- Jest naprawdę przepiękny.

--Należał do mojej prababki. -- Maria uśmiechnęła się z dumą.

Bacci promieniał.

--Zawsze uważałem, że życie bez miłości jest pozbawione sensu i że każdy zasługuje na doświadczenie jej przynajmniej raz w życiu. Kiedy umarła twoja matka, uznałem, że miałem już swoją szansę. -- Odwrócił się do Marii. -- Ale teraz doszedłem do wniosku, że prawdziwa miłość powinna być prawem człowieka, a nie tylko wynikiem przypadku i chemii.

Isabella pomyślała o matce. Była pewna, że przyznałaby, iż należy mu się jeszcze jedna szansa na szczęście.

--Ustaliliście datę? -- spytała.

--Dwudziesty drugi listopada -- odparł ojciec.

--Proszę, obiecaj, że będziesz moją druhną -- poprosiła Maria.

--Będę zaszczycona. -- Isabella ucałowała ich, a potem podniosła kieliszek. -- Zdrowie narzeczonych.

Kiedy spełnili toast, pomyślała o Leo i ogarnął ją smutek. Ojciec znalazł prawdziwą miłość dwukrotnie. Czy ona będzie miała dość szczęścia, by znaleźć ją choć raz? Zsunęła z palca zaręczynowy pierścionek i schowała do kieszeni spodni.

Jakby czytając w jej myślach, Bacci przytulił córkę i szepnął:

--Jeśli taki stary piernik jak ja może znaleźć prawdziwą miłość, to każdy może, a zwłaszcza ktoś tak piękny jak ty. Jeśli chcesz, żeby Leo wrócił, to wróci, mogę ci to obiecać.

--Jasne, tato.

--Mówię serio -- zapewnił, gładząc ją po włosach. -- I nadejdzie dzień, kiedy ci to udowodnię.

Uśmiechnęła się na myśl o jego niewzruszonym optymizmie.

Kiedy się odwróciła, nawet nie poczuła, że wyrwał jej z głowy dwa włosy. Sprawdził, czy mieszki są nienaruszone, i położył je ostrożnie na talerzyku obok notesu, w którym wcześniej zapisał:

Marco Trapani.

Dowiedzieć się więcej o Kappel Privatbank i firmie Comvec.

Jubileuszowe przyjęcie Kappelów -- dziewiąty sierpnia.

Parę godzin później w innej strefie czasowej w Morzu Karaibskim płynął drapieźnik. Jego tylne płetwy miały ponad metr długości, a gładka czarna skóra lśniła w księżycowej poświacie. Zbliżywszy się do brzegu St Martin we Francuskich Indiach Zachodnich, zadarł głowę.

Światło księżyca odbijało się od piasku i La Samanna na wysokim urwisku, które górowało nad Baie Longue. Rząd należących do hotelu luksusowych domków plażowych ciągnął się wzdłuż porośniętych palmami brzegów zatoki. Była prawie trzecia w nocy, sierpień, a więc martwy sezon na Karaibach, lecz w kilku domkach wciąż paliły się światła.

Wpłynąwszy na pływacznię, stwór legł bez ruchu i upewniwszy się, że nie ma zagrożenia, wstał i wyprostował się. Max Kappel mierzył ponad metr dziewięćdziesiąt pięć wzrostu i był okryty od stóp do głów przylegającym do ciała czarnym neoprenem. Nie miał akwalungu, tylko maskę i duże płetwy. Zdjął płetwy, po czym przesunął maskę na czoło i policzył domki. Wreszcie ruszył do czwartego z nich.

Na werandzie obmył oblepione piaskiem stopy w napełnionej wodą muszli, zerknął przez zamknięte rozsuwane drzwi, które wiodły do salonu, i podkraśl się do okna sypialni. Żaluzje były otwarte, ale delikatna gęsta siateczka wzbraniała dostępu moskitom. Klimatyzacja była wyłączona, wiatrak pod sufitem wirował hałaśliwie. Max zerknął do środka i poczuł ciężki, słodki zapach perfum. Na łóżku leżał mężczyzna, miał zamknięte oczy i otwarte usta, a jego tłusty opalony brzuch unosił się i opadał przy każdym chrapnięciu. Był nagi, jeśli nie liczyć grubego złotego łańcucha na szyi, złotego zegarka i dwóch złotych sygnetów. Jego krótki penis sterczał w erekcji. Na nocnym stoliku, obok kreski kokainy i dwóch niebieskich tabletek, leżało rozerwane opakowanie po prezerwatywie. Na szafeczce z drugiej strony stała butelka armanianu i trzy puste kieliszki. Brzegi dwóch z nich były ubrudzone szminką. Towarzyski śpiącego mężczyzny odeszły. Impreza się skończyła.

Max usłyszał odgłosy kroków i skrył się w cieniu; Korsykanin mógł być *en vacances*, lecz i tak musiała mu towarzyszyć obstawa. Poczekał, aż kroki ucichną, i podszedł do rozsuwanych drzwi. Prosty metalowy zatrask zardzewiał od morskiego powietrza. Z impregnowanej kieszeni przy pasie Max wyjął kawałek drutu, zgął w pętelkę i wsunąwszy w szparę między skrzydłami drzwi, owinął wokół zapadki. Pociągnął i usłyszał cichy trzask. Bezszelestnie wkradł się do pogrążonego we śnie domu.

Korsykanin uśmiechał się przez sen. Od lat siedemdziesiątych Antoine Chabrol wykorzystywał kolonialne kontakty Francji, wykupując uprawy maku i marihuany w Indochinach, na Bliskim Wschodzie i w Afryce Północnej. Teraz, w wieku sześćdziesięciu kilku lat, kontrolował produkcję prawie połowy dostaw heroiny na rynek europejski i amerykański.

Wiele razy udaremniał zakusy innych dystrybutorów, którzy usiłowali wypchnąć go z rynku, a teraz z nieklamaną satysfakcją dobijał najnowszych uzurpatorów: rodzinę Trapanich.

Sycylijczycy zażądali równego udziału w zyskach, bo ich naukowcy opracowali technologię, dzięki której produkt był bezpieczniejszy dla zdrowia i lepszej jakości. Tyle że on i jego korsykańscy bracia mieli gdzieś bezpieczeństwo, więc odcięli Sycylijczykom dostawy surowca. Ostatnio doszły go słuchy, że Marco Trapani zlecił swoim specom wyprodukowanie tańszej heroiny syntetycznej. Z czasem Chabrol przejmie kontrolę również nad nią. Zarechotał przez sen, gdy wyobraził sobie Marca Trapaniego z „korsykańskim uśmiechem”, czyli gardłem poderżniętym od ucha do ucha.

Jedyną rzeczą, nad którą Chabrol nie mógł zapanować, była własna prostata. Nieustępliwe parcie na pęcherz wyrwało go ze snu. Zwlókł się z łóżka i po chłodnych terakotowych kafelkach podreptał do łazienki. Przypomniały mu się *putains*, które obsłużyły go wcześniej. Poprosił swojego człowieka w Marigot o dostarczenie dwóch nieletnich dziewczyn gotowych na wszystko i obie prześcignęły jego najśmielsze oczekiwania.

Wdepnął w kałużę i zmarszczył brwi. Przecież wyraźnie mówił tym dziwkom, żeby nie korzystały z prysznicza. Przetarł oczy i zerknął na świecąca tarczę złotego roleksa. 3.11. Nie zadawszy sobie trudu włączenia światła, minął część kąpielową, podszedł do sedesu i stęknął. Po viagrze zawsze miał ten problem: wzwód utrzymywał się przez wiele godzin. Skoncentrował się, rozluźnił i opróżnił pęcherz. Już myślał, że skończył, gdy znów poczuł parcie. Po trzecim fałszywym finiszu rozległ się dźwięk, który całkiem go rozbudził. Za jego plecami zamknęły się drzwi.

Odwrócił się i dostrzegł w mroku wysoką czarną postać. Chciał krzyknąć, lecz nim zdążył otworzyć usta, poczuł na nich coś zimnego i metalicznego. Potężna dłoń chwyciła go za ramię i obróciła przodem do sedesu, a lufa pistoletu spoczęła na jego karku. Spuścił wzrok i zobaczył, że ledwo ciurkający mocz zmienił się w niepowstrzymany strumień.

--*Après que vous ayezfini, Monsieur** [(fr.) Proszę najpierw skończyć, monsieur.] -- szepnął mu ktoś do ucha.

Max Kappel stał w mroku, przyciskając tłumik glocka do tłustego karku Chabrola, i nie czuł absolutnie nic. Żadnego podniecenia, obrzydzenia czy strachu, żadnych wyrzutów sumienia. Wykonywał po prostu zadanie dla ojca. Zadanie, które nie różniło się niczym od innych, jakie wykonał w przeszłości. Gdy Chabrol skończył, Max podał mu ręcznik, żeby mógł się okryć.

--Opuść deskę i siadaj.

Opalona twarz Korsykanina zrobiła się blada.

--Coś ty za jeden? Czego chcesz?

Max obserwował go z chłodnym zainteresowaniem. Nawet największym twardełom trudno opanować strach w środku nocy, zwłaszcza jeśli uzbrojony napastnik zaskoczy ich, kiedy są całkiem nadzy i właśnie próbują się odlać. Westchnął i usiadł na brzegu wanny.

--Uprzykrzasz życie jednemu z naszych klientów -- powiedział.

--Komu?

--Marcowi Trapaniemu.

Korsykanin spojrzał na Maksa.

--Znam cię. Jesteś z banku Kappelów. -- Zaczął odzyskiwać panowanie nad sobą. -- Byłeś w moim biurze w Ajaccio.

Max kiwnął głową.

--Żeby wynegocjować porozumienie w imieniu naszego klienta. Pamiętasz, jakimi słowami mnie pożegnałeś?

Twarcz Chabrola wykrzywił złośliwy uśmiech.

--Trapani będzie wkrótce trupem, więc możesz spierdalać z powrotem do Zurychu.

--Ma pan doskonałą pamięć, monsieur. -- Max sięgnął do kieszeni w gumowym pasie.

Wyciągnął szklaną fiolkę wypełnioną białym proszkiem i bezigłową strzykawkę PowerDermic. -
- Ale kto grozi śmiercią jednemu z naszych klientów, tym samym grozi Kappelom. -- Z precyzją i zręcznością snajpera wsunął fiolkę do komory.

Na czole Chabrola zalśniły kropelki potu.

--Co to takiego?

--Twój bilet na tamten świat.

--Na pewno możemy dojść do porozumienia -- powiedział Chabrol. -- W końcu jesteś bankierem.

--Za późno. Powinieneś czuć się zaszczycony, monsieur. Gdyby miał ci się przytrafić zwykły wypadek, wykorzystalibyśmy Steina i jego eks-agentów Stasi. Są bardzo skuteczni. Władze NRD dbały o szkolenie swojej tajnej policji. Kiedy jednak używamy jednej z naszych trucizn, wolimy zachować jej sekret w rodzinie.

Postukał palcem w szklaną fiolkę i biały proszek wzbił się niczym płatki śniegu od poddmuchu wiatru.

--To genetyczna trucizna opracowana przez mojego brata w laboratorium naszej firmy

Comvec. Wirusowy wektor terapii genowej, który aktywizuje i przyspiesza dziedziczną mutację w DNA, doprowadzając do naturalnego zgonu. Ta wersja skupia się na chorobach serca. Ponieważ wiemy, że nie stronisz od narkotyków, dodaliśmy działkę kokainy, żeby zawał wydał się bardziej prawdopodobny. -- Trzymając glocka w lewej dłoni, a pistolet iniekcyjny w prawej, zbliżył się do Chabrola. -- To będzie dobra śmierć. Trudno o lepszą.

Korsykanin, biały jak proszek w fiolce, spojrzął na strzykawkę, a potem na beznamiętną twarz Maksa. Kiedy zrozumiał, że nie ma co liczyć na litość, jego wzrok powędrował do okienka nad sedesem.

--Proszę nie wzywać pomocy -- powiedział spokojnie Max i wymierzył glocka w jego krocze.

--Ale...

--Ciii. Każdy powinien umierać w ten sposób. -- Przystawił pistolecik z trucizną do ramienia Chabrola. -- Nie bój się. Zostanę z tobą do samego końca.

Patrząc w załęcznione oczy Korsykanina, uruchomił urządzenie. Rozległo się ciche syknięcie i fiolka się opróżniła. Gdyby nie to, nic nie wskazywałoby na to, że wystrzelony proszek wniknął do krwi Chabrola.

Przez chwilę nic się nie działo. Potem Chabrol zeszytniał i zaczął się trząść. Trucizna sparaliżowała go, a następnie zatrzymała pracę serca. Max przytrzymał konającego, nie pozwalając mu upaść.

W jego oczach widział nienawiść i strach. Mało co robiło na Maksie jakiegokolwiek wrażenie, ale wciąż poruszał go widok umierającego człowieka. Jakby ostatnia isierka życia przeskakiwała na ledwo tłące się węgielki jego własnego człowieczeństwa, rozpalając je na moment. Gdy źrenice Chabrola rozszerzyły się, Max westchnął.

Ułożywszy ciało Korsykanina na podłodze, opuścił dom. Na plaży zerknął na ekran urządzenia GPS na nadgarstku i zlokalizował pozycję jachtu. Założył pletwy i maskę i popłynął, tnąc wodę miarowymi ruchami ramion.

Piętnaście minut później dotarł do jachtu. Wszedł po drabince na pokład, zrzucił kombinezon i stanął nagi na ciepłym nocnym wietrze. Zerknął na zegarek. Nie było go pięćdziesiąt siedem minut. Otworzył lodówkę w kambuzie, wypił małą butelkę evian i spojrzął w lustro. Pamiętał, jak po pierwszym zabójstwie przyglądał się swojemu odbiciu, szukając jakiejś zmiany w twarzy. Nie znalazł jej wtedy i nie znalazł teraz. Ale przez chwilę wpatrywała się w niego para innych błękitnych oczu. Oczu matki. Zamrugał i widmo zniknęło.

Zszedł do głównej kabiny i popatrzył na śpiącą Delphine. Koldra zsunęła się z jej nagiego ciała. Wciąż był nabuzowany adrenaliną i jej widok go podniecił. Uniósł koldrę i położył się obok niej.

--Wstawaleś? -- spytała, wyciągając do niego rękę.

--Tylko żeby się napić.

Musnęła dłonią jego krocze i otworzyła oczy.

--Naprawdę wstałeś. Na baczność.

Uśmiechnął się.

--To przez to ciepłe nocne powietrze.

--Naprawdę? -- Masowała go teraz. -- I nie ma to nic wspólnego ze mną?

--Nic a nic. Nawet mi to przez myśl nie przeszło. W końcu jesteś damą.

Dosiadła go.

--Tak?

Znowu się uśmiechnął. Delphine była córką Henriego Chevaliera, szefa najstarszego niezależnego banku w Genewie.

--Może źle cię oceniłem.

Stęknęła, kiedy w nią wszedł.

--Kocham cię, Max.

Mimo dreszczu rozkoszy zmarszczył brwi.

--Kocham cię, Max -- powtórzyła.

Przewrócił Delphine na plecy i wczuł się w rytm jej ciała. Jej wyznanie wzbudziło w nim tylko żal. Dlaczego kiedy wszystko układało się dobrze, musiały się w nim zakochiwać?

Cztery dni później, 9 sierpnia

Dzisiejszą uroczystość przygotowano bardzo starannie, lecz Helmut Kappel, patrząc przez przyciemnione dźwiękoszczelne okna gabinetu na gości na trawniku, czuł tylko bezsilną wściekłość.

Schloss Kappel był surową kamienną rezydencją otoczoną ośmioma hektarami ziemi na południe od Zurychu. Między zwieńczonymi krenelażem wieżami stał duży namiot, a na pływającej wyspie na jeziorze grała orkiestra. Odcinające się od błękitu nieba białe transparenty głosiły: *Kappel Privatbank -- 200 Jahre Jubildum*.

Zaprosił wszystkich najważniejszych klientów: tych działających legalnie, którzy przysparzali szacunku, i przestępców, którzy przynosili zyski -- choć wiedział, że różnica między nimi polega jedynie na tym, jak długo posiadają swoje fortuny. Kilku było sławnych. Jego trzecia żona, Eva, rozmawiała właśnie z projektantem mody Odyem. Ekstrawagancki Norweg miał blond włosy o charakterystycznym rudawym odcieniu opadające mu na ramiona i był ubrany w promowane przez siebie futra i skóry w wikingowskim stylu, dzięki któremu zyskał taką popularność. Kiedyś Helmut uważał żonę za swoją ozdobę, lecz teraz nie był już z niej zadowolony. Nie urodziła mu potomka -- obie poprzednie zdołały zrobić chociaż tyle.

Jeden z pomniejszych członków królewskiego rodu Monegasque był zatopiony w rozmowie ze szwajcarskim inwestorem. Don Marco Trapani, jeden z długoletnich klientów banku Kappelów, rozmawiał z Joachimem, młodszym synem Helmuta, i zwalistym mężczyzną, którego Helmut nie znał. Domyślił się, że to ten kuzyn naukowiec, którego Trapani chciał im przedstawić. Spojrzał na źle dopasowany garnitur mężczyzny i zmarszczył brwi. Przy brzegu jeziora brylował jego starszy syn Max, opalony i pewny siebie po udanych wakacjach na Karaibach, a obok niego stała Delphine Chevalier. Stanowili piękną parę, aż miło było popatrzeć.

Helmut spojrział na własne odbicie w szybie i odgarnął do tyłu siwe włosy, aż każdy kosmyk znalazł się na właściwym miejscu. Jak zawsze, patrzył na siebie z niekłamanym podziwem: wyglądał dobrze jak na sześćdziesięciopięciolatka. Mierzył ponad metr osiemdziesiąt pięć, był szczupły i trzymał się prosto jak pruski żołnierz. Miał na sobie ciemny garnitur, jasnobłękitną koszulę dopasowaną do koloru oczu, a pod brodą kolorowy fular, który zakrywał bliznę po operacji raka gardła. Choroba uświadomiła mu, że czas nie zatrzyma się dla niego tylko po to, by mógł dopełnić swe przeznaczenie. Mimo to, wbrew zaleceniom lekarza, zrobił ze względu na raka tylko jedno ustępstwo: od czasu do czasu zamiast ulubionych ręcznie robionych papierosów palił cygara.

Ze srebrnej papierośnicy wyjął kolejnego czarnego sobranie ze złotym filtrem i zapalił. Jego brat odchrząknął.

--Mówiłem ci, że to bez sensu urządzać taką ekstrawagancką uroczystość. Nie dość, że ściąga na nas zainteresowanie, to jeszcze ledwo nas na nią stać.

Helmut skrzywił się. Klaus miał rację, ale nie miał najmniejszego wyczucia chwili.

--Nie mogę uwierzyć, że żaden z nich nie przyjdzie -- powiedział Helmut chrapliwym szeptem.

Klaus pogładził się po brodzie.

--Hudsucker, Corbasson, Łysenko i Nadolny odrzucili zaproszenie.

--Myślisz, że naprawdę zamkną swoje konta?

Klaus wzruszył ramionami.

--Wygląda na to, że nie jesteśmy już dla nich wystarczająco szacownym bankiem.

Helmut zacisnął zęby.

--To nasi najpoważniejsi klienci -- ciągnął Klaus. -- Każdy z nich jest wart ponad miliard dolarów. Jeśli wszyscy wycofają fundusze w tym samym czasie, sytuacja stanie się krytyczna. Zwłaszcza że Comvec pożera mnóstwo pieniędzy.

Comvec był firmą konsultingową należącą do Kappel Privatbank. Joachim założył ją z myślą o obsłudze początkujących firm zajmujących się inżynierią genetyczną i terapią genową, które przed wejściem na rynek szukały pomocy w sprawach technicznych, prawnych i ekonomicznych.

Comvec mógł mocno zredukować zależność Kappelów od interesów bankowych, lecz na razie inwestycja tylko pochłaniała fundusze.

--Jaka będzie nasza sytuacja, jeśli wszyscy czterej się wycofają?

--Powinniśmy przetrwać. Ale ledwo, ledwo.

Helmut powiódł wzrokiem po portretach poprzednich przywódców dynastii Kappelów, które wisiały na ścianach gabinetu. Wszyscy mieli charakterystyczne dla rodziny jasnoniebieskie oczy i gęste platynowoblond włosy. Każdy w czasie swego przywództwa rozszerzył działalność banku i przekazał go następcy w stanie lepszym, niż go zastał.

--Samo przetrwanie to za mało.

--Musimy pogodzić się z faktami, Helmucie. W ostatniej dekadzie liczba niezależnych prywatnych banków w Szwajcarii spadła o czterdzieści procent. Prawa chroniące tajemnicę bankową wciąż trzymają się mocno, ale polityka walki z terroryzmem sprawia, że regulacje Federalnej Komisji Bankowej są coraz ostrzejsze. Pranie podejrzanych pieniędzy robi się coraz bardziej niebezpieczne, a w dodatku banki na Kajmanach świadczą te usługi znacznie taniej. Nasze rezerwy jeszcze nigdy nie były tak małe, a gospodarka jest w recesji. Jeśli stracimy czterech największych klientów, będziemy zmuszeni upłynnić nasze inwestycje przy niekorzystnych warunkach rynkowych. Będziemy mieli szczęście, jeśli w ogóle przetrwamy.

Helmut zaczął się przechadzać po pokoju.

--Myślisz, że tego nie wiem, Klaus? Zrobiliśmy z tych sukinsynów bogaczy. Kiedy do nas przyszli, nie mieli grosza przy duszy. A teraz mają czelność mówić, że potrzebują bardziej szacownego banku. Byli wdzięczni za nasze umiejętności, gdy wciągaliśmy ich na szczyt. Co z tego, że Warren Hudsucker został senatorem Stanów Zjednoczonych? Mógłby być nawet królową angielską, nic mnie to nie obchodzi. To my go stworzyliśmy.

--Masz rację -- powiedział Klaus łagodzącym tonem. -- Moglibyśmy zlikwidować

Comvec. Wiesz, co Max sądzi o tym ukochanym dziecku Joachima, i trzeba przyznać, że ma rację. Comvec co roku pochłania miliony franków bez realnej perspektywy zwrotu w ciągu najbliższych pięciu lat.

Helmut pokręcił głową.

--To nieodpowiedni moment na zamknięcie Comvecu. Joachim właśnie dokonał przełomu. -- Klaus był sprawnym administratorem, ale nie miał odwagi ani wizji. -- Najchętniej kazalbym Steinowi i jego ludziom ukarać krnąbrnych klientów, ale dopóki nie wyprowadzimy banku na spokojne wody, potrzebujemy ich funduszy. Przyjrzyj się liczbom, Klaus. Zaoferuj im

najbardziej korzystne procenty, na jakie nas stać. Nazwij to premią lojalnościową. Tylko dopilnuj, żeby zrozumieli, że zostanie z nami bardziej im się opłaci niż zmiana banku, przynajmniej w najbliższym czasie.

Znów podniósł wzrok na portrety przodków i zaczął się zastanawiać, co oni zrobiliby na jego miejscu. Jego spojrzenie spoczęło na wizerunku Dietera Kappela, który ocalił rodzinę przed dwustu laty.

Czterej pierwsi bracia Kappelowie byli najemnikami, którzy wzięli nazwisko od szwajcarskiej wioski Ebnat-Kappel w niemieckojęzycznym kantonie Graubünden. W połowie XVII wieku przenieśli się na południe, by zaoferować swe usługi wojującym włoskim państewkom, następnie zaś osiedli we Florencji, gdzie zaczęli się parać bardziej lukratywnym zawodem płatnych zabójców. Specjalizowali się w „naturalnych” zgonach przy użyciu dyskretnych trucizn, a swoją wiedzę i umiejętności przekazali jedynym ludziom, którym mogli ufać: własnej rodzinie. W miarę jak reputacja Kappelów rosła, rosły też ich bogactwa i wpływy. Z ich usług korzystali papieże i koronowane głowy.

Na początku XIX stulecia pewien potężny florencki hrabia, chcąc uniknąć uiszczenia zapłaty, próbował ich aresztować za zabójstwo, które sam zlecił. Trucizna Kappelów wprawiała go w konwulsje tak gwałtowne, że przed śmiercią złamały mu kręgosłup -- oni sami jednak musieli uciec z Włoch. Dieter Kappel poprowadził rodzinę z powrotem do Szwajcarii, która właśnie stawała się centrum prywatnej bankowości.

Dzięki zgromadzonym funduszom w 1804 roku założyli w Zurychu Kappel Privatbank. Bank znalazł dochodową niszę, przechowując nielegalnie zdobyte pieniądze ludzi, którzy obawiali się kontroli konwencjonalnych instytucji tego typu. Wyplacał im niskie procenty od zysku, a ich fundusze pożyczal pomniejszym klientom na znacznie wyższy procent.

Dieter Kappel zadbał o to, by rodzina nigdy nie zapomniała swych pierwotnych umiejętności: wierzył, że znacznie łatwiej dokonać finansowego zabójstwa, jeśli umie się zabić kogoś z krwi i kości. Bank zaczął inwestować w klientów, którzy mieli na rynku tylko jednego lub kilku kluczowych rywali. Potem, bez wiedzy klienta, Kappelowie dokładali starań, by rywali spotkały nieszczęśliwe wypadki. Niektórzy klienci podejrzewali, czemu zawdzięczają swe późniejsze szczęście w interesach, ale Dieter przyjął zasadę, by nigdy nie potwierdzać owych przypuszczeń, a tym bardziej nie żądać z tego tytułu dodatkowych opłat. Wystarczającą nagrodą był sukces klientów: dzięki ich majątkom bogacił się również bank. I tak Kappel Privatbank stopniowo zyskiwał na znaczeniu i cieszył się coraz lepszą reputacją. Podczas II wojny światowej, gdy klienci pragnęli zabezpieczyć swe fundusze w neutralnej

Szwajcarii, zyski i kapitał gwałtownie skoczyły do góry. Bank upodobały sobie także najważniejsze rodziny mafijne, a jego wpływy rozciągnęły się na lukratywny rynek amerykański. Profesjonalna kadra zajmowała się szerokim wachlarzem usług, obejmujących zarządzanie prywatną i instytucjonalną własnością, analizy finansowe, maklerstwo, obsługę kont i depozytów, konsultacje gospodarcze i doradztwo księgowo. Mimo to bank pozostał instytucją niedużą i dyskretną, kontrolowaną przez rodzinę.

Teraz Kappel Privatbank po raz pierwszy miał kłopoty. Helmut wiedział, że powrót do fachu płatnych zabójców nie wchodzi w grę. Pieniądze, które można by na tym zarobić, były zbyt małe. Zawodowcy zza dawnej żelaznej kurtyny i rosyjska mafia zabijali za nędzne grosze. Klienci nie żądali już finezji, tylko skuteczności.

Tak jak jego przodek Dieter, Helmut musiał przenieść działalność na wyższy poziom. Miał nadzieję, że Comvec dzięki prorokowanemu boomowi biotechnologicznemu zyska silną pozycję na nowym rynku, gdzie rodzina mogłaby wykorzystać swe unikatowe umiejętności (firma już przyniosła niejawną dywidendę: nową generację niewykrywalnych trucizn). Ale wraz z rakiem gardła przyszło ostrzeżenie: jeśli chciał zabezpieczyć przyszłość rodziny przed śmiercią, przedsiębiorstwo musi rozwijać się szybciej.

--Jakie są najświeższe wieści z genewskiego Banque Chevalier? -- spytał Klaus.

Helmut zauważył Henriego Chevaliera przy brzegu jeziora. Delphine wciąż była z Maksem, który rozmawiał z japońskim klientem.

--Chevalier nalega. Nadal wierzy, że jedynym sposobem na oparcie się amerykańskim korporacjom jest fuzja z małym prywatnym bankiem, takim jak nasz. Ale nie zgodzę się na fuzję, dopóki nie będę miał gwarancji, że to my będziemy trzymać ster. -- Uśmiechnął się, widząc, jak Delphine Chevalier z uwielbieniem wpatruje się w Maksa. Zaciągnął się papierosem i wyszeptał: -- Klaus, powiedz Maksowi, że muszę z nim porozmawiać.

Max wszedł do gabinetu, Helmut patrzył przez okno na młodszego syna, który właśnie rozmawiał z Trapanim i jego kuzynem. Joachim, elegancki w wieczorowym garniturze i z muszką pod brodą, był pełen pomysłów i całkowicie oddany wizji, by wprowadzić rodzinny biznes na nowe obszary. Nie miał takiego ekonomicznego wyczucia jak Max, ale był ambitny, pracowity i ląkał aprobaty ojca. Miał doktorat z biochemii i oprócz prowadzenia firmy Comvec, kontynuował rodzinną tradycję, opracowując nowe, jeszcze subtelniejsze i niepozostawiające śladów metody zabijania. Jeśli nie liczyć okularów, wyglądał kubek w kubek jak ojciec w jego wieku.

Gdy Max odziedziczył więcej genów matki. Jego oczy miały cieplejszy błękitny odcień, a cera była ciemniejsza od cery typowego Kappela. Był też wyższy, bardziej atletycznie zbudowany i pewniejszy siebie w kontaktach towarzyskich niż jego przyrodni brat. Klienci go uwielbiali. Helmut był szczególnie dumny ze starszego syna, bo mimo niszczących wpływów matki ulepił z niego człowieka, jakim był obecnie.

--Czego sobie życzysz, *Vater*? Wszyscy o ciebie pytają. Powinniśmy być na dole z naszymi klientami.

--Wkrótce tam pójdziemy. -- Helmut pchnął przez biurko egzemplarz „Le Figaro”, w którym zakreślił czerwoną obwódką artykuł opisujący rzekomo naturalny zawał Chabrola. -- Widzę, że dobrze wykorzystałeś swoje karaibskie wakacje z Delphine. Trapani nigdy się nie dowie, że to nasza robota, ale będzie zachwycony. Świetnie się spisałeś.

Max wzruszył ramionami.

--To była trucizna Joachima.

Helmut pozwolił sobie na lekki uśmiech.

--Więc jednak Comvec na coś się przydaje? Max zignorował przytyk.

--Trapani chce ci przedstawić swojego kuzyna -- rzekł.

--Wkrótce do nich dołączymy. Ale najpierw muszę cię o coś zapytać. -- Helmut umilkł na chwilę, zastanawiając się nad doborem słów, chociaż nie wątpił, że Max, mimo protestów, ostatecznie spełni swój obowiązek. Jako chłopiec Max był dziki i niepokorny, lecz Helmut poskromił temperament syna i wpoił mu zasady Kappelów. Podczas pierwszej zimy spędzonej w Zurychu chłopak zachowywał się jak szalenciec. Codziennie wkładał kombinezon, wyrąbywał przeręble w jeziorze przy Schloss Kappel i nurkował w lodowatej wodzie, wierząc, że jeśli zanurzy się dostatecznie głęboko, zdoła cofnąć czas i uratować matkę.

Syn nienawidził go wtedy, lecz z biegiem lat Helmutowi udało się go przekonać, że śmierć matki była nie tylko konieczna, ale i złączyła ich pewną tajemną więzią. Wiedział, że bliski samobójstwa, sfrustrowany dziewięcioletek mógł poradzić sobie z sytuacją tylko w jeden sposób: przyjmując wizję świata ojca.

Wkrótce po powrocie z Hawajów wysłał syna do szkoły z internatem w Anglii. W ten sposób dał mu czas i przestrzeń z dala od siebie, a angielski system prywatnego szkolnictwa zapewnił idealne środowisko, gdzie chłopak mógł się nauczyć panowania nad emocjami. Do trzynastego roku życia Max chodził do prywatnej szkoły podstawowej w Kencie, a potem do King's School w Canterbury, gdzie szczególnie ceniono tradycję i obowiązkowość. Na każde wakacje wracał do Zurychu, a Helmut oprowadzał go po parku i korytarzach domu

przodków, wpajając mu wagę odpowiedzialności za przyszłe losy rodziny. Nigdy nie pozwalał synowi zapomnieć, że pewnego dnia stanie się głową rodu, a jego portret ozdobi jedną ze ścian Schloss Kappel.

Max ukończył King's School z doskonałymi ocenami i wrócił do Szwajcarii, by rozpocząć studia ekonomiczne. Odbił obowiązkową służbę wojskową w szwajcarskiej armii, a potem uzyskał zawodowe kwalifikacje w dziedzinie bankowości i tytuł magistra zarządzania w Insead pod Paryżem.

Ostatecznie Helmut nie tylko pomógł Maksowi pogodzić się z utratą matki, ale i zrozumieć, że jej śmierć była nieunikniona: matka stanowiła zagrożenie dla dynastii Kappelów. Kiedy wpoił synowi zasady i interesy rodziny, żal, gniew i wyrzuty sumienia chłopca zostały stłumione do tego stopnia, że praktycznie niczego nie odczuwał. A w wieku męskim przemienił się w kogoś wyjątkowego, niemal nadludzkiego: w prawdziwego Kappela.

Teraz, patrząc na syna, Helmut czuł dumę z tego, co stworzył.

--Jak ci się układa z Delphine? -- zapytał. Max zmrużył oczy.

--A czemu pytasz?

--Zastanawiałem się nad fuzją zaproponowaną przez Henriego Chevaliera. -- Helmut zawiesił głos. -- Powinieneś się z nią ożenić.

Max parsknął śmiechem.

--Nie chcę się żenić z Delphine Chevalier. W ogóle nie chcę się żenić. To była kolejna różnica między jego synami. Joachim pragnął mu się przypodobać, nigdy więc nie kwestionował otwarcie jego zdania.

--Małżeństwo ma pewien cel, synu -- powiedział Helmut.

Max znowu się roześmiał. Nie mógł się powstrzymać. Ojciec kolekcjonował piękne żony i wymieniał je na lepsze modele, tak jak ferrari w swoim garażu, a dwa razy w miesiącu odwiedzał ekskluzywny paryski przybytek Madame Lefarge znany z szerokiej oferty usług erotycznych.

--Z całym szacunkiem, *Vater*, ale sam nie daleś w tym względzie zachęcającego przykładu.

--Ożeniłem się z matką Joachima, żeby splodzić drugiego prawowitego potomka na wypadek gdyby tobie przydarzyło się coś złego. A trzeci raz ożeniłem się, ponieważ Eva jest bardziej towarzyska i korzystniej wypada w kontaktach z klientami.

--A nie jest również młodsza i bardziej atrakcyjna? Ojciec zgromił go wzrokiem.

--Małżeństwo to idealny sposób na zyskanie kontroli nad Banque Chevalier. Tak czy inaczej, Delphine cię ubóstwia. Rodzina potrzebuje twojej pomocy, Max. Przecież wiesz, jaka jest sytuacja z Łysenką, Nadolnym, Hudsuckerem i Corbassonem.

--Lepiej sprzedać Comvec, przez który trwonimy miliony franków, i skoncentrować się na tym, na czym się naprawdę znamy. Jesteśmy bankierami, *Vater*, a nie przedsiębiorcami biotechnologicznymi.

--Nie zawsze byliśmy bankierami, Max. Poza tym nie zamierzam sprzedawać Comvecu, właśnie gdy Joachim dokonał przełomu z przenoszonym drogą powietrzną wektorem Domino. Max zmarszczył brwi.

--Comvec nie powstał po to, by dokonywać kosztownych wynalazków. Założyliśmy firmę, żeby pomagać innym wprowadzać na rynek ich wynalazki i dobrze na tym zarabiać. Mieliśmy dostarczać kilofy i łopaty rym, których ogarnęła gorączka złota, a nie sami dać

się

porwać szaleństwu.

Joachim przekonał ojca do Comvecu, twierdząc, że firma umożliwi wprowadzenie interesu na nowy obszar, dzięki czemu przyszłość rodziny zostanie zabezpieczona raz na zawsze. Pierwotny plan, na który Max niechętnie się zgodził, przewidywał, że Comvec wykorzysta wiedzę Joachima z zakresu wirusowych wektorów oraz prawne, handlowe i organizacyjne doświadczenie banku -- jak również jego fundusze -- żeby pomagać początkującym firmom specjalizującym się w terapiach genowych przy wejściu na rynek z innowacyjnymi produktami.

Terapia genowa stanowiła przyszłość medycyny, umożliwiała bowiem zamiast leczenia objawów choroby naprawę instrukcji genetycznych zakodowanych w DNA wadliwych komórek. Dawała nadzieję na leczenie takich chorób o podłożu genetycznym, jak rak i mukowiscydoza, poprzez eliminację błędów w podstawowym oprogramowaniu, żeby komórki rakowe obumierały wtedy, gdy powinny, a ciało produkowało odpowiednie proteiny w odpowiednich ilościach.

Max nie był naukowcem, ale wyobrażał sobie terapię genową jako coś w rodzaju wysyłania paczki. W grę wchodziły dwa kluczowe elementy: zawartość do wysłania i zaadresowany pakunek, w którym zawartość docierała do określonych miejsc.

Opracowywanie zawartości polegało na spreparowaniu fragmentu zdrowego DNA, który po wklejeniu zastępowałby wadliwą sekwencję. Tworzenie pakunku wiązało się z wykorzystaniem specjalnie zmodyfikowanych wirusów, tak zwanych wektorów, którymi zajmował się Comvec. Joachim zdefiniował komercyjną i techniczną rolę Comvecu jako pomoc małym przedsiębiorstwom biotechnologicznym w udoskonaleniu pakunku dostarczającego ich produkty do odpowiednich komórek ciała i na odpowiedni rynek.

Pierwotnie uzgodniono, że Comvec opracuje zestaw wektorów, a potem skupi się na wprowadzeniu terapii na rynek tak szybko, jak to tylko możliwe. Ale Joachim trwonił czas i pieniądze na wymyślanie coraz bardziej skomplikowanych wektorów, co doprowadziło go do opracowania wektora Domino, który umożliwiał zaaplikowanie terapii genowej jednej osobie, by potem dzięki wtórnemu wektorowi podobnemu do wirusa grypy przekazywać uzdrawiające DNA innym chorym. Wektor Domino zmieniał również komórki płciowe

pacjenta, dzięki czemu genetyczny lek mógł być przekazywany następnym pokoleniom. Jednym z planowanych celów wykorzystania Domina było przenoszenie szczepionki na AIDS w krajach Trzeciego Świata.

--Wektor Domino może być genialny pod względem technicznym, ale ekonomicznie będzie bezwartościowy jeszcze bardzo długo. Zdobycie wymaganych zezwoleń w Europie i Stanach zajmie nam dziesięciolecie.

--To ty tak myślisz, Joachim jest innego zdania. Chcę, żeby fuzja z bankiem Chevalierów doszła do skutku.

Max westchnął.

--Zastanowię się nad tym, ale połączenie z Banque Chevalier nie rozwiąże naszych problemów. Kupi nam tylko trochę więcej czasu.

--Potrzebujemy czasu, Max. A ja chcę też wiedzieć, że moje dziedzictwo jest bezpieczne. Musisz się ożenić i spłodzić potomka. Masz prawie czterdzieści lat, a Joachim, choć młodszy, już jest żonaty. Doczekał się na razie tylko dziewczynki, ale się stara. Nie spieraj się ze mną o to, Max. I tak dość ci już folgowałem. Przymknąłem oko na twoją obsesję na punkcie

nurkowania i ciągle tracenie czasu w swoim domu na Lazurowym Wybrzeżu. Ale w tej sprawie nie ustąpię. Jesteś moim następcą. Masz obowiązki. Musisz się przyczynić do ocalenia banku i przedłużenia rodu.

--Rozumiem to, ale biorąc pod uwagę, jak szybko tracimy klientów, będziemy potrzebować bardziej radykalnego rozwiązania, żeby ocalić to wszystko. -- Wykonał szeroki gest, który zdawał się ogarniać dom, portrety i teren rezydencji. Potem wskazał Marca Trapaniego, który właśnie rozmawiał z Joachimem. -- A jeśli nie chcemy stracić dzisiaj następnych klientów, powinniśmy zejść do gości. Helmut poprawił fular i ruszył do drzwi.

--Opowiedz mi o tym kuzynie Trapaniego.

Max wyszedł za ojcem na korytarz.

--Nazywa się profesor Carlo Bacci. Według Joachima jest szanowanym naukowcem ze Stanów Zjednoczonych, który kilka lat temu rzucił pracę dla wielkich korporacji, żeby rozkręcić własny biznes we Włoszech. Teraz potrzebuje wsparcia finansowego i organizacyjnego, żeby wejść ze swoim projektem na rynek.

Helmut skrzywił się, gdy szli przez korytarz do dwuskrzydłowych drzwi prowadzących na taras. Max mógł sobie wyobrazić, o czym ojciec myśli: czyżby Kappelowie upadli tak nisko, że muszą spełniać zachcianki ubogich krewnych swoich klientów?

--Wygląda mi to na stratę czasu -- wychrypiał Helmut.

--Jeśli to strata czasu, możesz winić tylko Joachima -- mruknął Max, po czym uśmiechnął się i wyciągnął rękę, aby powitać pierwszego klienta. -- Podobno profesor Bacci jest pod szczególnym wrażeniem dokonań Comvecu, a zwłaszcza zaangażowania firmy w projekty w rodzaju wektora Domino...

Tydzień później, 16 sierpnia siedziba

Kappel Privatbank wznosiła się przy Bahnhofstrasse, w sercu bankowej dzielnicy Zurychu. Solidny klasycystyczny gmach z imponującym portykiem i okratowanymi podwójnymi oknami zdawał się skrzyżowaniem świątyni, twierdzy i więzienia. Patrząc na budynek, profesor Carlo Bacci pomyślał, że pod wieloma względami jest właśnie tym: świątynią Mammona, twierdzą strzegącą bogactw klientów i miejscem przechowywania nieodebranych depozytów.

Przycisnął do piersi srebrną walizeczkę, uspokojony jej drogocenną zawartością. Był tak zachwycony reakcją córki na wieść o zaręczynach, że korciło go, by jej zdradzić, jak zdobył serce Marii. Byłby to jednak błąd: Isabella jako neurolog doceniłaby znaczenie jego naukowego osiągnięcia, ale mogłaby nie zrozumieć, dlaczego zrobił to, co zrobił. Zanim wyzna córce prawdę, musi pokazać jej i światu szczęście, jakie przyniesie jego terapia. Pomyślał o Leo. Gdyby zaaplikował mu terapię, na pewno przekonałby Isabellę do swojego odkrycia. Wkrótce to zrobi. Ale żeby wcielić wizję w życie i podzielić się nią ze światem, potrzebował więcej pieniędzy.

Przekroczył próg olbrzymich ozdobnych drzwi i wszedł do holu. W środku bank robił jeszcze bardziej imponujące wrażenie niż z zewnątrz. Posadzka z czarnego i białego marmuru układała się w wielką szachownicę. Marmurowe pilastry i wysokie rośliny w donicach pięły się ku sklepieniu i złożonym gzymsom. Portret mężczyzny o siwych włosach i jasnobłękitnych oczach wisiał na ścianie za biurkiem recepcji. Model, Dieter Kappel, przypominał Helmuta, ale miał na sobie koszulę ze staromodnym kołnierzem i ciemny surdut. Nagle Bacci zdał sobie sprawę z tego, jak bardzo się denerwuje.

Kiedy kuzyn przedstawiał go Kappelom w Schloss, było inaczej. Tam swobodnie krążył wśród gości i zaimponowało mu, że chociaż bank świadczył usługi często sławnym klientom od dwustu lat, on nigdy o nim nie słyszał: to świadczyło o prawdziwej dyskrecji. Spodobało mu się również, że to bank rodzinny -- jakże różny od pozbawionych ludzkiej twarzy międzynarodowych instytucji, z jakimi miał do czynienia w przeszłości.

Szczególne zainteresowanie wzbudził w nim Comvec. Dwa dni temu Joachim Kappel oprowadził profesora po niedużym, lecz dobrze wyposażonym ośrodku firmy na południe od Zurychu. Laboratorium nie było zbyt zaawansowane technicznie, a mimo to zatrudnionym w Comvecu badaczom już udało się sporo osiągnąć. Ich wektory wirusowe, a zwłaszcza przenoszony drogą powietrzną wektor Domino, były rewolucyjne, a zaangażowanie Kappelów w całe przedsięwzięcie -- zupełnie wyjątkowe. Ile banków odważyłoby się zainwestować w projekt tak ryzykowny i długofalowy?

Ale wycieczka do siedziby Comvecu była niezobowiązującym i luźnym ćwiczeniem z zakresu public relations, a impreza w Schloss Kappel miała charakter wyłącznie towarzyski: grała muzyka, lał się szampan i wszyscy byli uroczy. Dzisiejsze spotkanie było spotkaniem biznesowym, więc Bacci, któremu bardzo zależało, żeby Kappelowie wsparli jego projekt, czuł nerwowość.

Podszedł do biurka recepcji, gdzie skierowano go do windy, którą miał pojechać na szóste piętro. Po drodze minął Klause Kappela, którego poznał w Schloss. Bankier, pochłonięty rozmową z mocno opalonym łysym mężczyzną, wcale go nie zauważył. Kiedy Bacci wszedł do windy, usłyszał, jak Klaus powiedział do swojego towarzysza: „Mówię tylko, Herr Łysenko, że

zostając z nami, dużo pan zyska".

Na szóstym piętrze asystentka skierowała go do sali konferencyjnej.

--Na końcu korytarza -- wyjaśniła. -- Wystarczy zapukać.

Gdy dotarł do solidnych dębowych drzwi, jego dłonie lepiły się od potu. Wypiał pierś, wygładził garnitur i sprawdził zawartość walizeczki. Potem zapukał.

Max siedział przy długim stole w wyłożonej dębową boazerią sali i z niejakim zdziwieniem patrzył na Bacciego, który był wyraźnie podenerwowany i ustawicznie gmerał przy swojej srebrnej walizeczce. Sam nie pamiętał, kiedy ostatni raz się denerwował ani w ogóle cokolwiek odczuwał.

Zerknął na tekturową teczkę przed sobą. Zawierała wszystko, czego on i brat zdołali się dowiedzieć o profesorze. Joachim słyszał kiedyś jego wystąpienie na sympozjum poświęconym terapii genowej w Bazylei. Bacci był nieortodoksyjnym, lecz cenionym badaczem z zakresu neurologii i genetyki. Kiedy zdali sobie sprawę, że może mieć coś do zaoferowania, rozwinęli przed nim czerwony dywan. Joachim oprowadził go po siedzibie Comvecu, a dziś tylko Klaus, który był zajęty Feliksem Łysenką, nie stawiał się na spotkanie. Helmut siedział na swoim zwykłym miejscu u szczytu stołu, Joachim zaś obok Maksa, naprzeciwko Bacciego.

Joachim jak zwykle miał muszkę zamiast krawata i palił te same papierosy Sobranie, które uwielbiał ojciec. Mimo że był dziesięć lat młodszy od przyrodniego brata, najwyraźniej pragnął przejąć pozycję po Helmucie Kappelu. Max nie przejmował się tym, bo wiedział, że nigdy do tego nie dojdzie. Joachim był błyskotliwym naukowcem, a ojciec okazywał mu więcej względów niż starszemu synowi, ale zdawał sobie sprawę z tego, że nie ma on cech przywódcy: jest zbyt słaby i za bardzo zabiega o akceptację.

--Dziękuję, że zgodziliście się panowie ze mną spotkać -- powiedział Bacci.

--Mam nadzieję, że będziemy mogli panu pomóc, profesorze -- odparł Helmut ze swobodnym uśmiechem. -- Jesteśmy przede wszystkim bankierami, ale mój syn Max prowadzi dział konsultacji biznesowych, natomiast jego młodszy brat Joachim jest szefem Comvecu, która to firma, jak pan wie, specjalizuje się we wprowadzaniu na rynek produktów biotechnologicznych. Obaj mogą dużo wnieść do naszej dzisiejszej dyskusji. -- Zrobił krótką pauzę. -- Proszę powiedzieć, panie profesorze, dlaczego opuścił pan Stany Zjednoczone?

Bacci napił się espresso i położył dłoń na srebrnej walizeczce, którą umieścił na stole obok laptopa. Jej zawartość intrygowała Maksa.

--Rozczarowałem się. Wielkie koncerny farmaceutyczne, dla których pracowałem, nie kwapiły się z przyznawaniem mi nagród, na jakie zasługiwałem. Twierdzą, że chcą dobrych wyników naukowych i leków dla świata, ale to nieprawda. Chodzi im tylko o zyski. Wielkie banki amerykańskie są nawet gorsze. Nie obchodzą ich inwestycje w przyszłość. Przemawiają do nich tylko słupki liczb i gwarancje kredytowe. Jeśli ktoś ma pieniądze, pożyczą mu ich jeszcze więcej. Ale jeżeli jest się w potrzebie, nie wyciągnie się od nich ani centa. Wróciłem więc do starego kraju i jego prostszych wartości, aby zrealizować moją wizję na własną rękę.

--Czy Włochy rzeczywiście różnią się od Stanów pod tym względem?

Bacci westchnął.

--Niestety, nie. Ale Marco Trapani wypowiada się z wielkim uznaniem o waszym banku. Jeśli zaś chodzi o Comvec, to jego wektory są światowej klasy, a szczególnie zaimponowało mi wasze podejście do rewolucyjnego wektora Domino, który mimo ogromnych zalet nie

przyniesie w krótkim okresie żadnych zysków.

Max ledwo zapanował nad ironicznym uśmiechem, gdy zauważył, jak ojciec spogląda na Joachima. Wątpliwe, aby władze kiedykolwiek dopuściły do wprowadzenia na rynek wektora Domino, który był oparty na żywotnym retrowirusie grypy. Bez względu na to, jak wspaniały był to wynalazek, Max wątpił, by Comvecowi udało się przekonać świat, że wektor jest bezpieczny.

Helmut uśmiechnął się.

--Kappel Privatbank to przede wszystkim firma rodzinna. Jej codziennym funkcjonowaniem zajmuje się profesjonalna kadra menedżerów, prawników i konsultantów, ale rada nadzorcza składa się z czterech członków rodziny. Osobiście angażujemy się we wszystkie strategiczne decyzje związane ze sprawami finansowymi każdego z naszych najważniejszych klientów. Zaufanie klienta liczy się dla nas najbardziej, a kwestię tajemnicy zawodowej traktujemy nie mniej poważnie niż lekarze. Zresztą jesteśmy kimś w rodzaju lekarzy od pieniędzy. To, co pan nam powie, pozostanie w tym pokoju bez względu na to, czy podejmiemy współpracę, czy nie.

Odchrząknął i ciągnął dalej:

--Chciałbym zaznaczyć, że musimy wiedzieć o pańskiej propozycji tak dużo, jak to możliwe. Bogacenie się naszych klientów leży w naszym interesie, dlatego każdemu z nich rekomendujemy usługi, jakich naprawdę potrzebuje, a niekoniecznie te, jakich pragnie. To zaś będzie wymagało drobiazgowej analizy pańskiej propozycji. -- Podał Bacciemu tekturową teczkę. -- Podpisaliśmy standardowe zobowiązanie zachowania poufności, więc proszę się nie krępować i mówić swobodnie. Może sprawiamy wrażenie wścibskich, ale tego wymaga nasza praca. Jeśli te warunki są dla pana nie do przyjęcia, profesorze, uściśniemy sobie ręce, życząc panu szczęścia w negocjacjach z innym bankiem.

Bacci otworzył teczkę i obrzucił wzrokiem dokument.

--Brzmi rozsądnie -- ocenił.

--Doskonale. Chciałbyś coś dodać, Joachimie?

Joachim pokręcił głową.

Helmut zwrócił się do starszego syna.

--Max?

Max zawsze był lekko zaskoczony, jak czarujący i przekonujący potrafi być ojciec, gdy mu na tym zależy.

--Nie -- odparł. -- Myślę, że powiedziałaś wszystko, co trzeba. -- Zerknął do dossier Bacciego. Profesor kształcił się i pracował w większości najlepszych uczelni Wschodniego Wybrzeża, między innymi w MIT, Princeton, Yale i Harvardzie, i zdobył kilka tytułów doktorskich. W będącej pasmem sukcesów karierze poświęcił się badaniom nad terapiami genowymi, które miały na celu leczenie tak zwanej wielkiej czwórki chorób neurologicznych: alzheimera, parkinsona, schizofrenii i depresji. Prace dotyczące parkinsona zapewniłyby mu Nagrodę Nobla, gdyby przeciwko niemu nie świadczyła opinia człowieka trudnego -- rozpowszechniona wśród potężnych koncernów farmaceutycznych, które sponsorowały jego badania.

Pięć lat temu zamożny pacjent, który osobiście skorzystał z wyników pracy Bacciego nad parkinsonem, zostawił mu w spadku znaczną sumę pieniędzy. To zmobilizowało profesora do

zerwania wszelkich więzów z przemysłem farmaceutycznym i osiedlenia się we Włoszech.

Max przeglądał zawartość teczki, lecz jego wzrok nieustannie przykuwał wydruk ze strony internetowej szpitala uniwersyteckiego w Mediolanie. Widniało na nim zdjęcie Isabelli Bacci. W spojrzeniu córki profesora było coś fascynującego... Duże, wyraziste oczy i lekko krzywy uśmiech nadawały jej wygląd osoby słabej i silnej jednocześnie.

--Domyślam się, że ostatnich pięciu lat we Włoszech nie spędził pan beczynnie, profesorze Bacci -- zagaił Joachim, zerkając na srebrną walizeczkę. -- Znając pańskie wcześniejsze dokonania, przypuszczam, że opracował pan jakąś wspaniałą nową terapię albo lek.

--Trudno to nazwać lekiem -- odrzekł Bacci. -- Właściwie wręcz przeciwnie. -- Włączył laptop i przesunął ekran w ich stronę. -- Odkryłem sposób stymulacji powszechnej przypadłości, łagodnej, ale niezwykle potężnej choroby psychicznej, która ma kluczowe znaczenie dla ewolucji gatunku ludzkiego.

Helmut zmarszczył brwi, a Joachim poprawił okulary. Max pochylił się do przodu.

Bacci wcisnął jakiś klawisz i na górze ekranu pojawił się napis: „MIN nr 072”. Pod spodem widniała linijka tekstu: „Badania Marazziti, Uniwersytet w Pizie, 1999”.

--Choroba psychiczna, o której mówię, panowie -- ciągnął profesor -- to zakochanie. -- W jego oczach pojawił się błysk, wcześniejsza nerwowość minęła jak ręką odjął. -- Po pierwsze, musicie zrozumieć, że gdy ludzie mówią, że są chorzy z miłości, to wcale nie przesadzają. Badania przeprowadzone w 1999 roku przez Donatellę Marazziti i jej współpracowników z uniwersytetu w Pizie wykazały, że zachodzą silne podobieństwa między chemią mózgu zakochanych oraz osób cierpiących na zaburzenia obsesyjno-kompulsywne, stan charakteryzujący się natrętnymi myślami i niepoohamowaną potrzebą łagodzenia lęku za pomocą ciągłego powtarzania irracjonalnych rytuałów, takich jak mycie rąk. Człowiek we wczesnej fazie zakochania wykazuje porównywalne objawy: obsesyjne myśli skupione na jednej osobie, które są nie do opanowania przez zakochanego, mimo że zdaje on sobie sprawę z ich irracjonalności, a także psychiczny przymus, aby robić rzeczy, których normalnie by nie robił: chodzenie za ukochaną osobą, czekanie na telefon, ciągle sprawdzanie, czy ta osoba jest

tam, gdzie być powinna. Są to klasyczne objawy zaburzeń obsesyjno-kompulsywnych i często towarzyszy im wysoki poziom niepokoju. -- Obraz na ekranie się zmienił. -- Naukowcy z Pizy przebadali studentów, którzy niedawno się zakochali, i odkryli, że poziom substancji chemicznej odpowiadającej za dobre samopoczucie, czyli serotoniny, jest w ich mózgach o czterdzieści procent niższy niż normalnie. -- Obraz na ekranie znowu się zmienił. -- Jak możecie, panowie, zobaczyć, liczby z następnej tabeli, dotyczące osób ze zdiagnozowanymi zaburzeniami obsesyjno-kompulsywnymi, są porównywalne. Badania Marazziti wykazują, że miłosne zadurzenie jest tymczasową, zdrową wersją zaburzeń obsesyjno-kompulsywnych, funkcjonującą zarówno w ludzkim procesie reprodukcyjnym, jak i w ewolucji naszego gatunku.

Helmut pokiwał głową. Koncepcja, że emocje, a zwłaszcza miłość, są rodzajem choroby, doskonale współgrała z jego światopoglądem.

--Drugą rzeczą, którą musicie, panowie, zrozumieć -- kontynuował profesor -- jest to, że zakochywanie się to proces chemiczny, który przebiega w mózgu, a nie w sercu. Jest to naturalne zjawisko, które można podzielić na trzy fazy.

Pióro Joachima aż skrzypiało, gdy siedząc przygarbiony nad notesem, zapisywał wszystko

energicznie.

Bacci wcisnął klawisz i na ekranie pojawił się następny tytuł: „Trzy fazy miłości”. Pod spodem widniały trzy punkty:

- Faza 1 -- Zauroczenie**
- Faza 2 -- Zadurzenie**
- Faza 3 -- Prawdziwa miłość**

Profesor uniósł palec.

--W fazie zauroczenia główną rolę odgrywają hormony płciowe i feromony. Poziom dopaminy w organizmie gwałtownie rośnie, powodując doznania oczekiwania i nagrody. Jest to kluczowe przy wzbudzeniu zainteresowania i przyciągnięciu partnera. -- Bacci uniósł drugi palec. -- W fazie drugiej poziom serotoniny spada, a ciało zaczyna wydzielać więcej adrenaliny i noradrenaliny, które odpowiadają za doznania podniecenia i niepokoju związane z zadurzeniem. W ten sposób natura zadbała o to, żebyśmy skupili energię na jednym partnerze, i właśnie wtedy objawy obsesyjno-kompulsywne są najbardziej wyraźne.

Profesor uniósł trzeci palec.

--Ale jeśli zadurzenie ma się rozwinąć w długotrwałą, stabilną „prawdziwą miłość”, musi dominować inna grupa hormonów: endorfiny i hormony przywiązania, takie jak wazopresyna i oksytocyna. Oksytocyna to substancja chemiczna wydzielana po orgazmie, a także w organizmie kobiety podczas porodu. Poczucie stabilizującego spokoju i dobrostanu, które wywołuje, jest naturalną nagrodą za to, że zostaniemy z naszym partnerem albo potomstwem. Trzecia faza miłości to mechanizm, za pomocą którego natura dba o to, aby dziecko miało oboje rodziców, przynajmniej w pierwszych latach życia.

--Więc miłość jest tylko sztuczką natury? -- spytał Helmut.

Bacci uśmiechnął się.

--W pewnym sensie tak. Ale jest to sztuczka, która czyni życie wartym przeżycia.

--Więc na czym polega pańskie odkrycie? -- zapytał Max, krzyżując ręce na piersiach.

Profesor uniósł dłoń, prosząc o cierpliwość.

--Ostatni projekt badawczy, który prowadziłem w Stanach, dotyczył opracowania genetycznego antydepresantu. Sponsorowi, firmie Drake Pharmaceuticals, zależało na stworzeniu alternatywy dla prozacu bez jego efektów ubocznych. Nowy lek działałby na poziomie DNA, więc pacjent, zamiast przyjmować przez nieokreślony czas tabletki, byłby leczony jednorazowo. Mieliśmy nadzieję na prawdziwy przełom, na uzdrowienie, a nie tylko leczenie objawów szeregu zaburzeń lękowych, łącznie z obsesyjno-kompulsywnymi. Ale właśnie gdy zaczynaliśmy robić postępy, Drake został przejęty przez firmę Brandt Tolzer, wiodącego producenta leku z rodziny prozacu, i projektowi ukręcono łeb. Firma wolała, aby pacjenci dalej przyjmowali lek w tabletkach. Więcej tabletek oznacza większe zyski.

--Zanim jednak na scenie pojawił się Brandt Tolzer, podczas testów klinicznych mojego genetycznego prozacu stało się coś interesującego. Skutki były na szczęście krótkotrwałe, bo wszystkie próbki testowe zaprojektowałem tak, aby działały nie dłużej niż czterdzieści osiem godzin, lecz sam epizod nieźle nastraszył decydentów z Drake'a.

--Co się stało? -- spytał Joachim.

--Ogólnie mówiąc, działanie leków prozacopodobnych polega na podnoszeniu poziomu serotoniny, substancji odpowiadającej za dobre samopoczucie. Ale kiedy pacjenci zaczynają

przyjmować prozac, często doświadczają wzmożonego niepokoju i nachodzą ich myśli samobójcze. Dzieje się to w okresie, gdy ich połączenia nerwowe adaptują się do gwałtownej zmiany w chemii mózgu. Eksperymentalny lek wywołał podobne objawy. Wprawdzie badani nie mieli myśli samobójczych, lecz ich reakcje uczuciowe stały się bardziej gwałtowne. Specyfik działał jak rodzaj emocjonalnej viagry. Ludzie, którzy się wcześniej nie znali i spotkali dopiero podczas testów, nawiązali intensywne związki uczuciowe trwające około czterdziestu ośmiu godzin. Zwykle z pierwszą osobą płci przeciwnej, którą napotkali. Kiedy zbadaliśmy ich mózgi metodą rezonansu magnetycznego, zauważyłem coś dziwnego: mocno podwyższoną aktywność we wzrokowej korze skojarzeniowej i zakręcie wrzecionowatym, czyli obszarach wyspecjalizowanych w rozpoznawaniu ludzkich twarzy. Aktywność była największa, gdy badany patrzył na twarz osoby, z którą się związał podczas testów. Nawet fotografia wystarczała, by obraz skanu rozświetlił się niczym wybuch ogni rzymskich. Krótko mówiąc, badani doświadczali intensywnych stanów emocjonalnych podobnych do zakochania, a potem kojarzyli te uczucia z twarzą pierwszej osoby, jaką ujrzeli, kiedy specyfik zaczął działać.

--Miłość od pierwszego wejrzenia? -- powiedział Max. -- Jak u Szekspira?

Bacci energicznie pokiwał głową.

--W *Śnie nocy letniej*. Tak. Potem, po upływie czterdziestu ośmiu godzin, badani wracali do stanu wyjściowego bez żadnych nieprzyjemnych efektów ubocznych oprócz zawstydzenia. Tak czy inaczej, ci z Drake'a chcieli jak najszybciej zapomnieć o niepowodzeniu, więc o niczym im nie powiedziałem, a kiedy do akcji wkroczył Brandt Tolzer, kontynuowałem prace na własną rękę. Po licznych udoskonaleniach ostatecznie otrzymałem to.

Profesor otworzył srebrną walizeczkę, wyjął z niej szklaną fiolkę wielkości kciuka wypełnioną drobnym białym proszkiem i podał Maksowi.

--Oto MIN Sześćdziesiąt Dziewięć.

Max przyjrzał się etykietce. Pierwsze słowo zapisane wielkimi literami wyglądało na jakiś skrót. Po nim następował rząd cyfr: 069. Podniósł fiolkę do światła, wpatrując się w matowy biały proszek. Nie wyglądał jak cudowny lek, który odmieni świat.

Podał fiolkę bratu, a ten, obejrzawszy, przekazał ojcu.

--Co to takiego, profesorze Bacci? -- spytał Helmut. -- Co takiego trzymam?

--Sześćdziesiątą dziewiątą wersję specyfiku.

--Ale co to takiego?

Bacci zmarszczył brwi, jakby odpowiedź była oczywista.

--Miłość. Prawdziwa miłość.

Prawdziwa miłość? -- powtórzył Helmut.

--Mówiąc ściśle, miłość identyczna z naturalną -- wyjaśnił Bacci. -- Stąd skrót MIN. Wiele smaków i aromatów, takich jak waniliowy czy różany, które spotykamy w nowoczesnych perfumach czy produktach żywnościowych, to syntetyki identyczne z naturalnymi, czyli chemiczne klony naturalnych składników, które wywołują te same doznania, a kosztują znacznie mniej. Moja kuracja działa na tej samej zasadzie: syntetyzuje w mózgu substancje chemiczne, aby odtworzyć uczucie miłości. Po zanalizowaniu skutków działania pierwotnego specyfiku odkryłem, że stymuluje intensywny niepokój i podniecenie kojarzone z dwiema pierwszymi fazami zakochania, zauroczeniem i zadurzeniem, lecz nie z fazą trzecią. Musiałem więc go udoskonalić.

--Jak? -- spytał Joachim, wyraźnie zaintrygowany.

Helmut zauważył, że Max nie podziela entuzjazmu młodszego brata. Podczas gdy Joachim energicznie notował, Max siedział w fotelu z rękami skrzyżowanymi na piersi i nieodgadnionym wyrazem twarzy.

--Dokonałem setek drobnych modyfikacji -- odparł Bacci -- ale wszystkie sprowadzały się do dwóch istotnych udoskonaleń. Po pierwsze, pogłębiłem efekty terapii. -- Wcisnął klawisz

i

obraz na ekranie podzielił się na pół. Z prawej pojawiła się biała mysz, z lewej brunatny gryzoń. -- To nornik preriowy. Jego niezwykłość polega na tym, że gdy znajdzie partnera, tworzy związek, który trwa całe życie. Myszy są zwierzętami wykazującymi

promiskuityzm,

to znaczy spółkują z każdym partnerem, jakiego napotkają. Za różnicę w ich zachowaniu odpowiada gen, który koduje produkcję oksytocyny, hormonu będącego jednym z kluczowych komponentów prawdziwej miłości. Istnieją dobrze udokumentowane badania, które wykazały, że kiedy myszom wszczepi się gen oksytocyny, natychmiast zaczynają tworzyć trwale związki, gdy zaś usunie się ten sam gen nornikom preriowym, te stają się niewierne i rozwiązłe.

Joachim kiwał energicznie głową.

--Więc dodał pan gen oksytocyny do pierwotnego fragmentu DNA? -- spytał.

--Tak, razem z genami kodującymi inne hormony przywiązania, takie jak wazopresyna, dodałem geny, które uwydatniają ekspresję oksytocyny. I *voilà*, zmieniłem zwyczajne zadurzenie w coś głębszego i trwalszego.

Helmut zmarszczył brwi.

--A więc to afrodyzjak?

--Nie, to znacznie więcej, *Vati* -- sprostował Joachim. -- Profesor mówi o stymulacji całego jestestwa: zarówno ciała, jak i duszy.

--Zgadza się -- potwierdził Bacci. -- Mówię o prawdziwej miłości, a nie tylko o pożądaniu.

--Na czym polegało drugie istotne udoskonalenie, o którym pan wspomniał? -- spytał

Joachim.

Oczy Bacciego błyszczały z podniecenia.

--Właśnie z tego jestem najbardziej dumny. Udało mi się zindywidualizować terapię. --

Wcisnął następny klawisz i na ekranie komputera pojawiła się twarz mężczyzny. -- Poznajecie

go, panowie?

Helmut nie miał wątpliwości: mężczyzna był słynnym mordercą skazanym kilka lat temu w Stanach Zjednoczonych za zgwałcenie i zabicie osiemnastu kobiet. Ale międzynarodową sławę zawdzięczał nie tyle przestępstwu, ile sposobowi, w jaki go zidentyfikowano i schwytano.

--Obraz ten nie jest fotografią -- mówił profesor -- tylko wizerunkiem wygenerowanym komputerowo na podstawie DNA pozostawionego na jednym z miejsc zbrodni. Mówiąc ściśle, jest to efekt rekonstrukcji dokonanej po analizie pięciuset dziewięćdziesięciu siedmiu genów, które odpowiadają za wygląd twarzy: typ i barwę włosów, budowę kostną, kolor oczu i skóry, kształt ucha i tak dalej. Nawet wiek obliczono na podstawie długości telomerów na końcówkach chromosomów. Pomimo niegenetycznych zmiennych, takich jak fryzura, urazy fizyczne, operacje chirurgiczne i tryb życia, wizerunek okazał się na tyle rozpoznawalny, że FBI złapało sprawcę w ciągu kilku dni. Na pewno, panowie, wiecie, że technologia genetycznej identyfikacji twarzy jest obecnie wykorzystywana w wielu systemach bezpieczeństwa. Prawdopodobnie stosujecie je także w swoim banku.

Rzeczywiście, pomyślał Helmut, stosujemy.

--Te same informacje dotyczące pańskiej twarzy, Herr Kappel, znajdują się w DNA zawartym w każdym mieszku włosowym na pańskiej głowie. Wystarczy mi jeden mieszek, aby wyizolować kod genetyczny pańskiej twarzy i wkleić odpowiednie geny do sekwencji RNA mojego wirusa na miłość. Gdy tylko wstrzyknie się wybranej kobiecie wirus zawierający pańskie DNA, kod odpowiadający za wygląd pana twarzy zostanie wdrukowany w jej wzrokową korę skojarzeniową. Kobieta ta nie zakocha się szaleńczo w pierwszym mężczyźnie, którego zobaczy. Zakocha się w panu i tylko w panu.

Helmut zerknął na Joachima, który był równie oniemiały jak on sam. Tylko Max marszczył brwi, nadal nieprzekonany.

--Genialne -- powiedział Joachim. -- Jaki wektor pan wykorzystał?

--Zwyczajny retrowirus zdolny do przejścia przez barierę, która chroni mózg przed zanieczyszczeniami we krwi.

--Skąd pan wie, że to działa? -- spytał Max.

--Wypróbowałem terapię na sobie. Muszę przyznać, że nie wszystkie wersje były udane. Pierwsza próba z kuracją zindywidualizowaną, MIN Czterdzieści Dwa, okazała się katastrofą. Aby przetestować zdolność wirusa do działania bez względu na orientację płciową, na chybił trafił wybrałem sekwencję kodującą męską twarz, a potem wstrzyknąłem sobie dawkę.

--Nie podziałało?

--Podziałało, i to aż za dobrze. Wprawdzie nie odczuwałem pociągu seksualnego do owego mężczyzny, mechanika, który naprawiał mój samochód, ale byłem mu obsesyjnie oddany. Przez czterdzieści osiem godzin wszelkie uczucia, jakie żywiłem do innych osób, wyparowały. Byłem tak zauroczony tym człowiekiem, że nawet moja miłość do córki uległa neutralizacji. Mógłbym umrzeć dla tego mężczyzny i pewnie również dla niego zabić, więc

gdy specyfik opuścił mój organizm, byłem tak wstrząśnięty, że poważnie zastanawiałem się nad zarzuceniem projektu. -- Westchnął. -- Ale wytrzymałem i ostatecznie udało mi się zrównoważyć geny, które sterują ekspresją odpowiednich białek, tak, że miłość do wyznaczonej osoby nie zaćmiewała miłości żywionej do innych. Wypróbowałem lek ponownie, tym razem skupiając się na kobietach. Zebrałem DNA kobiet z mojego najbliższego sąsiedztwa

i zrobiłem próbki MIN Sześćdziesiąt Dziewięć. Odrobina śliny z papierowego kubka po kawie albo pojedynczy włos były wszystkim, czego potrzebowałem. Wybierałem panie, wobec których zachodziło największe prawdopodobieństwo, że zobaczę je w ciągu najbliższych paru dni: sprzedawczynię z pobliskiego warzywniaka, sąsiadkę z domu obok, kobietę, która ma zwyczaj siadywać w pobliskim parku podczas przerwy na lunch. Wybierałem młode dziewczyny i starszuszki, kobiety piękne i brzydule. W sumie wykonałem dwanaście eksperymentów i przez czterdzieści osiem godzin byłem szaleńczo zakochany w każdej z nich. Ale uczucia żywione do córki pozostały nienaruszone.

Joachim uniósł fiolkę z białym proszkiem.

--Czyj kod genetyczny znajduje się tutaj?

--To był jeden z ostatnich testów, chociaż teraz wykroczył poza fazę eksperymentu. Ta próbka zawiera kod genetyczny kobiety o imieniu Maria. Spodobała mi się od chwili, gdy się poznaliśmy. Zostaliśmy przyjaciółmi, ale obawiałem się, że nasz związek nie przerodzi się w coś bardziej trwałego. Straciłem żonę szesnaście lat temu i bałem się, że już nigdy więcej się nie zakocham. Nie jestem młody, a czas nie działa na moją korzyść... tak więc wykorzystałem terapię, żeby zakochać się w Marii. -- Profesor uśmiechnął się. -- Miłość to wielka pozytywna moc. To najwspanialsze uczucie na świecie, kiedy jest odwzajemnione. Moja wizja polega na sprzedawaniu MIN w parach, tak żebyśmy mogli stworzyć świat, gdzie największe źródło szczęścia i dobrej woli będzie dostępne dla każdego. Jeśli uczucie jakiejś pary gaśnie, oboje mogą poddać się terapii i znowu się w sobie zakochać. Koniec z rozwodami, samotnością i niespełnieniem. Jak powiedziałem, to emocjonalna viagra. Ale tym razem wszyscy się dowiedzą, że swoje szczęście i dobre samopoczucie zawdzięczają nie jakiemuś bezdusznemu koncernowi, tylko mnie. Świat podziękuje mi za ten dar i wreszcie mnie wynagrodzi.

--Jak się to aplikuje?

Bacci wyjął z walizeczki strzykawkę bezigłową, tak małą, że mieściła się w zamkniętej dłoni. Helmut rozpoznał przyrząd.

--Do wstrzyknięcia wystarcza standardowy pistolet iniekcyjny PowerDermic -- odparł profesor.

Joachim zapisywał wszystko w notatniku.

--Ile czasu mija od iniekcji do momentu, gdy terapia zaczyna działać? -- spytał.

--Trzeba się tylko wyspać. To tak, jak z restartowaniem komputera po zainstalowaniu nowego oprogramowania. Lek wywołuje senność, a podczas snu zmienia chemię mózgu i na poziomie podświadomości wdrukowuje zaprogramowaną twarz we wzrokowej korze skojarzeniowej. Obraz tej osoby może się nawet pojawić we śnie. Kiedy człowiek się budzi, mózg jest już przeprogramowany. Jeśli nie liczyć dziwnego skutku ubocznego, jakim jest wzmożony apetyt, nie czuje się nic szczególnego, póki nie zobaczy się twarzy wybranej osoby. -- Bacci roześmiał się. -- Wtedy obiekt doświadcza klasycznego *coup de foudre*, jakby jego serce przeszła strzała Kupidyna.

Helmut zmarszczył brwi.

--Jak długo to trwa?

--MIN Sześćdziesiąt Dziewięć zmienia komórki, które szybko obumierają. Efekt utrzymuje się przez czterdzieści osiem godzin. Ale to nie jest najbardziej zaawansowana wersja. -- Bacci sięgnął do srebrnej walizeczki i wydobyl drugą fiolkę. -- Oto MIN

Siedemdziesiąt Dwa. W tym przypadku wykorzystałem wektor, który oddziałuje nie tylko na krótko żyjące komórki, ale też na trwale komórki macierzyste. Skutki MIN Siedemdziesiąt Dwa nie mijają po weekendzie. Trwają do końca życia. MIN Sześćdziesiąt Dziewięć jest przemijającą miłością, natomiast MIN Siedemdziesiąt Dwa jest Świętym Graalem: miłością do grobowej deski.

Helmut sięgnął po fiolkę i przyjrzał się jej uważnie. Jeśli nie liczyć napisu na etykiecie, wyglądała identycznie jak poprzednia. Konsekwencje twierdzeń Bacciego były tak poważne, że rozboleła go głowa.

--Skąd ma pan pewność, że i ta wersja działa?

--Użyłem MIN Sześćdziesiąt Dziewięć trzykrotnie, żeby podtrzymać swoją miłość do Marii. Potem, sześć miesięcy temu, gdy uznałem, że nie wiążą się z tym żadne zagrożenia, wstrzyknąłem sobie wersję siedemdziesiąt dwa. Od tamtej pory nie potrzebowałem już dodatkowych dawek. -- Zrobił pauzę. -- Parę tygodni temu rozszerzyłem grupę testową. Zrobiłem zastrzyk Marii. Chciałem udowodnić skuteczność terapii, ale też pragnąłem jej pomóc. W przeszłości została dotkliwie zraniona i obawiała się zaangażowania, była nieufna wobec miłości. Pomyślałem, że kuracja wyeliminuje ten lęk.

--Spytał ją pan o zgodę? -- wtrącił się Max.

--Nie -- odparł profesor -- ale sam przeszedłem wcześniej terapię, więc nie było to nadużycie z mojej strony. Tak czy inaczej, Kocham Marię, a teraz i ona jest pewna, że mnie kocha. Jesteśmy szczęśliwi.

--Powiedział jej pan o terapii? -- nie ustępował Max.

--Nie.

--Ale zadziałała? -- spytał Helmut.

--Bierzemy ślub.

--Czego dokładnie pan po nas oczekuje? -- Helmut wybiegł myślami naprzód, zastanawiając się, ile mógłby zyskać na przełomowym odkryciu Bacciego.

--Skończyły mi się pieniądze -- odparł profesor. -- Potrzebuję funduszy i wsparcia doradczego, aby zorganizować testy kliniczne, a potem wypuścić produkt na rynek. Nie skorzystam z usług żadnego z dużych banków inwestycyjnych, bo boję się, że przejęłyby kontrolę nad projektem i weszły w spółkę z koncernami farmaceutycznymi, żeby wycisnąć z całego przedsięwzięcia jak najwięcej pieniędzy. To jest mój wynalazek, owoc mojej ciężkiej pracy i sam zamierzam czerpać z niego profity. Poza tym chcę zachować kontrolę nad projektem, ponieważ technologia może prowadzić do nadużyć. Terapia powinna być dostępna tylko dla par, równorzędnych i równoprawnych partnerów. Potrzebuję waszej pomocy, żeby zrealizować tę wizję.

--Możemy zapewnić panu wszystko, czego pan potrzebuje -- rzekł Helmut -- ale przede wszystkim interesuje nas pańska technologia.

--Kto jeszcze wie o tej kuracji? -- spytał Joachim.

--Nikt. Mój laborant zna pewne aspekty procesu produkcji, ale nawet on nie wie, jakie ten specyfik ma działanie.

Max zerknął do swojej dokumentacji.

--A Marco Trapani? -- spytał.

--Powiedziałem mu, że coś odkryłem. Ale nie mówiłem co.

--A pańska córka?

--O niczym nie wie.

Helmut kiwnął głową.

--Proszę na razie nikomu o tym nie mówić, profesorze Bacci. Musimy mieć wszystko uporządkowane, zanim upublicznimy te wiadomości. To bardzo ważne.

--Więc weźmiecie mnie pod swoje skrzydła? -- zapytał Bacci.

Zmarszczki na czole Maksa jeszcze się pogłębiły.

--Jeżeli pański wynalazek rzeczywiście działa.

--Działa. Przecież mówiłem. Wypróbowałem terapię na sobie.

Helmut uniósł dłoń.

--Proszę się nie obrażać, profesorze, ale pańskie odkrycie jest tak oszalamiające, że potrzebujemy dowodu.

--Jak mogę dostarczyć dowód i zachować terapię w tajemnicy?

--Joachim, ty się na tym znasz. Co sądzisz? -- Helmut widział, że młodszy syn próbuje wyczytać coś z jego twarzy. Joachim rzadko wyrażał swoje zdanie, póki się nie upewnił, że ojciec myśli to samo.

--Musiałbym najpierw przeczytać szczegółową dokumentację, poznać formuły i cały przebieg procesu -- odparł.

Helmut przewrócił oczami.

--Ale co sądzisz?

Joachim oblizal wargi.

--Naukowe uzasadnienie brzmi przekonująco. To może być prawda. Helmut zerknął na dokumentację Maksa. Reputacja Bacciego była bez zarzutu, a sposób, w jaki profesor wyjaśnił działanie terapii, jasny i spójny, ale to wszystko wydawało się niewiarygodne. Tyle że myśl o potencjalnych korzyściach aż zapierała dech. Spojrzał na starszego syna, którego wychował na prawdziwego Kappela, obowiązkowego, gardzącego uczuciami i niezdolnego do miłości.

--Max, co o tym sądzisz?

Max zachował niewzruszony wyraz twarzy. Mimo że ojciec sprawiał wrażenie obojętnego, wyczuwał jego zainteresowanie. Przez całe życie Helmut Kappel manifestował pogardę dla miłości, uważając ją za wytwór słabego, chorego umysłu, lecz najwyraźniej myśl o kuracji Bacciego wydała mu się czymś więcej niż dętą bujdą.

Max zwrócił się do Włocha.

--Bez urazy, profesorze, ale muszę zachować sceptycyzm.

--Co mogę zrobić, żeby zmienić pan zdanie?

Max się uśmiechnął.

--Szczerze mówiąc, tylko jedno mogłoby mnie przekonać, że pańska terapia działa.

--Co takiego?

--Gdybym sam się jej poddał.

Helmut pokręcił głową.

--Wykluczone.

--Dlaczego? Wypróbowałbym tylko wersję czterdziestoosmiodzinną.

--To zbyt niebezpieczne.

Ojciec obawia się utraty dziedzica, pomyślał.

--To jedyny sposób, żeby rozstrzygnąć sprawę -- rzekł -- a i tak wątpię, by kuracja miała jakiegokolwiek skutki.

--Powiedziałem „nie”, Max.

--Kuracja jest zupełnie niegroźna -- zapewnił Bacci.

Helmut Kappel odwrócił się do młodszego syna.

--Profesorze, pańska relacja brzmi wiarygodnie -- powiedział Joachim -- ale na pewno sam pan przyzna, że testy, które pan przeprowadził, były cokolwiek niekonwencjonalne. Nie może mieć pan pewności, że terapia rzeczywiście działa i jest niegroźna dla zdrowia.

--Ależ mogę. Przecież poddałem się jej osobiście.

Max znowu zerknął na zdjęcie córki profesora.

--Jest pan gotów zapewnić mojego ojca, że kuracja nie spowoduje żadnego uszczerbku na moim zdrowiu?

--Tak -- odparł Bacci -- jest zupełnie bezpieczna.

--Na tyle bezpieczna, że zaaplikowałby ją pan własnemu dziecku?

--Tak.

Zapadła cisza, gdy Bacci uświadomił sobie, co właśnie powiedział.

--Naprawdę pozwoliłby pan poddać terapii własną córkę? -- spytał Helmut.

Bacci spuścił wzrok, poprawił krawat i przeczesał palcami przerzedzone włosy.

--Miałem wprawdzie inne plany -- rzekł cicho -- ale może Leo na nią nie zasługuje. Tak czy inaczej, to równie dobry sposób na uleczenie złamanego serca jak każdy inny. -- Ledwo zauważalnie skinął głową, jakby podjął bolesną decyzję. Kiedy podniósł wzrok, jego twarz była blada. -- Wiem, że kuracja jest bezpieczna. Jeśli pozwoli pan poddać się jej swojemu synowi, by udowodnić, że jest skuteczna, to ja zgodzę się wypróbować ją na córce, aby udowodnić, że jest bezpieczna.

Helmut zerknął na starszego syna, ten zaś kiwnął głową: tylko tak można było zakończyć tę bezsensowną dyskusję. Helmut westchnął i wyciągnął rękę do profesora.

--Zgoda. Na czterdzieści osiem godzin pańska córka będzie Julią, a mój syn Romeem.

Bacci znów poprawił krawat i uścisnął podaną mu dłoń.

--Umowa stoi -- powiedział. -- Ale pod jednym warunkiem.

--Jakim?

--Isabella nie może się o tym dowiedzieć.

24 sierpnia

Przez ostatnie tygodnie Isabella Bacci często myślała o niespodziewanych zaręczynach ojca, teraz jednak musiała się skoncentrować na rozwiązaniu osobistych spraw, zanim jutro wyjedzie na urlop. Prowadząc państwa Martinich na oddział pediatriczny, co rusz zerkła na zegarek. Mam dużo czasu, powtarzała sobie w duchu. Jeżeli wyjdę z pracy przed czwartą, wejdę i wyjdę z mieszkania przed powrotem Leo. I zostanie mi mnóstwo czasu, żeby spakować się do wyjazdu.

Zbliżyła się do zabezpieczonych drzwi i przyłożywszy rękę do czarnego ekranu w kształcie dłoni, odczekała, aż skaner DNA odczyta materiał genetyczny w jej naskórku. W ciągu kilku sekund urządzenie zdekodowało pięćset dziewięćdziesiąt siedem genów, które odpowiadały za rysy twarzy, i na ekranie małego monitora pojawił się jej wygenerowany cyfrowo wizerunek. Komputer porównał go ze zdjęciem w bazie danych i drzwi się otworzyły. Isabella odwróciła się z uśmiechem do młodych małżonków.

--Szpital traktuje względy bezpieczeństwa bardzo poważnie, zwłaszcza gdy chodzi o porodówkę i oddział pediatriczny. -- Procedura była już właściwie standardowa. Wiele instytucji dysponowało podobnymi urządzeniami.

Signor Martini zwrócił uwagę na model systemu.

--InterFace 3000 nie jest niezawodny -- powiedział. -- Zajmuję się tymi sprawami. Mógłbym załatwić szpitalowi nowocześniejszą wersję 3500. -- Zaczął tłumaczyć słabości obecnego systemu, lecz żona położyła mu dłoń na ramieniu i umilkł.

Isabella poprowadziła ich przez główną salę do prywatnych pokoi i zatrzymali się przed przeszklonymi drzwiami z numerem 109. Siedmioletnia Sofia właśnie wygramoliła się z łóżka i na niepewnych nogach ruszyła do łazienki. Wyglądała mizernie i miała obandażowaną głowę, ale urazy po wypadku (furgonetka dostawcza staranowała jej rowerek) goiły się dobrze. Zbliżywszy się do lustra przy drzwiach łazienki, dziewczynka spojrzała na własne odbicie i zmarszczyła brwi, jakby usiłowała sobie coś przypomnieć.

Isabella otworzyła drzwi.

--Sofio, to ja -- powiedziała. -- Doktor Bacci. Isabella.

Dziewczynka uśmiechnęła się, słysząc znajomy głos, a potem wskazała palcem swoje odbicie.

--Ja ją znam -- oświadczyła z triumfem. -- To moja koleżanka. Isabella przykucnęła, a gdy jej twarz znalazła się na tym samym poziomie co główka dziecka, wyciągnęła rękę i pokazała swoje odbicie.

--To moja twarz -- powiedziała i wskazała buzię dziewczynki. -- A to twoja, Sofio. -- Odwróciła się i gestem dłoni zaprosiła stojącą w progu parę do środka. -- Sofio, masz gości.

Dziewczynka uśmiechnęła się do nich radośnie.

--Ciao, jestem Sofia. A wy?

Kobieta przygryzła wargę, oniemiała. Mąż objął ją i uśmiechnął się z czułością do Sofii. Pochylił się i pogładził dziewczynę po policzku.

--To my, kochanie. Mamusia i tatuś.

--Prozopagnozja -- powtórzyła Isabella Bacci, patrząc, jak rodzice Sofii wymawiają bezgłośnie to słowo, jakby próbowali się w ten sposób pogodzić z chorobą córki.

Odkąd była niewiele starsza od Sofii, czuła się rozdarta, nie wiedząc, czy zostać naukowcem jak ojciec, czy lekarzem jak dziadek. Dziadek droczył się z nią żartobliwie, twierdząc, że naukowcy są marzycielami, którzy mało osiągają za życia, i tylko lekarze mają moc uzdrawiania ludzi. Ojciec z kolei niestrudzenie przekonywał ją, że bez badań naukowych lekarze byłiby bezradni. Dyskusja utraciła wszelkie znaczenie, gdy matka Isabelli zmarła na tętniaka mózgu i nikt -- ani naukowiec, ani lekarz -- nie zdołał jej pomóc. Ostatecznie Isabella postanowiła połączyć obie profesje.

Teraz, siedząc w służbowym pokoiku na wydziale neurologii, żałowała, że nie może zrobić dla Sofii więcej.

--Postarajcie się państwo zrozumieć, że wasza córka miała dużo szczęścia. Urazy głowy były poważne, lecz oprócz tej odosobnionej anomalii jej mózg funkcjonuje normalnie. Chirurdzy są przekonani, że blizny będą zupełnie niewidoczne.

Matka, już spokojniejsza, pokiwała w zamyśleniu głową. Isabella wskazała ekran ze skanem mózgu Sofii.

--Obszar po prawej stronie nazywa się wzrokową korą skojarzeniową. To wysoko rozwinięty rejon, gdzie krzyżują się systemy percepcji wzrokowej i pamięci. Wzrokowa kora skojarzeniowa i zakręt wrzecionowaty odpowiadają za rozpoznawanie ludzkich twarzy. Dzięki nim noworodek rozpoznaje twarz matki już po paru tygodniach. Ten właśnie obszar mózgu został uszkodzony u Sofii na skutek wypadku. Prozopagnozja jest rzadkim schorzeniem. Czasami mają ją osoby z autyzmem albo zespołem Aspergera. Niektórzy rodzą się z tą przypadłością, a inni, tak jak Sofia, nabywają ją wskutek urazu głowy.

--Jak długo to się utrzyma? -- spytał ojciec.

Isabella zastanowiła się, jak sama by się czuła, gdyby nie była w stanie rozpoznawać twarzy ludzi, których kocha. Pomyślała o Leo i o tym, że dopiero niedawno przestała obsesyjnie wspominać jego twarz. Ironia tej sytuacji sprawiła, że na jej ustach zaigrał uśmiech.

--Obawiam się, że Sofia będzie cierpieć na prozopagnozję do końca życia. Oczywiście prowadzi się badania nad tym schorzeniem, od jakiegoś czasu sama się tym zajmuję, ale na razie nie wynaleziono skutecznej kuracji.

--Więc ona nigdy nas nie rozpozna? -- spytała matka.

--Nie na podstawie twarzy. Ale nauczy się rozpoznawać państwa głosy, wasz sposób chodzenia i wszelkie inne znaki charakterystyczne. Proszę nie zapominać, że pod innymi względami Sofia jest zupełnie zdrowa. Z jej wzrokiem i pamięcią jest wszystko w porządku. Nie potrafi tylko rozpoznawać rysów twarzy, nawet własnych. Ale przystosuje się do tego stanu.

--Skąd pani wie? -- rzucił z goryczą signor Martini.

--To dobre pytanie. -- Isabella podeszła do chłodziarki z przeszklonymi drzwiczkami i z tacy stojącej na najwyższej półce wzięła jeden z pojemników z nierdzewnej stali. Na białej nalepce widniał czarny napis: „Próbka eksperymentalna: ekstrakt amigo”. Postawiła pojemnik na biurku przed rodzicami Sofii i powiedziała: -- To jedno z najnowszych osiągnięć w naszych badaniach. Pochodna narkotyku o nazwie Amigo, podobnego do ecstasy. Amigo zostało stworzone z myślą o nocnych klubach na zachodnim wybrzeżu Stanów Zjednoczonych. Wywołuje stan euforii, w której wszyscy są postrzegani jako przyjaciele. Stąd nazwa. Amigo ma jednak ciekawy efekt uboczny. Powoduje tymczasową prozopagnozję. Naukowcy ze

Stanów wyizolowali i wyekstrahowali odpowiednie składniki, aby stworzyć substancję, która powoduje tylko ten efekt uboczny. -- Postukała w pojemnik. -- Jeżeli komisja etyki wyrazi zgodę, podamy te tabletki zdrowym ochotnikom, a następnie będziemy monitorować aktywność ich mózgow, kiedy nastąpi, a potem zacznie ustępować prozopagnozja. Mamy nadzieję, że dzięki temu uda nam się lepiej zrozumieć cały proces. Wypróbowałam tę substancję na sobie i nie byłam w stanie rozróżniać poszczególnych twarzy. Potrafiłam rozpoznać niektóre znajome osoby na podstawie koloru włosów i ubrania, ale ich rysy twarzy nic dla mnie nie znaczyły. -- Sięgnęła do szuflady biurka, wyjęła cztery kamyczki i położyła je na blacie. -- Załóżmy, że te kamyki mają imiona: Mateusz, Marek, Łukasz i Jan. -- Przemieszała kamyki, trzy z nich włożyła z powrotem do szuflady i wskazała palcem na pozostały. -- Możecie mi państwo powiedzieć, jak ten kamyk ma na imię?

Ojciec Sofii wzruszył ramionami.

--Nie. Wszystkie wyglądają tak samo.

--To Marek. -- Isabella wyłożyła resztę kamyków na biurko. -- Marek jest trochę większy i bardziej niebieski od pozostałych, a poza tym ma charakterystyczną rysę na boku. Kamyki różnią się między sobą tak samo jak ludzkie twarze, ale nie jesteśmy zaprogramowani do postrzegania ich jako zindywidualizowanych całości. Problemem ludzi cierpiących na prozopagnozję jest to, że twarze są dla nich tak samo nierozpoznawalne jak dla reszty z nas poszczególne kamyki. Ten stan może być frustrujący, ale nie prowadzi do upośledzenia. Ludzie, którzy urodzili się z łagodną prozopagnozją, nawet nie zdają sobie z tego sprawy. Prowadzą całkiem normalne życie, sądząc, że po prostu mają złą pamięć do twarzy. Mogę państwa zapewnić, że Sofia nauczy się sobie z tym radzić. Państwo również.

Odpowiedziała na wszystkie pytania Martinich, odprowadziła ich do recepcji i dopiero wtedy znowu spojrzała na zegarek. Musiała jeszcze przydzielić personelowi zadania. Jeśli się pośpieszy, wciąż będzie miała czas, by wejść i wyjść z mieszkania, zanim Leo wróci.

Mieszkanie Leo znajdowało się w pobliżu Corso Italia, w południowej części miasta. Isabella wciąż miała klucze. Mieszkała tam prawie rok, więc pomimo wszelkich starań, by zachować dystans, była tak pochłonięta wspomnieniami, że nie zauważyła wysokiego blondyna obserwującego ją z drugiej strony ulicy. Weszła do chłodnego holu i wjechała windą na czwarte piętro. Kiedy otworzyła drzwi, przeżyła szok: wnętrze uległo radykalnej transformacji.

Korytarz, gdzie jeszcze niedawno stało wysłużone skórzane krzesło i zawalone papierzyskami biurko, a na ścianach wisiały plakaty z Galerii Uffizi i Muzeum Sztuki Nowoczesnej w San Francisco, zmienił się w studium minimalizmu. Świeżo odmalowane ściany były białe i pozbawione ozdób. Wypastowany parkiet aż lśnił, a jedynym meblem był stylowy stolik ze szklanym blatem. Stał na nim telefon i kryształowy wazon z białymi liliami, których pomarańczowe pręciki ucięto, żeby nie pobrudziły kogoś, kto by się o nie otarł. Wrażenie idealnego porządku zakłócały tylko dwa tekturowe pudła i gitara Isabelli stojące przy drzwiach do salonu. Choć nawet pudła zostały równiutko oklejone taśmą i ustawione na podobieństwo dzieła sztuki. Do jednego z nich była przytwierdzona samoprzylepna żółta karteczka z liścikiem:

„Izzy

Giovanna była tak miła, że spakowała Twoje rzeczy. Przed wyjściem zostaw klucze na stoliku w holu. Mam nadzieję, że uda nam się pozostać przyjaciółmi. Leo”.

Isabella poczuła wewnętrzną pustkę, kiedy spojrzała na starą gitarę, która kiedyś należała do jej matki, i na dwa pudła zawierające pozostałości jej życia z mężczyzną, z którym przyjechała do Włoch i którego chciała poślubić. Wyminęła je i weszła do salonu. Tutaj też Giovanna wszystko zmieniła. Niczym pies znaczący teren, potwierdziła swoją obecność na każdym centymetrze kwadratowym, wykorzystując swoje pieniądze, by wymazać z mieszkania wszelki ślad po Isabelli i nawet samym Leo. Zniknęły wszystkie stare meble, łącznie z ogromną zapadającą się kanapą, za którą Isabella nigdy nie przepadała, lecz którą Leo wprost uwielbiał. Na jej miejscu pojawiła się dopasowana symfonia pozbawionych wyrazu, ale bez wątplenia kosztownych sprzętów: neutralne w kolorze dywaniki i obite kremową skórą meble. Isabella była zniesmaczona.

Jej wzrok powędrował do nowoczesnego odtwarzacza DVD w kącie. Czemu Giovanna nie zapakowała go do jednego z pudeł? Pewnie dlatego, że pasował do nowego wystroju, pomyślała Isabella. Kupiła go, żeby oglądać ulubione stare filmy, a miesiąc później Leo wylał jej na głowę wiadro zimnej wody, oznajmiając, że wraca do swojej pierwszej miłości. „Muszę, Izzy. Chyba rozumiesz. Ona potrzebuje mnie bardziej niż ty”.

Na półce nad kominkiem stało zdjęcie Leo z Giovanną. Giovanna, filigranowa blondynka o regularnych rysach, była przeciwieństwem wysokiej, ciemnowłosej Isabelli, która miała wyraźnie zarysowane kości policzkowe, wydatny nos i lekko krzywy uśmiech. Ale różniły się nie tylko wyglądem. Podczas gdy Isabella angażowała się w pracę, Giovanna nie bała się wyrażać swoich potrzeb. Zamożny ojciec Giovanny, wpływowy sędzia, obiecał Leo pomoc w karierze prawniczej, a ojciec Isabelli był błyskotliwym, lecz ekscentrycznym naukowcem, który wydał oszczędności całego życia, żeby przekonać świat o własnym geniuszu.

Myśl o ojcu podniosła Isabellę na duchu. Jego zaręczyny z niezależną Marią dowodziły, że w miłości wszystko jest możliwe.

Przechadzając się po salonie, zastanawiała się, czy zabrać odtwarzacz. To ona miała bzika na punkcie filmów. Leo nie miał ani jednej płyty DVD. Półki obok były puste, jeśli nie liczyć paru ozdób. Nawet kilka oprawnych w skórę książek wyglądało na nowe i nieczytane. Trzy kolorowe magazyny, też nietknięte, leżały na stoliku. Isabella zerknęła na egzemplarz „Vogue'a” na wierzchu i uśmiechnęła się, kiedy zobaczyła zdjęcie na okładce i podpis pod nim: „Twarz za miliard dolarów. Czy Phoebe stanie się twarzą nowego milenium?”

W kącie stała drewniana szafa na dokumenty. Otworzyła ją i drgnęła z zaskoczenia, widząc szeregi skatalogowanych alfabetycznie próbek zasłon, tapet i tapicerki. Wszystko było idealnie uporządkowane. Czy to był kolejny powód, dla którego Leo wybrał Giovannę, a nie ją?

Bip, bip.

Słyszając dźwięk klaksonu, spojrzała na zegarek. Leo powiedział, że nie wróci przed szóstą, a ostatnią rzeczą, jakiej sobie życzyła, było spotkanie z nim i Giovanną. Podeszła do okna z widokiem na ulicę. Na murze budynku naprzeciwko zobaczyła dwa ogromne billboardy. Jeden reklamował markę samochodu, drugi kolekcję mody. U dołu reklamy mody widniało hasło: „Prawdziwa walkiria, tylko od Odyna”, a ze zdjęcia uśmiechała się ta sama twarz co na okładce „Vogue'a”.

Bip, bip.

Isabella spojrzała w dół i odetchnęła z ulgą, widząc Phoebe w srebrnym mercedesie z odkrytym dachem. Długie blond włosy opadały jej luźno na ramiona i choć miała ciemne okulary, kształt kości policzkowych pozwalał rozpoznać w niej modelkę z olbrzymiego billboardu i okładki magazynu.

Isabella otworzyła okno i krzyknęła:

--Drzwi są otwarte. Chodź na górę.

Phoebe pomachała jej i wysiadła z samochodu, nie zwracając uwagi na oglądających się za nią przechodniów. Przyjaźniły się od tak dawna, że Isabella czasem zapominała, jak Phoebe jest sławna. Dzisiaj, jak zwykle zresztą, wyglądała wystrzałowo: metr osiemdziesiąt, blond włosy, ubrana od stóp do głów w ciuchy od Odyna -- czy innego kreatora mody, dla którego obecnie pracowała.

Smutek Isabelli wyparował, gdy Phoebe weszła do mieszkania, uściskała ją i rozejrzawszy się, mruknęła z niesmakiem:

--Mój Boże, co ona zrobiła z tym domem? Nie wiedziałam, że przeszła operację wycięcia osobowości. -- Mówiła z nienagannym, ostrym jak brzytwa angielskim akcentem. -- Przepraszam za spóźnienie, Izzy, ale sesja się przeciągnęła. Czy to idzie do mojego samochodu? -- Wskazała dwa pudła i gitarę.

--Tylko jedno pudło. Drugie i gitarę wcisnę do swojego.

--To wszystko?

--Miesiąc przed zerwaniem kupiłam odtwarzacz DVD, ale nie jestem pewna, czy powinnam..

Phoebe chwyciła Isabellę za rękę i poprowadziła ją do salonu.

--Wyłącz go z kontaktu i połóż na pudłach. A potem sprawdzimy, czy biedulka nie zapomniała spakować czegoś jeszcze. -- Rozejrzała się po pokoju. -- Chryste, ona ma chyba alergię na kolory. Biedny Leo, prawie mi żal starego skurczybyka. Masz szczęście, że się z tego wyrwałaś. Facet jest za słaby dla kogoś z takim temperamentem jak ty. -- Pociągnęła

przyjaciółkę do sypialni. -- Chodź, rozejrzyjmy się.

Isabella próbowała protestować, ale Phoebe tylko zmarszczyła nos i przytknęła palec do ust. Kiedy się poznały w Stanach, Phoebe Davenport była chudą jak tyczka uczennicą prosto z Anglii, lecz nawet wtedy trudno było oprzeć się jej urokowi. Wkrótce stała się sławna i teraz rozpoznawano ją na całym świecie. Należała do tych charyzmatycznych osób z niespożytą energią, które wpływały ożywczo na każdego, kto znajdzie się w pobliżu. Jej świętej pamięci ojciec, sir Peter Davenport, posiadał olbrzymie połacie ziemi w Londynie, a matka pochodziła z jednej z najstarszych i najzamożniejszych rodzin z Bostonu. „New Yorker” poświęcił cały artykuł temu, jak Phoebe odrzuciła oświadczenia siedmiu najbardziej pożądanym kawalerów świata. Ale dla Isabelli była po prostu najlepszą przyjaciółką: pozwoliła jej korzystać ze swojego mediolańskiego apartamentu, gdy Leo zerwał zaręczyny i zmusił ją do wyprowadzki.

Phoebe ruszyła prosto do garderoby. Otworzyła drzwi, odsłaniając rzędy markowych sukni, spódnic i żakietów, wiszących w plastikowych pokrowcach i ułożonych kolorystycznie. Isabella była pod wrażeniem, ale Phoebe prychnęła pogardliwie:

--Boże, co za śmiecie. Wszystkie zeszloroczne. Więcej pieniędzy niż gustu.

Isabella zaśmiała się.

--W przeciwieństwie do ciebie, rzecz jasna.

--Dziewczyna z pieniędzmi i gustem to rzadka i cudowna istota -- odparła Phoebe z filuternym uśmiechem. -- Mało nas chodzi po tym świecie.

Odwróciła się do trzech czarnobiałych fotografii nad łóżkiem, które przedstawiały roznegliżowaną Giovannę, nieśmiało wydymającą usta do obiektywu. Nawet Isabella widziała, że są amatorskie, a Phoebe, modelka, która utrzymywała się na topie przez ponad dekadę, uniosła brew i rzekła:

--Jakie śmiałe.

Odzyskawszy pewność siebie, Isabella ruszyła do kuchni.

--Zostawiłam tam coś, co na pewno zabiorę. -- Zajrzała do lodówki, która okazała się prawie pusta, jeśli nie liczyć kilku anonimowych słoiczków, kawałka wyschniętego żółtego sera i przywiedłego liścia sałaty. Widocznie doskonała pod innymi względami Giovanna nie

lubiała gotować. Phoebe miała rację: może Leo rzeczywiście na nią zasługiwał. Otworzyła zamrażalnik i sięgnęła po pojemnik lodów czekoladowych własnej roboty, za którymi Leo przepadał.

--Zuch dziewczyna -- powiedziała Phoebe. -- Od miesiący nie jadłam lodów. -- Spojrzała na zegarek. -- Rópropos rozkosznego rozpasania, powinnyśmy wrócić i rozpakować to wszystko. Mamy mało czasu, żeby spakować się do Antibes.

Isabella poczuła dreszczyk ekscytacji. Od jutra będzie wypoczywać na południu Francji. Tak, bardzo potrzebowała odpoczynku. Będzie mogła zapomnieć o przeszłości i zacząć życie od nowa.

Wytaszczyły gitarę, pudła, odtwarzacz DVD i pojemnik lodów na klatkę schodową. Potem Isabella wróciła do mieszkania, zostawiła klucze na stoliku w holu i po chwili wahania wyjęła z kieszeni małe pudeleczko. Otworzyła je i spojrzała na wspaniały pierścionek z brylantem. Wiedziała, że jeśli mężczyzna zerwie zaręczyny, kobieta może zatrzymać pierścionek. Ale Isabella nie chciała już mieć niczego od Leo. Zamknęła pudełko i postawiła na stoliku obok kluczy. Biały ślad na jej lekko opalonym palcu już zaczął znikać.

Ostatni raz ogarnęła wzrokiem mieszkanie i nagle poczuła ulgę, że zostało urządzone zupełnie inaczej. Teraz było dla niej tylko przeszłością. Musiała ruszać dalej.

28 sierpnia

Skąpana w księżycowej poświacie przystań była spokojna, na lekko falującej wodzie kołysały się rzędy przycumowanych jachtów. Isabella zauważyła go, gdy unosiła do ust kir royale. Szturchnęła łokciem przyjaciółkę.

--Patrz, to Bondi.

--Gdzie? -- Phoebe odwróciła się w samą porę, by zobaczyć, jak mija bar, idąc wzdłuż brzegu. Mężczyzna, którego nazywały Bondim, był wysoki, miał ciemną opaleniznę, piwne oczy i rozjaśnione włosy. Przez ostatnie trzy dni udzielał Phoebe lekcji windsurfingu. Tego wieczoru towarzyszył mu inny, równie przystojny facet.

Kathryn Walker odgarnęła kasztanowe włosy z zielonych oczu.

--To gej -- zawyrokowała tonem jeszcze bardziej cierpkim niż martini, które piła. -- Możesz być supermodelką, ale choćbyś zaliczyła nie wiem ile lekcji windsurfingu i paradowała w najseksowniejszym bikini, i tak się z nim nie bzykniesz.

Kathryn, ich przyjaciółka ze szkoły w Stanach, pochodziła z rodziny słynnych bogatych Walkerów z Nowego Jorku, miała drobną figurę i tak jasną karnację, że choć nacierała się olejkiem z mocnym filtrem, jej nos był usiany piegami.

--Nie rozumiem, co ty w nim widzisz -- powiedziała Isabella. -- Jest instruktorem windsurfingu, całe dni spędza na słońcu, a mimo to rozjaśnia sobie włosy. To szczyt próżności.

--Mówię wam, to gej -- powtórzyła Kathryn.

--Dajcie spokój, przecież jest cudny. -- Phoebe odwróciła się do czwartej dziewczyny w towarzystwie, oczekując wsparcia. -- Na pewno się ze mną zgodzisz, Claire?

Claire Davenport sączyła breezera Baccardi.

--Musiałabym najpierw go poznać. -- Była trochę ponad rok młodsza od Phoebe i pracowała w wydawnictwie. Była blondynką jak siostra, ale nie tak wysoką.

--Poznać go?

--Tak, żeby zobaczyć, czy mi się podoba.

Isabella się roześmiała.

--Zgadza się. Ja nigdy nie lecę na faceta tylko z powodu wyglądu. -- Na razie nie miała zamiaru z nikim się umawiać bez względu na to, jakby jej się podobał, ale to była tylko rozmowa. -- Nie szata zdobi człowieka.

--Chcesz powiedzieć, że pierwsze wrażenie w ogóle się nie liczy? -- Phoebe wskazała następnego przystojniaka, który właśnie przechodził obok. -- A ten? Wygląda jak Brad Pitt.

--I co z tego?

--Jak to, przecież to ty jesteś kinomanką. Który aktor ci się podoba?

Isabella ziewnęła, zakrywszy ręką usta. Dochodziła jedenasta i nagle zrobiła się śpiąca.

--John Corbett.

--Kto?

--Ten z *Mojego wielkiego greckiego wesela*. Podobał mi się bohater, którego grał.

--No -- przytaknęła Claire. -- W *Seksie w wielkim mieście* też grał fajnego faceta.

Isabella znowu ziewnęła.

--Wydaje się miły, budzi zaufanie. -- Spojrzała na gwiazdy i słuchała, jak koleżanki kontynuują rozmowę. Przez pierwsze dni urlopu myślała o pracy, ale wkrótce uległa urokowi

przyjaciółek, słońca, morskiego powietrza i ruchu. I prawie w ogóle nie myślała o Leo. A teraz, po kilku drinkach, kiedy jej towarzyszki zastanawiały się nad wypadem do nocnego klubu, najchętniej wróciłyby do hotelu.

Trzy stoliki dalej Max Kappel upił łyk biere blonde i skrył się z powrotem w cieniu. Zgodził się na wypróbowanie terapii MIN na sobie i córce profesora Bacciego, bo był przekonany, że okaże się nieskuteczna. Teraz jednak stracił tę pewność. Na żywo Isabella była jeszcze ładniejsza niż na zdjęciu i na pewno bardziej interesująca od swoich koleżanek, łącznie ze wspaniałą Phoebe. Nawet gdy siedziała w leniwej pozie, wyglądała na pełną życia. Jej ogromne brązowe oczy aż skrzyły się od emocji.

Gdy profesor przygotował próbki wirusa MIN i opowiedział mu o wakacyjnych planach córki, Max postanowił przeprowadzić eksperyment w Antibes. Było to miejsce neutralne i gdyby eksperyment się powiódł, jego skutki można by łatwo zbyć jako zwyczajny wakacyjny romans, poza tym Max dobrze znał okolicę, bo miał dom w St. Laurent-duVar, nieco dalej na wybrzeżu. Wciąż nie rozstrzygnął, jak zbliżyć się do Isabelli na tyle, by niezauważenie wstrzyknąć jej preparat.

Obserwował ją przez następne pół godziny. Wreszcie wstała od stolika. Przez szum rozmów doleciały go strzępy jej wyjaśnień: „zmęczona... za dużo słońca... spacer na świeżym powietrzu”. Jej koleżanki też wstały, żeby do niej dołączyć, ale Isabella powiedziała: „Zostańcie i zabawcie się w klubie. Nic mi nie będzie. Hotel jest tuż obok. Zobaczymy się później”. Kobiety uściskały się na pożegnanie i Isabella wyszła na ulicę. Sama.

Max odczekał chwilę, a potem ruszył za nią. Przy wyjściu czatowało kilku paparazzich, zapewne na Phoebe. Zorientowawszy się, że Isabella nie jest nikim sławnym, opuścili aparaty. Max szedł za nią wąskimi uliczkami i czuł w kieszeni małą strzykawkę PowerDermic. Uwierała go niczym kamień w bucie. Musiał wykonać świadomy wysilek, żeby przestać ją ścisnąć. Zwykle przed zaatakowaniem ofiary czuł lodowatą pewność siebie, lecz nie dzisiaj. Zabicie kogoś było znacznie łatwiejsze. Martwi nie mogą mówić, więc nie miało znaczenia, czy zobaczyli zabójcę. Tego wieczoru musiał zrobić ofierze zastrzyk tak, aby nie zorientowała się, co się stało.

Poza tym do tej pory celem jego ataków byli twardzi faceci, wobec których łatwo mógł zachować chłodną obojętność. Ona była inna: tak bezbronna i nieświadoma zagrożenia, że prowokowała jego ciekawość.

Szedł za nią i obserwował ludzi na ulicach, roześmianych, trzymających się za ręce. „Byłem kiedyś taki jak wy, szepnął w nocne powietrze. Czulem to, co wy”. Znów musnął palcami pistolet iniekcyjny. A jeśli twierdzenia Bacciego nie były czczymi przechwałkami?

Czy dzięki temu poczuje to, co czują normalni ludzie?

Nagle Isabella zatrzymała się i spojrzała w głąb wąskiej bocznej uliczki. Przed Maksem grupka mężczyzn zerknęła w tę samą stronę, a potem wszyscy odwrócili wzrok i ruszyli dalej. Gniewny krzyk sprawił, że Max instynktownie skrył się w cieniu. Zbliżywszy się, spojrzał w głąb alejki i zobaczył, jak trzech facetów przewraca czwartego na ziemię. Dwaj młodzi mężczyźni w garniturach minęli go, weszli w uliczkę i szybko zawrócili. Unikając kontaktu wzrokowego z napastnikami, oddalili się, jakby niczego nie zauważyli.

Tylko Isabella nie odwróciła wzroku. Max widział, że kusi ją, żeby też odejść -- była przecież bezsilna, nie mogła nic zrobić.

Mężczyzna na ziemi krzyknął, gdy jeden z napastników kopnął go w głowę. Isabella rozejrzała się gorączkowo, wyraźnie oczekując, że ktoś zainterweniuje. Max usunął się dalej głębiej cień. Nieliczni przechodnie dalej rozmawiali, jakby próbowali nie dopuścić do siebie tego, co się dzieje.

Kolejny kopniak sięgnął celu i ciemna kałuża krwi rozlała się wokół głowy leżącego mężczyzny niczym wino z rozbitej butelki. Widząc to, Isabella wbiegła w głąb uliczki, krzycząc na całe gardło: „Przestańcie! Zabijecie go! Jestem lekarzem! Zostawcie go w spokoju!”

Główny napastnik znieruchomiał i podniósł wzrok. Pozostali gapili się na nią z niedowierzaniem. Zatrzymała się metr przed nimi i przygarbiła, jakby wściekłość, która ją napędzała, wyparowała, pozostawiając ją bez sił. Lewe kolano dygotało jej, utrzymanie się na nogach musiało ją kosztować wiele wysiłku.

Napastnik ruszył w jej stronę. Był młody, miał długie ciemne włosy i twarz cherubina, a czubki jego jasnych butów Timberland były ciemne od krwi. Następni dwaj przeszli nad leżącą ofiarą, zbliżając się do Isabelli. We trzech stanęli przed nią w szeregu.

--A co ci do tego, paniusiu? -- zapytał najniższy.

--Zabijecie go -- odparła głosem drżącym z oburzenia, spoglądając na leżącego mężczyznę.

Facet w timberlandach sięgnął do kieszeni džinsów, wyciągnął nóż z trzonkiem z kości słoniowej i zrobił krok w jej stronę. Isabella ani drgnęła. Podszedł bliżej.

--Masz ładne oczy, panienko, ale za dużo nimi widzisz. -- Uniósł nóż, szykując się do ciosu. -- Powinienem je wykluć.

Isabella nie ruszyła się nie dlatego, że była odważna: po prostu skamieniała, bo utraciła siłę w mięśniach. Regularnie chodziła na siłownię, ale nie umiała się bić. Zemdlilo ją, oblał ją zimny pot. Żałowała, że nie została w barze i nie wróciła do hotelu z przyjaciółkami. Próbowала krzyknąć, ale miała ściśnięte gardło i czuła suchość w ustach.

Mężczyzna zrobił kolejny krok do przodu. Ostrze noża błysnęło w świetle latarni. Isabella cofnęła się odruchowo i zawadziła obcasem o krawężnik. Straciła równowagę, uderzyła głową w słup latarni i runęła na ziemię.

Co za żalosna śmierć, pomyślała, podnosząc wzrok na twarz zbira. Ten zamachnął się nożem i w tym momencie na jego twarz padł cień, a Isabella dostrzegła kątem oka jakiś ruch. Czas jakby zwolnił, gdy nóż śmignął w jej stronę niczym żywe srebro. Nagle, kiedy ostrze znalazło się kilka centymetrów od jej oczu, zasłoniła je olbrzymia męska postać. Światło latarni padło na jasne włosy, które lśniły niczym aureola. Dopiero po chwili Isabella zdała sobie sprawę, że nieznajomy osłonił jej twarz, przyjmując cios na przedramię. Było osłonięte rękawem marynarki, lecz ostrze i tak go drasnęło: na jasnej tkaninie rozkwitła plama krwi. Mężczyzna nie wydał nawet westchnienia, jego błękitne oczy nie zdradzały bólu.

Napastnik stęknął, gdy jasnowłosy mężczyzna chwycił go lewą ręką za nadgarstek i ścisnął, zmuszając do wypuszczenia noża. Dwaj pozostali ruszyli do przodu z nożami w dłoniach, ale wybawca Isabelli nie wycofał się: odrzucił marynarkę i stanął przed nią, osłaniając ją przed atakiem.

Przez chwilę napastnicy tkwili bez ruchu, a potem wszyscy natarli jednocześnie. Wyglądali jak kundły atakujące lwa. Nie mieli szans. Jasnowłosy mężczyzna poruszał się niespiesznie, ale rozdzielał ciosy z taką siłą i precyzją, że wkrótce uciekli, utykając, w mrok nocy. Potem skierował się w stronę powalonego mężczyzny, lecz zanim do niego podszedł, tamten zdołał wstać i chwiejnym krokiem ruszył w głąb ciemnej uliczki. Blondyn wrócił do Isabelli. Ukląkł nad nią i delikatnie obmacał tył jej głowy. Jego twarz znalazła się tak blisko, że czuła zapach wody kolońskiej. Przez chwilę spoglądał jej w oczy i myślała, że ją pocałuje. Chciała tego.

Potem poczuła na karku powiew powietrza i czar prysł.

--Dziękuję. Nic mi nie jest -- powiedziała z rezerwą.

Uśmiechnął się i pomógł jej wstać. Była wysoka jak na kobietę, lecz górował nad nią niczym olbrzym.

--Ma pani sporego guza, ale powinna pani przeżyć.

Odwzajemniła uśmiech.

--Nie wiem, jak panu dziękować. Czy powinniśmy wezwać policję?

Załóżyl pokrwawioną marynarkę.

--Szkoda zachodu. Widziała pani, jak szybko uciekł ten pobity?

Wzięła go za rękę i podwinęła rękaw marynarki.

--Pozwoli pan, że obejrzę ranę. -- Wyczuła puls na jego nadgarstku. Był wolny nawet w porównaniu z normalnym tętnem i jaskrawo kontrastował z jej własnym. -- Wiele trzeba, żeby pana nakręcić, co? -- Dotknęła rany, lecz on ani drgnął. -- W odczuwaniu bólu nie ma nic złego. To oznaka, że się żyje. -- Rana była głęboka, ale czysta. -- Miał pan w ostatnim czasie zastrzyk przeciwțęcowy?

--Nic mi nie będzie.

Wyjęła z torebki czystą chusteczkę.

--Opatrzę prowizorycznie ranę, ale musi pan pokazać ją lekarzowi.

--Skoro uważa pani, że to konieczne.

--Tak właśnie uważam -- odparła z uśmiechem i spytała: -- Mieszka pan w okolicy?

--Mam niedaleko dom. A pani?

--Mieszkam w Eden Rock.

--Odprowadzę panią -- zaproponował.

Kiedy szli do hotelu, powiedziała:

--Pozwoli pan, że zapłacę za zniszczoną marynarkę.

Zerknął na krwawą plamę.

--Proszę się tym nie przejmować.

--To może przynajmniej postawię panu drinka -- zaproponowała, gdy znaleźli się przed hotelem.

Coś błysnęło w jego błękitnych oczach.

--Dziękuję, ale nie dzisiaj. -- Była zawiedziona. Ten tajemniczy i niebezpieczny mężczyzna miał w sobie coś takiego, że w porównaniu z nim Leo wydawał się niedojrzałym chłopcem. Nagle uśmiechnął się. -- Ale proszę się mieć na baczności. Zobaczę się jeszcze z panią i wtedy na pewno upomnę się o drinka. -- Skinął głową. -- Dobranoc.

--Dobranoc. I jeszcze raz dziękuję -- powiedziała.

Odszedł, a ona patrzyła, jak znika w mroku. Kiedy odwróciła się i ruszyła do holu, uświadomiła sobie, że nawet nie zna jego imienia.

Letni dom Maksa znajdował się pięć kilometrów dalej, w St. Laurent-duVar. Kamienna tynkowana willa stała na zarośniętej piniami półhektarowej działce z widokiem na morze. Do skrytej za wysoką bramą posiadłości rzadko zapraszał gości, a nigdy nikogo z rodziny. Na ścianach wisiały zdjęcia jego matki, a w zamkniętej na klucz szufladzie biurka leżał amerykański paszport wystawiony na nazwisko Collins, który dała mu na Hawajach. Dom był jego prywatnym zaciszem, miejscem, gdzie nurkował, pływał i rozmyślał, odgradzając się od reszty świata.

Wszedł pod prysznic, odkręcił kurek z gorącą wodą i patrząc, jak krew spływa po muskularnym przedramieniu i skapuje na posadzkę kabiny, odtwarzał w myślach ostatnie wydarzenia.

Jego interwencja okazała się szybka i profesjonalna. Gdyby napastnicy zrobili Isabelli krzywdę, cały eksperyment byłby narażony na niepowodzenie. Poza tym, kiedy oglądał jej stłuczoną głowę, nadarzyła się doskonała okazja, żeby wstrzyknąć preparat.

Wyszedł spod prysznic, wytarł się i z apteczki przy drzwiach wyjął bandaż, spirytus chirurgiczny i plaster. Po opatrzeniu rany podreptał po chłodnej kamiennej posadzce i matach z trawy morskiej do barku, gdzie nalał sobie szklankę glenmorangie z lodem. Kiedy wrócił do sypialni, sięgnął do kieszeni marynarki po strzykawkę PowerDermic i wyjął z niej opróżnioną fiolkę. Na białej etykiecie widniał czarny napis: „MIN nr 069 (Romeo)”. Wersja „Romeo” zawierała kod genetyczny jego twarzy. Wykonał połowę zadania.

Wyjrzał przez szklane drzwi na taras i w oddali dojrzał światła Cap d'Antibes. Może jedno z nich paliło się w jej pokoju. Zastanawiał się, czy czuje już działanie terapii. Wyobrażał sobie, jak leży w łóżku, a biały proszek wnika do jej krwi. Może zasnęła i widzi we śnie jego twarz, podczas gdy specjalnie zaprojektowany wirus przeprogramuje komórki w jej mózgu.

Oczywiście przy założeniu, że specyfik rzeczywiście działał.

Max otworzył małą czarną skrzynkę stojącą na dębowym stoliku przy łóżku. Wewnątrz były dwa wytłoczone w piance zagłębienia. Jedno, teraz puste, zawierało fiolkę z wersją „Romeo”. W drugim wciąż spoczywała fiolka oznaczona napisem „MIN nr 069 (Julia)”. Zawierała retrowirus z genetycznym kodem twarzy Isabelli Bacci. Wyjął fiolkę, naładował strzykawkę i położył ją na łóżku.

Wziął łyk whisky i wyszedł nago na taras. Po prezentacji Bacciego bez wahania zaproponował, że wystąpi w roli królika doświadczalnego. Bez względu na to, jak przekonująco brzmiały naukowe wyjaśnienia profesora, idea miłości identycznej z naturalną wydawała się absurdalna. A myśl, że akurat on mógłby się zakochać, przechodziła wszelkie pojęcie. Nie odczuwał ani nie potrzebował miłości od dzieciństwa -- i był z tego zadowolony. Przez miłość tylko się cierpi. Wystarczało mu, że wyladowywał emocje podczas nurkowania. Pomyślał o propozycji fuzji z Banque Chevalier i uśmiechnął się pod nosem. Jeszcze niedawno ojciec próbował go wyswatać z Delphine Chevalier, a teraz miał odegrać Romea z

Isabellą Bacci w roli Julii. Według ojca miłość była jedynie środkiem do celu, a Max bez oporów akceptował ten punkt widzenia.

A jeśli terapia zadziała? Chociaż noc była ciepła, przebiegł go dreszcz. Spojrzał na morze i poczuł nagłą pokusę, żeby zanurzyć się w srebrzyste fale i zaznać ekstazy w głębinach. Zerknął na szafę, gdzie przechowywał sprzęt do nurkowania, a potem na pistolet iniekcyjny na łóżku.

Odetchnął głęboko i wychylił się przez balustradę, rozkoszując się bryzą owiewającą nagie ciało. Kiedy spojrział w dół na okryty mrokiem ogród, wydało mu się, że widzi samotną postać stojącą przed bramą. Co ona tam robi? Wyteżył wzrok, wpatrując się w ciemność, lecz zdał sobie sprawę, że musiał się pomylić.

Zadzwonila jego komórka. Max wszedł do pokoju i odebrał.

Chrapliwy szept ojca wdarł się w jego myśli niczym świst zimnego wiatru.

--I co, Max? Gotowe?

--Zrobiłem zastrzyk jej, ale nie sobie.

--Dlaczego nie?

--Nie próbuj mnie niańczyć, *Vater*. Zrobię to, kiedy uznam za stosowne. -- Rozłączył się.

Wychylił resztę whisky, sięgnął po bezigłową strzykawkę, przyłożył do ramienia i nacisnął spust. Obserwował, jak proszek znika ze szklanej fiolki, przenikając bezgłośnie przez jego skórę.

Potem zgasił światło, położył się i czekając na sen, zastanawiał się, co przyniesie jutrzejszy dzień.

MIN nr 069 (Julia) przedarł się przez skórę na lewym ramieniu Maksa z prędkością trzykrotnie przekraczającą prędkość dźwięku. Mikroskopijne drobiny proszku przeniknęły do krwi i popłynęły w kierunku serca. Lek był pociskiem wewnątrz pocisku: każde ziarenko zawierało retrowirusowy wektor, który z kolei niósł kłębek genetycznych instrukcji. Po dotarciu do serca proszek został wpompowany do arterii, gdzie zewnętrzne powłoki mikrogranulek rozpadły się, uwalniając retrowirusy zaprogramowane tak, by dostarczyć swoją zawartość do precyzyjnie określonych komórek w ciele Maksa.

Każdy z retrowirusowych pocisków pomknął w górę, aż dotarł do tak zwanej bariery krew-mózg, granicznego punktu kontrolnego u podstawy pnia mózgu, gdzie wydzielił łańcuch peptydów, które zadziałały niczym przepustka, pozwalając wirusowi przeniknąć do chronionych komórek mózgowych. W mózgu retrowirus przeszukał wyspecjalizowane rejony tkanek, aż zawarty w nim materiał RNA odnalazł pasujące komórki we wzrokowej korze skojarzeniowej. Wreszcie wniknął do jądra pierwszej komórki, dostarczając własne RNA i zmieniając pierwotny kod genetyczny według swoich instrukcji.

Twarz genetycznie wdrukowana we wzrokową korę skojarzeniową pojawiła się w snach Maksa, lecz przeprogramowane DNA miało pozostać w uśpieniu i nie wywoływać żadnych objawów aż do chwili, gdy następnego dnia zobaczy Isabellę Bacci.

Nazajutrz rano

Isabella nie była rannym ptaszkiem. Zwykle potrzebowała co najmniej dwóch filiżanek kawy, zanim czuła się w pełni rozbudzona. Dzisiaj było inaczej. Obudziła się wcześniej, przytomna i świeża, a gdy zerknęła na zegarek i stwierdziła, że jest dopiero szósta, nie jęknęła i nie przewróciła się na drugi bok. Wyskoczyła z łóżka, wzięła prysznic, ubrała się i wykradła z apartamentu, uważając, żeby nie obudzić Phoebe.

Isabella zawsze dobrze czuła się nad morzem, ale gdy szła przez zroszony rosą ogród w stronę plaży, nie potrafiła sobie przypomnieć, kiedy ostatnio była tak pełna wigoru. Zdawało jej się, że przeżywa wszystko bardziej intensywnie: poranne słońce na skórze, zapach morza, turkus wody, szum fal rozbijających się o brzeg. Przypisała to wydarzeniom z wczorajszej nocy. Napad był straszny, lecz zarazem upajający -- zwłaszcza gdy ponownie przeżywała go w myślach. Próbowwała nie zasnąć, żeby opowiedzieć o wszystkim Phoebe, ale nie doczekała się powrotu przyjaciółki.

Na wyludnionej plaży odetchnęła głęboko słonym powietrzem, zdjęła sandały i ruszyła po piasku w kierunku mola. Kilka metrów od końca mola na wodzie unosiła się nieduża boja z jaskrawoczerwoną chorągiewką, kontrastującą z błękitem morza i nieba. Isabella obejrzała się za siebie, ale nie zobaczyła żywej duszy. Potoczyła wzrokiem po plaży i przeszedł ją dreszczyk irracjonalnego oczekiwania, jakby coś miało się za chwilę wydarzyć.

Nagle poczuła się głodna. Zerknęła na zegarek i z ulgą stwierdziła, że wkrótce na tarasie podadzą śniadanie. Zawróciła do hotelu, chcąc obudzić Phoebe i opowiedzieć jej o wczorajszym wieczorze, gdy jakiś ruch na wodzie przyciągnął jej spojrzenie. Przy czerwonej chorągiewce dostrzegła czarny kształt. Wyglądał jak foka albo rekin, lecz zniknął, zanim zdążyła się lepiej przyjrzeć. Kiedy się znowu pojawił, stwierdziła, że to nurek w neoprenowym kombinezonie. Maską zakrywała mu twarz, ale nie miał na plecach butli z tlenem. Zaczął wdychać głęboko powietrze, przygotowując się do zanurkowania. Poruszał się w wodzie z taką gracją, że usiadła na molu, żeby na niego popatrzeć.

Najpierw zanurzył się na krótko, potem na trochę dłużej. Trzecie zejście pod wodę, które odmierzyła z zegarkiem w rękę, trwało ponad trzy minuty. Kiedy zanurkował po raz czwarty, wstrzymała oddech. Wytrzymała niecałe dwie minuty, zanim łapczywie nabrała powietrza, lecz on pozostał pod wodą dwa razy dłużej. Ale to piąte zejście pod wodę naprawdę zrobiło na niej wrażenie -- i napędziło jej strachu. Po pięciu minutach wstała i ruszyła przez molo, wpatrując się w morze, żeby zobaczyć, czy nie wynurzył się w innym miejscu. Po sześciu minutach stanęła na skraju pomostu i wlepiała wzrok w przejrzystą niebieską toń. Kiedy przekonała się, jak tam głęboko -- o wiele za głęboko, by dojrzeć dno -- zaczęła wpadać w panikę.

Max był daleki od paniki. Czuł się w swoim żywiole, zanurzając się coraz głębiej w wodny świat. Tego ranka obudził się wcześniej, wypoczęty, z wilczym apetytem i niejasnym wspomnieniem snu, w którym widział Isabellę Bacci. Był podekscytowany perspektywą ponownego spotkania z córką profesora i ciekawiło go, jak -- i czy w ogóle -- terapia genowa wpłynie na niego. Słoneczny poranek wydawał się idealny do nurkowania, Max włożył więc kombinezon, wziął pletwy i wyruszył na plażę przy hotelu.

W wodzie zaczął od serii szybkich oddechów, nasycając krew tlenem i redukując ilość dwutlenku węgla. Następnie wykonał kilka krótkich zanurzeń. W końcu wziął głęboki wdech i

przystąpił do ostatecznej próby. Poruszał się płynnie, bez widocznego wysiłku, tak że zdawał się spadać poprzez wodę. Na głębokości dziesięciu metrów napór na jego ciało podwoił się, po osiągnięciu dwudziestu zaczął drżeć, a gdy zszedł na trzydzieści metrów, woda napierała na niego z ciśnieniem czterokrotnie większym niż to, z jakim ludzie mają do czynienia na suchym lądzie.

Fizyczne skutki ciśnienia na części ciała, które nie zawierały powietrza, były minimalne, ale płuca skurczyły się do zaledwie ułamka normalnego rozmiaru.

Zanurzając się, wyrównywał ciśnienie w uszach i zatokach i stopniowo spowolnił pracę serca do ośmiu uderzeń na minutę, oszczędzając tlen przetrzymywany w brzuchu. Po niecałej minucie większość ludzi czuje silny odruch, by zaczerpnąć tchu, lecz Max nauczył się ignorować ten impuls. Kiedyś ciało go zawiodło, teraz umiał nad nim zapanować. Oczyszczył umysł i skupił się na obrazie, który zawsze go uspokajał: matki głaszczącej go po głowie przed snem. Po prawie trzech minutach w głębinie, gdzie ledwo docierały promienie słońca, pojawiła się przed nim w białej nocnej koszuli, wzywając go, by zszedł głębiej. Wyciągnął rękę, jakby chciał jej dotknąć, i uśmiechnął się, gdy euforia niedotlenienia przyszła do niego niczym stara znajoma. W granatowej ciszy był świadomy tylko powolnego bicia własnego serca. Ogarnął go kojący spokój.

Wiedział o doświadczonych nurkach, którzy używali sprężonego powietrza, by schodzić na duże głębokości i doznać euforycznych efektów narkozy azotowej, a potem pilnowali, żeby zacząć się wynurzać, zanim „ekstaza głębin” sprawi, że zdejmą maskę tlenową i utoną. Max nie ufał narkotynom, wolał nurkowanie na wstrzymanym oddechu. Ale od śmierci matki był uzależniony od radosnego stanu niedotlenienia i emocjonalnego rozładowania, jakiego doznawał podczas schodzenia na duże głębokości. Nurkowanie na euforyczną krawędź śmierci stało się jego narkotykiem.

Na lądzie nie czuł niczego do ojca i nie potrzebował jego uczuć. Lecz woda była królestwem matki, tu mógł dać upust tłumionym emocjom. Miał wrażenie, jakby na ulotną chwilę wracał do łona matki. Tutaj mógł się z nią połączyć, wyznać jej miłość i otrzymać ją w zamian.

Spojrzał na zegarek. Niedługo musi zacząć się wynurzać, bo inaczej będzie mu groziło utonięcie. Wynurzenie się przy oporze grawitacji i ciśnienia wymagało ogromnej siły, było więc bardzo niebezpieczne. Zerknął na podświetlany ciśnieniomierz przy zegarku. Zszedł na prawie sześćdziesiąt metrów. Aby zaznać swojej sekretnej przyjemności, musiał nurkować coraz głębiej. Przez moment jeszcze raz widział matkę i poczuł taką radość, że kusilo go, by zejść niżej.

Ale potem w tę wizję wdarł się obraz ojca, który przypominał Maksowi o jego obowiązkach i miejscu w świecie. Nagle ogarnął go chłód, poczuł się zmęczony. Trzymając się liny boi, ruszył ku powierzchni.

Dopiero po siedmiu minutach Isabella zobaczyła, jak nurek wypływa, nabiera powietrza i długimi, potężnymi ruchami ramion kieruje się do brzegu. Ruszyła za nim po molo, ale płynął tak szybko, że musiała biec, aby nadążyć.

Znalazłszy się na płyciźnie, wstał i zdjął maskę i neoprenowy kaptur, odsłaniając grzywę platynowoblond włosów. Kiedy się odwrócił, serce zabiło jej mocniej, a dłonie zrobiły się lepkie od potu. Stał zbyt daleko, by mogła dojrzeć rysy twarzy, ale wiedziała, że to jej wybawiciel z

ostatniej nocy.

Zauważył ją i powoli ruszył w jej stronę.

Jeszcze nigdy tak się nie czuła: suchość w ustach, pierś tak ściśnięta, że ledwo mogła oddychać, serce waliło tak mocno, że słyszała szum krwi w uszach. Miała wrażenie, jakby jego rysy były wyryte w jej świadomości, równie znajome jak jej własne. Musiała zmobilizować całą siłę woli, żeby zapanować nad sobą i powstrzymać się od biegu.

Kiedy podchodziła, słońce było za jej plecami, więc nie widział jej dokładnie, a mimo to natychmiast ją rozpoznał. Poczul dziwny ucisk w piersi. Tętno przyspieszyło mu do sześćdziesięciu uderzeń na minutę, czyli przeciętnego tempa dla normalnego ludzkiego serca, lecz dla niego było to zupełnie nowe doznanie, jednocześnie dezorientujące i ekscytujące. Znalazła się bliżej i teraz widział ją wyraźnie. Miał wrażenie, jakby do tej chwili żył w przygaszonym świecie czerni i bieli i nagle wszystko eksplodowało oślepiającą feerią barw. Jego zmysły ożyły. Pomimo neoprenowego kombinezonu czuł się nagi i pobudzony, jakby wszystkie końcówki nerwowe były odsłonięte.

Jak mógł wcześniej nie zauważyć doskonałego piękna jej twarzy? Patrzył na nią wczoraj wieczorem, ale tak naprawdę nie widział. W każdym razie nie tak jak teraz. Teraz w piersi wirował mu rój nieznanych emocji. Była zaledwie kilka centymetrów od niego, równie oczarowana nim jak on nią. Położyła dłoń na jego policzku i nagle poczul, że spada w przepaść. Zamknął oczy, wyciągnął rękę i koniuszkami palców powiódł po konturach jej twarzy.

Nie wiedział, jak długo stali na pustej plaży i z zamkniętymi oczami, niczym w transie, dotykali swoich twarzy.

--Jak masz na imię?

Otworzył oczy.

--Max.

--A ja Isabella. -- Uśmiechnęła się i wzięła go za rękę. -- Wczoraj wieczorem nie pozwoliłeś, żebym postawiła ci drinka. Może dzisiaj skusisz się na śniadanie?

--Dobry pomysł. Umieram z głodu.

Kiedy szli do hotelu, nie zauważyli mężczyzny, który siedział w kucki na skraju plaży z jednym okiem wpatrzonym w ekran kamery cyfrowej, a drugim zasłoniętym czarną przepaską.

Zrób zbliżenie, Stein -- polecił Helmut, wpatrując się w ekran komputera stojącego na biurku. Nigdy nie żałował, że zatrudnił Niemca. Stein zjawił się w Zurychu przed trzydziestu laty. Był młodym agentem Stasi z eskorty wysokiego partyjnego funkcjonariusza, który przyjechał do Szwajcarii, aby otworzyć tajne konto w banku Kappelów. Lojalność i dyskrecja Steina zrobiły na Helmucie duże wrażenie. Gdy jego mocodawca popadł w nielaskę i został stracony, Stein uciekł na Zachód. Odtąd zajmował się ochroną Helmuta i Kappel Privatbank z przykładowym oddaniem. A po upadku muru berlińskiego zwerbował innych doskonale wyszkolonych agentów Stasi.

--Blżej. Stop. Tak trzymaj.

Połączenie satelitarne między kamerą cyfrową Steina w Antibes i komputerem w Zurychu zapewniało dostateczną ostrość obrazu, by Helmut mógł zobaczyć wyraz twarzy Maksa, który gładził Isabellę po policzku.

--Idź za nimi. Bądź moimi oczami, Stein. Tylko nie pozwól, żeby Max albo dziewczyna cię zobaczyli.

Max i Isabella wzięli się za ręce i ruszyli piaszczystą plażą w stronę hotelu. Było jeszcze za wcześnie na ostateczną ocenę terapii Bacciego, ale widząc minę syna, Helmut poczuł, jakby w żyłach buchnął mu ogień. Jeśli specyfik profesora zdołał zmienić odpornego na emocje Maksa w zakochanego po uszy głupca, to musi być naprawdę skuteczny. Sięgnął po srebrną papierośnicę, ale rozmyślił się i wyjął cygaro z drewnianego pudełka obok. Oстрыm jak brzytwa nożem z trzonkiem z masy perłowej odciął końcówkę. Arabski skrytobójca podarował to cacko jego prapradziadowi jako dowód szacunku. Helmut zawsze nosił nóż przy sobie.

Palil cygaro i wpatrywał się w ekran komputera. Przez pewien czas nic się nie działo, bo Max poszedł się przebrać. Potem dołączył do Isabelli na hotelowym tarasie, żeby zjeść śniadanie. Uwielbienie, z jakim na niego patrzyła, wywołało u Helmuta niemal zazdrość.

Zerknął na stojące na biurku zdjęcie swojej trzeciej żony. Eva była trzydziestopięcioletnią blondynką, o trzy dekady młodszą od niego. Kiedyś uważał, że jest piękna, lecz nigdy nie patrzyła na niego tak, jak Isabella na Maksa. Wyszła za niego dla pieniędzy, a Helmut rozumiał ten wybór: emocje tylko komplikują życie. Po kłopotach z matką Maksa unikał zaangażowania uczuciowego. Drugą i trzecią żonę skłonił do podpisania intercyzy i pozbawił je jakiegokolwiek udziału w rodzinnej firmie.

Ale teraz, obserwując Isabellę i Maksa, przypomniał sobie, jak kiedyś patrzyła na niego pierwsza żona, i uczucia, jakimi sam ją darzył. Spojrzał w lustro na ścianie przy biurku i zmarszczył brwi. Gardził miłością. Pamiętał gorzką bezradność odrzucenia, kiedy matka Maksa zabrała syna i uciekła. Lecz choć starał się wyeliminować miłość ze swojego życia, od czasu do czasu tęsknił za tą przyprawiającą o zawrót głowy, chorobliwą namiętnością.

Kojarzyła mu się z niefrasobliwą młodością, a chciał znowu być młody. Pomyślał o terapii Bacciego. Nie mógł odrzucić miłości, ale może uda mu się zapanować nad jej ogłupiającym wpływem. Gdyby mógł zawładnąć potęgą miłości, to czy tym samym nie zawładnąłby światem?

Kiedy przyjaciółki Isabelli zeszły na śniadanie, patrzył, jak przedstawia im Maksa z dumą i zachwytem. Zwrócił uwagę na wysoką blondynkę, której twarz wydawała mu się dziwnie znajoma. Zawsze cenil piękno, a blondynka była po prostu cudowna. Zerknął na fotografię żony.

Eva nie mogła się równać ze zjawiskową istotą na ekranie. Przypomniawszy sobie podniecenie, jakie czuł, gdy kupił swoje najcenniejsze ferrari, ostatni egzemplarz wyprodukowany przez wielkiego Enzo. Coś podobnego poczuł teraz, patrząc na wysoką blondynkę, która przedstawiała się Maksowi jako Phoebe.

Na telefonie zapaliła się lampka. Zignorował to, pochłonięty obrazami na ekranie. Po chwili telefon zadzwonił. Helmut skrzywił się, wyłączył dźwięk w komputerze i podniósł słuchawkę.

--Elke, przecież mówiłem, żeby mi nie przeszkadzać. Wiem, że Marco Trapani do mnie wydzwaniał. Odezwę się do niego, kiedy będę gotów.

--To nie Don Marco, Herr Kappel. To profesor Carlo Bacci. Twierdzi, że musi z panem porozmawiać.

Helmut uniósł brwi.

--Połącz go. -- W słuchawce rozległ się cichy trzask. -- Profesorze Bacci, czym mogę panu służyć? Czterdzieści osiem godzin jeszcze nie upłynęło. Nasze dzieci wciąż są w Antibes.

Bacci westchnął.

--Nie o to chodzi, Herr Kappel. -- Milczał chwilę. -- Pamięta pan, jak mnie pan przestrzegiał, żebym nie mówił nikomu o projekcie? Obawiam się, że wymusnęło mi się o parę słów za dużo w rozmowie z kuzynem Markiem Trapanim.

--Co mu pan powiedział?

--Nic konkretnego. Nalegał, bym opowiedział mu o naszym spotkaniu, a że byłem podekscytowany, napomknąłem o terapii i jej właściwościach. Wspomniałem też o spodziewanych zyskach. Nie ujawniłem żadnych szczegółów technicznych, ale pomyślałem, że powinien pan o tym wiedzieć.

Więc to dlatego Trapani usiłował się z nim skontaktować.

--Proszę się nie przejmować, profesorze. W końcu to pański kuzyn. Ale radziłbym, żeby już nic więcej mu pan nie mówił. Dopóki nie wystąpimy o przyznanie patentu, nikt z wyjątkiem pana i pańskich doradców nie powinien wiedzieć o tej technologii, bo inaczej pana prawa patentowe mogą zostać zakwestionowane.

--Rozumiem.

--Dziękuję, że mnie pan o tym poinformował. Zadzwonię, kiedy mój syn wróci z Antibes.

Odłożył słuchawkę i przez chwilę patrzył na bezgłośny obraz. Potem włączył dźwięk łącza i polecił Steinowi:

--Nagrywaj dalej i rób notatki z poczynań mojego syna do jutra w południe. Potem masz wrócić do Zurychu. Wskoczyła pewna sprawa, która wymaga twojej uwagi.

Obrócił w dłoni drogocenny nóż i znowu podniósł słuchawkę. -- Elke, połącz mnie z Markiem Trapanim.

Trzydzieści sześć godzin później, 30 sierpnia

Niebo nad letnim kinem rozświetlały gwiazdy. Obrazy migwały na prowizorycznym ekranie zawieszonym na murze jednej z kamienic w rynku, a dźwięk płynął przez ciepłe powietrze z ogromnych głośników. Isabella nie patrzyła na ekran; patrzyła tylko na Maksa.

Ostatnie dwa dni w Antibes były jak sen. Ona i Max byli nierozłączni od chwili, gdy spotkali się wczoraj rano na plaży. Razem pływali i razem się opalali. Kiedy przedstawiła go przyjaciółkom, nie miała wątpliwości, że zrobił na nich wrażenie. Przy lunchu Phoebe odciągnęła ją na bok i powiedziała:

--Z takim wyglądem i karnacją to on powinien reklamować ciuchy Odyna, a nie ja. Gdzie go, do cholery, znalazłaś?

--To on znalazł mnie -- odparła Isabella i opowiedziała, jak Max uratował jej życie.

Najbardziej urzekło ją w Maksie to, że nawet gdy siedział przy stole z Phoebe, jedną z najslawniejszych i najpiękniejszych kobiet na ziemi, wpatrywał się tylko w nią. Upajała się aprobatą przyjaciółek, lecz ilekroć Max zniknął jej z oczu na więcej niż kilka sekund, trawił ją straszliwy niepokój. Dopiero gdy znowu widziała jego twarz, ściskający żołądek lęk ustępował. Czowała się, jakby znowu była nastolatką. Nigdy wcześniej nie przeżyła niczego podobnego, nawet z Leo.

Poprzedniego wieczoru zjedli kolację nad brzegiem morza razem z dziewczętami, a potem poszli potańczyć. Isabella pośpiesznie pożegnała się z Maksem i prawie biegiem wróciła do pokoju, żeby nie ulec pokusie wspólnej nocy.

Dziś zjedli kolację tylko we dwoje i Max zaprowadził ją na rynek starego miasta, gdzie pod gołym niebem wyświetlano *Niebo nad Berlinem* Wima Wendersa.

--Mówiłaś, że lubisz klasykę kina, Isabello -- powiedział.

Oglądała ten film wiele razy, ale była szczęśliwa, że może siedzieć w rozmigotanym mroku i trzymać Maksa za rękę. Czowała się, jakby nikt inny nie istniał. Znowu popatrzyła na jego twarz.

Zwykle ich spojrzenia spotykały się, ale teraz Max wpatrywał się w ekran. Śledził scenę, w której nieśmiertelny, niepodatny na zranienie anioł pragnie zostać człowiekiem i spada na ziemię: czarnobiałe obraz robi się kolorowy i anioł po raz pierwszy widzi wszystkie barwy nieobecne w jego świecie, łącznie z czerwienią własnej krwi. Max wydawał się całkowicie pochłonięty tą sceną, ale Isabella nie miała mu tego za złe. Do szczęścia wystarczyło jej, że na niego patrzy.

Seans skończył się po północy. Gdy szli spacerem do hotelu, spytała:

--Podobał ci się film?

Skinął głową w milczeniu.

--Pamiętam, jak oglądałam go pierwszy raz. To było jakiś tydzień przed śmiercią mojej matki. -- Zrobiła pauzę. -- Miała tętniaka w mózgu. Wszystko wydawało się w porządku, a chwilę później już nie żyła. Miałam wtedy siedemnaście lat. Mama wiedziała, że ją kocham, ale nie miałam okazji się z nią pożegnać.

Max spochmurniał.

--Moja matka też zmarła, kiedy byłem mały. Ale przedtem udało nam się porozmawiać. -- Chciał powiedzieć coś więcej, lecz tylko potrząsnął głową, jakby usiłował się pozbyć

niechcianej myśli, a potem błysnął nieśmiałym uśmiechem. -- Przydałby mi się drink. Masz ochotę na kieliszek przed snem?

Isabella ledwo tknęła swoje amaretto, kiedy stali na balkonie jej pokoju i patrzyli na morze. Była aż nazbyt świadoma dotyku jego ciała. Kiedy się pochylił i ją pocałował, miała wrażenie, jakby ich wargi stopiły się w jedno, a gdy prowadził ją do łóżka, nie opierała się. Rozsądek podpowiadał jej, żeby zwolniła tempo, lecz pragnęła go bardziej niż czegokolwiek na świecie.

Kiedy zdejmował z niej sukienkę, poczuła na skórze jego ciepły dotyk. Okrył dłońmi jej piersi i pieścił z taką czułością, że aż drżała. Rozpięła mu koszulę i całowała tors, smakując sól na gładkiej złocistej skórze.

Położył ją na łóżku i w tym momencie pragnęła tylko, żeby w nią wszedł.

Gdy poruszali się rytmicznie, próbowała zrozumieć, co się z nią dzieje, ale wiedziała tylko, że w tej chwili kocha Maksa Kappela bardziej, niż kochała dotąd kogokolwiek. Dotarłszy na szczyt rozkoszy, krzyknęła głośno:

--Max! Kocham cię, Max! Kocham cię.

A on zbliżył wargi do jej ucha i wyszeptał:

--Ja też cię kocham.

Max wiele razy uprawiał seks, ale nigdy wcześniej się nie kochał. Teraz czuł rozkosz nawet większą od tej, jakiej doznawał podczas nurkowania. Miał wrażenie, jakby na ulotną chwilę wszechświat pozwolił mu ujrzeć to, co nadaje życiu sens.

Ledwie jednak wyszeptał te słowa, których nie wymówił od śmierci matki, kurtyna opadła i zaczął żałować tego, co powiedział. Namiętność minęła i miał wrażenie, jakby otworzyło mu się trzecie oko i zobaczył siebie i swoją ekstazę w rzeczywistych proporcjach. Ich miłość nie była prawdziwa. Jutro rano nie będą do siebie nic czuli. Gdy Isabella gładziła go po policzku, wmawiał sobie, że każda miłość jest ulotna i że powinien o niej zapomnieć i wrócić do swojego życia. Był jednak jeden problem. Problem, z którym nigdy wcześniej się nie zetknął.

Czuł wyrzuty sumienia. Zależało mu na niej.

Rozsądek mówił mu, że to tylko reakcja chemiczna wywołana przez wirus profesora Bacciego, ale w niczym nie zmieniało to jego uczuć. Nie był na ten cios przygotowany. Przez lata z bezwzględnością kontrolował ciało i umysł, czerpiąc dumę z odporności na obezwładniające działanie emocji. A teraz niemal w nich tonął. Przez ostatnie dwa dni towarzyszyła mu burza uczuć, rozchwianie między euforią a niepokojem. Chwilę temu o mały włos zwierzył się Isabelli, ocej w końcu osobie, z okoliczności śmierci matki, aby wyjaśnić, jak się wtedy czuł. Kto przy zdrowych zmysłach wyjawilby coś tak mrocznego i

obudził wspomnienia, z którymi sam nie był gotów się zmierzyć? Nie był nawet pewien, co w związku z nimi czuje -- jeśli w ogóle cokolwiek.

Najtrudniejszym aspektem miłości identycznej z naturalną było to, że zmieniła jego priorytety. Wcześniej zawsze stawiał interesy swoje i Kappelów na pierwszym miejscu. Terapia sprawiła, że to Isabella stała się najważniejszą osobą w jego życiu, o wiele ważniejszą od rodziny czy jego samego. Ciągle musiał sobie przypominać, że to wirus wyprowadza go z równowagi i że gdy zniknie z jego organizmu, wszystko wróci do normy. Mimo to potrzebował całej siły woli, by nie powiedzieć Isabelli o wszystkim i nie błagać jej o wybaczenie za to, że wprowadził ją w błąd. Musiał być bezwzględny. Nie miał innego wyjścia.

--To wszystko dzieje się tak szybko -- szepnęła, kładąc mu głowę na piersi.

Max nie odpowiedział, tylko wpatrywał się w ciemność, czekając na nadejście dnia, żeby wszystko wróciło znowu do normy.

--Nie przejmuj się -- mruknęła sennie. -- Nie ma pośpiechu. Mamy mnóstwo czasu.

Nazajutrz rano, 31 sierpnia

Leśna polana wysoko w Alpach Glarneńskich, na południowy zachód od Zurychu, była położona z dala od szlaków turystycznych i głównych dróg, więc idealnie nadawała się na dyskretne spotkanie. Bębniąc palcami w czarną biurową teczkę, Helmut zerknął na zegarek, a potem spojrział w dal na migoczące w porannym słońcu wody Zurichsee. Marco Trapani powinien się zjawić już niedługo, a on chciał mieć całą sprawę jak najszybciej za sobą. Roztarł ręce. Był ostatni dzień sierpnia, ale pod alpejskimi jodłami wiało chłodem.

Otworzył teczkę i wertując notatki i zdjęcia zrobione przez Steina, usiłował sobie przypomnieć, kiedy ostatnio czuł taką radość. Przy założeniu, że Max potwierdzi to, co Helmut widział na nagraniach Steina, terapia Bacciego pozwoli mu zapisać się w historii dynastii Kappelów złotymi zgłoskami. Możliwości wydawały się nieograniczone.

Usłyszał pomruk silnika na wąskiej drodze, która wiała się po zalesionym zboczu, i podszedł do skraju polany. Czarna limuzyna Mercedesa zjechała z asfaltu i stanęła wśród drzew, ukryta przed przejeżdżającymi samochodami. Z tylnego siedzenia wysiadł drobny mężczyzna o gładkiej oliwkowej cerze i przerzedzonych czarnych włosach. Miał na sobie nienagannie skrojony włoski garnitur z czerwoną jedwabną chusteczką w kieszonce i takim samym krawatem. Po jego bokach stanęli dwaj rośli goryle w przyciasnych marynarkach.

Helmut uśmiechnął się, rozkładając szeroko ręce.

--Marco, miło cię widzieć.

Marco Trapani odwzajemnił uśmiech i uściskał bankiera.

--Dziękuję, że zgodziłeś się ze mną spotkać. Ale czy musiałeś wybierać taką wczesną porę i odludne miejsce?

--Sprawa jest delikatna. -- Helmut zerknął znacząco na ochroniarzy i szofera. -- Tylko na rozmowę w cztery oczy.

Trapani odwrócił się do swoich ludzi.

--Poczekajcie przy samochodzie. -- Zwrócił się z powrotem do Helmuta. -- Zwykle biorę ze sobą tylko jednego goryla, ale słyszałem, że ludzie Chabrola są żądni krwi. Nie obchodzi ich, że zmarł z przyczyn naturalnych. Uważają, że skoro na tym skorzystałem, to musiałem go zabić. Wiesz, jacy są Korsykanie. -- Wykonał ręką ruch, jakby podrzynał sobie gardło. -- Najpierw wycinają ci korsykański uśmiech, a potem, kiedy wykrwawiasz się na śmierć, pytają, czy jesteś niewinny.

Helmut się zaśmiał.

--Tutaj jesteś bezpieczny. Przejdźmy się trochę po lesie. -- Kiedy znaleźli się poza zasięgiem słuchu obstawy, spytał: -- Jak dużo profesor Bacci powiedział ci o swojej terapii?

--Niewiele. -- Trapani zmrużył oczy. -- Kazaleś mu nic mi nie mówić.

--Poradziłem, żeby nikomu nic nie mówił, póki wszystkiego nie sprawdzimy.

--Ale ja nie jestem „nikim”. Jestem jego kuzynem i to ja poleciłem mu wasz bank. Jest mi coś winien. Wy zresztą też. Kiedy spytałem go, jak poszło spotkanie, nabrał wody w usta, ale gdy go przycisnąłem, wyrwało mu się, że wynalazł lek, który sprawia, że ludzie zakochują się w sobie. -- Utkwił wzrok w Helmucie. -- To może być bardziej dochodowe od syntetycznej heroiny, nad którą pracują moi ludzie. Mógłbym przejść z handlu narkotykami do legalnej branży farmaceutycznej. Jeśli wynalazek mojego kuzyna działa.

--Działła -- odparł Helmut. Opowiedział Trapaniemu o rozmowie z Baccim i teściem, który przeprowadzili w Antibes. Potem postukał palcem w teczkę. -- Kazalem śledzić Maksa.

Trapani spojrział na niego ze zdumieniem.

--Kazałeś śledzić własnego syna?

--Nie wiedziałem, jak ten lek na niego wpłynie.

Otworzył teczkę i pokazał Trapaniemu zdjęcia. Jedno przedstawiało Maksa i Isabelle stojących z zamkniętymi oczami na plaży i gładzących się po policzkach. Isabella była wysoka i atletycznie zbudowana, lecz obok Maksa wyglądała na drobną. Na następnej fotografii, ubrani w dżinsy i koszulki, całowali się namiętnie na ulicy. Na trzeciej byli w klubie nocnym: Max siedział w kącie i patrzył, jak Isabella tańczy na parkiecie. Jego niespokojny wyraz twarzy był dla Helmuta tak niezwykły, że ledwo rozpoznawał własnego syna.

--Gdybyś znał Maksa tak dobrze jak ja, zrozumiałbyś, jak bardzo te zdjęcia są wymowne. On nigdy nie okazuje emocji, a co dopiero w miejscach publicznych, z dziewczyną, którą dopiero poznał. -- Wskazał notatki Steina, które szczegółowo relacjonowały każdy krok Maksa od przyjazdu do Antibes. -- Byli praktycznie nierozłączni.

--A co Max o tym mówi? -- spytał Trapani.

Helmut przypomniał sobie zdawkową wiadomość, którą syn zostawił mu kilka godzin temu: *„Terapia działa. Wróciłem do domu w St. Laurent-du-Var, żeby otrzeźwieć. Skontaktuję się za parę dni”*.

Zachichotał.

--Dał się przekonać. Ja też.

Trapani pokiwał głową.

--Jak zamierzacie wykorzystać ten lek?

--Twój kuzyn chce zdobyć pozwolenie na sprzedawanie go jako rodzaju emocjonalnej viagry. Widzi w nim panaceum na rozwody, rozbite rodziny i tragedie miłosne. Pragnie zlikwidować problem samotności i czerpać z tego tytułu uznanie.

Trapani uśmiechnął się z niedowierzaniem.

--A co chce z nim zrobić Kappel Privatbank?

Helmut zapalił papierosa i zaciągnął się głęboko.

--Zawsze kierujemy się życzeniami naszych klientów -- odparł.

Trapani porzucił maskę gładkiej uprzejmości.

--Nie wciskaj mi kitu, Helmut. Mój kuzyn może być geniuszem, ale jest również głupcem. Nie wiem, co zamierzacie zrobić z tym lekiem, ale chcę mieć udział w zyskach. Nie zapominaj, że jesteś tylko bankierem, Helmut. Małym człowieczkiem, który dba o forszę silniejszych od siebie. Żyjesz po to, żeby służyć swoim klientom. -- Trącił Kappela palcem w pierś. -- A rodzina Trapanich należy do waszych najważniejszych klientów.

Helmut milczał, jego zimne błękitne oczy chłonęły gniewny żar Trapaniego.

Włoch pierwszy odwrócił wzrok.

--Więc jaka jest moja działka? -- spytał.

Helmut nawet nie mrugnął.

--Żądam czterdziestu procent -- oświadczył Trapani.

Cisza.

Trapani zmarszczył brwi.

--Przyjmę jedną trzecią. Ale to moje ostatnie ustępstwo. Jeśli się nie zgodzisz, poradzę kuzynowi, żeby się wycofał. Sam sfinansuję jego projekt. Zostaniesz z niczym. Zamknę swoje konto i przeniosę się gdzie indziej.

Helmut uśmiechnął się, ale jego oczy pozostały zimne.

--Co ty na to? Umowa stoi? -- dopytywał się mafioso.

Helmut powoli pokręcił głową.

Trapani zacisnął zęby.

--To co proponujesz? Co mi z tego skapnie?

--Nic. -- Helmut zawiesił głos. -- Tylko twoja krew.

Trapani zrobił krok w tył.

--O czym ty, kurwa, gadasz? -- Obejrzał się przez ramię i zawołał obstawę.

Kiedy nie usłyszał odpowiedzi, pobiegł z powrotem na polanę. Drzwi limuzyny były otwarte, a obaj ochroniarze leżeli na wznak na przesiąkniętej krwią ziemi. Głowy mieli odchyłone do tyłu, a martwe spojrzenia utkwione w niebo. Ich gardła zostały poderżnięte od ucha do ucha. Szofer siedział na swoim fotelu z dłońmi na kierownicy i niemal odciętą głową. Przednia szyba była cała we krwi. Trapani stał przyrośnięty do ziemi, jakby nie potrafił zrozumieć tego, co widzi.

Zza drzew wyłonił się Stein z dwoma siwowłosymi siepaczami po bokach. Wszyscy wyglądali, jakby właśnie wyszli z rzeźni. Przepaska na oku, szpakowate włosy i biznesowy garnitur Steina lśniły od krwi. W prawej ręce trzymał nepalski nóż kukri; ostra jak brzytwa zakrzywiona klinga była czerwona od posoki. Stein uśmiechnął się do Helmuta: uśmiech zadowolenia z dobrze wykonanej roboty. Helmut kiwnął głową z aprobatą. Korsykanie wyprą się morderstwa, lecz zwłoki będą nosić ich sygnaturę.

Stein ruszył do Trapaniego, lecz Helmut go powstrzymał.

--Ty i twoi ludzie już pokazaliście, na co was stać. Marca zostaw mnie.

Gdy wyciągnął z pochwy na kostce nóż, twarz Trapaniego zrobiła się trupio biała. Sycylijczyk sięgnął po pistolet, ale okazał się za wolny.

Helmut doskoczył do niego i ostrym jak brzytwa ostrzem rozciął tętnicę na szyi. Trapani osunął się na kolana, złapawszy się za gardło, żeby zatamować krew buchającą z arterii. Z rany wydobył się gulgoczący dźwięk, jakby Włoch próbował coś powiedzieć albo krzyknąć.

Biorąc pod uwagę trudną sytuację finansową banku, wyeliminowanie jednego z ważnych klientów było ryzykowne, ale Helmut liczył, że kontrola nad terapią MIN z nawiązką zrekompensuje wszelkie straty związane z odejściem Trapaniego. Jeśli miał wprowadzić rodzinny biznes na nowy obszar, musiał ryzykować, tak jak przed nim Dieter Kappel.

Przyklęknął obok Trapaniego i nie zważając na krew, zmusił Sycylijczyka do spojrzenia mu w oczy, tak aby jego twarz była ostatnią rzeczą, jaką zobaczy, zanim zagarnie go ciemność.

--Kiedyś byliśmy nie tylko bankierami, Marco -- wyszeptał, trącąc go palcem w pierś. Trapani przewrócił się na plecy wstrząsany przedśmiertnymi drgawkami. Helmut postukał w czarną teczkę, którą trzymał pod pachą. -- I nie będziemy nimi w przyszłości.

Tego samego ranka

Ktoś zapukał do drzwi sypialni i spytał:

--Nie śpicie?

Isabella otworzyła oczy. Nastąpiła chwila ciszy, a potem znowu usłyszała głos Phoebe:

--Pobudka. Wiem, że jest wcześniej, ale jacht wypływa o ósmej, a jeśli się spóźnicie,

popłyniemy do Monako bez was.

Isabella wstała, narzuciła szlafrok i otworzyła drzwi. Phoebe spojrziała na skotłowane łóżko.

--Gdzie Max? Myślałam...

--Poszedł.

--Dokąd?

--Powiedział, że musi wracać do Zurychu. Jakaś pilna sprawa związana z pracą.

--Kiedy?

--Okolo piątej rano.

Phoebe zmarszczyła brwi.

--Zobaczysz się z nim jeszcze?

--Nie wiem. Prawdopodobnie nie.

Phoebe usiadła na łóżku.

--Co ci ten sukinsyn zrobił?

--Nic.

--Nie rozumiem. Wyglądaliście na tak zakochanych, jakby was piorun strzelił. Co się stało?

--Naprawdę nie wiem. Po prostu coś się zmieniło.

Phoebe objęła przyjaciółkę.

--Wszystko w porządku, Izzy? Jak się czujesz?

--Nie jestem pewna. -- Naprawdę nie była. Wiedziała tylko, że stało się coś dziwnego, na co nie miała wpływu: w jej życiu zaszła subtelna, lecz nieodwracalna zmiana. Przez ostatnie dwa dni, aż do chwili, gdy zasnęła tej nocy, Max stał się częścią jej samej. Ale dziś rano to intensywne uczucie wyparowało. Poszli do łóżka jako kochankowie, a obudzili się jako nieznajomi.

Udawala nawet, że śpi, kiedy Max wykradał się z pokoju. Zostawił krótki liścik, w którym wyjaśniał, że musi wracać do Zurychu, ale nie napomknął, by mieli się znowu spotkać. To, co czuła dziś rano, tak bardzo różniło się od nastroju wczorajszej nocy, że nie była pewna, czy się gniewać, czy odetchnąć z ulgą. Przede wszystkim czuła się głupio: w świetle dnia cały epizod trącił jednym z tych tandetnych wakacyjnych romansów, w jakie wdają się ludzie na zakrętach życiowych. Wraz z miłością do Maksa minął również wakacyjny nastrój. Poczula nagłą chęć powrotu do Mediolanu i rzucenia się w wir pracy.

--Chcesz o tym porozmawiać? -- spytała Phoebe. Isabella wstała i poszła do łazienki.

--Nie, wszystko w porządku -- odparła. -- To był tylko wakacyjny romans. Nikt nie ucierpiał.

Ale kiedy stanęła pod prysznicem i zamknęła oczy, widziała tylko jego twarz.

2 września

Z cmentarza Kappelów, który znajdował się na wysokim pagórku na północnym krańcu posiadłości, rozciągał się wspaniały widok na połyskliwe wody jeziora i zabudowania Zurychu, wyglądające z tej odległości jak domki z klocków. Jako dziecko Max zawsze się zastanawiał, dlaczego umarli potrzebują tak atrakcyjnego miejsca spoczynku i tak pięknych widoków.

Wrócił do Schloss późnym popołudniem. Powietrze było rześkie, a liście zaczynały żółknąć. Gdy szedł ścieżką na szczyt pagórka, zobaczył mosiężną kopułę pierwszego mauzoleum lśniąca w promieniach słońca. W każdym grobowcu spoczywały ciała przywódców dynastii Kappelów. Jedne wzniesiono z marmuru i kamienia, inne z granitu, miedzi i spiżu, ale wszystkie zbudowano z tą samą myślą: żeby przetrwały dłużej niż szczątki, które zawierały.

Kiedy Max przyjeżdżał z angielskiej szkoły do domu, ojciec oprowadzał go po mauzoleach i przypominał, gdzie jest pochowany każdy z przodków. Potem musiał chodzić po mrocznych korytarzach Schloss i dopasowywać portrety do grobowców, podając imiona i daty. Najważniejszym punktem tego ćwiczenia był zawsze Dieter Kappel. Ilekroć Max mijał jego portret, ojciec kazał mu powtarzać historię o tym, jak Dieter sprowadził rodzinę z powrotem do Szwajcarii i ocalił ją od zagłady. Czasami zdawało mu się, że całe dzieciństwo było jedną długą lekcją. W szkole uczył się dat życia i panowania królów Anglii, śledząc rodowód rodziny panującej do tysiąca lat wstecz, a w czasie wakacji musiał wkuwać daty i genealogię własnej rodziny na przestrzeni prawie pięciu wieków.

Teraz odruchowo wymieniał imiona i daty, gdy wodził wzrokiem po grobowcach. W położonym na uboczu miejscu robotnicy w żółtych kaskach pracowali nad najnowszym. Ojciec kazał rozpocząć budowę, gdy wykryto u niego raka, a Max wiedział, że doloży wszelkich starań, by przyćmił wszystkie pozostałe -- dawne, obecne i przyszłe.

Wysoki na sześć metrów stożek ze światłoczułego szkła prezentował się imponująco. W promieniach słońca lśnił niczym ogromny kamień szlachetny. Na moment Max całkiem zapomniał o Antibes i o swoich pełnych niepokoju myślach. Przez szklane ściany widział duży cokół. Ojciec, niczym współczesny faraon, pragnął, aby jego ciało zostało zachowane na zawsze. Wynajął niemieckiego anatoma Gerharda Heynego, który miał zakonserwować zwłoki, zastępując krew i płyny ustrojowe żywicą. Tak spreparowane ciało miało stanąć na cokole, by przez całą wieczność spoglądać w dół na rodzinną rezydencję. W ten sposób Helmut chciał zapewnić sobie nieśmiertelność.

Max odwrócił się i spojrzał na niski nowoczesny budynek obok Schloss. Garaż z regulowaną temperaturą wnętrza mieścił co najmniej sześć samochodów. Na podjeździe służący pucował właśnie czerwone ferrari. Max znowu popatrzył na szklane mauzoleum. Podejrzywał, że ojciec, mimo całego przywiązania do dyskrecji, dyscypliny i samokontroli, ma w sobie coś z ekshibicjonisty: w głębi duszy jest niespełnionym, sfrustrowanym showmanem.

--Wróciłeś! -- zawołał do niego z trawnika pod kryształowym stożkiem.

Max zauważył, że ojciec wygląda inaczej, jakby młodziej: włosy miał modnie obcięte, a jego błękitne oczy błyszczwały.

Helmut przyjrzał się synowi i położył dłoń na jego ramieniu.

--Wyglądasz, jakbyś odbył podróż do piekła i z powrotem. Jak było?

Max nie wiedział, co odpowiedzieć. Jak wyjaśnić ojcu, który nie wierzył w miłość, jak to jest znaleźć się w jej niewoli? Nie potrafił tego wyjaśnić nawet sobie. Przeżył z Isabellą Bacci cudowne chwile, lecz wspomnienie o nich przytłaczał nadmiar zmysłowych wrażeń i dojmujące poczucie bezsilnego niepokoju. Czterdzieści osiem godzin, które z nią spędził, były najbardziej intensywnym okresem w jego życiu -- w każdym razie odkąd stracił matkę.

Poddawanie się ekstazie głębin było czymś zupełnie innym niż poddanie się terapii, która wzbudziła w nim uczucia, z jakich istnienia wcześniej nie zdawał sobie nawet sprawy. To przeżycie godziło w każdy pewnik, na jakim polegał, i teraz narastała w nim panika. Nie bał się niczego na świecie, ale to zagrożenie tkwiło w jego wnętrzu, przez co jeszcze bardziej rozstrajało mu nerwy.

Terapia sprawiła, że zaczął czuć. Sprawiała, że zaczęło mu na kimś zależeć. Sprawiała, że stał się słaby. Cieszył się, że wrócił do normalnego życia.

Ojciec posłał mu zachwycony uśmiech nauczyciela, który widzi, że uczeń zrozumiał ważną lekcję.

--Zawsze przestrzegałem cię przed miłością, Max. Jak powiedział sam profesor Bacci, miłość to prawdziwa choroba. Nawet Platon nazwał miłość chorobą duszy.

--Cóż, teraz jestem zdrowy i nie zamierzam znowu przez to przechodzić. Helmut poklepał syna po plecach.

--Właśnie dlatego powinieneś się ożenić z Delphine Chevalier.

--Może i tak.

Oczy Helmuta rozbłysły.

--Więc terapia Bacciego rzeczywiście działa.

--Tak, *Vater*. Teraz musimy tylko zdecydować, jak ją wykorzystać.

Helmut Kappel grzał się w ciepłe ognia, jaki roznieciła w nim wizja nieograniczonych możliwości. Jego syn wrócił zdrowy i cały, jako żywy dowód potęgi terapii. Trapani został uciszony -- a Joachim i Comvec opanują technologię Bacciego.

--Wiesz, co to znaczy, Max? Przyszłość Kappel Privatbank jest zabezpieczona.

Idiotyczny lek profesora Bacciego będzie naszym wybawieniem. -- Zaprowadził syna na taras

i nalał mu drinka. -- Terapia pozwoli każdemu osiąść osobę, której pragnie. Dzięki niej możemy sprawić, by każdy zakochał się po uszy w osobie, jaką wybierzemy. Nasza rodzina wzniosła się ponad potrzebę miłości, ale to wciąż najpotężniejsza, najbardziej zdradliwa namiętność. Pomyśl o tym, Max! Dysponujemy środkiem, dzięki któremu możemy zaoferować klientowi dozgonną miłość i poświęcenie każdej osoby, której pragnie. Nie tylko

seks, ale i tak zwaną prawdziwą miłość. Tak długo, jak długo klient jest gotów płacić, może osiąść, kogo tylko zechce. -- Jeszcze raz przemyślał konsekwencje. -- Ale to nie wszystko. Możemy nawet decydować o tym, kogo pragnie. Możemy kontrolować cały rynek: zarówno popyt, jak i podaż.

--Najważniejsze, żebyśmy zachowali istnienie terapii w tajemnicy -- powiedział Max -- zwłaszcza przed klientami. Możemy sprzedawać im jej efekty i dobrodziejstwa, lecz nigdy samą substancję. Musimy zawsze wstrzykiwać ją osobiście, po kryjomu, tak żeby o tym nie wiedzieli.

Helmut pokiwał głową.

--Tak jak robiliśmy to z truciznami.

--Właśnie. Zachowamy całkowitą kontrolę nad terapią i będziemy mogli wykorzystywać ją przy kolejnych okazjach.

Helmut podrapał się po brodzie.

--Jak przekonamy klientów, że terapia działa, jeśli nie będą wiedzieli o jej istnieniu?

--Poprzez szantaż emocjonalny. Damy klientowi darmową próbkę: zniewalający przedsmak miłości, a gdy się uzależni, zagrozimy, że ją odbierzemy. Chyba że zapłaci. I to słono.

Helmut uśmiechnął się.

--Moglibyśmy urządzić tajną licytację. Żeby każdy klient licytował się sam ze sobą.

--Dobry pomysł -- podchwycił Max. -- Możemy ich zaprosić w jakieś ustronne miejsce, gdzie mielibyśmy wszystko pod kontrolą, na przykład do któregoś z ekskluzywnych hoteli w Alpach, takiego jak ten w Zermatt, który wynajęliśmy parę lat temu. Pamiętasz? Tam, gdzie zorganizowaliśmy weekend narciarski dla wybranych klientów?

Helmut wstał i zaczął się przechadzać po tarasie, a Max sięgnął po laptop.

--Powieśmy naszym klientom, że to część programu lojalnościowego, rodzaj podziękowań -- myślał na głos -- i wstrzykniemy każdemu wirus z profilem genetycznym wybranej wcześniej kobiety. Potem poczekamy, aż ich namiętności się rozbudzą, i przedstawimy im kobiety. Przez dwa dni będą się mogli nasycić miłością, jakby trafili do raj. Aż kiedy okres próbny dobiegnie końca, wyjaśnimy, że mogą wziąć udział w aukcji. -- Zaczynał się naprawdę zapalać do tego pomysłu. -- Nie będą wiedzieli, że nie mają żadnego rywala. Zadurzeni w swoich kochankach, będą gotowi zapłacić każdą sumę, jakiej zażądamy. Strach przed utratą największego szczęścia, jakiego zaznali, będzie zbyt silny, by mogli się oprzeć. A że nie będą wiedzieć o naszej terapii, będziemy mogli ją wykorzystać na innych klientach. I tak bez końca. Obaj wiemy, którzy klienci pójdą na pierwszy ogień.

Max pochylił się nad laptopem i wszedł do bankowej bazy danych, a Helmut wymienił nazwiska:

--Hudsucker, Corbasson, Łysenko i Nadolny. Łajdacy, którzy wzgardzili naszą dwusetną rocznicą i grożą, że zamkną swoje konta. Ile jest wart majątek każdego z nich? Cały, nie tylko to, co u nas trzymają.

Max przejrzał historię ich kont i inwestycji.

--Każdy z nich ma ponad miliard dolarów -- powiedział. -- A dwaj uzbierali ponad trzy.

--Doskonale. Ukarzemy ich i jednocześnie zabierzemy trochę forsy. Przez resztę wieczoru i całą noc siedzieli na tarasie, pijąc whisky i układając plan optymalnego wykorzystania terapii. Robili notatki, analizowali informacje o klientach i ustalali kolejne posunięcia. Kiedy nad jeziorem weszło słońce, mieli opracowaną szczegółową strategię. O wpół do siódmej Helmut przetarł oczy.

--Wiemy już, co chcemy zrobić z terapią -- powiedział. -- Ale co powiemy profesorowi?

--To, co chce usłyszeć -- odparł Max. -- Sporządzę fikcyjny biznesplan, który będzie odpowiadał jego wizji. Nigdy się nie dowie, do czego naprawdę wykorzystamy terapię.

Helmut napił się whisky.

--Proponuję, żebyśmy w przyszłym tygodniu zwołali rodzinne zebranie.

--Dobrze. Będę miał czas odwiedzić Bacciego w turyńskim laboratorium i sprawdzić, co tam ma. Zabiorę ze sobą Joachima. Jutro wprowadzę go w sprawę.

Helmut odstawił szklankę. Przypomniało mu się coś, co powiedział Bacci podczas pierwszego spotkania, i w głowie zakiełkowała mu idea tak ambitna, że musiał spytać Joachima, czy w ogóle można ją wcielić w życie. Z pewnością nie chciał jeszcze mówić o niej Maksowi.

--Pozwól, że ja wprowadzę Joachima w szczegóły. Wyjaśnię mu, że plan wymaga przejęcia kontroli nad technologią produkcji wirusa i zredukowania naszej zależności od profesora. Ty po prostu zapewnij Bacciego, że chcemy sfinansować jego projekt.

Sięgnął po egzemplarz „Vogue'a” leżący na stole i otworzył na stronie, którą wcześniej zaznaczył żółtą samoprzylepną karteczką. Przyglądał się jej przez moment z zapalem, a potem się uśmiechnął. Chociaż nie spał całą noc, od lat nie czuł się tak młodo. Nalał Maksowi resztkę whisky i wznosił swoją szklankę do toastu.

W tym momencie na taras weszła Eva ubrana w jedwabne kimono i sandały. Włosy miała zaczesane do tyłu, a na twarzy pełny makijaż, mimo że właśnie wstała z łóżka. Na widok pustej butelki whisky i papierów rozrzuconych na stole skrzywiła się.

--Siedzieliście tu całą noc?

Helmut kiwnął głową.

Eva wzięła pustą butelkę w dwa palce, niczym zdechłego szczura. Posłała mężowi karcące spojrzenie.

--Podać wam coś jeszcze czy macie już dość?

Helmut popatrzył jej w oczy.

--Chcę od ciebie tylko jednego, Evo -- rzekł ochryplym głosem.

--Tak?

--Natychmiastowego rozwodu.

8 września

Kompleks biurowo-przemysłowy Agnelli znajdował się na północnych obrzeżach Turynu, obok gęstego gaju cyprysów, które odcinały się od czystego błękitu nieba. Podjechawszy do bramy i zgłosiwszy swe przybycie ochroniarzowi w budce, Max powiódł wzrokiem po niepozornych pudełkowatych budynkach. Na białej tablicy przedstawiono plan całego kompleksu z ponumerowanymi blokami. Firma Bacci Projects mieściła się w bloku dwunastym.

Wokół panował spokój, choć parkingi były wypełnione. Większość firm miała rzucające się w oczy logo i amerykańsko brzmiące nazwy: RiverSoft, Mountain View Solutions, Net Ark. Minał budynek z dużym czarno-złotym napisem VirtualX na ścianie i podjechał do niepozornego magazynu w głębi kompleksu. Na zewnątrz nie było żadnego znaku firmowego, tylko biały słupek z czerwoną dwunastką sterczał z pobrązowiałego od słońca trawnika. Nic nie wskazywało na to, że właśnie tutaj mieści się laboratorium, w którym powstała najnowocześniejsza na świecie, rewolucyjna technologia. Na podjeździe stał samotny samochód, a do stojaka przy drzwiach wejściowych był przymocowany łańcuchem rower górski Cannondale. Max rozpoznał kabriolet bmw przyrodniego brata. Joachim siedział za kierownicą i czekał. Miał ciemny garnitur z kamizelką i szkarłatno-kobaltową muszkę. Max nie widział się z nim od podróży do Antibes.

Kiedy szli do frontowych drzwi, Joachim zapalił czarnego papierosa i posłał bratu porozumiewawczy uśmiech.

--I co, Romeo? Ciekawe, jak profesor Bacci zapatruje się na to, co ty i jego jedyna córka robiliście w Antibes.

Max zmarszczył brwi.

--Pozwól, że ja zajmę się Baccim. Ty skup się na oglądaniu sprzętu i kwestiach technicznych.

Joachim poprawił okulary.

--Jak sobie życzysz.

Bacci czekał na nich w przedpokoju, uśmiechnięty od ucha do ucha. Helmut zawiadomił go już o sukcesie eksperymentu.

Zaczekał, aż Joachim zgasi papierosa, a potem poprowadził ich długim korytarzem do zbrojonych metalowych drzwi. Maksa zaskoczyło, że jedynym zabezpieczeniem był elektroniczny zamek szyfrowy. Spodziewał się raczej czytnika DNA albo źrenicy.

--Wysłałem laboranta do domu, więc możemy swobodnie rozmawiać -- oznajmił Bacci, wstukując kod i otwierając drzwi.

Białe wnętrze laboratorium i lśniąca aparatura jaskrawo kontrastowały z nijakim, zaniedbanym wyglądem magazynu od zewnątrz. Budynek i zabezpieczenia mogły nie być imponujące, lecz sprzęt był najwyraźniej światowej klasy. Nawet Max zorientował się, że wyposażenie dorównuje temu, które posiadał Comvec. Przestrzeń laboratoryjną podzielono na dwa sektory. Z prawej było dwoje drzwi i wolno stojąca aparatura. Na szklanych drzwiach w głębi pokoju widniała żółta tabliczka ze znakiem zagrożenia biologicznego i napisem: „Uwaga! Drugi poziom zagrożenia wirusowego”. Czerwone drzwi w połowie ściany miały na szybie napis: „Próbki”. Po lewej stronie laboratorium znajdowało się coś w rodzaju małej linii produkcyjnej.

--Na wszystkie procedury badawcze uzyskałem oficjalną zgodę. -- Bacci wskazał szklane drzwi po prawej. -- Moje małe laboratorium biologiczne nie spełnia warunków pracy z groźniejszymi wirusami trzeciego i czwartego poziomu, ale poziom drugi całkowicie nam wystarcza do tworzenia podstawowych wektorów wirusowych.

--Chętnie udostępniemy panu zaawansowane wektory Comvecu -- powiedział Joachim. Bacci uśmiechnął się.

--Milo mi, że pan to proponuje, ale dwa zmodyfikowane genetycznie wirusy, których używam, w zupełności mi wystarczają. Oba dostarczają geny do odpowiednich komórek, a tylko tego po nich oczekuję. Wektor sześćdziesiąt dziewięć atakuje komórki krótko żyjące, a wektor siedemdziesiąt dwa trwale komórki macierzyste. Od Kappel Privatbank i Comvecu oczekuję tylko funduszy, organizacji testów klinicznych, które spełniłyby wymogi rozmaitych instytucji atestujących, a także konsultacji w sprawach handlowych, żeby jak najskuteczniej wprowadzić terapię na rynek.

--Możemy to panu zapewnić -- powiedział Max.

Bacci skinął głową.

--Produkcja preparatu wymaga trzech procesów -- rzekł. -- Po pierwsze, musimy wyizolować i zrekombinować geny, które chcemy wymienić w DNA komórek biorcy. To jest właśnie aktywny składnik MIN, sztucznie opracowana genetyczna látka, która zmienia wrodzony kod odpowiednich komórek, modyfikując poziom hormonów i substancji chemicznych w mózgu i wprowadzając informację genetyczną kodującą rysy twarzy obiektu miłości. Po drugie, musimy stworzyć odpowiedni wektor, który, jak panowie wiecie, jest w gruncie rzeczy osłabionym wirusem.

--Oslabionym? -- spytał Max.

--Unieszkodliwionym -- wyjaśnił Joachim. -- Wirus jest jedynie bezmyślną paczką materiału genetycznego w białkowej osłonie, który istnieje tylko po to, by wyszukać organizm, dzięki któremu może się rozmnożyć. Po znalezieniu odpowiedniego organizmu wirus wnika do jednej z jego komórek i zmienia jej kod genetyczny na własny. Potem, gdy komórka zawierająca nowe DNA dzieli się i replikuje, wirus mnoży się i atakuje kolejne komórki. Osłabienie wirusa polega na usunięciu szkodliwego DNA, dzięki czemu zostaje tylko pusta białkowa osłonka, którą można następnie wypełnić leczniczymi genami ludzkimi i chemicznie zaadresować do konkretnych komórek w organizmie. Te same właściwości, które czynią wirus tak groźnym, sprawiają również, że idealnie nadaje się do terapii genowej: jest bowiem wyposażony w precyzyjny mechanizm odnajdujący właściwe komórki i ma zdolność zastępowania DNA komórki swoim własnym.

--Zgadza się -- potwierdził Bacci. -- Trzeci proces potrzebny do wytworzenia MIN wiąże się ściśle z tym, co powiedział Joachim. Bierzemy otrzymany z pierwszego procesu materiał genetyczny, wprowadzamy do osłabionego wirusa i, abrakadabra, otrzymujemy nasz magiczny pocisk miłości. -- Wskazał na aparaturę z prawej. -- Urządzenia po tej stronie są używane do izolacji i rekombinacji genów MIN, a w laboratorium za szklanymi drzwiami tworzymy wektory. -- Wskazał na lewo. -- Mała pilotażowa linia produkcyjna po tej stronie wykorzystuje oba półprodukty i wytwarza sam preparat w formie proszku.

--Imponujące -- rzekł Joachim. -- Wszystko, od inkubatorów Gallencamp po genoskop, jest najwyższej jakości. Nic dziwnego, że potrzebuje pan dodatkowych funduszy. -- Wskazał

czarne matowe urządzenie przypominające kształtem łabędzia. -- To genoskop numer osiem?

Bacci kiwnął głową.

--Potrzebuję co najmniej ósemki, żeby uzyskać odpowiednią precyzję i prędkość. Kazalem go też przerobić. Proszę spojrzeć.

Podszedł do maszyny, która wyglądała jak skrzyżowanie komputera z dużym mikroskopem. Podłączone było do niej mniejsze, podobne do skanera urządzenie z białą półeczką, która przypominała Maksowi fotokopiarkę, i monitorem.

--W każdej komórce naszego ciała znajduje się DNA, będące kopią całego naszego genomu, unikatowego kodu genetycznego, który określa każdy aspekt fizjologicznej konstrukcji organizmu. Kod ten ma alfabet złożony z czterech liter: A, G, T i C. Litery te oznaczają cztery podstawowe substancje chemiczne będące budulcem DNA -- adeninę, guaninę, tyminę i cytozynę -- i składają się na słowa, czyli geny, które z kolei układają się w zdanie, nasz genom.

Profesor uśmiechnął się do Maksa.

--Na ludzki genom składa się około trzech miliardów liter, które tworzą prawie sto tysięcy genów. Geny jako takie niczego właściwie nie robią. Są tylko kodem. Ale ten kod zawiera instrukcje sterujące każdym aspektem fizjologicznego rozwoju. Decyduje, jak rosną nasze włosy, jak się starzejemy, jak dzielą się nasze komórki, jak trawimy pożywienie. Rodzimy się z tym programem, odziedziczonym po rodzicach, lecz dzięki terapii genowej uczymy się, jak zmieniać albo poprawiać go tam, gdzie powstał błąd.

Poklepał czarny genoskop.

--Ten aparat potrafi odczytać biologiczną próbkę i odkodować cały genom w niej zawarty. Wystarczy mieszek włosa. -- Wskazał urządzenie skanujące. -- To urządzenie skupia się wyłącznie na części genomu, która zawiera kod ludzkiej twarzy. Dzięki niemu genoskop pracuje szybciej i bardziej efektywnie. -- Wyrwał sobie włos i położył go na płaskiej powierzchni skanującej: płytce białej tacy wypełnionej płynnym przezroczystym żelem. -- Żel izoluje wszelkie zanieczyszczenia i pomaga rozłożyć próbkę do analizy. -- Wcisnął guzik na szyjce genoskopu i urządzenie zahuczało. Tacka rozbłysła błękitnym światłem podobnym do ultrafioletu i niecałą minutę później ekran z boku zamrugał. Potem pojawiła się na nim twarz Carla Bacciego. -- To technologia podobna do stosowanej obecnie w większości systemów zabezpieczających, tyle że znacznie bardziej precyzyjna. Poza tym nie tylko odczytuje kod, ale także wyizolowuje odpowiedni materiał genetyczny i łączy go z genami MIN.

Joachim pokiwał głową, a potem zerknął na czerwone drzwi z napisem „Próbki”.

--Zachował pan poprzednie wersje preparatu?

--Tak. Wszystkie, łącznie z nieudanymi, są przechowywane w chłodzonym pomieszczeniu. Jest tam cała galeria dziwacznych i wspaniałych koktajli. Nigdy niczego nie wyrzucam.

--Chętnie bym je obejrzał. Mogę zajrzeć do środka?

--Jasne -- odparł profesor. -- Jeśli naprawdę pan chce.

Przez następne czterdzieści pięć minut Bacci szczegółowo omawiał każdy etap procesu produkcji. Potem Max poszedł z nim do gabinetu, a Joachim został w laboratorium, żeby lepiej się wszystkiemu przyjrzeć.

Profesor usiadł za biurkiem i wskazał Maksowi krzesło. Czuł zarówno ulgę, jak i ekscytację. Zrzucił plan ponownego rozkochania Leo w Isabelli, bo powiedziała, że nie chce go

z powrotem. Poddanie kuracji jej i Maksa było czymś zupełnie innym. Zgadzając się na udział Isabelli w próbie, wykorzystał córkę jako nieświadomą niczego świnkę doświadczalną. Od tamtej pory sumienie nie dawało mu spokoju.

Był przekonany, że wakacyjny romans nie wyrządzi jej żadnej krzywdy, i z tego, co sama mu powiedziała, wnioskował, że się nie pomylił. Ale aż do jej powrotu z Antibes czuł się, jakby siedział na rozżarzonych węglach. Dopiero kiedy napomknęła o przelotnym romansie z mężczyzną, który ocalił ją przed brutalnymi zbirami, poczuł się lepiej. Gdyby nie zgodził się na objęcie Isabelli eksperymentem, Maksa nie byłoby w pobliżu, żeby jej pomóc.

--Co teraz? -- spytał.

--W przyszłym tygodniu zbierze się nasza rada nadzorcza, aby podjąć ostateczną decyzję w sprawie projektu -- odparł Max. -- Później przyjadę do pana ze szczegółowym biznesplanem i funduszami. Podpisze pan wymagane dokumenty i przez kilka miesięcy Joachim będzie pracował u pana boku. Jego pomoc będzie bezcenna w momencie, gdy przyjdzie nam się starać o stosowne zezwolenia. UE i FDA będą próbowały zjeść nas żywcem, więc wniosek musi być bez zarzutu. Z Joachimem pilnującym strony technicznej i moją ekspertyzą finansową wszystko będzie dopięte na ostatni guzik. Ale nawet mimo tych atutów zajmie to sporo czasu. Musi pan uzbroić się w cierpliwość... no i pozbyć się laboranta. Nie możemy dopuścić do przecieku. Proszę zatrudniać pomocników technicznych tylko wtedy, gdy zajdzie taka potrzeba. I nigdy nie zatrudniać dwukrotnie tej samej osoby. Dobrze?

--Dobrze -- odparł Bacci. -- Jak poszło w Antibes?

Max zarumienił się.

--Miał pan rację. Zakochałem się w pańskiej córce. A czterdzieści osiem godzin później odkochałem się.

Jego zmieszanie rozbawiło Bacciego.

--Jak ręka? -- spytał.

--W porządku.

--Isabella powiedziała mi, że uratował jej pan życie. Dziękuję. Dzięki temu mam mniejsze wyrzuty sumienia, że ją w to wciągnąłem.

Max milczał. Pomimo całej jego rezerwy Bacci wyczuwał w nim głęboko tłumioną namiętność.

--Czy uratował ją pan przed czy po zażyciu MIN Sześćdziesiąt Dziewięć? -- zapytał.

--A czy ma to jakieś znaczenie?

--Niech sam mi pan powie.

Max zmienił temat.

--Muszę prosić pana o przysługę, profesorze. To delikatna sprawa.

--Tak?

--Mój ojciec i jego żona są nieszczęśliwi. Myślą o rozwodzie i zastanawiają się, czy mógłby pan pomóc. -- Wyjął z kieszeni marynarki dwie plastikowe torebki. Każda zawierała po jednym ludzkim włosie. -- Mieszki są nienaruszone. Zwróciliby się do pana osobiście, ale są dumnymi ludźmi, a sprawa jest trudna...

--Czy oboje tego chcą? -- spytał Bacci.

Max podał mu kopertę.

--W środku znajdzie pan podpisany list.

Profesor otworzył kopertę. List okazał się oficjalną prośbą o „leczenie” podpisaną przez obie strony.

--Proszę im przekazać, że zrobię to z przyjemnością. Właśnie po to opracowałem tę terapię.

--Dziękuję. -- Max zawiesił głos. -- I jeszcze jedno. Tym razem proszę zastosować MIN Siedemdziesiąt Dwa, wersję permanentną.

10 września

Nieruchome wieczorne powietrze było ciężkie od gryzącego dymu cygar. Po comiesięcznym spotkaniu z nienależącymi do rodziny członkami dyrekcji, które odbyło się w siedzibie banku, Kappelowie wrócili do Schloss, aby omówić nielegalne aspekty swojej działalności. Było już po kolacji i mężczyźni udali się na taras, gdzie służący w białej marynarce przyniósł srebrną tacę z czterema drinkami: brandy dla Helmuta, Joachima i Klausa i jednosłodową whisky dla Maksa. Tymczasem panie usadowiły się w bawialni z Delphine Chevalier.

Helmut użył arabskiego nożyka do obcięcia końcówki cygara i zaoferował je Maksowi. Rzadko proponował komukolwiek papierosy albo cygara, więc był to rodzaj wyróżnienia.

--Zapał ze mną, Max. Dymu cygar się nie wdycha, więc nie musisz się martwić, że uszkodzisz sobie płuca i będziesz gorzej nurkować.

Max zawahał się, ale przyjął cygaro w tym samym duchu, w którym zostało zaoferowane. Gdy ojciec otworzył zapalniczkę i podał mu ogień, czuł na sobie palący wzrok Joachima.

Kiedy po odejściu służącego Helmut zamknął drzwi, Klaus zadał pytanie, którego wszyscy unikali przez całą kolację:

--Gdzie jest Eva?

Helmut wydmuchnął dym z cygara i odparł:

--Rozwodzę się z nią. Dokumenty już są przygotowane. Za chwilę zrozumiesz dlaczego. Ale najpierw muszę wam coś powiedzieć.

--Tak?

Helmut wskazał Klausowi krzesło. Max i Joachim również usiedli. Helmut nadal stał.

--Nasza rodzina zdobyła majątek i pozycję w świecie dzięki wykorzystaniu dwóch najbardziej pierwotnych ludzkich lęków i namiętności: strachu przed śmiercią i chciwości. -- Popatrzył kolejno na każdego z nich. -- Jako skrytobójcy we Włoszech osiągnęliśmy sukces, ale wciąż byliśmy tylko sługami zabijającymi na zlecenie naszych panów. Na szczęście nasz przodek Dieter Kappel zrozumiał, że każdy organizm musi ewoluować. Tak więc porzuciliśmy naszą służebną rolę i staliśmy się partnerami w interesach, bankierami. Przez ostatnich dwieście lat cieszyliśmy się wielkim majątkiem, pozycją i sukcesami, pomnażając bogactwa klientów i własne.

--Obecnie stoimy przed następnym dylematem. Niektórzy z naszych klientów, ludzie, którzy zawdzięczają nam fortunę, grożą, że zamkną swoje konta i wycofają fundusze. Znowu stajemy w obliczu zagłady i znowu musimy przejść ewolucję albo zginąć. Założyliśmy Comvec, żeby przenieść naszą działalność na wyższy poziom, lecz sam Comvec nie uratuje nas. Nie wystarcza już, że będziemy partnerami dla naszych klientów. Musimy się stać ich panami. Musimy zaprząć nasze umiejętności, te w zarządzaniu kapitałem i te w zabijaniu, aby wykorzystać największą ludzką słabość, największą namiętność, którą możemy teraz nie tylko zaspokoić, lecz także kontrolować. Miłość.

--Miłość? -- powtórzył Klaus, drapiąc się w siwą brodę. -- Nie rozumiem.

Kiedy Helmut streścił istotę projektu profesora Bacciego, Klaus zmarszczył brwi i skrzyżował ręce na piersiach, równie sceptyczny jak przedtem Max.

--Zastanów się nad tym, Klaus -- powiedział Helmut. -- Wyobraź sobie możliwość zdobycia

dowolnej kobiety albo mężczyzny. Zdobyć nie tylko ich ciała, lecz także serca, duszy, dozgonnego oddania. Któż zdołałby się temu oprzeć?

--Ale czy to działa?

--Z punktu widzenia nauki tak -- zapewnił Joachim. Zaczął wyjaśniać działanie terapii, lecz Klaus puścił jego wywody mimo uszu.

--Max, co o tym myślisz?

Max wzruszył ramionami.

--Też myślałem, że to kit -- odparł. -- Dopóki sam nie wypróbowałem terapii.

Klaus rozkrzyżował ramiona.

--I co się stało?

--Zaufaj mi, Klaus, to działa -- rzekł Max i opowiedział o Antibes.

--Joachim rozpracowuje technologię -- oznajmił Helmut -- a Max przygotował dwa biznesplany. Jeden zaprezentujemy Bacciemu, a drugi wykorzystamy do własnych celów. Plan dla Bacciego będzie typowym harmonogramem wdrażania projektu, łącznie z testami klinicznymi i propozycjami marketingowymi. Kalendarz będzie się rozciągał na lata, tak jak przy wszystkich programach wdrażania nowych leków, i oczywiście nigdy nie zostanie zrealizowany. Tajny projekt zakłada utrzymanie istnienia terapii w sekrecie i czerpanie zysków z jej stosowania.

--Ale co z nią zrobimy? -- zapytał Klaus. -- Zamieścimy reklamę w gazecie: „Miłość na sprzedaż”?

Helmut uśmiechnął się.

--Niezupełnie. -- Sięgnął do aktówki, wyjął cztery niebieskie teczki i rozdał je obecnym. -- To szkic projektu.

Max otworzył dokument, który pomógł przygotować. Nazwa projektu, wypisana na okładce czarnym pogrubionym drukiem, była jego pomysłem, ale nie rozpoznawał niektórych późniejszych rozdziałów.

--Od tej pory będziemy się odnosić do projektu, tylko używając kryptonimu -- oświadczył Helmut.

--Ilium? -- zdziwił się Klaus.

--To grecka nazwa Troi -- wyjaśnił Max -- dokąd porwano Helenę, najbardziej pożądaną kobietę starożytnego świata. Kiedy Parys wykradł Helenę mężowi, Grecy wszczęli wojnę, aby ją odzyskać. Namiętność, jaką budziła, symbolizuje potencjalną siłę terapii.

--W szczególności Ilium -- podjął Helmut -- nie wprowadzimy żadnego pracownika Kappel Privatbank, będziemy działać tylko we czterech. Nikt inny nie może się dowiedzieć o terapii, zwłaszcza klienci, którym sprzedamy jej efekty.

Max słuchał, jak ojciec streszcza plan, który wymyślili w nocy jego powrotu z Francji.

Czterej główni klienci, którzy zagrozili, że opuszczą bank: Corbasson, Łysenko, Hudsucker i Nadolny, staną się pierwszymi królikami doświadczalnymi. Niepostrzeżenie wstrzyknie się im permanentną postać MIN 072 z informacją genetyczną o twarzach niczego niepodważających kobiet, a potem zostaną zaproszeni na weekend w dyskretnym miejscu, gdzie poznają obiekty swojej miłości. Kobietom poda się potajemnie tymczasową postać terapii MIN 069 z informacją genetyczną odpowiedniego mężczyzny i przez dwa dni ich obsesyjne namiętności będą zaspokojone. Wreszcie, w przeddzień rozstania, gdy tymczasowa terapia

będzie traciła skuteczność, każdego z trwale zakochanych klientów poinformuje się, że jeśli chcą zapewnić sobie dożgonną miłość ukochanej, muszą wziąć udział w aukcji i przebić obecną stawkę. W rzeczywistości żaden nie będzie miał rywali i będzie się licytował sam ze sobą.

Uzgodnili, że próba odbędzie się w dyskretnym, łatwym do kontrolowania miejscu, ale gdy teraz ojciec opisywał plan, Max zdał sobie sprawę, że zmienił pierwotne ustalenia.

--Aby zwabić nasze ofiary, musimy zorganizować szeroko nagłościoną imprezę, która symbolizowałaby potencjał terapii -- powiedział Helmut -- i dzięki której będziemy mogli dokonać wstępnej selekcji kobiet, które staną się partnerkami naszych klientów. Musi się ona odbyć w miejscu luksusowym i zarazem ustronnym, abyśmy mieli pewność, że wszyscy przyjmą zaproszenia i że będziemy mogli ich łatwo kontrolować.

--Dlaczego chcesz nagłaścić to wydarzenie? -- spytał Max. -- Myślałem, że chodzi o to, by działać po cichu. Dyskretnie ściągnąć zapłatę od pierwszej czwórki, skorygować ewentualne błędy i zająć się następnymi.

Klaus krzywił się z niesmakiem.

--Zgadzam się z Maksem. Powinniśmy zachować to w tajemnicy, a nie ściągać na siebie uwagę.

Helmut uniósł ręce.

--Tajemnica owszem, jeśli chodzi o terapię, lecz nie przy scenie, na której ją sprzedajemy. Nasi pierwsi klienci są ludźmi zajętymi i pełnymi pychy. Musimy zwabić ich na aukcję, a gdy się znajdą na miejscu, przekonać, że tylko my możemy im zapewnić miłość, której pragną. Musimy pokazać swoje atuty. Bo inaczej czemu mieliby nam wierzyć? Albo płacić?

--Ale to miał być tylko test.

--Gdzie twoja odwaga, Max? -- wtrącił się niespodziewanie Joachim.

Max odwrócił się do brata. Spojrzał na jego jaskrawą muszkę i błysk w oczach. Joachim rozmawiał już z ojcem, pomyślał, może nawet podsunął mu bardziej efektowne rozwiązanie.

--Tu nie chodzi o odwagę -- odrzekł.

--Właśnie, raczej o zdrowy rozsądek -- poparł go stryj.

--Spokojnie, Klaus -- powiedział Helmut. -- Czasami trzeba trochę zaryzykować, żeby naprawdę dużo zyskać.

--Co to za głośna impreza, która ma symbolizować potęgę terapii?

Helmut ponownie się uśmiechnął.

--Ślub -- odparł. -- Ślub w rodzinie Kappelów.

Max zrozumiał, co ojciec ma na myśli. Przypomniała mu się sugestia, którą wysunął, gdy we dwóch obmyślali plan wykorzystania MIN. Klaus był zdeprimowany.

--Max żeni się z Delphine Chevalier? Jak duże może to wzbudzić zainteresowanie?

Helmut jęknął.

--Nie, Klaus, Max nie żeni się z Delphine Chevalier. -- Wyciągnął z aktówki egzemplarz „Vogue'a”, otworzył na stronie zaznaczonej żółtą karteczką i położył na stole.

Klaus przyjrzał się pismu, a potem z wyraźnym niedowierzaniem podniósł wzrok na brata.

--Ona?

--Teraz rozumiesz?

Część druga

1 października

Isabella Bacci stała przed drzwiami oddziału pediatrycznego i żegnała się z Sofią. Cieszyła się, że dziewczynka wraca do domu i że pomogła jej rodzicom pogodzić się z prozopagnozją.

--Sofio, podziękuj pani doktor za wszystko.

Dziewczynka nieśmiało podała Isabelli składaną laurkę. Na pierwszej stronie narysowała kobietę w białym lekarskim fartuchu. Isabella otworzyła laurkę i przeczytała:

„Nigdy Pani nie zapomnę, doktor Isabella. Dziękuję. Calusy, Sofia”.

Przytuliła małą.

--A ja nigdy nie zapomnę ciebie.

Ojciec Sofii uścisnął Isabelli rękę.

--Bardzo pani dziękuję, doktor Bacci. -- Skinął na ekstrakt amigo w chłodziarce. -- Kiedy będzie pani potrzebowała ochotników do testów, proszę do mnie zadzwonić. Chcę pomóc pani w badaniach, a jednocześnie lepiej zrozumieć stan córki.

--Dziękuję. Gdy tylko dostanę zgodę od komisji etyki, dam panu znać.

Kiedy przechodzili przez drzwi z zabezpieczeniem, ojciec Sofii zatrzymał się i postukał w czytnik DNA.

--I proszę nie zapomnieć o tym, co pani mówiłem. Jeśli szpital będzie chciał poprawić system bezpieczeństwa, mogę załatwić InterFace 3500.

--Na pewno nie zapomnę. -- Patrzyła za nimi, gdy trzymając się za ręce, szli długim szpitalnym korytarzem. Potem przez kilka chwil stała nieruchomo, przyglądając się laurce od Sofii. Wreszcie wsunęła kartkę do kieszeni na piersi i zerknęła na zegarek.

Na wieczór miała zarezerwowane miejsce w pierwszym rzędzie na pokazie z okazji mediolańskiego tygodnia mody jesiennej, gdzie wystąpi Phoebe. Później razem z grupą innych gości, między innymi Kathryn Walker i Gisele Steele, gwiazdą filmową, która zaprzyjaźniła się z Phoebe przy organizowaniu pewnej imprezy charytatywnej, wybierała się na kolację. Wieczór zapowiadał się na elegancki i banalny, będzie więc doskonałym antidotum na jej codzienną pracę.

Kiedy przechodziła przez oddział nagłych wypadków, onkolog, z którym flirtowała, odkąd zaczęła pracę w szpitalu, uśmiechnął się do niej, ale po doświadczeniach z Leo i Makssem wołała odpocząć od facetów i skoncentrować się na pracy. Po Antibes była pewna tylko tego, że definitywnie uporała się z utratą Leo. Nie potrafiła natomiast pojąć, jak Max mógł być tak namiętny w jednej chwili i tak obojętny w następnej. Fakt, że sama czuła to samo, bynajmniej nie pomagał jej rozwiązać dylematu.

Irytowało ją, że myśli o Maksie. Phoebe widziała go w biurze Odyne w zeszłym tygodniu -- widocznie projektant był jednym z klientów banku. Dopóki Phoebe jej o tym nie napomknęła, prawie zdołała o nim zapomnieć.

W szatni zdjęła fartuch i wzięła swoje rzeczy z szafki. Miała akurat tyle czasu, żeby wrócić do domu i się przebrać. Jedna z pielęgniarek uchyliła drzwi i zajrzała do środka.

--Doktor Bacci, dzwonił do pani jakiś mężczyzna. Powiedział, że to sprawa osobista.

Podawała Isabelli złożoną kartkę papieru.

Max?

Serce zabiło jej mocniej, gdy przeczytała ostatni wiersz notatki: „*Proszę zadzwonić do niego na telefon komórkowy*”. Ostatnie dwa słowa były podwójnie podkreślone. Potem rozłożyła kartkę. Westchnęła zawiedziona. „*Dzwonił Leo*”.

Zmięła kartkę i wyrzuciła ją do kosza.

Isabella przebrała się w prostą granatową sukienkę od Nicole Fahri, jedyny autentycznie designerski ciuch, jaki posiadała, i na chwilę przed rozpoczęciem pokazu Odyna zjawiała się przed imponującą bramą Palazzo Farnese.

Pokaz norweskiego projektanta był jedną z najgorętszych imprez mediolańskiego tygodnia mody. Dziennikarze uwielbiali przedstawiać Odyna jako szalonego, ekstrawaganckiego geniusza, a z tego, co opowiadała Isabelli Phoebe, bynajmniej nie przesadzali. Jego ostatnim kaprysem był zakup całego fiordu pod kołem podbiegunowym w ojczystej Norwegii razem z wyspą, na której wybudował baśniowy kryształowy pałac, który nazwał Walhalla.

Na dziedzińcu zebrał się już tłum widzów, którzy raczyli się przystawkami i szampanem. Gdy przyglądała się twarzom, szukając kogoś znajomego, ogarnęła ją panika. Wiele osób wyglądało znajomo, lecz tylko dlatego, że były sławne. Poczula się jak dziecko pierwszego dnia w nowej szkole.

Podala zaproszenie chudej jak szczapa pracownicy PR, która zlustrowała ją wzrokiem.

--Skąd pani jest? Z jakiego magazynu? Może od któregoś ze sponsorów?

--Jestem tylko przyjaciółką -- odparła Isabella.

--Przyjaciółką? -- powtórzyła kobieta, jakby miała trudności ze zrozumieniem, co to znaczy.

--Na pani miejscu bym jej nie wpuszczała -- odezwał się cichy głos z amerykańskim akcentem. -- W przeciwieństwie do pani i do mnie jest tylko lekarką, która ratuje ludziom życie.

To była Kathryn, a obok niej Gisele. Wzięły ją za ręce i pociągnęły za sobą. Isabella z satysfakcją patrzyła na zawstydzoną i przymilną minę pracownicy PR.

Gisele Steele miała doskonałą figurę, piękną kakaową cerę, duże ciemne oczy i krótko obcięte włosy.

--Milo cię poznać, Isabello. Jestem Gisele. Szkoda, że nie udało mi się dojechać do Antibes; słyszałam, że świetnie się tam bawiłyście.

Isabelli spodobał się jej uśmiech i to, że pomimo sławy przedstawiła się.

Zdążyły tylko wypić lampkę szampana, zanim wszystkich zaproszono do wielkiej komnaty, gdzie odbywał się pokaz. Usiadły w pierwszym rzędzie, a Isabella starała się nie gapić na Madonnę i Jennifer Lopez.

--Patrz! -- szepnęła jej do ucha Kathryn i pokazała palcem.

Isabella spojrzała na drugi koniec pierwszego rzędu i zobaczyła dwóch mężczyzn zajmujących właśnie miejsca. Wyższego i młodszego z nich rozpoznała natychmiast i serce zabiło jej mocniej. Co robił tutaj Max Kappel? Odruchowo poprawiła włosy i wygładziła sukienkę. Prezentował się nawet lepiej, niż go zapamiętała; poczuła zarówno ulgę, jak i zawód, kiedy nie odwzajemnił jej spojrzenia. Przygaszono światła, *Cwałowanie walkirii* Wagnera ucichło i na widowni rozległ się pomruk oczekiwania.

Kiedy na wybiegu pojawiła się Phoebe, Isabella z trudem powstrzymała się od wiwatów. Przyjaciółka miała na czole pozłacaną opaskę, a jasne włosy opadały jej luźno na ramiona. Świetny tusz do rzęs dający efekt szronu, kredka do powiek i krwistoczerwona szminka zmieniły jej piękną buzię w twarz królowej wojowniczkki. Pod futrzaną pelerynką spięta

ogromnym złotym zatrzaskiem miała obcisły gorset ze złocistej tkaniny przypominający napierśnik i podkreślający każdą wypukłość figury. Krótka spódniczka z futra renifera podkreślała długość nóg, a złocone sandały na obcasach, z plecionymi rzemykami, które owijały się wokół łydek, dodawały co najmniej siedem centymetrów do jej naturalnego wzrostu.

Isabella przeczytała kiedyś, że Phoebe jest nie tylko najpiękniejszą z modelek, lecz także porusza się z największą gracją i właśnie dlatego projektanci cenią ją tak wysoko. Kiedy dotarła do końca wybiegu, wykonała dwa pełne obroty i zawróciła.

Przy nawrocie wolno odwróciła głowę na boki, a gdy znowu mijala Isabellę, coś albo ktoś na widowni sprawił, że straciła swe legendarne opanowanie. Niczym spłoszona klacz pełnej krwi potknęła się i upadła. Rozległo się zbiorowe westchnienie, a potem spontaniczny aplauz, gdy dźwignęła się na nogi i z wdziękiem ruszyła dalej.

Przez moment Isabella widziała wyraz szoku na twarzy przyjaciółki. Podążyła za jej wzrokiem i zobaczyła, że Phoebe patrzy w stronę Maksa Kappela. Dopiero po chwili uzmysłowiła sobie, że spogląda wcale nie na Maksa, tylko na starszego mężczyznę siedzącego obok. Sądząc po rodzinnym podobieństwie, mężczyzna ów był ojcem Maksa.

Dwie godziny później

Co tu jest, do cholery, grane? -- zastanawiała się Isabella, gdy zajęła miejsce w niedużej ekskluzywnej restauracji Aimò e Nadia przy via Montecuccoli.

Po pokazie ona, Gisele i Kathryn poszły za kulisy, lecz Phoebe była już obłączona przez tłum wielbicieli. Prezentację kolekcji przyjęto entuzjastycznie i Odyn, obsypawszy deszczem komplementów swą dzielną muzę, która pomaszerowała dalej, mimo iż przy upadku skręciła kostkę, zaprosił grono wybranych osób do swojej ulubionej mediolańskiej restauracji, by uczcić sukces.

Phoebe siedziała między Odynem a ojcem Maksa. Helmut Kappel miał bardzo jasne błękitne oczy i nieodgadniony wyraz twarzy. Z jakiegoś niepojętego powodu trzeźwo myśląca Phoebe, która odrzuciła zaloty licznych przystojnych i bogatych kawalerów, flirtowała z nim -- facetem na tyle starym, że mógłby być jej ojcem. Jakby mało było tych nieszczęść, Isabella została oddzielona od Gisele i Kathryn i posadzona na końcu stołu, naprzeciwko Maksa.

Pociągnęła duży łyk wina -- uznała, że musi się upić.

--Max, co za niespodzianka. Nigdy bym nie pomyślała, że interesujesz się modą.

Uśmiechnął się.

--Odyn jest naszym klientem. -- Zerknął na ojca, który żartował z Odynem i Phoebe. -- Wspieraliśmy go, kiedy był jeszcze nieznanym projektantem usiłującym się wybić, więc miło nam, że możemy uczcić jego sukces.

W tym momencie Phoebe pochylała się i szepnęła coś Helmutowi Kappelowi do ucha. Gest był intymny jak pocałunek i Isabella mimowolnie odwróciła wzrok. Cemu Phoebe tak się zachowuje? Świadoma, że stale jest obserwowana, do tej pory zawsze unikała jakichkolwiek gestów mogących dać powody do plotek czy spekulacji na temat jej życia prywatnego. Isabella wymieniła spojrzenia z Kathryn. Ona także zauważyła dziwne zachowanie przyjaciółki.

--Ile lat ma twój ojciec? -- zapytała Maksa.

--Sporo.

--Mówiłeś, że jest żonaty.

Skinął głową.

--Bo był. Trzy razy. Rozwód z żoną numer trzy jest w toku. -- Spojrzał w odległy kąt restauracji. -- Jakiś facet na nas patrzy. Starał się być dyskretny, ale kobieta, z którą siedzi, zauważyła to i teraz oboje się na nas gapią. Myślałem, że wypatrują znanych twarzy, ale nie: patrzą na ciebie.

--Na mnie? -- Obejrzała się przez ramię i zobaczyła Leo z Giovanną. O mało nie zakrztusiła się winem. Wieczór zmieniał się w prawdziwy koszmar. Wstała i wytarła wino z sukienki.

Max podniósł się z miejsca.

--Wszystko w porządku? Przynieść ci coś?

--Nie, dzięki -- odparła, usiłując ukryć zdenerwowanie. -- Przepraszam.

Poszła do toalety, stanęła przy umywalce i zmywszy plamę zimną wodą, ustawiła się przed suszarką do rąk i stała tam tak długo, aż wysuszyła sukienkę. Najchętniej wróciłaby do domu, ale to był wieczór Phoebe. Uznała, że musi to jakoś przetrzymać. Otworzyła drzwi i wyszła z łazienki.

Tuż przed nią wyrósł Leo. Zawsze uważała, że jest przystojny, ale nie dzisiaj. Twarz, która kiedyś wydawała jej się wrażliwa i czuła, teraz była po prostu ucieleśnieniem słabości. Nie mogła się powstrzymać od niepochlebnego porównania jego chłopięcego wyglądu z cichą charyzmą Maksa.

--Przekazano ci moją wiadomość? -- zapytał i zerknął bojaźliwie przez ramię. --

Tęskniłem za tobą. Nie powinienem był pozwolić ci odejść.

--Nie pozwoliłeś mi odejść, Leo. Rzuciłeś mnie.

--Popelnilem błąd.

Jeszcze parę tygodni wcześniej Isabella oddałaby wszystko, żeby usłyszeć te słowa, ale teraz tylko ją zirytowały. Spojrzała w głąb restauracji i zobaczyła, jak Giovanna wstaje od stolika.

--Czy ona wie, że jest dla ciebie „błędem“?

--Ma dzisiaj urodziny. Dlatego tu przyszliśmy. Chciała się wybrać do najlepszej restauracji w Mediolanie. Nie mogę jej jeszcze tego powiedzieć. Nie chcę jej zranić.

--Ze zranieniem mnie nie miałeś problemów, ale przecież byłam tylko narzeczoną, która przeniosła się na drugą półkulę, żeby za ciebie wyjść.

Skinął w kierunku Maksa.

--Czy to twój nowy...?

O mało nie parsknęła śmiechem.

--Na litość boską, Leo, zostaw mnie w spokoju. -- Chciała go wyminąć, lecz na drodze stanęła jej Giovanna. Była już mocno wstawiona.

--Zostaw go w spokoju, suko -- syknęła. -- Dlaczego nie potrafisz pogodzić się z faktem, że Leo już cię nie chce?

Isabella westchnęła.

--Jeśli chcesz na kogoś krzyczeć, Giovanni, to krzycz na niego. To on mi się narzuca.

Wzrok Giovanny powędrował do Leo, a potem znowu do niej i Isabelli prawie zrobiło się jej żal. Giovanna uniosła rękę i... silna dłoń chwyciła ją za przegub.

--Czy wszystko w porządku, Isabella? -- spytał Max.

--W jak najlepszym -- wycedziła przez zęby.

Max zwrócił się do Leo.

--Myślę, że powinien pan zabrać tę panią do domu.

Leo spiorunował go wzrokiem, lecz coś w tonie Maksa sprawiło, że wyprowadził Giovannę.

Kiedy Isabella wróciła na swoje miejsce, Kathryn pochylila się przez stół.

--Ilu jeszcze byłych chłopaków zamierzasz dzisiaj spotkać? -- spytała.

Isabella przewróciła oczami.

--Dwaj to aż nadto.

--Dobrze się czujesz?

Isabella uniosła kieliszek.

--Jakoś przeżyję. Ale jeśli zjawi się Billy Bohannon ze szkoły, to się stąd zmywam.

Zanim Max wrócił do stołu, wino zdążyło rozwiązać jej język. Duma podpowiadała jej, że powinna milczeć, lecz w głębi duszy wiedziała, że jeśli teraz nie podejmie tej sprawy, będzie ją to prześladować.

--Co się wydarzyło między nami w Antibes? -- spytała.

Max zamrugnął, wyraźnie zaskoczony. Potem pochylił się do przodu, oparłszy łokcie na stole, a dłonie złożywszy w piramidkę: zmienił się w bankiera, który ma zamiar wyjaśnić klientowi, dlaczego nie udzieli mu kredytu.

--Sam nie wiem. -- Uśmiechnął się z rezerwą. -- Wiem tylko, że przeżyliśmy chwilę cudownego szaleństwa.

Była zaskoczona, jak bardzo zabolęła ją, że tak łatwo zbył cały epizod. Ostatnie strzępy dumy domagały się, żeby natychmiast zmieniła temat. Ale nie mogła. Zerknęła na innych gości przy stole; wszyscy byli pochłonięci swoimi rozmowami.

--Zdarzały mi się przelotne miłości i wakacyjne romanse, ale teraz było inaczej. Nigdy wcześniej uczucie nie było tak intensywne i potężne. I myślę, że też to czuleś. -- Zniżyła głos. -- Wyznaliśmy sobie miłość. Nie wiem jak ty, ale ja nigdy nie powiedziałam tego ot, tak.

--Ja w ogóle nigdy tego nie mówiłem -- odparł. -- Ale to był błąd.

--Błąd?

Dostrzegła jakiś błysk w jego oczach, który zniknął równie szybko, jak się pojawił.

--Ja nie pozwalam sobie na miłość -- wyjaśnił.

Poczuła, że się rumieni.

--Mówisz, jakby to była słabość, jak palenie papierosów.

--A nie jest tak? -- rzucił ostro i dodał łagodniejszym tonem: -- Mogę ci zadać osobiste pytanie?

O mało nie parsknęła śmiechem.

--Oczywiście.

--Żyjesz tak emocjonalnie, tak bardzo się we wszystko angażujesz. Jak potrafisz to przetrwać? Jak się bronisz?

--Przed czym? Przed miłością?

Wzruszył ramionami.

--Nikt nie może się przed nią obronić, Max. Nawet ty. -- Wyraz jego twarzy nagle się zmienił. Wyglądał teraz jak chłopiec. -- Nie możesz panować nad miłością.

--Mogę próbować.

--Ale dlaczego?

Zmarszczył brwi.

--Bo miłość nas osłabia, może nas zranić -- odparł.

Patrzyła w jego błękitne oczy, aż wreszcie spuścił wzrok. Miała wrażenie, że go rozumie: ktoś złamał mu serce. Ale z drugiej strony, kto nie przeżył miłosnego zawodu choćby raz w życiu?

--Nie zgadzam się -- powiedziała. -- Miłość niekoniecznie osłabia. Może dać nam także siłę, sprawić, że pragniemy być lepsi. -- Wstała od stołu. -- Dziwisz się, jak mogę przetrwać, „pozwalając sobie na miłość”. Nie jestem pod tym względem żadnym wyjątkiem. Ludzie „pozwalają sobie na miłość” cały czas.

Obserwując Isabellę zegnającą się z przyjaciółkami, Max zastanawiał się, jak osoba tak inteligentna, pełna pasji i odważna może być tak naiwna, by wierzyć, że miłość dodaje siły.

Podziwiał ją jednak. Mogła być idealistką, ale o stalowym hartu ducha. Nie cofała się przed postępowaniem według swoich przekonań, choćby były nierozsądne. Zastanawiał się, czemu Leo wybrał bogatą, zblazowaną Giovannę zamiast niej, i nagle zdał sobie sprawę, że

zamierza uczynić to samo. Dla niego bezpiecznym wyborem była Delphine Chevalier: małżeństwo z nią służyło interesom rodziny, a poza tym nie zagrażało jego emocjonalnemu status quo. Jednak Leo najwyraźniej żałował swojego wyboru i pragnął powrotu Isabelli -- czyli zachowawcza strategia też niosła pewne ryzyko.

Max pomyślał ze smutkiem, że Isabella pomimo całej swojej inteligencji ludzi się, iż nad miłością nie można zapanować. Terapia jej ojca zburzyła ten mit. Zerknął na Phoebe. Panowanie nad miłością było przygnębiająco łatwe.

Wstrzyknięcie Phoebe permanentnej wersji MIN okazało się dziecinnie proste. Odyn był lojalnym klientem, który nigdy nie zapomniał, jak bardzo finansowe i doradcze wsparcie Kappel Privatbank pomogło mu odnieść sukces w świecie kreatorów mody. Gdy Max wyraził chęć poznania Phoebe, projektant zaplanował sesję zdjęciową z modelką tak, by odbyła się tuż po ich rozmowie. Max, witając się z Phoebe, przytrzymał jej dłoń o ułamek sekundy dłużej niż zwykle, co wystarczyło, by wstrzyknąć preparat. Zaaranżowanie spotkania pięknej modelki z jego ojcem okazało się jeszcze prostsze. A jeśli chodzi o miłość, która dodaje siły, wystarczyło spojrzeć na oddanie w oczach Phoebe, aby się przekonać, jak bardzo Isabella mija się z prawdą. Nawet on był zaskoczony, z jaką gwałtownością Phoebe zakochała się od pierwszego wejrzenia. Miłość zniewoliła ją, ale w oczach ojca widział tylko triumf i pożądanie. Gdy projekt Ilium wkroczy w następną fazę, Isabella zrozumie, że można zapanować nad miłością.

Max słyszał kiedyś, że im więcej miłości się daje, tym więcej otrzymuje się jej w zamian. Kompletny nonsens. Jego matka dała więcej miłości niż ktokolwiek, a jak mało dostała w zamian. Miłość służy temu, kto jest kochany, nigdy zakochanemu.

Isabella pożegnała się z Kathryn Walker i Gisele Steele, a potem podeszła do Phoebe. Coś w głosie przyjaciółki musiało dotrzeć do Phoebe i przełamać miłosne zaklęcie, bo oderwała wzrok od jego ojca i wyszła z Isabellą z restauracji.

Max zobaczył, jak ojciec marszczy brwi, i uśmiechnął się.

Godzinę później

Co jest ze mną nie tak? -- zastanawiała się Isabella. -- Ledwie dałam sobie spokój z Leo, on błaga, żebym wróciła. A potem facet, na którym akurat mi zależy, mówi, że mnie nie chce, bo „nie pozwala sobie na miłość”.

Phoebe nalala przyjaciółce następny kieliszek amaretto.

--W miłości nie ma logiki.

Isabella napiła się, licząc, że to ją uspokoi. Siedziała w kuchni Phoebe, która, jak reszta przestronnego penthouse'u, była ciepła i przytulna: naturalne drewno i włoska glazura współgrały z jasnymi ścianami. Kuchnia przylegała do salonu, z którego okien roztaczał się wspaniały widok na Duomo. Wnętrze apartamentu było zaskakująco domowe jak na kogoś, kto prowadzi iście nomadyczny tryb życia. Phoebe zbierała małe figurki pingwinów i nie zwracała najmniejszej uwagi na to, czy pochodziły z tanich strzelających zabawek bożonarodzeniowych, czy były wspaniałymi kryształowymi cackami, za które zapłaciła fortunę. Miała za to bardzo mało swoich zdjęć -- z wyjątkiem łazienki, gdzie wisiały oprawione w ramki okładki „Vogue'a”. Jak zwykła mawiać: „Trudno traktować siebie poważnie, kiedy się siedzi na kibelku”.

--Dzięki, że ze mną wróciłaś -- powiedziała Isabella, gdy trochę ochłonęła. -- Nie musiałaś tego robić.

--Jesteś moją przyjaciółką.

--Wiem, ale przepraszam, jeśli zepsułam ci wieczór.

--Nie wygłupiaj się. Świetnie się bawiłam.

--Zauważyłam -- przyznała Isabella. -- Co właściwie zaszło między tobą i starym Kappelem?

--Wcale nie jest taki stary.

Isabella ledwo mogła uwierzyć: Phoebe Davenport, trzeźwo myśląca supermodelka, rumienila się na wspomnienie spotkania z wapniakiem.

--Daj spokój, Phoebe, chyba nie mówisz poważnie. On jest ojcem Maksa, na litość boską.

--I co z tego? -- odparła Phoebe poważnie. -- Wiem, że to dziwne, i nie potrafię tego wytłumaczyć, ale nigdy wcześniej nie czułam czegoś takiego. Kiedy go zobaczyłam, miałam wrażenie, jakbym znała go od zawsze. To było jak rażenie pioruna, poczułam, że muszę z nim być.

--A co z obietnicą, że nie dasz zawrócić sobie w głowie żadnemu facetowi, dopóki nie będziesz gotowa? Pamiętasz włoskiego hrabiego? Był nieziemsko przystojny, zalecał się do ciebie przez kilka miesięcy i obiecywał cały świat, ale powiedziałaś, że nie jesteś gotowa, żeby się zaangażować. A teraz po jednym wieczorze skradł ci serce facet, który kopci jak komin, miał prawie tyle żon co Henryk VIII i mówi takim głosem, jakby żuł papier ścierny. Co jest grane, Phoebe?

Phoebe wzruszyła ramionami.

--Wiem tylko tyle, że nawet teraz pragnę z nim być. Może przypomina mi o ojcu... może szukam archetypu ojca.

Isabella stuknęła się z nią kieliszkiem.

--W takim razie życzę ci powodzenia -- powiedziała. Miłość nie kieruje się zasadami logiki, a ona nie może mówić przyjaciółce, jak i kogo powinna kochać. -- Mam tylko nadzieję, że syn

różni się od ojca i twój związek z Helmutem Kappem ułoży się lepiej niż mój z Maksymem. --
Wciąż nie mogła zapomnieć piorunującego wrażenia, jakie zrobił na niej Max, kiedy spotkali się na plaży. I wtedy, gdy była o włos od śmierci, a on wyłonił się z ciemności i ją ocalił. Wciąż zdumiewał ją kontrast między zimną odwagą, z jaką rozprawił się z opryszkami, a jego późniejszą łagodnością. Właśnie dlatego tak trudno było go zapomnieć: zakochała się nie tylko w jego wyglądzie, ale i w jego czynach.

Może tak samo było z ojcem Maksyma i Phoebe. Bo piękna Phoebe nie mogła przecież zakochać się w twarzy starca.

Trzy dni później

Helmut Kappel wysiadł z mercedesa i ruszył przez parking w stronę laboratorium Carla Bacciego. Nie pamiętał, żeby kiedykolwiek był tak pełen życia. Przypomniła mu się mina Phoebe Davenport, gdy pierwszy raz na niego spojrzała. Przebiegł go dreszcz erotycznej energii i poczuł się jak młody byczek, któremu zazdroszczą wszyscy mężczyźni.

Ale to nie dlatego był teraz podekscytowany. Miłość Phoebe stanowiła jedynie przygrzywkę do pierwszej fazy projektu Ilium, który stanowił tylko początek bardziej dalekosiężnych planów. Ekscytację wywołał telefon od Joachima.

Helmut od początku dyskretnie wprowadzał młodszego syna w tajny projekt. Przez ostatni miesiąc Joachim pracował z Baccim, aby opanować technologię produkcji MIN, a równocześnie szperał w notatkach i próbkach profesora w poszukiwaniu tego, o co prosił ojciec. Dwa dni temu zadzwonił, aby oznajmić, że wreszcie ma mu coś do pokazania. Zachwycony Helmut przyjechał przed terminem planowanego spotkania z Baccim i Maksem.

Syn czekał na niego przy drzwiach laboratorium. Miał starannie uczesane włosy, okulary na nosie i jaskrawą muszkę widoczną nad białym fartuchem.

--Profesor Bacci wyszedł na lunch, *Vati* -- powiedział. -- Wróci na nasze spotkanie o drugiej, mamy więc co najmniej godzinę. Czy chcesz zaczekać na Maksa?

--Nie. Na razie zachowamy to dla siebie.

--Jak sobie życzysz.

To była pierwsza wizyta Helmuta w laboratorium Bacciego, ale kiedy podchodził za Joachimem do czerwonych drzwi, nawet nie rzucił okiem na lśniącą aparaturę.

--To pomieszczenie z próbkami, prawdziwa jaskinia Aladyna. -- Joachim otworzył drzwi i Helmut poczuł powiew chłodniejszego powietrza. Przy ścianach stały chłodziarki z drzwiczkami z matowego szkła. W środku znajdowały się rzędy fiolek oznaczonych symbolem „MIN” z trzema cyframi oraz kodem kreskowym u dołu. -- Są tu wszystkie wersje

terapii MIN.

Helmut przesuwiał palcami po szybcie, czytając etykiety. Próbował sobie przypomnieć numer, o którym wspomnieli Bacci. Wreszcie jego palec zatrzymał się przy MIN 042. Odwrócił się do Joachima.

--Czy to, to?

Joachim wziął z półki przy drzwiach palmtop, i czytnik, po czym wyjął fiolkę z chłodziarki. Kiedy przyłożył czytnik do kodu kreskowego u dołu etykiety, palmtop piknął, a na ekranie pojawił się nowy obraz. Joachim przeleciał wzrokiem tekst i podał komputer ojcu.

Helmut przewiął tekst, ignorując naukowy żargon, i przeczytał podsumowanie. Skutki były takie, jak mówił Bacci. Poczuł, jak przebiega go dreszcz.

--Działa? To ta próbka, którą Bacci przetestował na sobie?

Joachim potwierdził skinieniem głowy i szerokim gestem wskazał wszystkie chłodziarki.

--Wypróbował na sobie większość z nich. -- Ostrożnie uniósł fiolkę z MIN 042. -- Przy tej zanotował: „Działa aż za dobrze”. Mówiąc w uproszczeniu, ta wersja jest bardziej potężna i

mniej wyprofilowana od MIN Sześćdziesiąt Dziewięć oraz MIN Siedemdziesiąt Dwa.

Wywołuje tę samą miłosną obsesję, ale nie angażuje seksualności. MIN Czterdzieści Dwa działa bez względu na płeć czy orientację seksualną. -- Joachim wyjął z kieszeni fartucha strzykawkę PowerDermic. -- Tak jak prosiłeś, *Vati*, przygotowałem to w Comvecu. Oto

MIN

Czterdzieści Dwa z wklejoną sekwencją kodu genetycznego twojej twarzy.

Helmut wziął do ręki naładowaną strzykawkę. Była ciepła w zetknięciu z jego zimną skórą.

--Zgodnie z twoimi zaleceniami -- ciągnął Joachim -- wykorzystałem ten sam wektor, którego Bacci używa do MIN Siedemdziesiąt Dwa. Wirus zmienia kod genetyczny w komórkach macierzystych, więc efekty utrzymują się do końca życia.

--A mógłbyś użyć innego wektora? Tego, który opracowałeś w Comvecu?

Joachim zmrużył oczy.

--Dysponując czasem, mógłbym zastosować każdy wektor, jaki bym chciał. Ale dlaczego...

Zanim zdążył powiedzieć więcej, Helmut położył prawą rękę na jego karku i pochylił głowę tak, że zetknęli się czołami.

--Dobrze się spisaleś, synu, bardzo dobrze -- wyszeptał. -- Nigdy ci tego nie zapomnę.

W pierwszej chwili Joachim wyglądał na zszokowanego. Potem zarumienił się z dumy. Helmut nie potrafił sobie przypomnieć, kiedy -- jeśli w ogóle -- przytulił któregośkolwiek z synów. Odsunął się, ale wciąż trzymał lewą dłoń na ramieniu Joachima. Drugą wsunął razem ze użytą strzykawką do kieszeni marynarki. Jeśli ma spełnić swoje marzenie, musi zapewnić sobie bezkrytyczną lojalność Joachima. I od jutra będzie ją miał.

--Nie mów o tym nikomu.

--Nawet Maksowi? Ucisnął ramię syna.

--Nawet jemu. To nasz sekret.

Joachim rozpromienił się i Helmut niemal widział, jak syn rośnie z dumy.

--Czy to nowy projekt, *Vati*? Odrębny od Ilium?

--Wolę traktować go jako podprojekt -- odparł Helmut. -- Pomyślał o tkwiących w nim możliwościach i przebiegł go dreszcz. Jeśli mu się uda, nie tylko dorówna osiągnięciom Dietera Kappela, lecz wręcz je przyćmi.

--Jak go nazwiemy? -- spytał Joachim. Helmut wzruszył ramionami.

--Nazwijmy go po prostu od imienia bogini miłości: Wenus. Joachim uśmiechnął się szeroko.

--Komu zamierzasz wstrzyknąć MIN Czterdzieści Dwa?

--Jutro opowiem ci o wszystkim, łącznie z tym, czego po tobie oczekuję. Ale cała sprawa musi pozostać między nami dwoma.

Joachim pokiwał głową, a potem otworzył drzwi i wyprowadził ojca z magazynu.

Kiedy Max wszedł do laboratorium i zobaczył rękę ojca na ramieniu młodszego brata, od razu wyczuł, że między tymi dwoma zaszło coś, z czego on został wyłączony. Fular, który ojciec nosił, żeby ukryć pooperacyjną bliznę na szyi, był bardziej jaskrawy niż zwykle, a wzorek na jedwabiu przypominał ten na muszce Joachima. Nowa, bardziej młodzieńcza fryzura Helmuta jeszcze bardziej podkreślała uderzające podobieństwo ojca i młodszego syna. Wyglądali jak z tej samej sztancy.

Od pokazu mody nie rozmawiał z ojcem o Phoebe ani o tym, co się wtedy stało. Helmut nie docenił roli, jaką Max odegrał w zbliżeniu ich do siebie, a teraz zdawał się faworyzować Joachima, jakby to on prowadził projekt.

--Ominęło mnie coś? -- spytał.

Helmut pokręcił głową.

--Nie, zjawileś się w samą porę.

Max zachował obojętny wyraz twarzy.

--Jest Bacci?

--Je lunch z narzeczoną -- wyjaśnił Joachim. -- Powiedział, że mają jeszcze parę spraw do ustalenia przed ślubem. -- Uśmiechnął się do ojca. -- Wygląda na to, że ostatnio wszyscy się żenią.

Max usłyszał za sobą odgłos otwieranych drzwi. Wszedł profesor Bacci ubrany w ten sam źle dopasowany garnitur, który miał na sobie podczas pierwszej wizyty w Kappel Privatbank. Uśmiechnął się szeroko i uścisnął mu dłoń. Max poczuł nagłą sympatię do profesora. Coś w jego uśmiechu przypominało mu szkolnego trenera drużyny pływackiej, jednego z niewielu ludzi, którzy pomogli mu po śmierci matki, ucząc panowania nad bólem i przewycięzania wyrzutów sumienia poprzez ćwiczenia i samodyscyplinę.

--Wróciłem najszybciej, jak mogłem -- powiedział Bacci. -- Długo czekacie?

--Ja właśnie wszedłem -- odparł Max.

--Ja również -- rzucił Helmut.

Bacci zwrócił się do Joachima.

--Wszystko w porządku?

Joachim usiadł przy komputerze.

--Oczywiście.

Helmut sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki po kopertę, którą podał Bacciemu.

--Niech Joachim wraca do pracy, a my przejdźmy do pańskiego gabinetu, żeby porozmawiać o interesach.

W gabinecie Bacci usiadł za biurkiem i rozciął kopertę. Gdy zobaczył, co zawiera, otworzył szeroko oczy.

--To czek na trzy miliony euro.

--Proszę potraktować te pieniądze jako zaliczkę, wyraz naszej wiary w pana i dowód naszych dobrych intencji -- powiedział Helmut.

Max wyjął z aktówki biznesplan i trzy egzemplarze umowy. Położył papiery na biurku i wskazał biznesplan.

--To nasza propozycja wypuszczenia produktu na rynek -- wyjaśnił. -- Ma pan tu napisane wszystko, co już panu zaprezentowałem, a do tego wszelkie szczegóły, harmonogramy i budżet. Proszę się z tym zapoznać i dać mi znać, jeśli będzie pan miał jakieś pytania. -- Wskazał umowy. -- To są warunki naszego zaangażowania, które powinien pan podpisać.

Bacci wziął pierwszy egzemplarz z góry i przebiegł wzrokiem tekst.

--Wierzymy w pańskie przedsięwzięcie i jesteśmy skłonni przyjąć na siebie całe ryzyko -- powiedział Max. -- Zapewnimy pełne finansowanie i usługi doradcze do chwili, gdy towar trafi na rynek, łącznie ze wsparciem prawnym i technicznym, jakie oferuje Comvec. W rezultacie kupimy większościowe udziały w przedsięwzięciu, ale bez pakietu kontrolnego. To pańska

wizja i zachowa pan kontrolę nad projektem. Kiedy wejdziemy na rynek, będziemy pana zachęcać do wykupu naszych akcji po cenie rynkowej. -- Uśmiechnął się. -- Kappel Privatbank jest instytucją finansową, a Comvec został stworzony po to, by pomagać takim przedsięwzięciom jak pańskie w osiągnięciu sukcesu rynkowego. Nie jesteśmy w żadnym razie koncernem farmaceutycznym. Chcemy tylko pomóc we wdrożeniu pańskiego pomysłu, a potem odejść z dobrą stopą zwrotu naszej inwestycji. Bardzo dobrą stopą. Proszę jednak nie bagatelizować naszego udziału. To dla nas poważna inwestycja, ponieważ, jak wyjaśniłem w przedstawionej propozycji, prawdopodobnie upłynie sporo czasu, zanim wejdziemy na rynek. Pańska technologia jest potencjalnie kontrowersyjna, więc musimy dopilnować, żeby z etycznego punktu widzenia wszystko było bez zarzutu, zanim zwrócimy się do odpowiednich komisji w Europie i Stanach Zjednoczonych. Testy kliniczne trzeba przeprowadzić z najwyższą starannością, a to będzie wymagało cierpliwości od nas wszystkich. Z powodu długofalowego zaangażowania potrzebujemy zapewnienia, że jeśli coś się panu stanie, cały pański sprzęt komputerowy, aparatura laboratoryjna i dokumentacja trafią w nasze ręce. Dzięki temu będziemy w stanie odzyskać choć część włożonych funduszy. Czy to brzmi rozsądnie?

Bacci pokiwał głową.

--Tak sędzę.

--Świetnie. Umowy muszą zostać podpisane i zwrócone przed końcem tygodnia.

Rozległo się pukanie i do gabinetu wszedł Joachim.

--Carlo, przeglądałem twoją komputerową dokumentację z myślą o przyszłych testach klinicznych i natrafiłem na dwa katalogi, których nie rozumiem. Jeden nazywa się „Prozopagnozja”.

--To dla mojej córki. Nie ma nic wspólnego z terapią MIN. Część mojej pracy pokrywa się z jej badaniami i od początku zachowywałem odnośne wyniki, żeby przekazać je Isabelli, kiedy wprowadzimy terapię na rynek. A ten drugi katalog?

--Jest pusty. Znajduje się w katalogu „Skutki uboczne i zabezpieczenia MIN”. Nazywa się „Zerowy efekt substytucyjny”.

--To tylko zabezpieczenie, które wprowadziłem na samym początku. Możesz skasować.

Zanim Joachim zdolał powiedzieć coś więcej, na biurku Bacciego zadzwonił telefon. Max przyglądał się profesorowi, który podniósł słuchawkę, gdy tylko rozpoznał numer osoby dzwoniącej.

--Maria. -- Zasłonił słuchawkę dłonią. -- Moja narzeczona. Przepraszam.

Max, Joachim i Helmut ruszyli do wyjścia, lecz Bacci dał im znak, żeby zostali. W miarę jak słuchał, jego twarz coraz bardziej pochmurniała. Kiedy odłożył słuchawkę, był blady i roztrzęsiony. Wstał, wyszedł zza biurka i włączył telewizor w kącie pokoju.

Dziennikarz na ekranie występował na tle alpejskiego krajobrazu. Za nim kordon policji otaczał duży biały namiot stojący wśród drzew. Reporter mówił głosem: „Rozkładające się zwłoki znalezione w tym lesie należą prawdopodobnie do Marca Trapaniego i trzech jego podwładnych. Sposób, w jaki zadano śmierć, każe podejrzewać, że mordu dokonała korsykańska mafia próbująca wyeliminować konkurencję”.

Obejrzelik relację w milczeniu. Potem Bacci wyłączył telewizor i wróciwszy za biurko, schował twarz w dłoniach.

--Nie mogę w to uwierzyć -- powiedział. -- Rodzina mojego kuzyna nie należała do mafii.

Kiedyś tak, ale nie teraz.

--Przykro mi -- rzekł Max. Nie myślał o Sycylijczyku, odkąd zlikwidował jego korsykańskiego rywala w St. Martin i zakończył zbieranie materiałów o pochodzeniu i kontaktach profesora.

--To wstrząs dla nas wszystkich -- powiedział Helmut. -- Nie ma żadnego dowodu, że Trapani był powiązany z przestępczością zorganizowaną, a z całą pewnością nie mieliśmy podstaw podejrzewać go o coś podobnego. Możliwe, że znalazł się po prostu w niewłaściwym miejscu o niewłaściwej porze.

--Nie mogę w to uwierzyć -- powtórzył Bacci. -- Okazał mi tyle dobroci. Przedstawił mnie wam. -- Wskazał czek i umowy. -- Dzięki niemu to wszystko stało się możliwe.

Max zauważył, że ojciec odwrócił wzrok z cieniem uśmiechu na ustach. Domyślił się, co to znaczy.

--Wydaje mi się, że powinniśmy na tym zakończyć -- powiedział. -- Spotkamy się jeszcze, żeby omówić pozostałe sprawy.

Z konfrontacją poczekał, aż znaleźli się na parkingu.

--Dlaczego mi nie powiedziałaś, że zabiłeś Trapaniego?

Helmut Kappel zapalił czarnego papierosa i zaciągnął się głęboko.

Przez moment Max myślał, że się wyprze.

--Bacci powiedział Trapaniemu o terapii. Niedużo, ale dość, żeby go zainteresować. Trapani próbował wyrzucić na nas nacisk. Trzeba go było powstrzymać.

--Nie w tym rzecz. Dlaczego mi o tym nie powiedziałaś?

Ojciec przystanął.

--To ja kieruję rodziną, Max. Ja decyduję, kto i ile powinien wiedzieć. I uznałem, że nie ma potrzeby cię informować.

--Czego jeszcze postanowiłeś mi nie mówić?

Helmut spojrział na syna, a potem poklepał go po plecach.

--Daj spokój, Max, to nic wielkiego!

--Czego jeszcze mi nie powiedziałaś?

--O Ilium? Niczego. Wiesz wszystko. Zadowolony?

Nie zaczął na odpowiedź, tylko wsiadł do limuzyny.

25 października

Gdy brama Schloss Kappel otworzyła się, Isabella opuściła szybę i pokazała zaproszenie stojącemu przy stróżówce elegancko ubranemu mężczyźnie z przepaską na oku. Machnięciem ręki przepuścił samochód, a ona ponownie zerknęła na złoconą na brzegach karteczkę. Wykaligrafowany gotyckim pismem liścik zawiadamiał, że Helmut Kappel zaprasza ją na przyjęcie niespodziankę, które ma się odbyć w Schloss Kappel. Cała jej podróż została zorganizowana i opłacona, łącznie z biletem samolotowym do Zurychu i limuzyną z lotniska. Zaproszenie nie zawierało innych informacji o przyjęciu, lecz data, dwudziesty piąty października, pokrywała się z urodzinami Phoebe Davenport.

Isabella nie widziała się z przyjaciółką od ich wieczornej rozmowy po pokazie mody Odyna. Rzuciła się w wir pracy, a Phoebe rzadko wpadała do mieszkania; coraz więcej czasu spędzała z Helmutem Kapplem -- odwołała nawet kilka prestiżowych zleceń, żeby z nim być. A teraz wyglądało na to, że on zorganizował jej przyjęcie urodzinowe. Bez wątpienia będzie na nim Max, ale jeśli Phoebe i Helmut mieli zostać razem, musi przywyknąć, że będą na siebie wpadać.

Dostrzegłszy szary budynek rezydencji, zaczęła się zastanawiać, jak będzie wyglądało przyjęcie. Kiedy zadzwoniła do Kathryn i Gisele, obie potwierdziły, że przyjadą, ale nie potrafiły powiedzieć nic ponad to, co już wiedziała. Światła paliły się tylko w kilku oknach, a ciężka fasada przywodziła na myśl jakąś ponurą instytucję, szpital psychiatryczny albo sierociniec. Isabella wzdrygnęła się na myśl o pełnej życia Phoebe snującej się po mrocznych korytarzach rezydencji z podstarzałym kochankiem u boku.

Limuzyna zatrzymała się przed głównym wejściem i Isabella wysiadła. Po chwili frontowe drzwi otworzyły się i podszedł do niej niski mężczyzna we fraku.

--*Guten abend*, doktor Bacci -- powiedział, biorąc jej walizkę.

--Dobry wieczór.

W holu stało kilka pięknych mebli, lecz ciemne drewno, stare dywany i portrety blondwłosych przodków rodziny tworzyły nastrój posępny i nieprzyjazny. Isabella poczuła się, jakby wkroczyła w inny świat.

--Herr Kappel i Fraulein Davenport są w Zurychu, ale w ciągu godziny powinni wrócić. Polecono mi zaprowadzić panią do jej pokoju, żeby mogła się pani rozgościć.

--Czy ktoś z pozostałych gości już przybył?

--Jest pani pierwsza.

--Ile osób będzie na przyjęciu?

--Niewiele -- odparł i poprowadził ją szerokimi schodami na piętro, a potem niekończącym się korytarzem. Wyłożone ciemną boazerią ściany były ozdobione porożami jeleni. -- Ułokowaliśmy panią we wschodnim skrzydle -- rzekł i zatrzymawszy się przed drzwiami, obrócił dużą mosiężną gałkę. -- Oto pani pokój.

Była to duża komnata z wysokim sufitem, ogromnym łóżkiem i ciężkimi ciemnymi kotarami w oknach. Do pokoju przylegała łazienka. Isabella ledwo stłumiła wybuch nerwowego śmiechu. Wszystko to wyglądało jak scenografia filmu o rodzinie Addamsów. Nawet kamerdyner, czy kim tam był, sprawiał wrażenie wynajętego z agencji aktorskiej. Nie potrafiła sobie wyobrazić życia w tym domu.

--Mam nadzieję, że pokój będzie pani odpowiadał -- powiedział służący. -- Przy łóżku jest telefon. Gdyby potrzebowała pani czegokolwiek, proszę wykręcić zero. Na siódmą trzydzieści jest pani proszona do biblioteki na drinka.

Po rozpakowaniu Isabella położyła się na łóżku, lecz nie mogła wytrzymać: nosiło ją. Wstała, wyszła z pokoju i zaczęła zwiedzać stary dom.

Dostrzegła światło w głębi korytarza i postanowiła ruszyć w tamtą stronę. Uderzyła ją panująca wokół martwa cisza. Oprócz zapachów potraw z pomieszczeń kuchennych i rzadkich odgłosów służby przygotowującej wieczorne przyjęcie rezydencja zdawała się wyludniona. Kilka kroków dalej trafiła na wnękę, w której znalazła małą kolekcję osobliwości. Każdy eksponat był osobno oświetlony, a gdy przeczytała tabliczki informacyjne, stwierdziła, że to przyrządy używane przez skrytobójców.

Plakietka przy cienkim jak igła sztylcie wyjaśniała, jak można przebić nim wewnętrzne organy ofiary i nie pozostawić śladu na skórze. Trzy pięknie tkane kawałki materiału w szklanej gablotce okazały się jedwabnymi garotami zaprojektowanymi tak, by pozostawiać jak najmniejsze ślady duszenia na szyi. W chłodzonej gablocie leżały niezwykle ostre strzały zamrożonej trucizny, rozpuszczającej się po wnikięciu w ciepłe ciało ofiary. Po otarciach na rękojeści sztyletu i brudzie na garotach mogła się zorientować, że były często i skutecznie używane. Makabryczne eksponaty pasowały do mrocznego domu. Isabella zastanawiała się, który członek klanu Kappelów je kolekcjonuje. Nie przyszło jej na myśl, że były narzędziami rodzinnego fachu i że wszystkie zostały opracowane przez któregoś z nich.

Szła dalej, mijając okna z kolumnkami. W ciemnościach na zewnątrz dostrzegła jezioro i łagodne wzniesienie, na którym stały nieduże, zwieńczone kopułami budynki. Wreszcie dotarła do otwartych drzwi wiodących na kręte schodki. Domyśliła się, że znalazła się przy wschodniej wieży.

--Jest tam kto?! -- zawołała.

Nie doczekała się odpowiedzi, więc weszła do środka. Tutaj nastrój był inny. Wyłożone jasnym dębowym drewnem schody okrywał dywan w kolorze akwamaryny, przytrzymywany przez lśniące mosiężne pręty. Na ścianach wisiały barwne współczesne grafiki. Od razu poczuła się lepiej. Kiedy spojrzała w dół na parter, zauważyła oddzielne wejście. Zaczęła się wspinać.

Na górze przekroczyła próg otwartych na oścież drzwi i znalazła się na wpisanym w plan koła poddaszu z belkowanym stropem i drewnianą podłogą wyścielaną orientalnymi dywanami. Na jasnych ścianach wisiały fotografie nadmorskich krajobrazów i podwodnego świata. Były piękne, lecz pozbawione ludzkich postaci. W jednej części pomieszczenia stało biurko i stół, a obok sofa, dwa fotele i telewizor. W drugiej części następne schody prowadziły na półpiętro, a przez barierkę Isabella dostrzegła ogromne łóże.

Potem przy jednym z okrągłych okien zauważyła fotografię oprawioną w ramkę z balsy.

W przeciwieństwie do innych zdjęć przedstawiała ludzi: opalony chłopczyk o jasnych włosach i intensywnie błękitnych oczach stał na tropikalnej plaży z wysoką piękną kobietą.

--Mogę w czymś pomóc?

Isabella odwróciła się zaskoczona. Stał w drzwiach z lewej, wprawnie wiążąc czarną muszkę. Za nim było widać garderobę i łazienkę.

--Przepraszam, nie chciałam przeszkadzać. Po prostu rozglądałam się po domu, a drzwi były otwarte. Zawołałam, żeby sprawdzić, czy ktoś jest w środku -- wyjaśniła.

Max miał na sobie czarny wieczorowy garnitur, który podkreślał barczystą sylwetkę i kontrastował z lekko opaloną skórą. Zawiązał muszkę, zerknął na kołnierzyk i uśmiechnął się.

--Nie przejmuj się -- odparł. -- To tylko mieszkanie, z którego korzystam, kiedy pracuję w Zurychu. Mój prawdziwy dom jest na południu Francji, niedaleko miejsca, gdzie się poznaliśmy.

--Jest piękne. Tak bardzo się różni od reszty domu. -- Skrzywiła się. -- Nie, żeby reszta domu była...

--Ponura? -- Zaśmiał się. -- Jeśli przyprawia cię o gęsią skórę, to wyobraź sobie dzieciństwo tutaj. Ale jest dość wygodny.

Wskazała zdjęcie chłopca i pięknej kobiety.

--To twoja matka? -- Przypomniała sobie, jak Max mówił jej w Antibes, że umarła, kiedy był dzieckiem.

Zerknął na fotografię.

--Tak.

Ktoś zapukał w otwarte drzwi za jej plecami. Odwróciwszy się, zobaczyła drugiego mężczyznę w czarnym garniturze, z jaskrawą muszką i kamizelką do kompletu. Był podobny do Maksa, ale drobniejszy i bledszy, zupełnie jak młodsza wersja Helmuta Kappela. Jasnobłękitne oczy patrzyły na nią przez szkła okularów bez oprawek. Nie przeszedł przez próg.

--Isabello, to Joachim, mój przyrodni brat.

Joachim nadal się w nią wpatrywał.

--Dostałaś niezwykle zaszczytu, Isabello. -- Jego spojrzenie przeniosło się na brata, a wargi wygięły się w chłodnym uśmiechu. -- Max nie wpuszcza do swojego orlego gniazda ani rodziny, ani nawet Delphine, swojej narzeczonej.

Poczuła bolesne ukłucie. Jak Max mógł się zaręczyć? Przecież mówił, że „nie pozwala sobie na miłość”. Była zaskoczona, że wiadomość tak bardzo nią wstrząsnęła.

--Zobaczymy się na dole, Joachimie -- powiedział Max.

Po odejściu Joachima Isabella odwróciła się do niego.

--Naręczona?

--Jeszcze nie. Ojciec chciałby, żeby nią była.

--Ale jest twoją dziewczyną?

Wzruszył ramionami.

--Można tak powiedzieć.

Ruszyła do drzwi.

--Przepraszam, że ci przeszkodziłam.

--Ależ wcale nie -- zapewnił. -- Do zobaczenia o wpół do ósmej.

W drzwiach Isabella odwróciła się i spytała:

--Od kiedy jest twoją dziewczyną?

Spojrzał na nią, jego błękitne oczy były spokojne i chłodne.

--Jeszcze przed Antibes.

Teraz przynajmniej rozumiała. Albo tak jej się wydawało. Była dla Maksa tylko wakacyjną miłośką, odmianą, wytchnieniem od tamtej dziewczyny, chwilą szaleństwa. Stojąc pod prysznicem, Isabella czuła się, jakby zmywała resztki miłości, jaką do niego żywiła, a gdy przebrała się w wieczorową suknię i wyszła z pokoju, w duchu życzyła Delphine szczęścia, przekonana, że ta będzie go potrzebować. Na schodach spotkała Kathryn i Gisele.

Kathryn pocałowała ją w policzek.

--Domyślasz się, o co chodzi z tym całym przyjęciem, Izzy?

Isabella pomachała ładnie zapakowanym kryształowym pingwinem od Swarovsky'ego.

--Uznałam, że to musi być przyjęcie urodzinowe.

--Ja też -- powiedziała Gisele.

Kathryn zmarszczyła brwi.

--Ale przecież Phoebe nie kończy dwudziestu jeden lat -- zauważyła i wskazała dwie kobiety przed nimi. -- Więc dlaczego jej matka przyleciała aż ze Stanów?

Matka Phoebe stała przed drzwiami biblioteki w towarzystwie młodszej córki, Claire, która im pomachała. Isabella widziała Claire w Antibes, ale pani Davenport nie spotkała, odkąd ponad rok temu opuściła Amerykę, i tak samo jak Kathryn zaskoczyło ją, że matka przyleciała na urodziny Phoebe. Pani Davenport wyglądała blado i sprawiała wrażenie nieobecnej, gdy, ucałowawszy Isabellę i pozostałe dziewczyny, weszła z nimi do biblioteki.

Biblioteka okazała się przestronną komnatą z kryształowymi żyrandolami i dużym kominkiem. Służący w białych marynarkach trzymali srebrne tace z przekąskami i kieliszkami szampana, podczas gdy czterej Kappelowie i ich partnerki stali w rzędzie, żeby przywitać gości. Wrażenie było piorunujące. Nie tylko wszyscy mężczyźni wyglądali podobnie, ale i ich partnerki. Wszystkie miały blond włosy, różniące się tylko odcieniem. Phoebe wyraźnie górowała nad innymi urodą, lecz reprezentowały ten sam typ. Delphine była ładna i zwiewna. Nawet dojrzała kobieta z brodatym Kappelem była atrakcyjna. Isabella zadrżała na myśl, że przyjaciółka może się stać jedną z nich.

--Gdzie są wszyscy goście? -- szepnęła Gisele.

--Myślę, że to właśnie my -- odparła cicho Kathryn.

Isabella uśmiechnęła się uprzejmie, gdy Max przedstawił ją Delphine, która zlustrowała ją wzrokiem, zaborczo trzymając go pod ramię. Poczula się nieswojo. Podeszła do Joachima, potem do brodatego mężczyzny, który przedstawił się jako Klaus, i przywitała się z ich żonami. Ceremoniał był niezwykle oficjalny i lekko surrealistyczny, lecz nie tak odrealniony, jak widok Phoebe stojącej z Helmutem Kappelem przy kominku. Bankier wyglądał inaczej, niż go zapamiętała: młodziej i bardziej ekstrawagancko. Jego siwe włosy były przycięte w modnym młodzieżowym stylu. Założył czerwony fular i przepasał się szarfą w tym samym kolorze. Phoebe rozcierała nadgarstki i Isabella zauważyła na jej skórze lekko zaczerwienione pręgi. Kiedy para witała się z Kathryn i Gisele, Phoebe zerknęła z niepokojem na Helmuta, jakby chciała sprawdzić, czy wciąż tam jest. Wyglądała na ucieszoną ze spotkania, ale bynajmniej nie zaskoczona. Zdziwiła się, dopiero gdy Isabella wręczyła jej prezent.

--Och, pamiętałaś, Izzy. Dzięki.

--Oczywiście, że pamiętałam. To twoje przyjęcie urodzinowe. -- Umilkła na moment. --
Prawda?

Phoebe uśmiechnęła się znacząco i Isabella nagle zdała sobie sprawę, że to gości czeka niespodzianka.

--Co jest grane, Phoebe? -- szepnęła.

Przyjaciółka ucisnęła jej dłoń.

--Zobaczysz, Izzy. Zobaczysz.

Isabella chciała nią potrząsnąć i wydobyć odpowiedź, ale zanim zdążyła cokolwiek zrobić, została wprowadzona do ogromnej jadalni i usadzona między Maksem a Klausem przy długim stole zastawionym kryształowymi kieliszkami, srebrnymi sztucami i porcelanowymi naczyniami ze złoconymi brzegami. Klaus był uprzejmy i chłodny. Prawie się nie odzywał ani nie pił, za to wciąż rozglądał się po obecnych, jakby ich pilnował.

Gdy podano pierwsze danie, Helmut podniósł się z krzesła u szczytu stołu.

--Dziękuję wszystkim za przybycie. Przepraszam, że trzymaliśmy w tajemnicy powód dzisiejszego przyjęcia, ale ze względu na media musieliśmy zachować dyskrecję. -- Spojrzał na siedzącą po prawej Phoebe, która wpatrywała się w niego z uwielbieniem. Potem odwrócił się do pani Davenport, która utkwiała wzrok w talerzu, blada i poważna. -- Chciałbym wam coś zakomunikować. Niektórych może to bardzo zaskoczyć, ale w moim wieku trzeba działać szybko. Poprosiłem Phoebe o rękę i jestem zaszczycony, a jednocześnie szczęśliwy, że przyjęła oświadczenia.

Gościom zaparło dech. Isabella nie mogła uwierzyć, że Phoebe naprawdę chce wyjść za Helmuta. Przecież poznała go niespełna miesiąc temu. Była też dziwnie stonowana i małowówna. Zdawanie się na kogoś innego zupełnie do niej nie pasowało. Kathryn o mało nie zakrztusiła się winem, Gisele wyglądała na równie oszołomioną. Siostra Phoebe marszczyła brwi z wyraźnym niedowierzaniem. Jedynymi osobami, które zachowały opanowanie, byli Kappelowie i pani Davenport. Nic dziwnego, że była taka spięta: musiała wiedzieć.

Widocznie nieprzejęty tymi reakcjami Helmut podjął:

--Zamierzamy wziąć ślub w Nowy Rok i chcielibyśmy was wszystkich serdecznie zaprosić. Naturalnie matka Phoebe będzie gościem honorowym. Moim drużbą będzie starszy syn, Max. -- Isabella odwróciła się do Maksa, lecz ten patrzył prosto przed siebie. Helmut spojrzał kolejno na Gisele, Kathryn, Claire i Isabellę. -- Jesteście najdroższymi przyjaciółkami Phoebe, a ona chciałaby, żebyście były jej druhami.

Isabella wiedziała, że dziewczęta myślą to samo co ona. Z jednej strony, chciała nakrzyczeć na Phoebe, żeby się opamiętała: dlaczego, skoro mogła mieć każdego faceta na świecie, wychodzi akurat za Helmuta Kappela? Z drugiej strony, pragnęła okazać przyjaciółce wsparcie.

Kiedy zauważyła, jak Phoebe patrzy na nią błagalnym wzrokiem, uśmiechnęła się i pokiwała głową.

Gisele i Kathryn zrobiły to samo. Siostra Phoebe wciąż marszczyła brwi, lecz nawet ona zdobyła się na uśmiech. Nastąpiła pauza, która trwała dobrych kilka sekund, a potem Isabella wstała i zrobiła jedyną rzecz, jaką mogła zrobić w tych okolicznościach. Sięgnęła po kieliszek i wzniosła toast za narzeczonych.

Później tego wieczoru, kiedy pozostali udali się do swoich pokoi, Isabella, Kathryn i Gisele usiadły przy kominku w salonie i zastanawiały się, dlaczego Phoebe chce wyjść za Helmuta Kappela. Ostatecznie uznały, że choć nie potrafią pojąć wyboru przyjaciółki,

przestaną kwestionować jej motyw i udzielią jej pełnego, bezwarunkowego wsparcia.

Mimo to Isabella nadal martwiła się o Phoebe. Myślała o niej, gdy dotarła na szczyt schodów i skręciła w lewo, idąc do swojego pokoju. Szła na palcach, żeby nie zakłócić snu tych, którzy mogli spać za mijanymi drzwiami. Zrobiła może cztery kroki, gdy usłyszała coś za plecami.

Ktoś jęczał z bólu.

Głos Phoebe.

Odwróciła się i spojrzała w głąb korytarza. Za schodami były uchylone drzwi, na zetlały czarno-czerwony dywan wylewał się trójkąt światła. Zamarła. Potem znowu usłyszała ten dźwięk: niski, chrapliwy szept, a po nim błagalne, ciche: „Nie, nie”.

Isabelli zaschło w ustach: to naprawdę Phoebe. Rozejrzała się po mrocznym korytarzu. Gdzieś na parterze tykał zegar. To nie twoja sprawa, powiedział cichy głos w jej głowie. Idź do łóżka. Zapomnij o tym.

Wtedy znów usłyszała jęk i mimo woli ruszyła w kierunku świetlistego trójkąta. Kiedy się zbliżyła, rozpoznała głos Helmuta Kappela.

--No dalej -- namawiał. -- Krzycz, jeśli chcesz.

--Nie. -- Drugi głos był stłumiony, ale na pewno należał do Phoebe.

Serce Isabelli zabiło mocniej, dłonie zrobiły się wilgotne od potu. Podeszła do drzwi i przez szparę zobaczyła duże lustro. Dopiero po chwili dotarło do niej to, co widzi w lustrzanym odbiciu.

Phoebe klęczała na łóżku z rękami przykutymi kajdankami do drążków. Była obnażona od pasa w dół, a Helmut Kappel, wciąż w marynarce, brał ją od tyłu. Przy każdym pchnięciu chwytal ją za włosy i przyciskał głowę mocniej do poduszek. Jego zwykle blada twarz była czerwona z wysiłku i podniecenia. Patrzył na Phoebe łapczywym wzrokiem właściciela upajającego się pięknym przedmiotem.

Po chwili podniósł wzrok i spojrzał Isabelli w oczy. Ta zamarła, lecz on nie drgnął ani nie zmienił rytmu. Uśmiechnął się tylko i poruszał się coraz gwałtowniej. Zupełnie jakby chciał, żeby zobaczyła, jak maltretuje jej przyjaciółkę. Prawie spodziewała się, że uniesie rękę i przywoła ją, by podeszła bliżej. Myśl, że Phoebe mogłaby ją zobaczyć w roli świadka tej poniżającej sceny, wyrwała Isabellę z oszłomienia. Uciekła do swojego pokoju.

Parę chwil wcześniej Joachim i Stein wrócili do jadalni i zebrali puste kieliszki drухen, uważając, żeby przyporządkować naczynie do właściwej osoby. Joachim wytarł wacikiem brzeg każdego kieliszka, a potem włożył waciki do szklanych próbek oznaczonych imieniem i nazwiskiem. Po zamknięciu ostatniej próbki przystanął przy piątym nakryciu.

--Mówiłeś, że zależy ci na kieliszkach czterech drухen -- powiedział Stein. -- To było miejsce Delphine Chevalier.

Joachim podniósł kieliszek i pobral próbkę śliny.

--A co to szkodzi -- odparł.

--Podczas kolacji moi ludzie przeszukali ich sypialnie i wzięli ze szczotek próbki włosów.

Chcesz je? -- spytał Stein.

Joachim skinął głową.

--Daj mi wszystko. Ojciec nie zamierza zostawić niczego przypadkowi.

1 listopada

Spotkanie odbywało się w siedzibie Comvecu, na południe od Zurychu. Szklana ściana z wyciętym logo firmy -- strzałą owiniętą podwójną helisą DNA -- oddzielała dźwiękoszczelną salę konferencyjną od głównego laboratorium. Była ósma wieczorem i z wyjątkiem czterech Kappelów w budynku nie było żywego ducha.

Max położył na stole pierwszą gazetę i otworzył ją na kolorowym zdjęciu ojca. Helmut pochylił się nad fotografią, a Joachim i Klaus wstali z miejsc, żeby lepiej widzieć.

Max rozłożył na blacie resztę gazet i magazynów. Wszystkie przedstawiały warianty tej samej historii:

„Phoebe Davenport (28), najpiękniejsza supermodelka świata, zaręczona ze szwajcarskim bankierem samotnikiem, Helmutem Kappellem (65)”.

Odkąd ojciec zorganizował kontrolowany wyciek informacji do mediów, prasa na całym świecie miała używanie. Nawet szacowne gazety pisały o nieprawdopodobnej parze narzeczonych. Każda publikacja została opatrzona najmniej atrakcyjnym zdjęciem Helmuta, jakie udało się dziennikarzom wygrzebać w archiwach, i skupiała się na kluczowym pytaniu: jak chory, podstarzały mężczyzna zdobył serce jednej z najbardziej pożądanych kobiet świata? Niejeden brukowiec sięgnął po tytuł: *Piękna i bestia*.

Max z zaskoczeniem stwierdził, że ojciec nie tylko nie jest zdenerwowany zdjęciami, ale wręcz się cieszy. Siedział, pałac sobranie i chichocząc radośnie, jakby rozbawił go dobry dowcip.

--Doskonale -- rzekł. -- Doskonale.

Joachim uśmiechał się razem z ojcem, lecz Klaus marszczył brwi.

--Czy to naprawdę rozsądne ściągać na siebie tyle uwagi? Nadal moglibyśmy wrócić do pierwotnego planu Maksa. Dyskretny weekend w górskim..

--Nie -- przerwał mu Helmut. -- Rozgłos jest dla projektu Ilium konieczny. Kiedy za parę dni roześlemy zaproszenia, żaden z naszej czwórki klientów nie zdoła się oprzeć. Zresztą jesteśmy nudnymi bankierami, a to jest Szwajcaria, kraj dyskrecji. Media nie znajdą na nasz temat niczego kompromitującego.

Klaus wyglądał na nieprzekonanego, a Max się z nim zgadzał, lecz gdy ojciec coś sobie postanowił, nie było sensu się spierać.

--R proponuję dyskrecji, Klaus -- spytał Helmut -- jak idą przygotowania do ślubu?

--Wszystko załatwione. Odyn chętnie was ugości, zwłaszcza że w przyszłym roku zamierza urządzić w Walhalli ekskluzywny hotel i przyda mu się promocja. Walhalla jest luksusowa i na tyle odizolowana od świata, żeby klienci nie wymknęli się nam spod kontroli i żeby nie dopuścić dziennikarzy. Dla twoich celów wprost idealna.

--Dla naszych celów, Klaus -- sprostował Helmut. -- Daj spokój, rozluźnij się! Będzie wspaniale!

Klaus westchnął i zdobył się na uśmiech.

--Może masz rację. Tak czy inaczej, budowa lodowej kaplicy na jeziorze dobiega końca. Tegoroczna jesień w Norwegii jest nadzwyczaj łagodna, więc musieliśmy poczekać, aż jezioro zamrznie na tyle, by utrzymać ciężar maszyn budowlanych, ale teraz wszystko zmierza do pomyślnego finału. -- Wcisnął guzik pilota i plazmowy ekran na ścianie po drugiej stronie sali

obudził się do życia. -- To materiał z przedwczoraj.

Max gwizdnął pod nosem. Widok kryształowej iglicy Walhalli strzelającej w niebo ze skutego lodem jeziora otoczonego ośnieżonymi szczytami gór był wręcz baśniowy.

--Jak romantycznie -- zauważył cierpko Helmut. Zwrócił się do młodszego syna. -- A próbki?

Joachim wyszedł z sali konferencyjnej i skierował się do głównego laboratorium. Przez szklaną ścianę Max patrzył, jak otwiera chłodzony sejf z nierdzewnej stali i wyjmuje tłoczoną tackę. Po chwili wrócił i postawił ją na stole. W czterech zagłębieniach spoczywały niepozorne chromowane pierścienie. Do każdego z nich przywiązano na cienkiej nitce karteczkę z nazwiskiem. Joachim wyjął jeden z pierścieni i uniósł do góry. Wyglądał na lity metal, ale gdy Joachim go obrócił, Max zobaczył na wewnętrznej krawędzi szklane okienko, przez które widać było biały proszek.

--Każdy pierścień został zaprojektowany tak, by pomieścić dwie komory. Pierwsza zawiera proszek MIN i mechanizm wtłaczający PowerDermic. -- Joachim wskazał ledwo widoczne wybrzuszenie na wewnętrznej ścianie pierścienia. -- Druga, mniejsza komora jest połączona z cieniutką, wycofującą się automatycznie igłą. -- Pokazał na zewnętrzną powierzchnię pierścienia. -- Wystarczy na pięć sekund ścisnąć obręczkę palcami, uściśnąć dłoń ofiary i voilà, wirus MIN zostaje wstrzyknięty pod skórę, a jednocześnie zostaje pobrana próbka krwi.

--Czy profesor Bacci pomógł ci przygotować proszek? -- spytał Helmut.

Joachim pokręcił przecząco głową.

--Nie potrzebujemy już Bacciego. Zresztą ostatnio był zajęty przede wszystkim przygotowaniami do własnego ślubu. Możemy się go pozbyć, gdy tylko będziemy chcieli.

--A jeśli później natrafisz na jakieś problemy? -- wtrącił się Max. -- Jego wiedza może nam się jeszcze przydać. Na razie nie stanowi zagrożenia, a jeśli go teraz wyeliminujemy, zachodzi niebezpieczeństwo, że ściągniemy uwagę na nasz projekt.

--Czy aby za bardzo się nie zaangażowałeś, Max?

--Bynajmniej, Joachimie. Po prostu nie chcę, żebyś naraził projekt na niepowodzenie.

--Skoro tak twierdzisz. -- Joachim sięgnął przez stół i wziął od stryja pilot. -- Ten pierścień zawiera MIN Siedemdziesiąt Dwa z DNA kodującym twarz Gisele Steele. -- Wcisnął guzik pilota i na jednej czwartej ekranu pojawiła się twarz aktorki. Odłożył obręczkę na tacę, wziął dwie następne i spojrzął na karteczki. -- Te zawierają DNA Claire Davenport i Kathryn Walker. -- Przy następnym naciśnięciu guzika twarze Kathryn i siostry Phoebe pojawiły się na ekranie. Joachim przeczytał karteczkę przy czwartym pierścieniu, po czym odwrócił się do Maksa i uśmiechnął złośliwie. -- A ten Isabelli Bacci.

Max skupił się na ostatniej ćwiartce ekranu. Kiedy pojawiła się twarz Isabelli, poczuł nieznaną ucisk w piersi. Zaszło mu w ustach, a gdy splótł ręce, zorientował się, że ma wilgotne dłonie. Ta reakcja wytrąciła go z równowagi.

Ojciec zwrócił się do Klause.

--Zabawmy się w Kupidyna.

Po chwili na plazmowym ekranie widniały twarze czterech mężczyzn.

Pierwszym był Giscard Corbasson, francuski baron medialny, który zdominował rynek pornografii w Europie i Stanach Zjednoczonych. W skład jego imperium wchodziła produkcja filmowa, dystrybucja i Internet. Rozpaczliwie spragniony szacunku, niedawno bezskutecznie

starał się przejąć udziały w jednym z największych amerykańskich studiów filmowych.

Drugi, Feliks Łysenko, rosyjski handlarz bronią, większość czasu spędzał w Europie i Stanach. Lekceważony przez socjetę Nowego Jorku i Londynu, przekazywał duże sumy pieniędzy na rozmaite cele charytatywne, próbując w ten sposób kupić sobie akceptację.

Trzeci był Christophe Nadolny, szwajcarski przemyslowiec, którego włoski wspólnik na własną rękę opracował rewolucyjne opakowanie do świeżej żywności, zarówno tanie, jak i przyjazne dla środowiska. Włoch zamierzał rozwiązać spółkę, ale w tajemniczych okolicznościach zginął w wypadku w fabryce. Patenty i fortuna z ich wykorzystania trafiły do Nadolny'ego.

Czwartym mężczyzną był Warren Hudsucker, amerykański magnat rynku nieruchomości, który zbil fortunę w latach osiemdziesiątych, używając mafijnych pieniędzy zapewnionych przez Kappel Privatbank. Niedawno został wybrany na senatora Stanów Zjednoczonych i zależało mu na odcięciu się od przeszłości, bo po cichu liczył na jeszcze wyższy urząd.

Wszyscy czterej ze zmiennym szczęściem walczyli o miejsce w biznesie, zanim Kappelowie wzięli ich pod swoje skrzydła. I wszyscy z radością łamali wszelkie prawa, byle tylko nabici sobie kabzę. Poza wciąż przystojnym Hudsuckerem, który przypominał siwowłosego Gregory'ego Pecka, wszyscy zdążyli się roztyć i wyglądali staro. Każdy miał ponad pięćdziesiąt lat i był wart ponad miliard dolarów.

--Według moich danych -- rzekł Klaus -- wszyscy są albo rozwiedzeni, albo nigdy się nie ożenili, albo też trwają w nieudanych małżeństwach. Wszyscy są heteroseksualni i otwarci na propozycje, jeśli wiecie, co mam na myśli. -- Zerknął na brata. -- No i wszyscy niedawno grozili, że zamkną konta w Kappel Privatbank, mimo iż wydatnie przyczyniliśmy się do ich finansowych sukcesów.

Helmut obrzucił twarzę na ekranie gniewnym spojrzeniem.

--Tyle dla nich zrobiliśmy, a oni chcą nas zrujnować. Oskubiemy ich do czysta. Ale najpierw musimy się spotkać z każdym twarzą w twarz, żeby wstrzyknąć preparat i pobrać krew.

Max zerknął na ekran stojącego przed nim laptopa.

--Z dwoma mamy roczne spotkania wyznaczone na najbliższe tygodnie. Jestem pewien, że z pozostałymi też uda się umówić.

Helmut kiwnął głową.

--Jak połączymy ich w pary?

Joachim roześmiał się.

--To właściwie bez znaczenia. Możemy sprawić, by którykolwiek zakochał się w dowolnej kobiecie, i na odwrót. Ale podoba mi się symetria między Corbassonem, francuskim producentem pornografii, a hollywoodzką aktorką Gisele Steele.

--Doskonale -- ocenił Helmut. -- Łysenkę, handlującego bronią towarzyskiego pariasa, połączymy z zamożną przedstawicielką starej nowojorskiej elity Kathryn Walker.

--A najmłodszą, siostrę Phoebe, dajmy najstarszemu, Nadolny'emu. -- Klaus najwyraźniej świetnie się bawił.

Maks wciąż wpatrywał się w ekran. Zostali tylko Hudsucker i Isabella Bacci. Oficjalnie senator był szczęśliwie żonaty, a chrześcijańskie wartości rodzinne stanowiły jeden z filarów jego kampanii wyborczej. Kappelowie wiedzieli jednak, że jest to małżeństwo z rozsądku. W

trakcie częstych podróży biznesowych do Europy Hudsucker nieodmiennie wykorzystywał relatywną anonimowość, aby nasycić swoje erotyczne apetyty.

--Wygląda na to, że wszystko ustalone -- powiedział w końcu.

--I co, Max? -- spytał Joachim. -- Jak podoba ci się rola Kupidyna dla twojej uroczej przyjaciółki i przystojnego Hudsuckera?

Max zauważył, że ojciec bacznie mu się przygląda, ciekaw jego reakcji. Westchnął, wstał z krzesła i powoli obszedł stół. Gdy zatrzymał się obok brata, ten powiedział:

--Nie boję się ciebie, Max.

Max spojrział na niego z góry, niewzruszony i milczący.

--O co ci chodzi? -- spytał Joachim.

Max położył mu dłoń na ramieniu. Dotknięcie było lekkie, lecz wyprowadziło Joachima z równowagi. Poderwał się od stołu i wycofał niczym zbesztany kot.

Max podniósł tackę z czterema pierścieniami.

--Zostań w swoim bezpiecznym laboratorium, Joachimie, i rób te swoje malutkie pociski. Prawdziwy świat i strzelanie z nich zostaw mnie.

Helmut wybuchnął śmiechem, a blada twarz Joachima spąsowiała. Max wciąż nie rozumiał, dlaczego pocałował mu się dłoń.

22 listopada

Isabella Bacci grała na starej gitarze matki i patrzyła, jak ojciec tańczy ze świeżo poślubioną żoną, ale jej myśli obracały się wokół innego ślubu, na którym miała być druhną. Jej obawy o Phoebe wynikały po części z egoizmu: tęskniła za przyjaciółką, a od przyjęcia zaręczynowego w Schloss Kappel widziały się tylko parę razy. Chodziło jednak o coś więcej: wciąż nie mogła zapomnieć, jak Helmut Kappel na nią patrzył tamtej nocy po przyjęciu. Usiłowała przekonać samą siebie, że to, co Phoebe z narzeczonym robią w sypialni, nie powinno jej interesować, ale okrucieństwo Kappela nie dawało jej spokoju. Nie potrafiła uwierzyć, że Phoebe może być z nim szczęśliwa. Miejsce ślubu nadal pozostawało tajemnicą, a do wielkiego dnia zostało raptem parę tygodni.

Dzisiaj jednak był ślub jej ojca. Od śmierci matki nigdy nie widziała go tak szczęśliwego. Wyglądał wspaniale w nowym garniturze, a Maria miała piękną, ekstrawagancką suknię i jeszcze więcej biżuterii niż zazwyczaj: perłowy naszyjnik, kolczyki z brylantami, dwie srebrne bransoletki i co najmniej cztery pierścionki.

Uroczystość była bardzo kameralna. Nieduży kościółek wypełniła rodzina Marii, parę ciotek Isabelli, które przyleciały ze Stanów, oraz kilku krewnych zmarłego niedawno Marca Trapaniego.

Po ceremonii goście przenieśli się do restauracji należącej do jednego z braci Marii. Wesele odbywało się na górnym piętrze. Jeden koniec sali został przeznaczony dla kapeli i na tańce, w drugim ustawiono stoły. Całą salę udekorowano kwiatami: na stołach stały stroiki z białych orchidei i bukiety róż.

Isabella odłożyła gitarę, gdy Maria zawołała ją z parkietu.

--Proszę, zatańcz z ojcem. Jestem wykończona. Jeśli mam wytrwać w małżeństwie, nie mogę pozwolić, żeby to on narzuczał tempo. -- Spojrzała na męża. -- Aha, Izzy, póki nie zapomnę: chcesz wziąć kwiaty dla dzieci w szpitalu?

--Tak, byłabym wdzięczna.

--Większość weźmiemy do domu, a rano wyjeżdżamy do Locarno. Podjedź do nas przed dziesiątą, żeby je zabrać.

Ojciec tulił ją podczas tańca, a jego ciepło i znajomy zapach były dla Isabelli pocieszeniem.

--O czym myślisz, Bella?

--To był cudowny dzień, tatusiu. Tak bardzo cieszę się z waszego szczęścia. I wiem, że mama też by się cieszyła.

Uśmiechnął się.

--Wydajesz się trochę markotna.

--To nic takiego, tato.

Przytulił ją mocniej.

--Opowiedz mi o tym.

--Wiesz, że za parę tygodni znowu będę druhną na ślubie? -- Nie.

--Phoebe wychodzi za męża. Uniósł brwi. -- Serio?

--Wszystkie gazety o tym piszą. Roześmiał się dobrodusznie.

--Wiesz, że nie czytam gazet i nie oglądam telewizji, a przez ostatnie tygodnie skupiałem się na własnym ślubie. Za kogo wychodzi?

--Za Helmuta Kappela, szwajcarskiego bankiera, który mógłby być jej ojcem.

Zatrzymał się w pół kroku.

--Wyjdźmy na zewnątrz. Tam porozmawiamy.

W ogrodzie na tyłach restauracji Carlo Bacci słuchał córki z ciężkim sercem.

--Straciła ojca, więc mogę zrozumieć, że mogłaby się zakochać w opiekuńczym starszym mężczyźnie. Ale Helmut Kappel to nie ten typ, a ona nie zakochała się w nim po dłuższej znajomości. Gdybyś widział ich pierwsze spotkanie. Było takie dziwne. Zakochała się w nim od pierwszego wejrzenia, jakby był młodym, przystojnym facetem. Kiedy są razem, Phoebe nie przestaje gapić się na niego maślanymi oczami. Próbowalam z nią o tym porozmawiać, ale ona tylko się uśmiecha i mówi, że powinnam się cieszyć z jej szczęścia. Tylko że wcale nie wygląda na szczęśliwą. Zupełnie jakby Helmut rzucił na nią czar czy coś w tym rodzaju. Martwię się, że on ją wykorzystuje.

Czekała na odpowiedź, lecz ojciec milczał.

--Wiem, to brzmi małostkowo i zawistnie, ale cieszę się, że to z siebie wyrzuciłam -- powiedziała takim tonem, jakby spodziewała się, że ojciec ją wyśmieje albo upomni, żeby nie wtykała nosa w nie swoje sprawy.

Nie zrobił ani jednego, ani drugiego. Po prostu stał, marszcząc w zamyśleniu czoło. Był w stanie myśleć tylko o terapii, którą przygotował dla Helmuta Kappela i jego żony. Jak Max to ujął? „To delikatna sprawa. Mój ojciec i jego żona są nieszczęśliwi. Myślą o rozwodzie i zastanawiają się, czy mógłby pan pomóc”. Bacci wciąż miał prośbę podpisaną przez Helmuta i jego żonę, ale skąd mógł wiedzieć, czy to był naprawdę jej podpis? Spotkał ją tylko raz, przelotnie, na przyjęciu z okazji dwusetnej rocznicy założenia banku. Helmut Kappel nie mógłby wykorzystać terapii w niewłaściwy sposób. Stawka była zbyt wysoka.

Poczuł ucisk w żołądku, a lęk, który go ogarnął, musiał się też odbić na jego twarzy, bo Isabella powiedziała:

--Przepraszam, tato. Nie chciałam cię obarczać swoimi problemami w dniu twojego ślubu. Jestem po prostu samolubna i zazdrosna... boję się, że stracę najlepszą przyjaciółkę.

Chciał się jej zwierzyć ze swoich obaw, ale nie mógł. Gdyby to zrobił, musiałby opowiedzieć o wszystkim, łącznie z tym, jak z Maksem wykorzystał ją jako królika doświadczalnego w Antibes. Sam się w te kłopoty wpakował i sam się z nich wydostał.

--Przykro mi, Bella. Naprawdę nie wiem, co powiedzieć -- rzekł wreszcie. -- Po prostu powiedz, żebym się nie martwiła -- odparła -- i że jeśli wesele Phoebe będzie równie udane jak wasze, wszystko dobrze się ułoży. Uśmiechnął się.

--Dobrze, Bella -- powiedział. -- Nie martw się tym. Wszystko się ułoży. Potem odwrócił się i znowu zmarszczył brwi.

Tego samego wieczoru

Bryza z północnej Afryki, która owiewała Monte Carlo, była nadzwyczaj łagodna jak na tę porę roku, ale Helmut cieszył się, że ma na sobie wełniany garnitur i jedwabną kamizelkę. Siedział z Maksem na pokładzie piętnastometrowego jachtu Warrena Hudsuckera. Amerykanin trzymał łódź zacumowaną w Monako i wykorzystywał jako swoją metę, ilekroć odwiedzał Europę.

W ciągu ostatniej godziny Helmut i Max omówili stan osobistych kont Hudsuckera, przedstawiając mu rozmaite rozwiązania podatkowe i inwestycyjne. Amerykanin, jak na rasowego polityka przystało, unikał wszelkich dalszych zobowiązań, łącznie z zachowaniem konta w Kappel Privatbank.

--To nic osobistego -- powiedział, przyglądając gęste siwe włosy -- i czuję się zaszczycony, że obaj przyjechaliście mnie odwiedzić. Ale musicie zrozumieć moją sytuację. Zwijam wszystkie inwestycje poza granicami Stanów Zjednoczonych, muszę zadbać o przejrzystość swojego wizerunku. Konto w szwajcarskim banku po prostu tu nie pasuje.

--Nigdy wcześniej ci nie przeszkadzało -- odparł Helmut. -- Byłeś nam wdzięczny za pomoc, czy chodziło o finanse, czy o wpływy w mafii, czy o eliminowanie konkurencji.

Hudsucker przybrał swój uśmiech r la Gregory Peck.

--Ale teraz jestem senatorem i...

--I nie ufasz już w naszą dyskrecję przy opiece nad twoimi finansami?

--Nie, nie. Nie o to chodzi. Oczywiście, że wam ufam.

--Bez nas nie byłbyś teraz senatorem -- powiedział Max.

Helmut obserwował, jak syn obraca nowy srebrzysty pierścień na palcu, i zastanawiał się, dlaczego tak się denerwuje.

Na pokład wyszła osobista asystentka Hudsuckera, niosąc na tacy butelkę szampana i trzy kieliszki. Była atrakcyjna, ciemnowłosa i długonoga. Gdy stawiała tacę na stoliku, Hudsucker położył dłoń na jej pupie.

--Dzięki, Ellie -- powiedział.

Helmut z niewzruszonym wyrazem twarzy patrzył, jak kobieta się oddala. Hudsucker był hipokrytą. Dostał się do senatu, kreując się na obrońcę wartości rodzinnych, ale rznął własną asystentkę, podczas gdy żona i dzieci były w Stanach.

--Dość już rozmowy o interesach -- powiedział Hudsucker. -- Umówmy się tak: obiecuję, że nie wykonam żadnego ruchu przed twoim ślubem, okej?

Było oczywiste, że postanowił zamknąć konto. Helmut pocieszał się myślą o tym, co wkrótce czekało senatora. Przypomnił sobie, jak Trapani próbował go szantażować, i przyjemność, jaką sprawiło mu podejrzenie Sycylijczykowi gardła. Klęska Hudsuckera będzie powolniejsza, lecz nie mniej druzgocąca. Odwzajemnił uśmiech senatora. Zemsta będzie słodka.

Hudsucker wziął ze stojaka na czasopisma egzemplarz „International Herald Tribune”. Położył gazetę na stole i odszukał stronę z dwoma zdjęciami: pierwsze przedstawiało Helmuta i Phoebe, a drugie jedną z druchen.

--Twoje zdrowie, Helmut -- powiedział, unosząc kieliszek. -- Nie wiem, jak ci się to udało. Phoebe Davenport, na litość boską. -- Wyciągnął rękę i dotknął kamizelki Kappela z nadmierną

poufalością. Helmut powstrzymał się od agresywnej reakcji. -- Co się z tobą dzieje? Nowa fryzura, eleganckie ciuchy, stajesz się prawdziwym lwem salonowym. -- Uśmiechnął się porozumiewawczo do Maksa. -- Jak on to zrobił? Też lubię kobiety, ale Phoebe Davenport jest jedyna w swojej klasie. Nie dość, że młoda i piękna, to jeszcze sławna i bogata. -- Zwrócił się znowu do Helmuta. -- Jak, na Boga, nakłoniłeś ją do ślubu? Jaka masz tajemnicę, też chcę ją poznać.

Helmut trącił kieliszek Hudsuckera.

--Kiedy przyjedziesz na ślub, Warren, może ci ją sprzedam.

Amerikanin zarechotał.

--Wiesz co?

Chyba bym kupił.

Wychylając toast, Helmut zerknął porozumiewawczo na syna, lecz ten wpatrywał się w senatora. Przez większość spotkania sprawiał wrażenie zamyślonego i przez chwilę Helmut zastanawiał się, czy Joachim nie miał racji, sugerując, że Max nadmiernie przywiązał się do Isabelli. Ale przecież Max należał do rodziny, był jego pierworodnym. Może i miał w sobie krew matki, lecz on wychował go na prawdziwego Kappela. Po Ilium i ślubie z Delphine Chevalier zachowanie Maksa na pewno wróci do normy. Zresztą do tego czasu zaczniesz już działać projekt Wenus i nie będzie to miało znaczenia. Wtedy wszystko będzie już bez znaczenia.

Max czuł na sobie badawczy wzrok ojca, kiedy słuchał rozmowy obu mężczyzn, lecz nie potrafił się zdobyć na spojrzenie mu w oczy. Był tak rozstrojony, że z trudem powstrzymał się od bawienia się pierścieniem na palcu, żeby przedwcześnie nie wysunąć igły do pobierania krwi albo nie uruchomić mechanizmu wstrzykującego.

Co się z nim dzieje? Wcześniej nigdy nie odczuwał niepokoju. W ogóle niczego nie czuł, chyba że podczas nurkowania. A teraz bez względu na to, jak bardzo starał się opanować, emocje brały górę. W ciągu ostatnich tygodni Max spotkał się z pierwszymi trzema klientami -- Łysenką, Corbassonem i Nadolnym -- i użył specjalnie opracowanych pierścieni do wstrzyknięcia im wirusa MIN i pobrania próbek krwi. Przy Hudsuckerze -- kliencie dobranym w parę z Isabellą -- ojciec postanowił mu towarzyszyć. Pewnie chciał się przekonać, czy przytyki Joachima miały odbicie w rzeczywistości.

Najbardziej złościło go, że Joachim mógł mieć rację. Wystarczyło, żeby wyobraził sobie Hudsuckera z Isabellą, a niepokój wzrastał. Musiał nad sobą zapanować. Kiedy w kieszeni zawibrowała mu komórka, z ulgą powitał możliwość chwilowego oderwania się od całej sytuacji. Zerknął na numer, który wyświetlił się na ekranie. Dlaczego Bacci dzwoni do niego w dniu swojego ślubu?

--Przepraszam. -- Wstał i odszedł na drugi koniec jachtu, poza zasięg słuchu ojca i Hudsuckera. -- Carlo, gratuluję. Jak ślub?

--Coście narobili? -- syknął Bacci.

--O co ci chodzi?

--Isabella powiedziała mi, że twój ojciec i Phoebe planują ślub. Wykorzystał moją terapię, prawda?

Max przebiegł myślami szereg możliwych wyjaśnień.

--Uspokój się, Carlo. Mówisz zagadkami.

--Max, dałem ci dwa preparaty miłości identycznej z naturalną dla twojego ojca i jego

żony. Ale on nie wykorzystał terapii do ratowania małżeństwa, prawda? Użył wirusa z kodem genetycznym swojej twarzy, żeby usidlić Phoebe. Nie stworzyłem tej terapii po to, żeby starzy mężczyźni mogli wykorzystywać młode kobiety. Zrywam umowę. Chcę się wycofać.

--Uspokój się, Carlo. Przedyskutujmy to dokładnie. Przyjadę do ciebie i porozmawiamy. Jeśli ojciec zrobił coś złego, będę tak samo zszokowany jak ty. Gdzie jesteś?

--Na weselu, ale zaraz wracamy do domu.

Max spojrzał na zegarek.

--Mogę być w twoim domu w Turynie w ciągu dwóch godzin. Nie rób niczego przed naszą rozmową. Jeśli potem nadal będziesz uważał, że mój ojciec w niedopuszczalny sposób wykorzystał twoją terapię, będę się starał go powstrzymać równie mocno jak ty.

Max niemal słyszał, jak Bacci się waha.

--Dwie godziny -- odparł wreszcie profesor i się rozłączył.

Max wrócił do stolika, przy którym ojciec wciąż rozmawiał z Hudsuckerem. Całe jego niezdecydowanie zniknęło. Myślał teraz chłodno i jasno, już przygotowując argumenty, których użyje, żeby uspokoić Bacciego.

--Przepraszam, senatorze, ale muszę iść. Jeden z klientów pilnie mnie potrzebuje.

Wyciągnął rękę, ścisnął pierścień między palcami, po czym uścisnął Hudsuckerowi dłoń na tyle mocno, że senator nie poczuł, jak trzydzieści miligramów wirusa MIN z genetyczną informacją o twarzy Isabelli zostało wtłoczonych przez skórę, ani tego, jak cieniutka igła przebiła ciało, pobierając próbkę krwi.

Helmut zmarszczył brwi.

--Kto to, Max?

--Profesor Bacci. Zajmę się nim.

Dwie godziny później

Kiedy Max dotarł do Turynu, padał deszcz. Bacci siedział w salonie ze zmiętą kartką papieru i opróżnioną do połowy butelką grappy na stoliku przed sobą. Pokój był pełen kwiatów.

--Gdzie Maria?

--Posłałem ją do łóżka. -- Profesor miał przekrwione oczy i oburącz trzymał się za głowę. -

- Nie tak wyobrażałem sobie noc poślubną. Chcę się wycofać z umowy z Kappel Privatbank.

Max wsunął dłonie do kieszeni mokrego trencza.

--Przecież nie wiesz, czy mój ojciec zrobił cokolwiek złego.

--Chcę się wycofać -- powtórzył Bacci.

--To nie takie proste, Carlo. Podpisałeś umowę.

Bacci podniósł zmiętą kartkę.

--Nie mów mi o żadnych podpisanych papierkach. Powiedziałeś, że twój ojciec i macocha podpisali prośbę o terapię. Ale ona nic o tym nie wiedziała, prawda? Nie pozwolę wam nadużywać mojego odkrycia. Jeśli nie rozwiążecie umowy, ujawnię mediom, co się stało.

--Zastanów się, co mówisz, Carlo. Nawet jeśli mój ojciec wykorzystał terapię, pomyśl, kogo skrzywdzisz, ujawniając to wszystko. Na przykład swoją córkę. Nie zapominaj, że wykorzystales ją bez jej wiedzy.

--Tylko po to, żeby udowodnić wam, że terapia działa.

--Do niczego cię nie zmuszaliśmy. Mogłeś odmówić. A co z twoją żoną? Poddales ją terapii, żeby się w tobie zakochała.

--To było co innego. Najpierw sam wstrzyknąłem sobie preparat. Oboje się w sobie zakochaliśmy. A kiedy wypróbowałem go na Isabelli, ty też go sobie wstrzyknąłeś. To było sprawiedliwe.

--Powiedziałeś Marii, co zrobiłeś? Czy przyjęła lek dobrowolnie? A jak poczuje się Isabella, kiedy się dowie, że wykorzystales ją jak królika doświadczalnego bez pytania o zgodę? Oddales córkę nieznanemu.

--To było co innego -- upierał się Bacci. -- Miałem dobre intencje. Zrobiłem to dla miłości. Twój ojciec nadużył dobrodziejstw terapii, Max. Wykorzystał ją dla władzy. Postąpił wbrew wszystkiemu, w co wierzę.

--Nie masz na to żadnych dowodów. A nawet gdyby to zrobił, w czym różniłby się od ciebie? Dlaczego tylko ty miałbyś korzystać z terapii w imię własnego szczęścia? Phoebe może być młodsza od mojego ojca, ale mimo to wierzy, że go kocha. Co w tym złego?

Bacci milczał chwilę. Potem pokręcił głową.

--To co innego -- powtórzył po raz trzeci. -- Mnie nigdy nie chodziło o wykorzystanie Marii, tylko o to, żeby ją kochać. Najpierw sam poddałem się terapii. Chcę zerwać umowę.

--Nie możesz jej zerwać. -- Max spojrzał Bacciemu w oczy, próbując go przekonać. -- Już za późno.

--W takim razie ujawnię wszystko prasie. I do diabła z konsekwencjami.

--Nie słuchasz, co do ciebie mówię, Carlo. Nie możesz niczego ujawnić. Ze względu na własne bezpieczeństwo nie możesz niczego nikomu powiedzieć, a zwłaszcza mojemu ojcu. Pozwól, że z nim porozmawiam i wyjaśnimy całą sprawę.

--Nie możecie mnie szantażować.

--Nie szantażuję cię. Ja cię tylko ostrzegam. Pamiętasz, co się stało z Trapanim?

Powiedziałeś mu o terapii, prawda?

Bacci zbladł.

--Zabili go Korsykanie. -- Pauza. -- Prawda?

Max patrzył na niego z niewzruszoną miną, aż wreszcie profesor zrozumiał.

--Idź do łóżka i przytul żonę. A jutro pojedźcie na miesiąc miodowy. Do twojego powrotu na pewno coś wymyślę. Ale nic nikomu nie mów. Bo jeśli to zrobisz, nikt nie będzie w stanie cię ochronić, ani ja, ani nawet policja. Jeżeli mój ojciec zacznie podejrzewać, że chcesz ujawnić wszystko prasie...

--Co robi?

Max obrócił się i zobaczył w drzwiach Helmuta Kappela. Za jego plecami stali Stein i dwaj byli agenci Stasi. Lewą ręką trzymał za łokieć Marię. Wciąż miała na sobie ślubną suknię i biżuterię. Tusz na rzęsach rozmazał się od łez, a oczy były okrągłe ze strachu.

--Patrzcie, kogo znalazłem podsłuchującego pod drzwiami... I chyba nie spodobało jej się to, co usłyszała, profesorze.

Bacci doskoczył do drzwi i przyciągnął żonę do siebie. Spojrzał gniewnie na Steina i dwóch mężczyzn o kamiennych twarzach.

--Kim są ci ludzie? Co wy robicie?! -- wrzasnął na Helmuta.

--Co pan robi, profesorze? -- odparował Helmut. Odwrócił się do Maksa i zmrużył oczy. -- Pomyślałem, że wpadnę zobaczyć, czy nie stało się coś ważnego. Stało się, Max?

Max stał bez ruchu z rękami w kieszeniach.

--Wszystko jest pod kontrolą -- odparł. -- Zajmę się tym.

--Wiem, że się zajmiesz -- rzekł Helmut. Zwrócił się z powrotem do Bacciego. -- Więc w czym problem, profesorze? Myśli pan, że użyłem pańskiej terapii, żeby rozkochać w sobie kobietę? A jeśli nawet? Pan postąpił tak samo.

--Nieprawda. -- Bacci przytulił Marię. -- Kocham cię, Mario -- powiedział. -- Nasza miłość jest prawdziwa.

--Wasza miłość nie jest ani bardziej, ani mniej rzeczywista od tej, którą darzy mnie Phoebe -- odparł Helmut. -- Czy naprawdę sądzi pan, że miłość identyczna z naturalną powinna być wykorzystywana jako emocjonalna viagra dla nieszczęśliwych par? Jak można być tak naiwnym? Nie pojmuje pan, co stworzył? Oprócz życia wiecznego jedyną rzeczą, jakiej nie można było kupić, była prawdziwa miłość. Ale pan to zmienił. Odwrócił pan świat do góry nogami. Pańska terapia wykracza poza obręb moralności. Kto może z ręką na sercu przysiąc, że gdyby miał okazję pojąć osobę, której pożąda, oparłby się pokusie? Nawet

święty by się zawahał. Który polityk albo przywódca nie chciałby kupić czci i uwielbienia swego ludu? Według Joachima przechowuje pan niezliczone warianty MIN. Warianty, dzięki którym można dokonać praktycznie wszystkiego. Wystarczy tylko mieć odwagę i wyobraźnię. Jak może pan być tak głupi, profesorze? Podał nam pan na tacy uczuciowy ekwiwalent bomby atomowej i oczekiwał, że z tego nie skorzystamy?

Max uniósł ręce.

--Wciąż możemy to przedyskutować, ale najpierw wszyscy musimy się uspokoić.

Helmut wyjął spod płaszcza pistolet Glock z tłumikiem i wycelował w Bacciego.

--Jestem zupełnie spokojny.

Kwas rozpalil Carlowi Bacciemu żołądek. Jego marzenie zmieniło się w koszmar. Specjalnie unikał dużych banków i koncernów farmaceutycznych, bo wiedział, że ich obsesja na punkcie zysku może doprowadzić do wypaczenia jego wizji. Ale Kappelowie okazali się bardziej bezwzględni od najbardziej bezdusznej korporacji. Nieświadomie podpisał pakt z diabłem. A co najgorsze, wmieszał w to wszystko córkę i Marię.

--Po co ten pistolet? -- zapytał. -- Co zamierzacie zrobić?

Helmut Kappel opuścił broń.

--Ja? Nic. -- Jego chrapliwy szept był nawet cichszy niż zwykle. Zwrócił się do Maksa. -- Wiesz, co należy zrobić. Użyj tłumika.

Bacci spojrzal na Maksa z niedowierzaniem, lecz gdy zobaczył chłód w jego oczach, przygarbił się z rezygnacją.

--Jeszcze tego nie wiesz -- powiedział -- ale nie jesteś taki jak ojciec, Max. Choćbyś nie wiem jak bardzo to przed sobą ukrywał, jesteś dobrym człowiekiem. Isabella opowiedziała mi, jak ocaliłeś jej życie i jak łagodnie ją traktowałeś. Widzę w tobie tłumioną namiętność: to dobroć, która usiłuje się wydostać na zewnątrz.

--Skończ z tym, Max -- rzucił Helmut zimnym, metalicznym szeptem. -- Natychmiast.

Max zagroził mu drogę.

--Pozwól mi to załatwić po swojemu.

W jasnych oczach Helmuta błysnął gniew.

--Nie masz wyboru, Max -- powiedział.

--Musi istnieć jakieś inne wyjście -- odparł łagodnie Max. -- Milczenie jest teraz w najlepszym interesie profesora, a jego wiedza wciąż może się nam przydać. Daj mi czas do rana, żebyśmy coś wymyślili.

--Zastanowię się nad tym.

Max kiwnął głową, a potem spojrzal przez ramię na Bacciego. W nadziei, że uzyskał odroczenie, profesor przytulił Marię i pocałował w mokry od łez policzek.

--Wszystko będzie dobrze -- wyszeptał.

Kiedy Max się odwracał, Helmut wyminął go, uniósł pistolet i oddał dwa strzały. Pierwsza kula trafiła Marię w czoło. Nim Bacci zdążył się zorientować, co się dzieje, drugi pocisk przeszył mu skroń. Oboje byli martwi, zanim upadli na podłogę.

--Zastanowilem się -- powiedział Helmut, napawając się wzburzeniem na twarzy syna.

Tłumiona od lat wściekłość wybuchła w Maksie z taką siłą, że aż zadrzał. Musiał się powstrzymać od ataku na ojca. Stein i jeden z byłych agentów Stasi także mieli wyciągnięte pistolety i celowali w niego. Opuścili broń, dopiero gdy odzyskał panowanie nad sobą.

Drugi agent Stasi podszedł do martwych ciał, zerwał Marii kolczyki i naszyjnik, a następnie ściągnął obojgu obrączki.

--Max -- wychrypiał ojciec -- pomóż Steinowi i jego ludziom upozorować rabunek.

Max był teraz spokojny, zimny jak lód. Spojrzal ojcu w oczy.

--To twój bajzel. Sam go, kurwa, posprzątaj -- rzucił, a potem wyszedł na deszcz.

Nazajutrz rano, 23 listopada

Kiedy Isabella podjechała pod dom ojca, żeby wziąć kwiaty, był już rześki, słoneczny poranek. Zaparkowała samochód i weszła do zaniedbanej willi.

Wyczuła woń kwiatów, jeszcze zanim przekroczyła próg, ale nie był to świeży zapach, który pamiętała z ostatniego wieczoru. Tego ranka wydawał się prawie mdlący, jak powietrze w domu pogrzebowym po śmierci jej matki. Ogarnął ją nagły, irracjonalny lęk. Zapach wydobywał się przez rozbite okno przy frontowych drzwiach.

Zamek został sforsowany. Pchnęła drzwi, a te otworzyły się bez oporu. W holu woń kwiatów była niemal obezwładniająca.

--Tato? Mario? -- Jej głos dziwnie niósł się w ciszy.

Słyszała tylko brzęczenie much.

Kiedy weszła do salonu i zobaczyła masę kwiatów, w pierwszej chwili pomyślała, że nie zmieszczą się do jej fiacika. Potem zauważyła, że większość leży rozrzucona na podłodze. Cały pokój został wywrócony do góry nogami. Zaszło jej w ustach.

A potem zobaczyła ciała. I krew.

Ojciec i Maria leżeli pod długim stołem przy ścianie, częściowo zakryci białymi orchideami i stefanotisami. Wciąż ubrani w ślubne stroje, obejmowali się w ostatnim uścisku. On leżał na niej, jakby próbował ją obronić. Biżuteria Marii zniknęła. Tak samo jak obrączka ojca.

Nie potrafiąc przetworzyć tego, co widzi, podeszła bliżej i zobaczyła pojedyncze rany po kulach w ich głowach. Starła się przywołać zawodowy dystans, lecz widok ciał i zapach kwiatów były zbyt wstrząsające. Opadła na kolana i zwymiotowała na obsypaną płatkami podłogę.

Usiłując nad sobą zapanować, zbliżyła się do ojca i sprawdziła puls, choć zimne ciało pozbawiło ją wszelkich złudzeń. Chciała go przytulić, ale objęcia Marii zagarnęły go już na zawsze. Usiadła i oparła się o nogę stołu. Kto mógł to zrobić?

Wreszcie ocknęła się, wezwała *carabinieri* i czekała, rozpaczliwie łaknąc pocieszenia. Z bolesną świadomością, że jest w obcym kraju i pozbawiona rodziny, zadzwoniła do jedynej osoby, do której mogła się zwrócić.

Phoebe przyjechała ze Schloss Kappel, policja i dziennikarze już bombardowali Isabellę pytaniami. Obecność supermodelki dołala jeszcze oliwy do ognia, ale Phoebe w ciągu kilku minut zabrała przyjaciółkę do Mediolanu.

Następne dwa dni upłynęły jej jak we mgle. W nocy nie mogła spać, a w dzień czuła się, jakby śniła na jawie. Kiedy wiadomość o morderstwie się rozeszła, wszyscy próbowali się z nią skontaktować: koledzy z pracy, starzy znajomi, koledzy ojca ze Stanów. Dzwonili na jej komórkę albo na domowy numer Phoebe, byli nieustępliwi i męczący. Wielu chciało wyrazić żal i współczucie. Niektórzy podpytywali o szczegóły. Jeszcze inni dzwonili, żeby wyladować emocje, nie zwracając uwagi na jej cierpienie.

Phoebe zabroniła Isabelli odbierać komórkę.

--A co z moimi pacjentami? -- spytała Isabella w odrętwieniu.

--W tej chwili to ty jesteś moją pacjentką i będziesz robić, co ci każę.

Max przyszedł drugiego dnia po południu, kiedy siedziała w pokoju wypoczynkowym, patrząc pustym wzrokiem na miasto za oknem. Ledwie dotarł do niej brzęk dzwonka, więc Phoebe podeszła do domofonu i wpuściła gościa. Isabella zauważyła go, dopiero gdy stanął tuż obok.

--Tak bardzo mi przykro -- powiedział.

Popatrzyła na niego zaskoczona. Był ostatnią osobą, jakiej się spodziewała.

Kiedy -- Dziękuję ci za pomoc, Max. Byłam trochę nieobecna, ale Phoebe mówi, że bardzo pomogłeś w załatwianiu spraw z władzami.

Uzbroiła się w cierpliwość, czekając na ckliwą przemowę o tragicznej stracie, ale nie powiedział nic więcej, tylko uśmiechnął się i usiadł naprzeciwko.

--Przynieść ci coś do picia, Max? -- spytała Phoebe.

--Nie, dziękuję. -- Położył obok siebie aktówkę. -- Isabello, przyszedłem, aby zaoferować ci moje usługi.

--Dziękuję, Max, ale dlaczego?

--To moja praca. -- Uniósł dłoń. -- Pozwól, że wytłumaczę. Twój ojciec był klientem Kappel Privatbank. Dbaliśmy o jego interesy. Pracowałem dla niego. Teraz pracuję dla ciebie.

Isabella wyteżyła otępiały umysł, żeby przetworzyć to, co mówił. Przypomniało jej się, że Trapani zarekomendował ojcu jakiś bank.

--To wy jesteście bankiem, do którego się zwrócił o opiekę nad swoimi finansami?

--Tak, a podległa nam firma konsultingowa Comvec doradzała mu w sprawie projektu technologicznego. Po tym, co się stało, pragniemy, o ile to możliwe, jak najbardziej ulżyć ci w tej trudnej sytuacji. Oferujemy wszelką pomoc. Zorganizujemy nawet pogrzeb. Powiedz, kogo zaprosić, jak ma przebiegać ceremonia, a ja wszystko załatwię. Jeśli potrzebujesz pomocy z testamentem albo w kontaktach z policją, jestem do twojej dyspozycji. Są pewne sprawy biznesowe dotyczące majątku twojego ojca, o których musisz wiedzieć, ale możemy je omówić później. Jeżeli czegoś potrzebujesz, czegokolwiek, po prostu powiedz.

Isabella przyjrzała się jego twarzy i zobaczyła wyłącznie współczucie.

--Dziękuję, Max. Dlaczego nie powiedziałeś mi, że pracujesz dla mojego ojca?

--Nigdy nie ujawniamy, kim są nasi klienci, a twój ojciec lubił trzymać karty przy piersi.

--Jakie to sprawy biznesowe, o których powinnam wiedzieć?

--Jak powiedziałem, możemy z tym poczekać.

--Wolałabym od razu się z tym uporać. Sięgnął do aktówki i wyjął biurową teczkę.

--Tutaj jest umowa, którą twój ojciec z nami podpisał. Pracował nad projektem, który zgodziliśmy się finansować i pilotować zarówno od strony handlowej, jak i technicznej. W rezultacie inwestowaliśmy w niego, a naszym jedynym zabezpieczeniem był sprzęt w jego laboratorium i własność intelektualna dotycząca technologii, którą opracował. Ojciec zadbał o zabezpieczenie twojej przyszłości na wypadek, gdyby coś mu się stało. Dostaniesz także jego dom i wszystkie oszczędności. Ale Kappel Privatbank zatrzyma sprzęt z laboratorium i wszystkie dane komputerowe dotyczące badań. Umowa jest przejrzysta, powinnaś jednak pokazać ją prawnikowi.

Zerknęła na dokument. Teraz wydawał się zupełnie bez znaczenia.

--Ufam ci -- powiedziała.

--Nie ufaj mi. Pokaż umowę prawnikowi.

--Nad czym mój ojciec właściwie pracował? Nigdy mi tego nie zdradził.

Skrzywił się.

--Przykro mi, ale nie mogę ci tego powiedzieć. W każdym razie jeszcze nie teraz. Aby mieć jakąkolwiek szansę wyrównania naszych strat, musimy znaleźć innego partnera handlowego, a ten na pewno zażąda całkowitej poufności.

--Rozumiem. -- Praca ojca nie wydawała jej się już ważna. Teraz, gdy odszedł, nic nie wydawało się ważne.

5 grudnia

Max stał obok Isabelli na turyńskim cmentarzu Santa Croce i patrzył, jak grabarze zasypują grób, a słowa jej mowy żałobnej odbijały się echem w jego głowie.

--Ojciec był dla mnie wszystkim. Przez ostatnich szesnaście lat był moją jedyną rodziną. Kiedy umarła matka, powiedział mi, że miłość jest w życiu najważniejsza i że właśnie zdolność kochania czyni nas ludźmi. Wyjaśnił, że żal jest nie tylko ceną miłości, ale i jej wyrazem. Kiedy mama umarła, byłam bardzo młoda, lecz jego słowa przekonały mnie, że mój żal jest czymś dobrym, ponieważ dowodzi, jak bardzo ją kochałam. I kiedy stoję tu dzisiaj, cierpiąc równie mocno, jego słowa są dla mnie pociechą. Jego też musiałam bardzo kochać.

Słowa Isabelli przypomniały Maksowi to, co matka powiedziała mu przed śmiercią. Odważne słowa o miłości i cierpieniu, które wiele lat temu uznał za głupie i niebezpieczne, bo ojciec nauczył go, że miłość jest słabością. Ale teraz, gdy patrzył na Isabellę, trudno mu było uznać tę namiętą, emocjonalną osobę za słabą.

Zastanawiał się, co będzie czuł po śmierci ojca. Prawdopodobnie nic. Ojciec zbyt dobrze go wytresował. A jeśli żal jest wyrazem miłości, to czy ktokolwiek będzie rozpaczał po jego własnej śmierci? Powiódł wzrokiem po żałobnikach, z których wielu było niedawno na ślubie nieżyjącej teraz pary, i zdał sobie sprawę, że irracjonalnie zazdrości zarówno im, jak i Isabelli. Strata bliskiej osoby jest trudna, ale czy jest gorsza od poczucia, że nie ma się nic do stracenia?

Helmut kazał mu zerwać kontakty z Isabellą, on jednak nie mógł pozwolić, aby cierpiała w samotności. Czuł się odpowiedzialny za śmierć jej ojca. Wprawdzie to Helmut pociągnął za spust, lecz on nie zdołał go powstrzymać. Kiedy organizował pogrzeb, zaskoczyło go, jak bardzo zależy mu, żeby wszystko odbyło się, jak należy. Gdy załatwiał formalności z kościołem, grabarzami i cmentarzem, pilnując, aby ojciec Isabelli spoczął obok ukochanej Marii, czuł się, jakby naprawiał także coś we własnym życiu, jakby to był pogrzeb nie tylko profesora Bacciego, lecz również matki, której też nie zdołał ocalić przed ojcem. Myślał teraz o jej namiętności i odwadze i znowu przypominała mu się Isabella.

Przez ostatnie dni pomagał jej w kontaktach z policją i prawnikami, lecz nigdy nie widział, żeby się załamała. Chociaż przyjęła jego pomoc, nie polegała wyłącznie na nim. Gdy policja przesłuchiwała ją, próbując ustalić, kto mógł się włamać do domu jej ojca, była spokojna. Kiedy jeden z detektywów podał jej chusteczkę, powiedziała: „Proszę się nade mną nie litować. Mogę znieść wszystko, tylko nie litość”.

Max starał się zastosować do tego życzenia. Stał się jej cieniem, lecz się nie narzucał. Odpowiadał na jej pytania i sugerował praktyczne rozwiązania, ale nigdy nie oferował emocjonalnego wsparcia. Co zresztą wiedział o radzeniu sobie z uczuciami? Może umiał je tłumić, lecz nie potrafił zapanować nad nimi tak jak ona.

Ksiądz zakończył ceremonię i żałobnicy ruszyli do samochodów. Gdy Phoebe podeszła do Isabelli i przytuliła ją, Max dostrzegł łzy w jej oczach. Jego ojciec odprowadził Phoebe do limuzyny, a przed Isabellą ustawiała się kolejka chcących złożyć kondolencje żałobników -- rodzina Marii, rodzina Trapanich, inni krewni i przyjaciele. Wszyscy całowali ją i przytulali. Zauważywszy, że przygryza wargę i milczy, pojął, jak ciężko jej to znieść.

Kiedy ostatni żałobnicy odeszli i przy grobie zostali tylko we dwoje, Isabella popatrzyła na niego. Wyglądała na zagubioną. Zamknęła oczy, jakby próbowała zatrzymać żal w sobie.

Pojedyncza łza spłynęła jej po policzku. Max instynktownie położył dłoń na jej ramieniu. Pochyliła się do niego i wtuliła głowę w jego pierś. Objął ją i poczuł, jak drży.

Spojrzał w kierunku samochodów i zobaczył, jak ojciec gromi go wzrokiem. Nie wiedział, jak długo patrzyli na siebie spode łba, lecz to ojciec pierwszy mrugnął powiekami.

18 grudnia

Dach Schloss Kappel i teren rezydencji pokrywała gruba warstwa śniegu. Kryształowe mauzoleum Helmuta sterczało w niebo niczym lodowy cień. Helmut przechadzał się wewnątrz szklanej budowli, wskazując ręką na cokół.

--Tutaj będzie wystawione moje ciało, na obrotowej platformie. Tak żebym mógł spoglądać z góry na park.

Profesor Gerhard Heyne zdjął kapelusz, podrapał się po łysinie i podniósł wzrok na szklane płyty tworzące dach.

--Ale to lustrzane, światłoczułe szkło, Herr Kappel. Nic pan przez nie, nie zobaczy. Helmut podszedł do ściany i uśmiechnął się do swojego odbicia.

--Nie będę potrzebować widoków, kiedy umrę. To na mnie będzie się patrzeć. Szkło zostało zaprojektowane tak, żeby zgodnie z pańskimi wytycznymi chroniło zmumifikowane ciało przed promieniami ultrafioletowymi i wahaniami temperatury, ale nie uniemożliwi ludziom zaglądania do mauzoleum, a to jest wszystko, na czym mi zależy. Po wejściu do środka będą mogli obejść cokół dookoła. A jeśli zechcą obejrzeć mnie lepiej, będą mogli wejść na pomost. -- Wskazał układające się w podwójną spiralę metalowe schody, które pięły się na trzy i pół metra w górę. W wyobraźni widział już niekończącą się kolejkę wiernych czekających, aby nasycić oczy jego widokiem. -- Tak więc będę musiał wyglądać jak najlepiej.

Heyne sięgnął do dużego nesesera i wydobyl odciętą ludzką głowę.

--Kiedy zastąpię pańskie płyny ustrojowe mieszanką żywiczną, zostanie pan zakonserwowany w takim stanie jak w momencie śmierci, ale mogę wykorzystać dokumentację fotograficzną, usunąć ślady procesu starzenia i chorób i sprawić, że będzie pan wyglądał młodziej. Na jaki wiek chce pan wyglądać? -- Anatom uniósł głowę i pokazał ją Helmutowi. Należała do młodego mężczyzny. Uśmiechał się, a jego oczy promieniowały życiem. -- Ten mężczyzna miał ponad czterdzieści pięć lat, kiedy umarł, ale wygładziłem mu zmarszczki i usunąłem skutki grawitacji, więc wygląda, jakby był przed trzydziestką. Jego twarz jest teraz utrwalona w tym wieku. Na zawsze.

--Mogę dotknąć?

--Oczywiście.

--Myślałem, że będzie woskowata, ale nie jest.

--Bo to nie wosk.

Helmut spojrzał Heynemu w oczy.

--Bez względu na to, jak i kiedy umrę, chcę wyglądać tak jak teraz. To ważne. Nie obchodzi mnie, czy wykorzysta pan licencję artystyczną przy konserwacji innych części ciała, ale twarz musi wyglądać dokładnie tak jak teraz. Żadnych retuszy. Niczego.

--Rozumiem. Mój skaner laserowy może wymierzyć kontury pańskiej twarzy z dokładnością do jednej milionowej milimetra. W jakiej pozycji chciałby pan sobie stać po śmierci? -- Znowu sięgnął do nesesera i wyjął aparat cyfrowy, laptop i urządzenie przypominające z wyglądu pióro. Włączył laptop, otworzył plik i odwrócił ekran w stronę Helmuta, pokazując wybór pozycji. Jedna z postaci stała prosto z wyciągniętym ramieniem i palcem wskazującym w dal, jakby w przyszłość.

--Tę -- powiedział Helmut.

--Doskonały wybór. -- Heyne podał mu plik papierów i pióro. -- Zanim wprowadzę do komputera wyniki pomiarów twarzy, proszę to podpisać. To upoważnienie i potwierdzenie uzgodnionego wynagrodzenia.

Helmut zerknął na dokument. Tekst był zgodny z tym, co ustalili jego prawnicy, podpisał więc wszystkie trzy egzemplarze i oddał je Heynemu.

Anatom ustawił na cokole laptop i laser. Potem podłączył laser do komputera i poprosił Kappela, żeby się nie ruszał.

Obfotografował głowę Helmuta z każdej strony, podczas gdy laser emitował błękitny promień, który odmierzał kontury twarzy. Wszystko to trwało niecałe dziesięć minut. Kiedy Heyne pakował sprzęt do nesesera, otworzyły się drzwi mauzoleum. Anatom zamrugał z niedowierzaniem, widząc Joachima. Był ubrany w grube palto, buty miał oblepione śniegiem.

--Mój młodszy syn -- powiedział Helmut.

--Widzę podobieństwo. Jest uderzające.

--Joachim to prawdziwy Kappel.

Joachim promieniał z dumy, gdy Heyne uściśnął Helmutowi dłoń i wyszedł.

--I co, Joachimie? Wszystko na ślub już gotowe?

Joachim poklepał nie dużą aluminiową walizkę, którą trzymał w prawej dłoni.

--Przygotowałem preparaty miłości identycznej z naturalną dla drухen, po jednej tymczasowej i po jednej trwałej -- odparł.

Helmut zmrużył oczy.

--Zmodyfikowałeś permanentną wersję tak, jak uzgodniliśmy?

--Tak, *Vati*.

--Doskonale. -- Helmut sięgnął po złotą papierośnicę, otworzył ją i poczęstował Joachima. Z satysfakcją zauważył, że palce syna zdrząły, gdy brał papierosa: zgodnie z intencją ojca potraktował to jako rzadkie wyróżnienie i nagrodę. Kiedy podał mu ogień, oczy Joachima rozbłysły niemal fanatycznym uwielbieniem. Zawsze był uległy i ląknął aprobaty, lecz odkąd Helmut wstrzyknął mu MIN 042, stał się mu bezgranicznie oddany, wykonując wszelkie polecenia lojalnie, dyskretnie i bez zastrzeżeń. -- A Wenus? -- spytał Helmut. -- Czy na ślub wszystko będzie gotowe?

Joachim sięgnął do aluminiowej walizeczki i wyjął fiolkę przezroczystego płynu.

--To nie proszek -- zauważył Helmut.

--Nie, wektor, którego zastosowanie zażyczyłeś sobie przy Wenus, musi mieć postać płynu.

-- Potrząsał fiolką. -- Nie jest jeszcze gotowy, ale zdążę przed naszym ostatnim zebraniem.

--Czy będzie działał dokładnie tak, jak to omówiliśmy?

Joachim pokiwał głową.

--Łączę dwa wypróbowane elementy: wektor, który opracowałem w Comvecu, i MIN Czterdzieści Dwa Bacciego, więc mam pewność, że Wenus będzie działać. Cały proces jest dość czasochłonny, ale nie martw się, *Vati*, preparat spełni wszystkie twoje oczekiwania.

--Nasze oczekiwania, Joachimie. -- Helmut położył dłoń na policzku syna i obrócił jego głowę do lustrzanego szkła, tak że odbijały się w nim twarze ich obu. W przyciemnionym szkłe szczegóły związane z wiekiem uległy rozmyciu i wyglądali niemal identycznie, jak bliźniacy. -- Patrz w przyszłość, Joachimie. Jeśli dobrze się spiszesz, możesz zostać moim następcą. Max jest wprawdzie starszy, ale to wcale nie oznacza, że musi objąć po mnie schedę. Pomyśl, co to

znaczy w dalszej perspektywie. Możesz mieć u stóp cały świat. Pamiętaj, Joachimie: tworzysz Wenus dla nas, nie tylko dla mnie.

Joachim milczał chwilę.

--Dlaczego wstrzyknąłeś mi MIN Czterdzieści Dwa, *Vati*? -- spytał wreszcie.

Helmut zastanawiał się, kiedy syn zda sobie z tego sprawę. Najpierw chciał wszystkiemu zaprzeczyć, lecz ostatecznie wzruszył ramionami.

--Projekt Wenus jest zbyt ważny. Potrzebuję twojej pomocy, synu, a musiałem być pewien twojej lojalności.

--Przecież mogłeś liczyć na moją lojalność, *Vati*. -- Joachimowi załamał się głos, jakby nie był w stanie panować nad emocjami. -- Nie musiałeś robić mi zastrzyku. Jestem twoim synem. Zrobiłbym dla ciebie wszystko.

--Wiem. -- Helmut poklepał syna po plecach. -- Przepraszam. Powinienem być ci zaufać. W końcu zawsze byłeś moim ulubieńcem.

--Naprawdę?

--Naprawdę. Przepraszam. Czy nadal jesteśmy zgodni? Joachim pokiwał głową.

--Preparat, który przygotuję na ślub, spełni nasze oczekiwania.

--Doskonale. -- Helmut położył mu dłoń na ramieniu. -- Nikt nie może się dowiedzieć o Wenus. Nie wspominaj o tym nawet Maksowi i Klausowi. Mogliby nie zrozumieć, co staramy się osiągnąć. To nasz projekt. -- Zawiesił głos. Od śmierci Bacciego Max nie tylko zachowywał się z większą rezerwą, lecz także zignorował polecenie, żeby trzymać się z daleka od córki profesora. Helmut przypomniał sobie, jak Isabella zobaczyła go uprawiającego seks z Phoebe. Jej zszokowana mina podnieciła go tak bardzo, że poczuł się prawie jak nastolatek. -- Źródło propozycji Maksu, nie jestem pewien, czy twój brat wie, komu powinien być wierny. Wpoilem mu etos Kappelów, jednak ostatnio spędza z Isabellą Bacci więcej czasu niż z Delphine Chevalier.

--Masz rację.

--Porozmawiam z nim, ale powinniśmy mieć w zanadrzu zabezpieczenie. Dla jego własnego dobra. Rozumiesz, o co mi chodzi?

Skóra nad górną wargą Joachima lśniła od potu.

--Chcesz, żebym pomógł Maksowi w dokonaniu właściwego wyboru?

--Tak. Musimy mu pokazać raz na zawsze, jak błaha i bezwartościowa jest miłość. --

Helmut przyciągnął syna do siebie. -- Wytłumaczę ci, jak to sobie wyobrażam.

Wigilia

Doktor Roberto Zuccatto, ordynator oddziału neurologii w mediolańskim szpitalu uniwersyteckim, był wysokim rzymianinem po pięćdziesiątce. Miał długi nos, okulary i smutne oczy. Zatrzymał Isabellę na korytarzu przed jej gabinetem.

--Mam dobre wieści -- powiedział. -- Komisja etyczna wydała zgodę na użycie ekstraktu z amigo do pani badań nad prozopagnozją. O ile tylko ochotnicy zostaną powiadomieni o skutkach przyjęcia substancji, może pani zacząć ich szukać już od początku nowego roku. Pisemne potwierdzenie powinna pani dostać za kilka dni. -- Zdjął okulary i uśmiechnął się do niej. -- A teraz może pani wróci do domu? Są święta, a po wszystkim, co pani przeszła, potrzebuje pani odpoczynku. Zmęczona na nic się nam pani nie przyda.

--Załatwię jeszcze parę drobnych spraw i idę.

--Obiecujecie pani?

--Obiecuję.

--Dobrze. Życzę wesołych świąt.

Po pogrzebie ojca szpital zaproponował, żeby wzięła wolne i wróciła, kiedy będzie gotowa. Ona jednak potrzebowała zajęcia, więc szybko rzuciła się w wir pracy. Koncentracja na badaniach i zaangażowanie w problemy pacjentów odrywały ją od własnych zmartwień. Cieszyła się ze zgody komisji etycznej. Otrzymała już nowy zapas ekstraktu amigo i zaczęła wstępnie zbierać ochotników, łącznie z ojcem Sofii, do wzięcia udziału w badaniach.

Nie mogła jednak uciekać w pracę bez końca. Musiała kiedyś wrócić do domu i zmierzyć się ze swoimi myślami. Bała się świąt, bo wtedy wszyscy spotykali się w rodzinnym gronie i powinni być szczęśliwi. Kathryn i kilka innych osób zaprosiło ją do siebie, ale nie zniosłaby świąt w towarzystwie obcej rodziny. Nigdy nie zapomniała pierwszych świąt po śmierci matki, spędzonych samotnie z ojcem. Przynajmniej tym razem musiała się zmierzyć tylko z własnym żalem. Phoebe błagała ją, żeby przyjechała do niej i Helmuta, lecz ponure wnętrza Schloss Kappel nie wydawały się zachęcające, a Phoebe była tak pochłonięta przygotowaniami do zbliżającego się ślubu, że Isabella nie chciała jej przeszkadzać. W końcu przyjęła zaproszenie na świąteczny obiad od brata Marii i jego rodziny. Przynajmniej wiedziała, że będzie z ludźmi, którzy rozumieją, co czuła.

Przy ostatnim obchodzie zajrzała na oddział pediatryczny, który był przystrojony balonikami i świecidelkami. Kiedy zgasiła światło i powiedziała dobranoc podekscytowanym dzieciom, pomyślała, że dobrze będzie mieć mieszkanie Phoebe tylko dla siebie. Potrzebowała samotności. Musiała się zastanowić, co zrobić z domem po ojcu.

W końcu włożyła płaszcz i weszła do szpitalnej poczekalni. Lekarze i pielęgniarki życzyli jej wesołych świąt i uściskali serdecznie. Wieczór wyglądał na zimny, lecz mieszkanie Phoebe jest ciepłe, a lodówka dobrze zaopatrzona. Otuliła się płaszczem i wyszła na zewnątrz.

Czuła się zupełnie dobrze, póki nie zobaczyła swojego samochodu: wszystkie miejsca parkingowe wokół fiacika były puste. Łzy stanęły jej w oczach, bo uświadomiła sobie, jak bardzo jest samotna. Wzięła głęboki oddech i powiedziała sobie, że to minie.

Kiedy ruszyła dalej, zatrzymał się przed nią lśniący aston martin. Już chciała go wyminąć, gdy otworzyły się drzwiczki i z fotela kierowcy wyskoczył Max Kappel.

--Zostaw swój samochód -- powiedział. -- Podwiozę cię do domu.

--Ale ja...

Otworzył tylne drzwi. Na kanapie leżała lodówka turystyczna i koszyk.

--Jest Wigilia, Isabello. Wsiadaj.

--Dziękuję, Max, ale to niepotrzebne. Od śmierci ojca okazałeś mi wiele troski i naprawdę doceniam twoją pomoc, ale czuję się całkiem dobrze. Poza tym na pewno masz plany na dzisiejszy wieczór... z Delphine?

--Nie widuję się już z Delphine, a mój plan jest taki, żeby zjeść z tobą kolację w twoim mieszkaniu. Nie zrozum mnie źle, Isabello, to wcale nie troska czy współczucie. Działam z czysto egoistycznych pobudek.

--Więc nie mam w tej sprawie nic do powiedzenia?

--Dobra pani doktor wreszcie zaczyna kapować, co jest grane. -- Uśmiechnął się szeroko. -
- A teraz wsiadaj.

Kiedy dotarli do mieszkania Phoebe, rozpakował kosz i wyłożył zawartość na kuchenny stół. Zaczęli od kawioru i mocno zmrożonej wódki, następnie przeszli do gotowanego na parze homara ze szparagami i chłodnego białego wina Meursault, a na deser zjedli najlepszy tort czekoladowy, jakiego Isabella kiedykolwiek kosztowała. Max przygotowywał i serwował każde danie, odgrywając przy tym humorystyczne scenki z taką wprawą, że po raz pierwszy od tygodni się śmiała.

Tuż przed północą ubrali się ciepło i wyszli na taras na dachu, żeby tam przywitać pierwszy dzień świąt. Usiedli obok siebie i patrzyli na gwiazdy. Isabella była na lekkim rauszu, co poprawiło jej nastrój. Pewnie przyplaci to kaczem na jutrzejszym obiedzie u brata Marii, ale na razie wszystkie cierpienia ostatnich tygodni majaczyły gdzieś w oddali.

--Co się stało z Delphine? -- spytała. -- Myślałam, że się pobieracie.

--Moja rodzina chce, żebym się z nią ożenił, ale ja nigdy na nic takiego się nie zgodziłem. Uśmiechnęła się i łyknęła wódki.

--Oczywiście. O mało nie zapomniałam. Nie pozwalasz sobie na miłość. To wbrew twojemu wyznaniu.

--Właśnie -- potwierdził. -- Rozumiesz mnie, Isabello, i dlatego cię lubię.

--Ja też cię lubię, Max.

Siedząc obok niego, otulona paltem, czuła się bezpiecznie i spokojnie. Od śmierci ojca ledwo mogła zmrużyć oko, lecz teraz poczuła senność. Początkowo próbowała z nią walczyć, ale nie była w stanie się oprzeć. Zanim odplynęła, zdążyła jeszcze wymamrotać: „Dziękuję ci, Max”.

Nie słyszała jego odpowiedzi ani nie czuła, jak zaniósł ją do mieszkania i położył do łóżka. Nie widziała, jak przypiął kartkę ze świątecznymi życzeniami do korkowej tablicy, na której wisiały karteczki z podziękowaniami od pacjentów, ani jak odwrócił się, żeby wyjść, a potem zmienił zdanie. Ale kiedy położył się obok, poczuła jego ciepło i uśmiechnęła się przez sen.

Vous êtes fou, monsieur. To szaleństwo! -- zawołał człowiek na pokładzie łodzi. -- *C'est trop dangereux.*

Max wiedział, że mężczyzna ma rację. Nie powinien tego robić w zimie. Mimo to nie ustąpił. Uważając, żeby nie stracić równowagi, uniósł prawą dłoń z palcem w górze.

--*Encore une fois!* -- odkrzyknął. Jeszcze raz.

Mężczyzna na łodzi wymienił niespokojne spojrzenia z dwoma towarzyszami. Wszyscy trzech ubezpieczający Maksa pletwonurkowie czekający pod wodą zostali hojnie wynagrodzeni, ale mieli rację, że próbowali go powstrzymać. Ubrany w czarny neoprenowy kombinezon stał na czterdziestokilogramowym kuble w kształcie klina zwanym windą, zawieszonym na linie nad powierzchnią wody. Morze było spokojne, ale nurkowanie z balastem w zimie, kiedy woda jest zimna, zakrawało na szaleństwo. Jednak Max znał tylko ten jeden sposób, by uwolnić się na chwilę od bitwy, która toczyła się w jego głowie.

Nurkowanie było dla niego osobistą komunią z głębiną, ale nie mógł nurkować z windą sam, a czasami, jak teraz, zwykle nurkowanie nie wystarczało, żeby rozwiązać dręczące go problemy. Wykonał serię krótkich wydechów, pozbywając się dwutlenku węgla z krwi, a następnie wziął głęboki wdech. Chwyciwszy się mocno liny, podniósł wzrok na mężczyznę na łodzi i dał znak, żeby zwolnili blokadę.

Ciężka winda pruć wodę niczym torpeda z prędkością ponad czterech metrów na sekundę. Maksa uderzyło zimno, ale zignorował je i skupił się na wyrównywaniu ciśnienia w bębenkach usznych. Ledwo dostrzegł ubezpieczających go pletwonurków, kiedy minął ich, spadając w głębinę. W ciągu minuty i trzynastu sekund znalazł się ponad sto dwadzieścia metrów pod powierzchnią. Ciśnienie napierające na jego ciało było trzynaście razy większe niż na suchym lądzie, lecz w duszy czuł lekkość, jakiej nie zaznał od wielu dni. Dręczące go niezdecydowanie przybrało łagodniejszą postać, a gdy puścił windę i ruszył ku powierzchni, siłą woli usunął z myśli napięcie.

Na lądzie był synem swego ojca. Lecz tu, w dole, na kilka ulotnych chwil władanie nad jego duszą obejmowała matka. Schodzenie w głębinę było niemal duchowym doznaniem, lecz dziś ukojenie, którego pragnął, nie nadeszło. Kiedy dało o sobie znać niedotlenienie i pojawiła się matka, tym razem nie udzieliła mu wsparcia ani rozgrzeszenia. Nie obmyła go miłością i nie wybaczyła, że podporządkował się ojcu. Zamiast tego stała się aniołem zemsty, gniewnym i niewzruszonym. Rozumiała, co zrobił, żeby zachować zdrowie psychiczne, i nie potępiała go za odebranie życia ludziom, których zabił bez skrupułów i zmiłowania. Lecz teraz nadszedł czas, zdawała się mówić, aby wybrał między światem ojca a nią.

W narkotycznym transie Isabella objawiła mu się jako emisariuszka matki, wysłana do jego świata, aby podważyć ślepe przywiązanie do rodziny Kappelów. To, co do niej czuł, nie pozwoliło mu zabić jej ojca, a gdy Helmut zamordował Bacciego, poczuł tę samą bezsilną wściekłość co przy śmierci matki. Złęczony głos w głowie przekonywał go, żeby zapomniał o Isabelli. Lecz nawet gdy rozedrgane promienie słońca obwieściły powrót na powietrze,

wiedział już, że nigdy nie popadnie w obojętne odrętwienie, które przez lata zapewniało mu bezpieczeństwo. Nie mógł dłużej wypierać się uczuć do Isabelli, które roztopiły lód w jego sercu.

Kiedy wynurzył się na powierzchnię, zaczerpnął łapczywie tchu i otworzył oczy...

Z początku nie wiedział, gdzie jest. Przyłożył ręce do twarzy i poczuł wilgoć na dłoniach. Był ubrany i leżał w łóżku Isabelli zlany potem. Usiadł i zerknął na zegarek. Zbliżał się świt. Będzie musiał wkrótce wyjść, żeby zdążyć do Schloss Kappel na świąteczny obiad. Popatrzył na śpiącą Isabellę i na sekundę jej twarz zmieniła się w twarz matki. Przetarł oczy i spojrzął w ciemność. Poczekaj, aż Isabella się obudzi, ale potem będzie musiał wrócić do Schloss Kappel.

Boże Narodzenie

--Martwię się, że za dużo czasu spędzasz z Isabella Bacci -- powiedział Helmut. -- Wiem, jak to jest, kiedy się słyszy syreni śpiew miłości, Max, ale musisz go zignorować.

Max spojrzął na okryty śniegiem gmach Schloss Kappel, gdzie pozostali członkowie rodziny odsypiali świąteczny obiad. Potem odwrócił się z powrotem do zamrożonego jeziora i wsunął dłoń głęboko w kieszenie płaszcza.

--Nie jestem zakochany -- odparł spokojnie.

--Kiedyś wierzyłem, że kocham twoją matkę. Kiedy cię zabrała i zagroziła, że wyda Kappelów policji, jeśli spróbuję cię odzyskać, o mało nie pozwoliłem jej odejść. Ale ojciec wytłumaczył mi, że nic nie może stać na drodze rodziny, nawet miłość. Musiałem spełnić swój obowiązek. -- Poklepał syna po ramieniu. -- Byłeś i jesteś przyszłością Kappelów, Max. Wróciłem po ciebie z poczucia obowiązku. I właśnie obowiązek i lojalność wobec rodziny nakazały mi uciszyć twoją matkę... chociaż wydawało mi się, że ją kocham. Było ciężko, ale gdy przyjąłem ciężką na mnie odpowiedzialność, wszystko stało się jaśniejsze. Terapia Bacciego musiała cię przekonać, jak obeszczajająco działa miłość. Nie ma dla niej miejsca we współczesnym, cywilizowanym świecie. Miłość wszystko komplikuje. A poczucie obowiązku i lojalność są czyste. Wszystko upraszczają. -- Spojrzął Maksowi w oczy. -- Odlóż na bok to, co czujesz albo myślisz, że czujesz do Isabelli Bacci, i spełnij swój obowiązek. Senator Hudsucker został już zarażony wirusem MIN z kodem jej twarzy. Sam zrobiłeś mu zastrzyk. A Joachim sporządzi dla niej odpowiedni preparat, wykorzystując próbkę krwi Hudsuckera, którą dostarczyłeś. Zadbaleś, żeby każdy z naszych klientów otrzymał fotografię drухen dołączoną do zaproszenia. W tym momencie Hudsucker prawdopodobnie wpatruje się obsesyjnie w zdjęcie Isabelli. Zostali sobie przeznaczeni. Klamka zapadła. Isabella odegra swoją rolę w Ilium. Zapomnij o niej. Ożeń się z Delphine Chevalier.

Max wpatrywał się w jezioro, wyobrażając sobie, że mógłby zanurkować w lodowate głębinie i nigdy nie wrócić. Rozważał możliwość zbuntowania się przeciw ojcu, napiętnowania zabójstwa matki i profesora Bacciego i wszystkich innych zbrodni, jakie Kappelowie popełnili w imię obowiązku i lojalności wobec rodziny, lecz wiedział, że byłoby to daremne. Kiedyś mógłby się postawić, ale teraz był zbyt zdemoralizowany, za bardzo upodobił się do Kappelów.

--Nie ożenię się z Delphine Chevalier -- powiedział cicho.

--Jak to?

--Nie potrzebujemy już fuzji z Banque Chevalier. Dzięki terapii MIN i projektowi Ilium Kappel Privatbank zdobędzie niezbędne fundusze. Zyskamy całkowitą kontrolę nad najważniejszymi klientami.

Ojciec zmarszczył brwi.

--I jeszcze jedno -- ciągnął Max. -- Nie chcę mieszać Isabelli do Ilium. Jej też nie potrzebujemy. Dzięki pozostałym drухnom bank i tak zyska ponad trzy miliardy dolarów. Poprę cię w Ilium, jak zawsze cię popierałem... poprę nawet ten idiotyczny cyrk ze ślubem, ale musisz

zostawić Isabelłę w spokoju.

--Chyba żartujesz.

--Bynajmniej.

--Ale przecież wszystko przygotowaliśmy. Hudsucker dostał już zastrzyk.

--To niech złamane serce będzie dla niego karą za odtrącenie naszych usług i groźby, że zlikwiduje konto. Teraz, gdy opanowaliśmy technologię MIN, możemy mu znaleźć inny obiekt miłości i oskubać go z pieniędzy później. -- Odwrócił się do ojca i spojrzał mu w oczy. -- Ja cię o to nie proszę, *Vater*. Po prostu cię informuję.

Helmut przyglądał mu się długo.

--Max -- powiedział wreszcie -- wybrałem cię na swojego družbę, bo jesteś moim starszym synem i dziedzicem. Jesteś moją przyszłością. Mogę na ciebie liczyć, prawda?

Max wpatrywał się w jezioro. Kiedy się odezwał, jego głos był pozbawiony emocji.

--Czy zbuntowałem się, zawiodłem cię albo zdradziłem po tym, jak na moich oczach zabiłeś matkę?

Kappel milczał chwilę.

--Nie, Max -- odpowiedział w końcu.

--Więc nie kwestionuj mojej lojalności.

28 grudnia

Drzwi na poddasze były ukryte w nieużywanej sypialni na tyłach turyńskiej willi ojca. Zostały pomalowane tą samą farbą co sufit i Isabella w ogóle by ich nie zauważyła, gdyby *carabinieri* nie znaleźli ich, gdy przeszukiwali dom przy zbieraniu materiałów dowodowych.

Drżała na myśl o powrocie do willi, ale po przetrwaniu świąt poczuła się odważniejsza. Chciała zabrać osobiste rzeczy ojca, zanim sprzeda dom w przyszłym roku.

Z drzwi frontowych usunięto już policyjną taśmę, więc otworzyła je i weszła do domu. Chociaż z salonu wyniesiono kwiaty, miała wrażenie, że wciąż czuje ich zapach. Z ulgą stwierdziła, że w miejscu, gdzie leżały ciała, nie został żaden ślad. Kwiaty osłoniły dywan i drewnianą podłogę przed krwią. Według *carabinieri* ojciec i Maria byli „łatwym celem”. Mordercy prawdopodobnie wiedzieli o ślubie i spodziewali się, że po weselu dom będzie pełen biżuterii i prezentów. Policja była pewna, że wie, jak doszło do włamania i morderstwa. Mniej pewna była złapania sprawców.

Isabella była zaskoczona, że wśród rzeczy ojca jest tak mało śladów po matce. Rzadko cokolwiek wyrzucał, tymczasem w szufladach znalazła ledwie parę zdjęć. Zbierał puste puszki po herbatnikach, butelki po winie i stosy starych czasopism naukowych, lecz żadnych pamiątek po ukochanej pierwszej żonie. Właśnie dlatego odważyła się wziąć starą, rozchwianą drabinę i wejść na strych.

Poddasze biegło przez całą długość domu. Było zavalone pudłami, tylko w odległym kącie, na dywaniku stał stary fotel. Gdy Isabella wyciągnęła rękę, żeby włączyć światło, zauważyła, że późnopołudniowe słońce wpada przez dwa okrągłe świetliki, a fotel został ustawiony dokładnie między nimi. Obok był stolik, dwa koce i mosiężna lampa z zielonym kloszem. W pobliżu stała butelka czerwonego wina i kieliszek. Isabella usiadła i wyobraziła sobie ojca zaszywającego się tutaj, żeby poczytać.

Z prawej zobaczyła kufer z nazwiskiem „Bacci” na wieku. Pamiętała go z dzieciństwa. Stał w gabinecie ojca wypchany książkami. Był zamknięty na kłódkę. Sięgnęła po pęk kluczy, wybrała ten, który zdawał się pasować, i wsunęła do zamka. Obrócił się bez oporu. Kiedy zdjęła kłódkę i uniosła wieko, poczuła znajomy zapach stęchlizny. Ale w środku nie leżały książki.

Z jednej strony były albumy ze zdjęciami i pliki listów przewiązane wyblakłą niebieską wstążką. Przejrzała zdjęcia matki i ojca z czasów, gdy tworzyli pełną rodzinę, i ogarnęło ją wzruszenie.

Listy były od matki. Większość została napisana, kiedy ojciec jeździł z gościnnymi wykładami, ale starsze pochodziły jeszcze z czasów narzeczeństwa. Kiedy je przeglądała, czuła radość, że rodziców łączyła tak głęboka miłość -- miłość, której sama była owocem -- i zarazem dojmujący smutek, że obojga już nie ma.

Po drugiej stronie kufra leżała czarna teczka przepasana szpagatem, gruba i ciężka.

Isabella wyjęła ją, położyła na kolanach i otworzyła. Wewnątrz znalazła kartki wypełnione pismem ojca. Stronice były datowane, niektóre na wiele lat wstecz. Każdy wpis zaczynał się od słów: „*Moja najdroższa Lauren*”. Były to listy do matki Isabelli -- napisane po jej śmierci. Ze wzruszeniem pomyślała o ojcu, który przychodził tu z kieliszkiem wina, aby pisać listy do zmarłej żony, jakby przebywała po prostu w innym kraju.

Listy były niezwykle szczere. Kartkując je, spostrzegła własne imię i przeczytała o

niepokojach taty, gdy „*ten głupek Leo złamał Isabelli serce*”: „*Staram się ją pocieszyć, ale nigdy nie byłem w tych sprawach zbyt dobry. Żałuję, że nie możesz jej pomóc, Lauren, tak jak zawsze mnie pomagałaś*”.

Zafascynowana tym unikatowym wglądem w świat ojca, wybierała kartki na chybił trafił, starając się je potem ułożyć w poprzednim porządku. Niektóre zasmucały ją, bo wyrażały rozczarowanie pracą i rozgoryczenie wobec koncernów farmaceutycznych, przeradzały się w długie diatryby i skargi, że czuje się niedoceniany i wykorzystywany. Isabella zawsze wiedziała, że ojciec ląknął uznania, lecz nie zdawała sobie sprawy z desperacji, z jaką usiłował zapisać się na trwale w historii nauki, zanim pokona go starość. Jednak ton jednego wpisu był inny, triumfalny. Przykuł jej wzrok, ponieważ był podkreślony: „*Zrobiłem to. Wstrzyknąłem sobie MIN i jutro będę znał efekty*”. Późniejszy wpis mówił: „*Dziś wieczorem zrobiłem Marii zastrzyk MIN nr 072. Jestem przekonany, że postąpiłem słusznie. Jak miłość może być zła?*”

Zacząła szukać odniesień do MIN, cofając się aż do najwcześniejszych zapisków, gdzie ojciec streścił swoje odkrycie, opatrując tekst diagramami i fragmentami formuł. Był błyskotliwym naukowcem, więc gdy czytała szczegółowe notatki, własna wiedza z neurologii i genetyki podpowiadała jej, że projekt miłości identycznej z naturalną jest daleki od bredni szaleńca. Ale na pewno był zbyt dziwaczny, by mógł się ziścić.

Prześledziła całą historię projektu -- od jego narodzin w laboratoriach badawczych MIT w Stanach Zjednoczonych aż po dalsze opracowanie w prywatnym laboratorium w Turynie. Po niemal katastrofalnym eksperymencie z wersją czterdziestą drugą, który o mało nie skłonił ojca do zarzucenia przedsięwzięcia, udało mu się stworzyć dwa stabilne warianty: tymczasową wersję 69 i dającą trwale skutki wersję 72. Gdy pomyślnie przetestował na sobie wersję tymczasową, kiedy to zakochał się szaleńczo w różnych kobietach, wykorzystał wersję 72, aby na trwale zakochać się w Marii. Potem zaś potajemnie wstrzyknął preparat Marii, rozkochując ją w sobie.

Isabella odłożyła notatki. To było niewiarygodne. Ojciec wierzył, że za pomocą inżynierii genetycznej wywołał swoją miłość do Marii i na odwrót. Był tak pewien, że stworzył rewolucyjną terapię, iż wystąpił do Kappelów o finansowe wsparcie projektu.

Wróciła do lektury i zobaczyła coś, co zaparło jej dech. Zapis sprzed pięciu miesięcy brzmiał: „*Lauren, muszę wierzyć, że Max Kappel jest człowiekiem honoru. W przeciwnym razie nie zdołam usprawiedliwić tego, co zrobiłem. Jeśli Isabella kiedykolwiek się o tym dowie, mogę się tylko modlić, by zrozumiała, że moje intencje były dobre. Mam nadzieję, że test MIN nr 069 w Antibes nie tylko dowiedzie Kappelom, że terapia jest skuteczna, ale też nauczy Isabellę na nowo kochać. Po tym, jak utraciła Ciebie i została zdradzona przez Leo, zasługuje na szczęście. Na takie szczęście, jakie znalazłem z Marią*”.

Isabella musiała przeczytać te słowa trzy razy, żeby w pełni pojąć ich znaczenie. Nie mogła uwierzyć, że ojciec wykorzystał ją jako bezwiednego pionka, by udowodnić skuteczność swojej terapii i zyskać finansowe wsparcie. Trudniej jednak było jej zaprzeczyć, że MIN działa. Rzeczywiście zakochała się w Maksie w Antibes. Przebiegł ją zimny dreszcz. Nie mogła już być pewna swoich uczuć do Maksa ani jego do niej.

Jak ojciec, którego tak bardzo kochała, mógł nie tylko zachować przed nią swoje wielkie odkrycie w tajemnicy, lecz na dodatek wykorzystać ją w ten sposób? Nawet Max wiedział o eksperymencie w Antibes. On też był pionkiem, ale przynajmniej miał świadomość, co się

dzieje. Komu mogła teraz ufać? Zakręciło jej się w głowie, poczuła mdłości.

Skupiwszy się siłą woli, wróciła do listów i zajęła się wyszukaniem wszystkich wzmianek o miłości identycznej z naturalną. Ślęczała nad kartkami tak długo, że straciła rachubę czasu. Notatki były zbyt ogólnikowe, by z naukową ścisłością wyjaśnić działanie terapii, ale znalazła jeden pokrzepiający aspekt kuracji, który ojciec nazwał „zerowym efektem substytucyjnym”. Lecz nawet to prowokowało tyle samo pytań, na ile odpowiadało.

Kiedy nie mogła dłużej czytać, opadła na oparcie fotela i spojrziała na gwiazdy za szybą świetlika. Czula się wycieńczona, a gdy zerknęła na zegarek, zobaczyła, że dochodziła już północ. Jedynym sposobem, żeby dotrzeć do wszystkich odpowiedzi, było przeszukanie dokumentacji komputerowej ojca, ale laboratorium i wyniki badań należały teraz do Kappelów i nie miała do nich dostępu. Zajrzała jeszcze raz do jednego z ostatnich wpisów: na dole znajdował się rząd sześciu cyfr, a obok alfanumeryczna sekwencja znaków. Pod cyframi ojciec napisał: „laboratorium”, a pod ciągiem liczb i liter: „hasło”.

Miała więc hasło i kod dostępu. Było ciemno. Kto by się dowiedział, gdyby wkradła się teraz do laboratorium?

29 grudnia

W laboratorium Isabella usiadła przy klawiaturze komputera i wpisała hasło ojca. Gdy na ekranie pojawiły się jego osobiste pliki, spojrzła na zegarek. Zbliżał się świt. Wcześniej przejechała rowerem górskim przez las, dotarła na tyły kompleksu biurowo-przemysłowego, przeszła przez ogrodzenie i podkrađła się do laboratorium. O mało nie dostała zawału, gdy jeden z agentów ochrony minął o pół metra miejsce, gdzie przycupnęła pod płotem. Kiedy zniknął, bez trudu dostała się do laboratorium, używając szyfru ojca.

Rozejrzała się wśród kosztownej aparatury i rozpoznałszy część urządzeń z własnej dziedziny badań, ponownie zdała sobie sprawę, że twierdzenia ojca nie były gołosłowne. Chciała pomyszkować po laboratorium, ale nie było na to czasu. Postanowiła skupić się na komputerze.

Baza danych była standardowa, zupełnie jak ta, której używała w szpitalu. Gdy wpisała „MIN” w okienko wyszukiwarki, na ekranie pojawiła się lista plików. Zamiast je czytać, wsunęła do stacji pusty dysk i kliknęła komendę „kopiuj wszystko”. Czekając, aż dysk się wypali, wklepała do wyszukiwarki własne imię.

Pojawił się jeden fajl: „Harmonogram testów MIN”.

Kliknęła dwukrotnie na plik i otworzyła tabelę, w której ojciec wyszczególnił i opatrzył datą wszystkie testy, jakie przeprowadził. Były wśród nich informacje o wcześniejszych wersjach, wypróbowanych jeszcze w Stanach, ale pierwsze udokumentowane próbki MIN 069 i 072 przetestował na sobie i Marii. Oprócz tych wczesnych eksperymentów znalazła preparaty MIN pogrupowane w pary.

Ona i Max byli pierwszą parą poddaną eksperymentowi po samym wynalazcy i Marii. Ojciec oznaczył ich próbki kryptonimami Romeo i Julia. Podane daty zbiegały się z jej urlopem w Antibes i dokładnie odpowiadały czasowi, jaki spędziła z Maksem. Była pod wpływem wirusa tylko przez dwa dni, lecz ta świadomość podważała teraz jej wiarę we wszystko, co czuła. Lek ojca został stworzony do niesienia miłości, tymczasem sprawił, że przestała jej ufać.

Na ekranie pojawiło się okienko z informacją, że kopiowanie danych zostało pomyślnie zakończone. Wyjęła dysk i włożyła go do kieszeni. Już miała wyłączyć komputer, gdy zerknęła na dół ekranu. Jej palec znieruchomiał na myszce: następny test w harmonogramie został opracowany dla Helmuta Kappela i jego ostatniej żony, a oba preparaty przygotowano w wersji 072, dającej trwale efekty. Jeden preparat zawierał kod genetyczny twarzy żony, a drugi męża. Data wskazywała, że ojciec stworzył je wiele miesięcy temu, a z notatki w oknie kolumny „Uwagi” wynikało, że prawie natychmiast przekazał Helmutowi. Jednak od tego czasu Helmut Kappel rozwiódł się z żoną i zaręczył z Phoebe Davenport.

Zimny dreszcz przebiegł Isabelli po plecach. Lecz zanim zdążyła się zastanowić, usłyszała odgłosy opon na żwirze, a potem zatrzymujące się samochody. Zerknęła na zegarek:

7.18. Wciąż było ciemno. Po pierwszym trzasku drzwiczek czym prędzej wyłączyła komputer i pobięła do drzwi laboratorium. Zamknęła je za sobą i ruszyła do wyjścia z budynku. Popędziła przez trawnik i schowała się między drzewami, zanim z parkingu nadeszło trzech mężczyzn. Byli to Helmut, Joachim i Klaus Kappelowie.

--Dlaczego musieliśmy się spotkać tak wcześnie? -- usłyszała głos Klusa.

--Mamy mnóstwo spraw do omówienia -- odparł chrapliwym szeptem Helmut. -- Wyjaśnię ci wszystko w środku.

Wciąż kręciło jej się w głowie, gdy patrzyła, jak weszli do laboratorium i zamknęli drzwi. Miała ochotę zawrócić i podsłuchać ich rozmowę, ale rozsądek podpowiadał, że powinna uciekać. Poklepała się po kieszeni, sprawdzając, czy dysk jest na miejscu, a potem ruszyła do lasu, gdzie zostawiła rower. Nie zważała na ciernie raniące jej stopy, skupiona na myśli, która nie dawała jej spokoju.

Ojciec dał Helmutowi Kappelowi preparaty MIN przeznaczone dla niego i jego żony. Dlaczego więc ani Helmut, ani żona ich nie wykorzystali? Dlaczego się rozwiedli? I dlaczego Helmut zaręczył się z Phoebe Davenport?

To złe pytanie, uświadomiła sobie. Było oczywiste, dlaczego schorowany stary mężczyzna chce się ożenić z najbardziej atrakcyjną młodą kobietą na świecie.

Właściwie pytanie brzmiało: jak Helmut Kappel nakłonił Phoebe Davenport do ślubu?

Dwie godziny później

Ostatnie zebranie robocze przed podróżą na ślub miało się zacząć o wpół do dziesiątej rano, ale ruch na trasie z Riwiery Francuskiej był tak mały, że Max dotarł na miejsce ponad godzinę wcześniej. Zostawił samochód na głównym parkingu przy budce strażnika i ruszył przez teren kompleksu do laboratorium Bacciego. Zdziwił się, gdy zobaczył dwie limuzyny. Spodziewał się, że Joachim może się zjawić wcześniej, ale nie ojciec. W jego głowie odezwał się alarm.

Wstukał kod dostępu, otworzył frontowe drzwi i cicho przeszedł się przez korytarz prowadzący do laboratorium. Zza otwartych drzwi usłyszał głosy. Zebranie miało się zacząć za ponad godzinę, tymczasem ojciec, Joachim i Klaus żywo dyskutowali. Zaintrygowany, przystanął przed progiem.

--Co z Makssem? -- mówił Joachim. -- Jesteście pewni, że wszystko z nim w porządku?

--Co masz na myśli? -- spytał Klaus.

Max przysunął się bliżej i przez szparę w drzwiach zerknął do środka. Zobaczył, jak Joachim wzrusza ramionami.

--Czy biorąc pod uwagę jego słabość do Isabelli Bacci, możemy być pewni, wobec kogo jest lojalny?

--Uważaj, co mówisz, Joachimie -- upomniał go Klaus. -- Max podejmował znacznie większe ryzyko niż ty kiedykolwiek. Zrobił zastrzyki wszystkim czterem klientom i pobrał wszystkie próbki krwi, żebyś mógł przygotować preparaty dla drухen, w tym dla Isabelli Bacci. Po co miałby to robić, gdyby zamierzał pokrzyżować nam plany?

--Bo chce ją wyłączyć z programu Ilium -- wyszeptał chrapliwie Helmut -- a nie zna jeszcze prawdziwego losu drухen.

Klaus zmarszczył brwi.

--Jakiego losu?

Helmut westchnął.

--Czy myślisz, że zamierzałem pozbawić naszych niewdzięcznych klientów pieniędzy, a potem pozwolić im żyć w błogiej rozkoszy? Oni nas zdradzili, Klaus. Uderzyli w bank i podstawy bytowe naszej rodziny. I we mnie osobiście jako głowę rodu. Oskubanie ich do czysta mi nie wystarczy. Chcę ich ukarać. Chcę, żeby cierpieli przez długi, długi czas.

Klaus wzruszył ramionami.

--Jak zamierzasz tego dokonać?

--Joachim wprowadził modyfikację do MIN Siedemdziesiąt Dwa. Dokleił do wektora genetyczną truciznę, którą opracował w Comvecu, żeby uwydatnić i przyspieszyć dziedziczne słabości w genomach drухen. -- Helmut podniósł się z krzesła i zaczął chodzić po pokoju. -- Pierwotny plan jednak się nie zmienia. Kiedy przyjadą na ślub, najpierw wstrzykniemy im standardową tymczasową wersję, żeby zakochały się w wyznaczonych klientach, którzy już będą szaleli na ich punkcie. Potem, na dzień przed moim ślubem, wyjaśnimy zakochanym klientom, że jeśli pragną zapewnić sobie dożgonną miłość ukochanych, muszą zapłacić. Jedyna różnica będzie polegała na tym, że po otrzymaniu zapłaty wstrzykniemy drухnom zmodyfikowaną wersję siedemdziesiąt dwa. To oznacza, że każdy klient odjedzie ze swoją ukochaną, ale ta umrze w ciągu sześciu miesięcy na chorobę, do której jest predysponowana

genetycznie.

Joachim zerknął na ekran komputera.

--Dwie, w tym Isabella Bacci, umrą na raka, a pozostałe dwie na choroby serca.

--Skażesz podstępnych sukinsynów na cierpienie i samotność do końca życia -- zauważył

Klaus.

--I na bankructwo -- dodał Helmut.

--Ale co z Isabella? Powiedziałeś, że Max chce ją wykluczyć z Ilium.

--Nie zamierzam na to pozwolić -- odparł Helmut. -- Twarz Isabelli Bacci jest dla nas warta fortunę. Nie dość, że Hudsucker będzie gotów za nią zapłacić ponad miliard dolarów, to jeszcze wywiera zgubny wpływ na Maksa i stanowi zagrożenie, które trzeba wyeliminować.

Gdyby kiedykolwiek dowiedziała się o terapii ojca albo naszej roli w jego zamordowaniu, mogłaby się stać niebezpieczna. Wykorzystując ją w Ilium, nie tylko zemścimy się na Hudsuckerze, ale i pozbedziemy się potencjalnych problemów. Tak będzie najrozsądniej.

--Ale co z Maksem? -- zapytał Klaus.

Helmut zerknął na Joachima.

--Zajmiemy się nim.

Max stał bez ruchu, skupiając całą energię na spowolnieniu rytmu serca. Musiał zachować spokój i trzeźwość umysłu. Czuł, jak kipi w nim od lat tłumiony gniew. Nigdy nie zdradził ojca i zawsze podporządkowywał swoje potrzeby rodzinie. Jednak teraz ojciec nie tylko kwestionował jego lojalność, ale wręcz go zdradzał.

Na studiach menedżerskich w Insead pewien kanadyjski wykładowca pokazał Maksowi listę wykorzystywaną przez psychologów do diagnozowania psychopatów. Zawierała czterdzieści cech, między innymi swobodę w kontaktach towarzyskich, ciągłą potrzebę stymulacji, brak współczucia i skrupułów. Każdy, kto spełniał dwadzieścia sześć bądź więcej warunków, był uważany za psychopatę. Zaskakująca liczba przedsiębiorców i przywódców politycznych uzyskiwała wynik między dwadzieścia sześć a trzydzieści parę. Teraz Max nie miał wątpliwości, że Helmut Kappel jest jedną z tych rzadkich istot z wynikiem czterdzieści na czterdzieści: był psychopatą, który nie czuł nic, nawet lojalności wobec bliskich krewnych.

Chciał zażądać, by oszczędzili Isabellę, ale wiedział, że w ten sposób tylko utwierdziłby ojca w przekonaniu, że go usidliła i nie można mu ufać. Zdał sobie sprawę, że nie jest rodzinie już nic winien. Może się troszczyć tylko o siebie.

Wycofał się po cichu do frontowych drzwi, głośno je zatrzasnął, a potem odchrząknął, podszedł do drzwi laboratorium i otworzył na oścież.

Wszyscy trzej podnieśli wzrok.

--Przyszedłeś przed czasem, Max -- powiedział Helmut.

--Nie tak wcześnie jak wy. Zaczęliście beze mnie?

Ojciec zaśmiał się.

--Skądże znowu. Wchodź, mamy mnóstwo do omówienia.

Tego samego dnia wieczorem

Isabella była z powrotem w mediolańskim mieszkaniu Phoebe. Im dokładniej zapoznawała się z danymi, które skopiowała z komputera ojca, tym bardziej ich zawartość ją przerażała. Jego praca była bezsprzecznie genialna, a notatki wyraźnie świadczyły, że wierzył, iż tworzy potęgę, która zmieni świat na lepsze. Jednak założenie, że miłość aktywowana przez powierzchowną fiksację na punkcie ludzkiej twarzy jest tym samym co prawdziwa miłość, budziło jej obrzydzenie.

Przecież nawet syntetyczne aromaty, choć identyczne z naturalnymi i nie do odróżnienia od występujących w przyrodzie, były wytwarzane nienaturalnie. Były chemicznymi klonami hodowanymi w laboratoriach i nigdy nie ceniono ich tak wysoko jak oryginału. Sztuczny aromat waniliowy kosztował ułamek ceny, jaką trzeba było zapłacić za naturalną wanilię.

Miłości nie można było rozbić na proste elementy i zsyntetyzować. W prawdziwej miłości przypadek jest równie ważny jak chemia. Zbieg okoliczności, który doprowadzał do pierwszego spotkania, właśnie dlatego był tak cenny: dawał świadomość, że gdyby wybrało się inną drogę, może nigdy nie poznałoby się drugiej połówki. Ale miłość wiązała się też z podejmowaniem ryzyka i daniem czegoś od siebie drugiej osobie.

Co ważniejsze, terapia MIN dawała jej użytkownikowi absolutną władzę, a jak ktoś kiedyś zauważył, władza absolutna demoralizuje absolutnie. Isabella wierzyła, że gdyby dysponowała preparatem, nie wykorzystalaby go, aby osiąść osobę, którą by kochała... ale miałyby taką pokusę. Im więcej dowiadywała się o działaniu MIN, tym więcej dostrzegała okazji do nadużyć. Terapia ojca nie promowała miłości jako bezinteresownego oddania, lecz jako coś powierzchownego i zaborczego. Gdy wgryzła się głębiej w formuły i objawy, doszła do przekonania, że Phoebe padła ofiarą nikczemnego wykorzystania kuracji.

Reakcja ojca na wiadomość o zaręczynach Phoebe i Helmuta Kappela świadczyła, że nie miał z tym nic wspólnego. Prawdopodobnie Helmut wziął preparat, ale zamiast ratować swoje małżeństwo, wstrzyknął go Phoebe.

Ojciec stworzył genialny, lecz niebezpieczny narkotyk władzy przybrany w język miłości. Wypróbował go na sobie i na Marii, a potem na niej. Dysk nie zawierał jednak żadnych dowodów nieuczciwości Kappelów. Gdyby poszła z nim na policję albo do prasy, zniszczyłaby tylko reputację ojca.

Sprawdzała katalogi, aż natknęła się na tytuł „Prozopagnozja”. Otworzyła katalog, przejrzała zawartość i o mało się nie popłakała. Ojciec myślał o niej nawet ogarnięty swoim szaleństwem. Wyszczególnił wszystkie aspekty własnych badań, które mogłyby się jej przydać w pracy nad prozopagnozją.

Isabella wstała i zaczęła krążyć po mieszkaniu Phoebe. Wszędzie widziała zdjęcia i pamiątki ich przyjaźni, które umacniały ją w postanowieniu dotarcia do prawdy. Ale co mogła zrobić?

Gdyby powiedziała przyjaciółce o swoich podejrzaniach, ta po prostu by ją wyśmiała. Albo i gorzej. Phoebe zamierzała wyjść za mąż za człowieka, którego we własnym mniemaniu kochała, więc na pewno nie podziękowałaby Isabelli za zrujnowanie wielkiego dnia sugestią, że jej miłość została wywołana sztucznie.

Mogła doprowadzić do bezpośredniej konfrontacji z Helmutem Kappellem, ale co by to

dało? Nic, bo Helmut na pewno wyparłby się jakichkolwiek manipulacji.

Oprócz zerowego efektu substytucyjnego, o którym czytała, nie było żadnych zabezpieczeń i z pewnością żadnego antidotum. Ojciec najwyraźniej uznał, że skoro skutki większości wersji utrzymują się tylko dwa dni, nie ma potrzeby opracowywania niczego, co odwróciłoby zmiany genetyczne w komórkach osoby poddanej terapii. Nawet gdy stworzył wersję o trwałych skutkach, nie uznał tego za konieczne. W końcu kto potrzebuje antidotum na miłość?

Wyszła na taras i odetchnęła zimnym wieczornym powietrzem. Nad jej głową przeleciał samolot, mrugając światłami w mroku. Jej lot na ślub Phoebe był zaplanowany na jutro. Wiedziała, że ma się stawić na lotnisku o szóstej po południu i że wróci cztery dni później. Miała tylko jedną możliwość: udać się na ślub zgodnie z planem, a na miejscu postarać się o znalezienie dowodu, że Helmut Kappel wykorzystał preparat MIN.

A jeśli to zrobił? Jeśli użył wersji o trwałych skutkach? Jak zdoła uratować Phoebe bez antidotum?

Wróciła do mieszkania. Rozbolą ją głowa, więc poszła do sypialni po aspirynę. Kiedy sięgała po plastikowy słoiczek z szafki przy łóżku, jej wzrok powędrował do korkowej tablicy na ścianie. Spojrzała na kartkę z dziecięcym rysunkiem przedstawiającym kobietę w białym fartuchu.

--Chryste -- powiedziała i upuściła zamknięty słoiczek. Podbiegła do laptopa, sprawdziła formułę MIN i przeszukała katalogi, aż wreszcie znalazła ten, o który jej chodziło.

--Dzięki, tato -- szepnęła. Warto było spróbować. Zerknęła na zegarek, chwyciła płaszcz i kluczyki do samochodu, po czym wybiegła z mieszkania.

Kilka chwil wcześniej

Max Kappel przechadzał się po chodniku i spoglądał na oświetlone okna na ostatnim piętrze apartamentowca. Blask drzwi wejściowych zdawał się go przyzywać, lecz jezdnia między nim a jej mieszkaniem była niczym Rubikon, który oddzielał jego obecne życie od nieznanej przyszłości. Jeśli go przekroczy i wejdzie do budynku, nigdy nie będzie mógł zawrócić.

Wpatrywał się w okna i wyobrażał sobie, jak Isabella chodzi po mieszkaniu, parzy sobie kawę, włącza telewizor, prowadzi zwykle życie. Im dłużej o niej myślał, tym bardziej ją podziwiał. Była sama na świecie, a mimo to poradziła sobie ze śmiercią ojca, nie odcinając się od swoich uczuć.

On po śmierci matki pogrzebał swoje uczucia w lodzie. A przez lata, zachęcany przez ojca, pozwolił, by ta znieczulająca tarcza ochronna zmroziła mu serce. Kiedy jednak pierwszy raz zobaczył Isabellę w Antibes, lód zaczął pękać. Teraz wiedział, że wywarła na nim wrażenie, jeszcze zanim wstrzyknął sobie preparat.

Zawsze uważał, że lód go ochroni, lecz patrząc, jak Isabella radzi sobie z własną stratą, stwierdził, że lód stał się dla niego więzieniem. Rozumiał teraz, że każde zanurzenie się pod wodę podczas nurkowania było wołaniem o wolność, rozpaczliwą próbą powrotu do dzieciństwa i dawnego, ja".

Wiedział, że roztopienie lodowej skorupy przyniesie ból. Stając się znowu synem matki, musiał przyjąć odpowiedzialność za czyny, których dopuścił się w imieniu ojca. Musiał znowu zmierzyć się z udrękami, które, jak mu się zdawało, przepędził z życia raz na zawsze: poczuciem winy, żalem i obrzydzeniem do samego siebie.

Musiał również zmierzyć się z zemstą rodziny, gdy ta dowie się o jego zdradzie. Zdawał sobie sprawę, jak bezwzględny potrafi być ojciec. Podniósł wzrok na okna mieszkania i wziął głęboki oddech.

--Niech i tak będzie -- wyszeptał w mroźne powietrze. Nie był Kappelom nic dłużny. Prawie całe życie postępował według kodeksu ojca, a mimo to Helmut Kappel nadal mu nie ufał i knuł za jego plecami. A teraz zatwierdził morderstwo jedynej osoby, na której Maksowi zależało.

Pomyślał o ostatnim wieczorze z Isabellą w Antibes, kiedy oglądali *Niebo nad Berlinem*. Przypomniała mu się scena, gdy anioł spadł na ziemię, zrzekając się nieśmiertelności, aby doświadczyć wszystkich doznań, bolesnych i przyjemnych, związanych z byciem człowiekiem. Sam był raczej demonem niż aniołem, lecz mógł porzucić emocjonalną oziębłość, aby znów odczuwać cierpienia i radości. Życie dało mu drugą szansę. Nie zdołał ocalić matki, ale mógł ostrzec i uratować Isabellę.

Wraz z podjęciem decyzji w jego duszy zatliło się coś, czego nie czuł od lat. Nadzieja. Wszedł na jezdnię. Jeśli ktoś mógł ochronić Isabellę przed Helmutem Kappellem, to tylko on. Ojciec dobrze go wyszkolił. Kiedy Max stracił matkę, był tylko chłopcem. Teraz jest mężczyzną. Tym razem nie zawiedzie. Nawet gdyby własny ojciec próbował zabić go za to, co zamierzał zrobić.

Rozpędzona limuzyna zatrzymała się tuż przed nim. Zanim zdążył się zorientować, co się dzieje, z wozu wyskoczyli dwaj mężczyźni. Jeden przycisnął mu do żeber pistolet, drugi zaś

wepchnął go na tylne siedzenie. Mocno przyciemnione okna były zamknięte, a w obitym czarną skórą wnętrzu unosił się dym papierosów ojca. Limuzyna wjechała na parking za apartamentowcem i stanęła.

--Przepraszam za tę brutalność, Max, ale to dla twojego dobra. Środek zapobiegawczy, żebyś nie zrobił czegoś głupiego.

Helmut Kappel i Stein siedzieli naprzeciwko, a po bokach miał dwóch agentów Stasi. Jeden wciąż przyciskał mu do żeber pistolet. Na twarzy ojca malowało się rozczarowanie.

--Co zamierzałeś zrobić, Max? Ostrzec ją?

--Niby czemu? Uznałem, że po tym, co powiedziałem, wyłączysz Isabelle z udziału w Ilium.

-- Chciał zaatakować, lecz wiedział, że gdyby tylko się ruszył, agent Stasi pociągnąłby za spust.

--Słyszałeś nas dziś rano, prawda? Podслуchałeś, co zaplanowaliśmy dla twojej przyjaciółki. -- W głosie Helmuta nie było gniewu. -- Jeśli jej cokolwiek powiesz, i tak będę musiał ją zabić. Wiem, że to trudne, ale chcemy ci pomóc.

Ojciec pochylił się i objął go. Max nie pamiętał, żeby kiedykolwiek go obejmował. Nie odwzajemnił uścisku.

--Wybaczam ci zdradę, Max -- szepnął mu Helmut do ucha. -- Jesteś moim pierworodnym, družbą na moim ślubie. To ułatwi ci spełnienie obowiązku.

Max poczuł powiew powietrza pod lewym uchem i usłyszał cichy syk. Cofnął się, ale było za późno. Kiedy ojciec opadł na oparcie fotela, zobaczył bezigłową strzykawkę w jego otwartej dłoni. Szklana fiolka była opróżniona. Ogarnęła go panika. Był przygotowany na ból fizyczny, nawet śmierć, ale nie na to.

--Co mi zrobiłeś?

Ojciec skinął na Steina, który wbił mu w ramię strzykawkę.

--Zaaplikowałem ci tylko permanentną wersję MIN z kodem genetycznym twarzy Delphine Chevalier. A Stein wstrzyknął ci środek uspokajający. Kiedy się obudzisz, twoje zagubienie minie, a życiowe priorytety staną się jasne. Będziesz pałał miłością do Delphine Chevalier i zapomnisz o Isabelli Bacci. To dla twojego własnego dobra.

--Nieprawda -- odparł Max. -- Dla twojego dobra. Tak jak zawsze. -- Próbował się wyrwać, ale poczuł obezwładniającą senność.

--Cii, Max -- rzekł ojciec. -- Kiedy się obudzisz, poczujesz się lepiej.

--Uwaga -- rzucił Stein, wskazując drzwi do apartamentowca.

Walcząc z ociężałością, Max odwrócił głowę. Isabella wyszła z domu i skierowała się do samochodu stojącego trzy miejsca od limuzyny. Max chciał załomotać w okno i krzyknąć, ale wiedział, że ojciec natychmiast kazałby ją zabić. Serce waliło mu tak mocno, że ledwo mógł oddychać. Przez przyciemnioną szybę wpatrywał się w jej twarz, próbując zapamiętać każdy szczegół, choć wiedział, że gdy się obudzi, jej piękne oczy nie będą go już zachwycać. Kiedy patrzył, jak wsiada do samochodu i odjeżdża, zdał sobie sprawę, że ją kocha.

Ale było za późno. Zaczynał tracić przytomność. Był znowu w wodzie przy brzegu hawajskiej wyspy i ciało znowu odmówiło mu posłuszeństwa. Wkrótce uśnie, a gdy się obudzi, zapomni o miłości do Isabelli i będzie kochał kobietę, którą wybrał mu ojciec. Helmut wykorzysta jego miłość do Delphine Chevalier, żeby go sobie podporządkować. W ostatnim przebłysku świadomości usłyszał głos ojca:

--Śpij, synu.

Próbował krzyczeć, lecz z ust nie wydobywał się żaden dźwięk. Był pod wodą, tonął. Nie było odkupienia. Żadnej drugiej szansy. Ojciec wygrał.

Część trzecia

30 grudnia

Isabella zeszła z pokładu samolotu i zobaczyła tablicę: „Witamy w Bergen, u wrót fiordów”, zgadła, gdzie ma się odbyć ślub Phoebe. Pracownik linii SAS przeprowadził ją przez kontrolę celno-paszportową, a potem zabrał do salonu dla VIP-ów, gdzie spotkała pozostałe drużyny.

Z początku czuła się niezręcznie w ich towarzystwie, bo chciały wyrazić żal i współczucie z powodu śmierci jej ojca, przez co strata zabolala ją jeszcze dotkliwiej, ale po paru minutach rozmowa zeszła na temat tajemniczego miejsca ślubu i okazało się, że wszystkie doszły do tego samego wniosku. Pomimo zmęczenia ekscytowała ją perspektywa odwiedzin w kryształowym pałacu Odyna.

--To, że wesele odbędzie się w Walhalli, brzmi całkiem sensownie -- powiedziała Gisele. -- Odyn jest jednym z klientów Kappelów, a Phoebe jest jego ulubioną modelką. No i będzie miał wspaniałą darmową reklamę.

Kathryn sięgnęła do torebki po szminkę.

--Czemu Odynowi miałyby zależeć na reklamie? Myślałam, że cały pomysł zbudowania Walhalli na takim odludziu polega na tym, żeby uciec od tego wszystkiego.

Gisele odgarnęła włosy do tyłu i roześmiała się.

--Od razu widać, że urodziłaś się bogata, Kathryn. Gdybyś była taką przybłądą jak ja i potrzebowała reklamy, żeby twoje filmy zarobiły jak najwięcej, wiedziałabyś, że reklama jest Odynowi niezbędna. A najlepszym sposobem przyciągnięcia uwagi dziennikarzy jest wybudowanie bajkowego pałacu na końcu świata i krzyczenie: „Zostawcie mnie w spokoju”. Założę się, że po weselu zrobi tam ekskluzywny hotel. A po publikacji oficjalnych zdjęć będzie jeszcze sławniejszy niż teraz tylko dlatego, że w jego pałacu zorganizowano najbardziej kosztowny i dziwaczny ślub świata.

--Ślub mojej siostry jest dziwaczny? -- mruknęła Claire Davenport.

--Nie o to mi chodziło -- odparła Gisele.

Ale wszystkie wiedziały, że o to jej właśnie chodziło, i przez chwilę Isabella miała ochotę zwierzyć się przyjaciółkom ze swoich podejrzeń.

--Rzeczywiście jest dziwaczny -- przyznała Claire. -- Nawet matka tak uważa. Właśnie dlatego nie przyjedzie. Twierdzi, że to z powodu niechęci do latania, ale tak naprawdę nie pochwała wyboru Phoebe.

--Drogie panie, przepraszam za małe spóźnienie, ale zajmowałem się przygotowaniem samolotu. Czeka już na pasie, aby zabrać nas na miejsce.

Joachim Kappel wydawał się podniecony i spięty. Towarzyszył mu milczący mężczyzna o szpakowatych włosach zebranych w kucyk i z przepaską na oku. Isabella pamiętała go z przyjęcia zaręczynowego w Schloss Kappel. Była zaskoczona, że to Joachim, a nie Max został wyznaczony do odeskortowania ich na miejsce. Max powiedział jej kiedyś, że Joachim jest bardzo inteligentny, ale słaby i spija ojcu z ust każde słowo. Jego nerwowość i sztuczny uśmiech potwierdzały tę ocenę. Pod pachą trzymał zbrojoną aluminiową walizeczkę, a gdy zjawili się tragarze, żeby przenieść bagaże do samolotu, przycisnął ją opiekuńczo do piersi.

Po półtoragodzinnym locie odrzutowiec zaczął schodzić do lądowania na samotnym czarnym pasie lądowiska otoczonego ośnieżonymi polami i wzgórzami.

--Jesteśmy za koleś podbiegunowym? -- spytała Claire, gdy wysiadła z kabiny i ruszyła w kierunku terminalu.

--Nie, na południe od niego -- odrzekł Joachim, wciąż ściskając walizeczkę. -- Znajdujemy się na północ od Trondheim, w pobliżu zachodniego wybrzeża Norwegii. Norwegia jest bardzo wąska i długa. Gdybyś wbiła szpilkę w Oslo na południu i obróciła kraj o sto osiemdziesiąt stopni, jego północny kraniec sięgałby aż do Rzymu. -- Wskazał góry srebrzące się w oddali na tle czystego błękitnego nieba. -- Koło podbiegunowe zaczyna się trzysta kilometrów na północ stąd, w pobliżu miasta Bod.

Wprowadził je do ciepłego wnętrza małego drewnianego budynku. W palenisku palił się ogień, a na stołach leżało sześć kompletów futrzanych ubrań.

--W tej części Norwegii dzień trwa w zimie pięć, sześć godzin. Gdybyśmy znaleźli się teraz w Hammerfest na dalekiej północy, byłoby już ciemno, a słońce nie weszłoby przez następne parę miesięcy. -- Skinął na futra. -- Kiedy tragarze będą przenosić wasze bagaże na sanie, powinniście się w to ubrać. Prawdopodobnie domyśliliście się, dokąd jedziemy, więc mogę zdradzić, że futra zostały zaprojektowane przez Odyna. Są ze skór reniferów, które najlepiej chronią przed zimnem.

--Czy pojedziemy do Walhalli saniami?

Joachim uśmiechnął się.

--Od celu dzieli nas tylko kilka kilometrów, ale dobrze zapnijcie futra. Będziecie przebywać na mrozie przez ponad godzinę. Gdy je włożycie, Stein sprawdzi, czy zrobiłyście to prawidłowo.

Dziewczęta wdziały futrzane ubrania. Miały podpinkę z pikowanego jedwabiu, więc gdy Isabella zapięła wewnętrzny suwak i guziki, poczuła się jak w śpiworze. Dolną część okrycia można było rozwinąć i zapiąć wokół nóg przy kostkach. Kaptur zakrywał głowę, a mankiety rękawów były obszyte mięciutkim futerkiem. Czują się cudownie, jak w objęciach ogromnego pluszowego misia.

--Ciekawe, czy gdybyśmy ładnie poprosiły, Odyn pozwoliłby nam zabrać je do domu -- powiedziała Gisele, gładząc swoje futro. -- W Aspen zrobiłyby furorę.

Pod wpływem ogólnego podniecenia i zamieszania związanego z zakładaniem futer Isabella zapomniała na moment o podejrzeniach dotyczących Helmuta i Phoebe. Potem zauważyła, że Joachim pochylił się nad swoją walizeczką. Kątem oka patrzyła, jak na małej klawiaturze alfanumerycznej wpisał szyfr: trzy, ukośnik, ukośnik wsteczny, zero, jeden. Otworzył walizkę, odwrócił ją do Steina i znowu zamknął. Stało się to tak szybko, że nie widziała dokładnie, co znajduje się w środku. Tylko na chwilę mignął jej laptop. Kiedy Stein sprawdzał jej zapięcia, skoncentrowała się na zapamiętaniu szyfru. Stein skupił uwagę na obszarze za kapturem i Isabella poczuła, jak wsunął dłoń pod futro i musnął jej kark. Szybko uporał się z zadaniem, po czym wykrzywił wargi w oficjalnym uśmiechu i podszedł do Kathryn.

Gdy Joachim wkładał płaszcz, Isabella znów zerknęła na walizkę. Laptop w środku wyglądał jak nowa toshiba Tecras z zabezpieczeniem dostępu opartym na technologii genetycznej identyfikacji twarzy. Był to potężny system, jej szpital rozważał zakup podobnych

komputerów dla lekarzy konsultantów. Czy komputer w walizce Joachima zawiera dowody nadużycia terapii genowej przez Helmuta Kappela?

Była tak skupiona na walizce i jej zawartości, że nie widziała, jak Stein sięgnął Kathryn za kołnierz, żeby sprawdzić zapięcie kaptura, po czym wsunął opróżnioną bezigłową strzykawkę do kieszeni i ruszył do Claire.

Isabella wyszła z innymi na zewnątrz i zastanawiała się, jak uzyskać dostęp do laptopa Joachima, zupełnie nieświadoma, że zarówno jej, jak i pozostałym druhom wstrzyknięto MIN nr 069.

Kilka godzin później

Max Kappel został obudzony przez stryja o czwartej rano. Prysznic pomógł mu stanąć na nogi, ale wciąż był oszołomiony. Podczas jazdy ze Schloss Kappel na lotnisko w Zurychu Klaus wyjaśnił, że Helmut i Phoebe już odlecieli, a Max poleci do Norwegii z nim i jego żoną.

Wciąż starał się zebrać myśli, gdy stał przy stanowisku odprawy pasażerów pierwszej klasy Swissair. Pamiętał, że przydarzyło mu się coś złego, ale co?

Klaus pociągnął go za łokieć i wskazał troje ludzi wchodzących do terminalu.

--Twój ojciec uznał, że w towarzystwie będzie ci rażniej. Wyteżył umysł, usiłując ich skojarzyć. Kiedy podeszli bliżej, poczuł się, jakby ktoś chlusnął mu w twarz zimną wodą. Przypomnił sobie, co zrobił ojciec. Zastanawiał się, czy nie zamknąć oczu, ale byłoby to daremne: nie mógł z tym walczyć.

Pierwszy podszedł do niego mężczyzna.

--Dzień dobry, Max. Czy drużba jest już gotowy do ślubu? -- spytał, podając mu dłoń.

Max uśmiechnął się, mimo że ścisnęło go w żołądku.

--Mam nadzieję.

Żona mężczyzny była następna. Pocałowała Maksa w oba policzki. Ale to obecność ich córki sprawiła, że chciał odwrócić wzrok.

--Max! Czy to nie wspaniale, że lecimy tym samym samolotem?

--Tak -- odparł z ciężkim sercem, gdy spojrział na jej piękną twarz i poddał się temu, co nieodwołalne. -- Tak, to wspaniale, Delphine.

Przez prawie godzinę trzy zaprzęgi sań sunęły przez cichy krajobraz majestatycznych gór, dolin polodowcowych i gęstych, oszronionych lasów. Wreszcie dotarli na łagodne wzniesienie i Isabella zobaczyła cel podróży.

Widok zapierał dech w piersiach. Z prawej, w rozedrganej dali, srebrzyły się wody Oceanu Atlantyckiego, z lewej zaś strzelały w niebo dwa odosobnione szczyty. Między nimi rzeka wpływała do niecki otoczonej kręgiem ośnieżonych gór, których urwiste zbocza spadały prosto do wody.

Tyle że to już nie była woda. Jezioro zamrzło, a pośrodku Isabella zobaczyła niedużą wysepkę, na której stał kryształowy pałac. Wiedziała, że Walhallę zbudowano z termicznego szkła, bloków żywicy i drewna, lecz teraz, rozświetlona promieniami zachodzącego słońca, zdawała się tworzyć jedność z wyspą, która z kolei stapiała się z oblodzonym jeziorem, tak iż pałac wyglądał jakby wyrastał z ziemi niczym ogromny sopel, a strzelista i lśniąca środkowa iglica sięgała niebios.

Kiedy sanie wjechały na lodową taflę, Joachim wskazał mniejszą kopułę w pobliżu wyspy. Błyszczała w słońcu niczym brylantowa kropla rosy.

--To kaplica ślubna. Jest zrobiona z lodu.

Gdy znaleźli się na jeziorze, Isabella zdała sobie sprawę, jak jest duże. Obejrzała się za siebie na ślady sań i usłyszała wodę szumiącą pod lodową pokrywą. Zadrzała.

--Nurt pod powierzchnią wydaje się bardzo silny.

--Bo jest. -- Joachim pokazał na wschód, gdzie rzeka wpływała do jeziora, a potem na zachód, gdzie fiord tworzył kanał do morza. -- Prąd jest silny, bo rzeka i ocean spotykają się w tym jeziorze.

--Czy lód jest bezpieczny?

--Zima była w tym roku niezwykle łagodna i robotnicy musieli poczekać, aż zrobi się grubszy, zanim mogli zbudować kaplicę, ale teraz jest bezpiecznie. Prądy morskie nie dają zamarznąć wodzie przy wybrzeżu, ale tu, w głębi lądu, zimą jezioro zawsze jest skute lodem. -- Skinął w kierunku wąskiego fiordu. -- Tam lód jest cienki, ale tutaj i pośrodku nie ma obaw.

Sanie zbliżyły się do wysepki i Isabella mogła podziwiać ogromny pałac w pełnej krasie. Kathryn miała rację, pomyślała: Walhalla wyglądała raczej na hotel niż dom, a kolejne kondygnacje przypominały warstwy weselnego tortu. Rząd łukowatych okien biegł wzdłuż pierwszego piętra, które było wzorowane na ogromnej, obróconej do góry dnem łodzi wikingów. Wyższe kondygnacje, podtrzymywane przez kryształowe łuki przyporowe i zwieńczone prześwitującą gotycką iglicą, miały kanciaste kształty i lancetowe okna. Lśniące ściany wydawały się przezroczyste, mimo że w rzeczywistości odbijały światło niczym zwierciadła.

Dojmującą ciszę przebił głośny warkot silnika. Na niebie pojawił się helikopter, który wylądował na lodzie obok kaplicy. Wsiadło z niego sześć osób z bagażami, po czym śmigłowiec znów poderwał się w powietrze i odleciał na południe. Isabella zastanawiała się, czy Max czeka już w Walhalli.

Psy zaszczekały przeciągle i sanie się zatrzymały. Kiedy Isabella zeszła niepewnie na lód, Gisele zerknęła na nią i szepnęła:

--Jedno trzeba Helmutowi przyznać. Może staruszek jest dziwny, ale miejsce na ślub wybrał całkiem, całkiem.

Wkrótce tu będą, Phoebe.

--Wiem, Helmucie. Tylko chciałabym, żeby przyjechało więcej moich znajomych i rodziny.

Helmut Kappel spoglądał z wysokości półpiętra na gości wchodzących do holu. Odyn witał się z nimi, podczas gdy obsługa, wystrojona w futra i lśniące napierśniki jego projektu, zajmowała się formalnościami. Recepcjonistka fotografowała twarze kolejnych gości aparatem cyfrowym przesyłającym bezprzewodowo zdjęcia do głównego komputera. Następnie portierzy brali bagaże i prowadzili gości do ich pokoi.

--Już o tym rozmawialiśmy. Wybrałem Walhallę, żeby nasz ślub był wyjątkowy, ale niestety przestrzeń jest ograniczona. Twoja matka odmówiła przyjazdu. Poza tym są ludzie, których po prostu musiałem zaprosić, a ty zgodziłaś się, że bym wszystkim się zajął.

--Tak, ale spędzasz czas albo ze swoją rodziną, albo z klientami. Prawie cię nie widuję, kochanie.

--Nie mogę być z tobą na okrągło. Mam inne zobowiązania. -- Zniżył głos i spojrzawszy jej w oczy, przybrał ojcowski ton. -- Jeśli ci to nie odpowiada, Phoebe, wciąż możemy wszystko odwołać. Nikt nie zmusza cię do małżeństwa ze mną. Nie musimy być razem za wszelką cenę.

--Ależ musimy -- odparła czym prędzej.

Wyraz paniki w jej oczach sprawił mu nieklamana przyjemność. Wkrótce mu się to znudzi, lecz na razie rozkoszował się faktem, że ma pełnię władzy nad tą piękną istotą. Zerknął w dół i zobaczył, jak Odyn wita się z pierwszym klientem do odstrzału: Warrenem Hudsuckerem. Senator był sam. Doskonale, pomyślał Helmut.

--Spokojnie, Phoebe. Ślub będzie wspaniały, a potem będziemy się widywać znacznie częściej.

--Obiecujesz, kochanie? Tak bardzo cię kocham.

--Wiem. A teraz może poczekaś na przyjaciółki w swoim pokoju, a ja tymczasem przywitam się z niektórymi gośćmi? Obiecuję, że przyjdę do ciebie, gdy tylko zjawią się druhny.

--Tylko się tutaj nie zasiedź.

--Bez obaw -- rzucił i szedł po szerokich szklanych schodach do holu. Mijając przezroczystą kolumnę, zerknął na swoją twarz odbitą w lśniącej żywicznej powierzchni. Poczul przyływ adrenaliny w żyłach, gdy pomyślał o starannie ułożonej liście gości. Choć miało ich być niespełna stu, przylecieli z Tokio, Los Angeles, Nowego Jorku, Londynu, Paryża, Moskwy, Delhi, Cape Town, Buenos Aires i Sydney. Żaden zakątek świata nie został pominięty.

Jeden z trzech fotografów wynajętych do dokumentowania imprezy cyknął Helmutowi zdjęcie. Japoński klient powiązany z jakuzą przystanął, żeby mu pogratulować i pochwalić wybór miejsca ślubu.

--Zawdzięczam to wspaniałomyślności Odyna -- odparł, podchodząc do Hudsuckera i norweskiego projektanta.

Odyn odrzucił do tyłu grzywę blond włosów i uśmiechnął się skromnie.

--Cała przyjemność po mojej stronie.

W rzeczywistości Kappel Privatbank zapłacił projektantowi znaczną sumę za wynajęcie Walhalli. Dochód ze zdjęć również miał częściowo trafić do Norwega, który zyska jeszcze na darmowej reklamie, gdy w końcu otworzy w pałacu hotel.

Helmut zwrócił się do Hudsuckera i uściśnął mu dłoń.

--Warren, tak się cieszę, że zdołałeś przyjechać. Czy recepcjonistka zrobiła ci już zdjęcie? Dobrze, w takim razie pozwól, że pokażę ci twój pokój. Ktoś zanieś twoje bagaże.

Hudsucker ruszył za nim. Jego zwykła pewność siebie zniknęła, a twarz wyglądała blado mimo opalenizny. Wydawał się zmęczony i nerwowy. Helmut zaprowadził go do pokoju na pierwszym piętrze.

--Przydzieliliśmy ci pokój numer 8. Ma jeden z najlepszych widoków. -- Wskazał czujnik i monitor przy drzwiach. Pod czujnikiem widniał napis „InterFace 3000”. -- Odyn ma hopla na punkcie bezpieczeństwa. Przyłóż dłoń do tego czujnika, a komputer porówna informacje o twojej twarzy zakodowane w DNA z fotografią, którą zrobiła ci recepcjonistka przy wejściu. -- Hudsucker spełnił polecenie i na ekranie pojawiła się jego twarz. Drzwi otworzyły się z cichym trzaskiem. -- Tylko ty masz dostęp do pokoju.

Hudsucker wszedł do środka i wyjrzał przez okno na ciemniejące góry.

--Masz rację. Widok jest fantastyczny.

--Jeśli dopisze nam szczęście, zobaczymy zorzę polarną. Żeby mieć gwarancję, trzeba być na kole podbiegunowym, ale Odyn mówi, że czasami widuje się ją tutaj o tej porze roku.

Hudsucker zdjął marynarkę i rzucił ją na łóżko. Z wewnętrznej kieszonki wysunął się portfel i pozaginana fotografia. Schował je z powrotem, lecz Helmut zdążył się przyjrzeć zdjęciu. Było wymiętoszone, bez wątplenia oglądano je niezliczoną ilość razy. Właśnie to zdjęcie wysłał Max Hudsuckerowi razem z zaproszeniem: przedstawiało drużyny, ze szczególnie wyeksponowaną twarzą Isabelli Bacci.

--Dobrą miałaś podróż?

Hudsucker potaknął.

--Postanowiłeś nie przyjeżdżać z żoną?

--Chciała się ze mną wybrać, ale dzieciaki wkrótce idą do szkoły.

--Jasne, jasne. Tak czy inaczej, zaprosiłem przede wszystkim ciebie, Warren. Chciałem podzielić się z tobą moim szczęściem. To magiczne miejsce. -- Helmut spojrział na okryty śniegiem taras i rozciągający się dalej krajobraz. -- Mogę pozwolić sobie na szczerość?

Hudsucker zmarszczył brwi i usiadł na łóżku.

--Jasne.

--Mam przeczucie, że spotka cię tutaj coś bardzo ważnego. Czuję to, bo coś ważnego przydarzyło się mnie. Wiem, że świat nie rozumie, jak udało mi się zdobyć Phoebe... myślę, że mam jakiś mroczny sekret. -- Poklepał Hudsuckera po ramieniu. -- Gdyby tak było, z pewnością nikomu bym go nie ujawnił. Ale gdyby na przykład jeden z moich klientów

zakochał się w jakiejś kobiecie, tak jak ja w Phoebe, do tego stopnia, że bez przerwy by o niej myślał i wspominał jej twarz, nie mógłby przez nią pracować i spać, to chętnie bym mu pomógł.

Hudsucker przypatrywał mu się, mrużąc oczy. Najwyraźniej nie był pewny, do czego ta rozmowa ma prowadzić.

--Jak?

--Jak tylko bym mógł -- odrzekł Helmut. -- Przypuśćmy, że wpadła ci w oko jedna z druzhen na moim ślubie. Nie stałbym ci na przeszkodzie. Przeciwnie, nawet ułatwiłbym wam romans.

Krew odpłynęła Hudsuckerowi z twarzy.

--Ale ja jestem żonaty i nie znam żadnej z druchen.

--Daj spokój, Warren, bawię się tylko w przypuszczenia. A już z pewnością nie zamierzam cię osądzać. Po prostu chcę się z tobą podzielić sekretem swojego szczęścia. Pogdybajmy razem, tak dla zabawy, Warren. Ile dałbyś za to, żeby spotkać dziewczynę, za którą szalejesz? Powiedzmy... -- popatrzył Hudsuckerowi głęboko w oczy -- powiedzmy, że jest nią Isabella Bacci. -- Jej imię zawisło między nimi w powietrzu. -- Ile dałbyś za to, żeby ją poznać i żeby odwzajemniła miłość, która zadreżczała cię przez ostatnich kilka tygodni?

Hudsuckerowi opadła szczęka, ale nic nie powiedział. Helmut kontynuował:

--Gdybym powiedział, że poznasz Isabellę Bacci dziś wieczorem, spędzicie dwa cudowne dni, a potem odjedziesz z nią i będziecie żyć razem w szczęściu aż do śmierci, ile to by było dla ciebie warte? Milion dolarów? Miliard? Wszystko, co masz? Więcej?

Hudsucker siedział osłupiały.

--Przepraszam, Warren, musisz być zmęczony. Zostawię cię, żebyś odpoczął. -- Przed bankietem musiał jeszcze porozmawiać z pozostałymi trzema klientami. -- Wybacz, że gadam od rzeczy. To z radości, że żenię się z Phoebe. Wciąż nie mogę uwierzyć, że ktoś taki jak ona - - kobieta, która mogłaby mieć każdego mężczyznę na świecie -- wybrała właśnie mnie. Do zobaczenia wieczorem.

Tak się cieszę, że wreszcie was widzę, dziewczyny -- powiedziała Phoebe. Poczekala, aż Joachim wyjdzie z pokoju, a potem zaprowadziła dziewczęta do pokoiku obok holu. -- Czy to miejsce nie jest niewiarygodne?

Gisele popatrzyła przez szklaną ścianę na pozostałych gości.

--Jak z bajki, Phoebe.

--Helmut wszystko załatwił.

--Zdumiewające -- powiedziała Claire.

Phoebe przytuliła siostrę.

--Żałuję tylko, że mama nie przyjedzie.

Claire spuściła wzrok.

--Ja też -- odparła. -- Ale to długa podróż, a wiesz, jak ona nienawidzi latania.

Isabella objęła przyjaciółkę.

--Wyglądasz wystrzałowo, Phoebe.

--Wy też, w tych futrach.

Gdy pozostałe dziewczyny witały się z Phoebe, Isabella podniosła wzrok na sufit: stropowe belki były wyrzeźbione w kształt włóczni z kryształowymi grotami. Po prawej znajdowała się tabliczka z wyjaśnieniem, że Walhalla wzięła nazwę od siedziby Odyna, najważniejszego boga skandynawskiej mitologii. Walkirie, blondwłose dziewice wojowniczkę na jego dworze, zlatywały na pola bitew i wybierały tylko najdzielniejszych poległych wojowników, aby zabrać ich do Walhalli, gdzie mieli jeść i pić przy stole Odyna, oczekując na Ragnarok, ostateczne rozstrzygnięcie konfliktu między dobrem i złem. Isabella zastanawiała się, czy Odyn jest prawdziwym imieniem projektanta. Wątpiła, by nawet najbardziej zakochani w dziecku rodzice mogli ochrzcić syna imieniem najważniejszego z bogów.

Odwróciła się z powrotem do Phoebe.

--Jak się czujesz? Szczęśliwa?

--Oczywiście. Ale też trochę zdenerwowana.

Isabella przyjrzała się przyjaciółce, szukając potencjalnych oznak terapii, lecz niczego takiego nie dostrzegła. Jediną poszlaką było to, że Phoebe wydawała się całkowicie zauroczona Helmutem Kappellem i porzuciła swoją niezależność. Dawna Phoebe nie pozwoliłaby narzeczonemu zorganizować całego ślubu, bez względu na to, jak by go kochała.

--Witajcie. -- Drzwi otworzyły się i wszedł Helmut Kappel, niosąc tacę z czterema kieliszkami. Phoebe natychmiast się rozpromieniła. -- Joachim mówi, że wasza podróż przebiegła gładko.

--Było wspaniale, dziękujemy -- powiedziała Gisele.

--Jazda saniami była fantastyczna -- dodała Claire.

--Świetnie. Pomyślałem, że to ciekawsze od lotu helikopterem. Phoebe, rozdaj to swoim druhom, tylko ostrożnie: kieliszki są z lodu.

Phoebe posłusznie spełniła polecenie.

--To jeden z pomysłów Odyna -- wyjaśnił Helmut. -- Rodzaj koktajlu z tutejszej wódki i pitnego miodu. -- Przez chwilę patrzył Isabelli w oczy, a potem błysnął chłodnym uśmiechem. -- Odyn nazwał go Idealne Małżeństwo na naszą cześć. Podobno najlepiej wypić go jednym haustem.

Isabella wypila słodki i jednocześnie mocny koktajl, obserwując, co dzieje się w holu. Rozpoznała Klause Kappela, który właśnie przybył z następną grupką gości. Potem wszedł Max z Delphine i ze starszą dystyngowaną parą -- najwyraźniej jej rodzicami. Poczula irracjonalne ukłucie zazdrości. Odkąd dowiedziała się o terapii ojca i eksperymencie w Antibes, nie ufała już Maksowi. Jeśli jego ojciec wykorzystał Phoebe, to Max mógł mu w tym pomagać. Ale bez względu na to, jak mocno pragnęła go znienawidzić, tęskniła za jego siłą.

Kątem oka dostrzegła, że Helmut przypatruje się jej z uśmiechem na ustach.

--Phoebe -- powiedział -- może zaprowadzisz panie do pokoi? Muszę się przywitać z innymi gośćmi.

Isabella nie wiedziała, czy to pod wpływem powitalnego drinka Helmuta Kappela, czy też może po podróży, ale poczuła się nagle bardzo zmęczona, gdy Phoebe pokazywała jej rozkład sypialni na tablicy przy głównych schodach. Rozpoznawała niektóre nazwiska: pomniejszych członków królewskich rodów, polityków, biznesmenów. Szacowała, że około stu gości zajmie sześćdziesiąt pokoi ulokowanych głównie na trzech górnych piętrach. Dwa pokoje wysoko na wieży zostały przydzielone Helmutowi i Phoebe. Osobny sektor, oznaczony napisem „Pomieszczenia prywatne”, należał przypuszczalnie do Odyna.

Pokój Isabelli znajdował się na drugim piętrze. Przyjrzawszy się planowi, stwierdziła, że Joachim ma pokój czworo drzwi dalej. Dobrze. Nie zapomniała o zawartości aluminiowej walizki.

Kiedy przyłożyła dłoń do czytnika DNA, zauważyła, że w jej szpitalu używa się tego samego systemu: InterFace 3000. W pokoju znalazła plan atrakcji towarzyskich na nocnym stoliku i maskę wiszącą na drzwiach. Maskę miała dwie szpary na oczy i zakrywała górną połowę twarzy. Była pomalowana na złoto, a po bokach zwisały pęki złożonych piór podobne do blond włosów. Górna część przypominała helm wikingów z rogami z masy perłowej. Według informacji dołączonej na karteczce była wzorowana na stylizowanym wizerunku Frei, żony boga Odyna.

Próbując przemóc senność, Isabella przeczytała plan atrakcji, który wydrukowano w ośmiu językach. Jeszcze tego wieczoru miał się odbyć bankiet z szampanem. Na jutro przewidziano przejażdżki saniami i wycieczki na koło podbiegunowe na pokładzie helikoptera, a potem sylwestrowy bal maskowy w głównej sali pałacu. Ceremonię ślubną zaplanowano na Nowy Rok w lodowej kaplicy. Isabella przestawiła zegarek na lokalny czas: parę minut po trzeciej.

Nagle pomyślała o ojcu. Jego zdradliwy postępek sprawił, że tęskniła za nim jeszcze bardziej, a nie mniej. Kiedy zginął, pocieszała się myślą, że wszystko między nimi było oczywiste. Kochali się i tylko to się liczyło. Odkąd zwątpiła w jego miłość, nie mogła go oplakiwać tak, jakby chciała. Gdyby zwierzył się jej ze swojego projektu, pomogłaby mu zrozumieć, że zblądził.

Nastawiła budzik na szóstą, a potem sięgnęła do walizki po kosmetyczkę. Były tam tabletki nasenne, które brała od czasu do czasu po śmierci ojca, oraz pojemnik, który wzięła ze szpitala. Odkręciła pokrywkę i zajrzała do środka. Zawartość mogła nie zadziałać, ale gdyby jej najgorsze obawy się spełniły, miała tylko ten środek ratunku.

Przebrała się w koszulę nocną, położyła do łóżka i po chwili zasnęła.

W innych zakątkach kryształowego pałacu pozostałe drużyny również spały, śniąc o

nieznajomych mężczyznach. Ci z kolei siedzieli w swoich pokojach, wpatrując się obsesyjnie w fotografie kobiet, o których od niedawna śnili. Za kilka godzin mieli się spotkać.

Cztery godziny później

Główna sala Walhalli miała kształt odwróconej do góry dnem łodzi wikingów, ale gdy Helmut Kappel spoglądał na ogromne belki, których łuki podtrzymywały wysokie szklane sklepienie, czuł się, jakby znalazł się w brzuchu olbrzymiego kryształowego wieloryba. Wzdłuż ścian ustawiono długie stoły z kieliszkami i przekąskami, a kelnerzy w strojach wikingów roznosili jedzenie i drinki wśród gości.

Przez tłum precyzyjnie się korpulentna postać i Helmut rozłożył ramiona w powitalnym geście.

--Feliks, miło cię widzieć. -- Uściskał Rosjanina, a potem poprowadził w odległy kąt sali. -- Jest tu ktoś, kogo chciałbym ci przedstawić.

Skrojony przez najlepszego krawca wieczorowy garnitur pięćdziesięcioośmioletniego Feliksa Łysenki nie był w stanie zatuszować otyłości. Rosjanin miał krzaczaste brwi i cienki wąsik, a jego łysa głowa lśniła w świetle kryształowych żyrandoli. Udręczonymi ciemnymi oczyma wodził po sali, jakby kogoś szukał. Wreszcie jego wzrok spoczął na Kathryn Walker i na zmęczonej twarzy wykwitł ekstatyczny uśmiech.

Helmut uśmiechnął się pod nosem. Miłosna trucizna osłabiała nawet najbardziej bezwzględne natury. Wkrótce cały świat się przekona, jak bardzo może być niebezpieczna.

--Pozwolisz, że ci przedstawię jedną z druhen Phoebe. Kathryn pochodzi z rodziny słynnych nowojorskich Walkerów.

--Wiem -- powiedział Łysenko, ledwo nad sobą panując.

--Kathryn, pozwól, że ci przedstawię jednego z moich przyjaciół, Feliksa Łysenkę.

Kathryn podeszła, żeby przywitać się z Rosjaninem. Łysenko, nawet gdyby nie był pod wpływem terapii, aż by się ślinił na myśl o znajomości z taką piękną panną należącą do śmietanki towarzyskiej. Ale reakcja Kathryn wzbudziła w Helmutcie autentyczną weselość. Spojrzała na niskiego, łysego i otyłego handlarza bronią z tym samym oszłomionym zachwytem, z jakim Phoebe patrzyła na niego na mediolańskim pokazie mody.

Helmut cofnął się o krok i pozwolił jednemu z fotografów zrobić parze zdjęcie z nim samym w tle -- wcześniej pouczył wszystkich, że jego twarz ma się znaleźć na co najmniej połowie zdjęć. Potem odwrócił się i zobaczył Giscarda Corbassona, francuskiego króla pornografii, idącego przez tłum w kierunku Gisele Steele, która zdążyła dołączyć do Isabelli i Phoebe. Z miny Corbassona i zdumienia na twarzy Gisele wywnioskował, że nie musi ich sobie przedstawiać.

Zapalił papierosa i zaciągnął się dymem. Po rozmowie z Hudsuckerem odbył podobne spotkania z resztą klientów. Teraz wszyscy Ignęli do wymarzonych kobiet, nie zdając sobie sprawy z nadchodzącego koszmaru. Nadolny był pochłonięty rozmową z Claire, a gdy Hudsucker dotrze do Isabelli, wszystko będzie gotowe do rozegrania ostatniego aktu Ilium.

Niepokorni klienci zapłacą każdą sumę, jakiej zażąda. Strach przed utratą największego szczęścia w życiu będzie zbyt potężny, by mogli się oprzeć. Helmut przeniósł wzrok na Maksa, który toczył ożywioną rozmowę z Delphine. Miło było pomyśleć, że syn marnotrawny wreszcie powrócił na łono rodziny. Sprawy znowu znalazły się pod kontrolą. Helmut wprost nie posiadał się z radości.

Kolejni goście złożyli mu gratulacje i życzyli szczęścia w małżeństwie. Uśmiechnął się

wspaniałomyślnie, chociaż wiedział, że przyjechali tylko po to, by zobaczyć Phoebe. Ale po ślubie wszystko się zmieni. Joachim i jego żona Anna rozmawiali z Chevalierami. Helmut skinął na syna.

--Wenus? -- rzucił.

--Wszystko przygotowane, ale musimy jeszcze załatwić parę drobiazgów -- odparł Joachim.

--Opowiesz mi o nich jutro. -- Zobaczył podchodzącego Hudsuckera. -- Możesz już iść. Chcę przedstawić kogoś Isabelli Bacci.

Kiedy patrzył na oddalającego się Joachima, serce drżało mu z oczekiwania. Za sprawą Ilium stał się Kupidynem, ale Wenus rzuci mu pod nogi cały świat.

Coś było nie tak. Isabella czuła się nie na miejscu, jakby znalazła się w złym śnie. Bał był jak z bajki: mężczyźni paradowali w szykownych wieczorowych garniturach, a kobiety wystroiły się w suknie od słynnych projektantów i klejnoty, które niemal przyćmiewały ogromne kryształowe żyrandole wiszące pod migotliwym kryształowym sklepieniem. Najbardziej olśniewająca była Phoebe, która miała złoty naszyjnik, przylegającą do ciała kremową suknię do kostek i złote pantofle. Isabella bacznie obserwowała przyjaciółkę i zauważyła, że ta co rusz zerka przez ramię, by sprawdzić, czy Helmut jest w pobliżu.

Ale to nie zachowanie Phoebe sprawiło, że zjeżyły się jej włosy na głowie, tylko czułość, z jaką Kathryn odnosiła się do niskiego grubego Rosjanina. Przypominało to pierwsze spotkanie Phoebe i Helmuta. Gisele wydawała się równie oczarowana uśmiechniętym lubieżnie Francuzem, który gładził ją po ramieniu z poufalością kochanka. A Claire chichotała jak pensjonarka, wpatrzona w mężczyznę na tyle starego, że mógłby być jej dziadkiem.

Jej obawy wzmożły się, gdy Klaus Kappel odwrócił się od żony i przeszył ją lodowatym spojrzeniem zmrużonych oczu. Czyżby podejrzewał, że coś odkryła?

Wtedy pojawił się Max prowadzący pod ramię Delphine.

--Pamiętasz Delphine? -- spytał.

--Tak, oczywiście. -- Isabella wyciągnęła rękę. Wydawało jej się, że na ustach Delphine zaigrał uśmiech triumfu.

--Jak ci minął lot, Isabello? -- zapytała Delphine.

--Dobrze. A tobie?

Delphine podniosła wzrok na Maksa i uśmiechnęła się.

--Przylecieliśmy razem. -- Ich widoczna poufalość wzmocniła w Isabelli poczucie izolacji. Przebiegł ją zimny dreszcz. Max musiał pomagać ojcu w usidleniu Phoebe. Cała dobroć, jaką niedawno okazał, była podyktowana koniecznością pilnowania jej na wypadek, gdyby próbowała sprawiać trudności przy przekazaniu bankowi Kappelów technologii opracowanej przez ojca. Wszystko, łącznie z rzekomym zerwaniem z Delphine, było kłamstwem.

Kiedy się nad tym zastanawiała, podszedł Helmut w towarzystwie przystojnego mężczyzny, który wydał jej się znajomy. Miał pięćdziesiąt parę lat, twarz gwiazdora filmowego i gęste siwe włosy. Uśmiechnął się do niej, jakby była najpiękniejszą kobietą na świecie.

Helmut zwrócił się do syna.

--Max, może dokonasz prezentacji?

--Oczywiście -- powiedział Max. -- Isabello, pozwól, że ci przedstawię Warrena Hudsuckera. Jest senatorem Stanów Zjednoczonych ze stanu Newada.

Isabella uśmiechnęła się do Hudsuckera.

--To dlatego wydawało mi się, że pana poznaję. Bardzo mi miło.

--Ja z pewnością panią poznaję. -- Pocałował ją w rękę.

Miał małe znamię na wierzchu dłoni.

Helmut pogładził Phoebe po rękę.

--Chodźmy -- powiedział. -- Chcę się tobą pochwalić przed innymi gośćmi.

Hudsucker był czarujący i słuchał jej z uwagą, ale Isabella miała nieprzyjemne wrażenie, że jest obserwowana. Odwróciła na chwilę wzrok i spostrzegła, że Max patrzy w jej stronę. Potem zauważyła, że gapią się na nią Klaus, Joachim i Helmut. Poczuli się samotna w

zatłoczonej sali, niczym sarna osaczona przez czterech myśliwych. Helmut przeniósł wzrok na Kathryn, Gisele, Claire i w końcu na Phoebe. Gdy podążyła za jego spojrzeniem i zobaczyła, co widział, o mało nie upuściła kieliszka. Kappelowie zastosowali terapię nie tylko u Phoebe. To samo zrobili ze wszystkimi druhami. Łącznie z nią.

Spojrzała Hudsuckerowi w oczy, zobaczyła jego pożądanie i o mało jej nie zemdlilo.

--Dobrze się pani czuje? -- spytał.

--Tak -- odparła. -- Muszę tylko coś zjeść.

Podeszła do Joachima i jego żony. Joachim odstawił na stół kieliszek z szampanem, pocałował ją w oba policzki i uściskał Hudsuckerowi dłoń.

Isabella, upewniwszy się, że na jej kieliszku nie ma śladów szminki, postawiła go obok kieliszka Joachima, a potem przywitała się z jego żoną.

--Jak podoba wam się Walhalla? -- zagaił Joachim.

--Fantastyczna -- odparł Hudsucker.

--Nigdy nie widziałam niczego podobnego -- powiedziała Isabella i wzięła kieliszek Joachima. -- Jak udało wam się namówić Odyna, żeby zorganizował tutaj ślub?

--Cóż, jest wdzięcznym za nasze usługi, lojalnym klientem -- rzekł Joachim z emfazą i zerknął znacząco na Hudsuckera.

Isabella odczekała parę minut, a potem przeprosiła, że musi ich opuścić.

--Nie, nie -- zaprotestowała, gdy Hudsucker zaoferował, że ją odprowadzi. -- Zostawiłam coś w pokoju. Zaraz wracam.

To, co zamierzała zrobić, musiało się odbyć bez świadków.

Z kieliszkiem Joachima w dłoni Isabella wyszła pośpiesznie z gwarnej sali. Na półpiętrze minęła Steina i jednego z jego podwładnych, lecz poza tym korytarze były puste. Przez okna widziała płatki śniegu tańczące w świetle silnych reflektorów otaczających Walhallę i jarzące się w ciemności okna mniejszego budynku. Na jego dachu osiadła tylko cienka warstwa śniegu i po ustawionych obok beczkach paliwa zorientowała się, że musi się tam mieścić kotłownia ogrzewająca pałac. Dalej, na zamarznętym jeziorze, niesamowitym błękitnym światłem jaśniała lodowa kaplica.

Isabella wspięła się po szerokich schodach na swoje piętro i sięgnęła do torebki po wacik. Minęła swój pokój i zatrzymała się czworo drzwi dalej.

Drżącymi palcami wytarła wacikiem brzeg kieliszka Joachima i przytknęła wacik do płytki czujnika. Pamiętała, jak ojciec Sofii mówił, że ten system identyfikacji twarzy ma poważną wadę: jeśli informacja odczytana z DNA odpowiada zdjęciu twarzy przechowywanemu w bazie danych, przyznaje dostęp -- bez względu na to, czy DNA należy do osoby, która chciała wejść. Nowocześniejszy InterFace 3500 do porównania wykorzystywał dodatkowo obraz z kamery cyfrowej instalowanej przy czujniku. W ciągu paru sekund komputer zanalizował unikatową kombinację pięciuset dziewięćdziesięciu siedmiu genów odpowiadających za wygląd twarzy Joachima Kappela i jego zdjęcie pojawiło się na monitorze. Drzwi zostały otwarte.

Kiedy weszła, światła w pokoju zapaliły się automatycznie. W przeciwieństwie do jej sypialni -- gdzie rzeczy leżały rozrzucone na łóżku, szafy były pootwierane, a walizka rozpakowana tylko do połowy -- pokój Joachima i Anny Kappelów był tak uporządkowany, że wyglądał na niezamieszany. Isabella zamknęła drzwi i rozejrzała się po części sypialnej, jadalnowypoczynkowej i w łazience. Nigdzie nie było ani śladu aluminiowej walizki.

Otworzyła szafę. Garnitury i sukienki wisiały w równym rzędku. Pod nimi ustawiono starannie pary butów. Ubrania Joachima zajmowały dokładnie połowę miejsca, ubrania Anny wypełniały drugą.

Zajrzała na górną półkę, ale oprócz zapasowej poduszki i koców nic nie znalazła. Wtedy dostrzegła walizkę w kącie szafy, pod garniturami. Wyjęła ją i położyła na blacie toaletki. Między zatrzaskami na czarnym ciekłokrystalicznym monitorze paliła się mała czerwona dioda. Isabella sięgnęła do torebki po karteczkę, na której zapisała szyfr. Położyła ją na blacie i wklepała kolejne znaki na alfanumerycznej klawiaturze obok monitora: trzy, ukośnik wsteczny, zero, jeden.

Nic.

Musiała źle zapamiętać albo pominąć któryś ze znaków. Gdy sięgnęła po karteczkę, żeby schować ją do torebki, jej wzrok padł na szyfr odbity w lustrze. Serce zabiło jej mocniej. Lustrzany kod wyglądał jak IOE: gdyby dodała ukośnik między ukośnikiem wstecznym a trójką, otrzymałaby słowo LOVE.

Wklepała szyfr jeszcze raz, dostawiając ukośnik i na ekranie pojawiła się wiadomość.

Dostęp przyznany. Rozległ się trzask zamka. Isabella otworzyła walizkę. W środku znajdował się czarny laptop, a obok trzy gąbkowe osłonki przeznaczone do transportu pojemników. Wszystkie były puste.

Drżącymi rękami otworzyła laptop. Nie myliła się: była to rzeczywiście nowa toshiba Tecras z systemem identyfikacji twarzy, skonfigurowana do pracy wyłącznie z właścicielem.

Isabella wcisnęła enter i ekran obudził się do życia. Wzięła wacik i przytknęła go do czujnika.

Na ekranie ukazała się twarz Joachima i napis: „Witamy, Herr Doktor Joachim Kappel”. Potem załadował się system Windows. Zerknęła na zegarek. Miała wrażenie, że wymknęła się z bankietu godzinę temu, ale upłynęło zaledwie pięć minut.

Przeszukiwała pliki, aż natknęła się na katalog o nazwie „MIN: Projekt Ilium/Wenus”. Kiedy na niego kliknęła, pojawiły się dwa inne katalogi: „Ilium” i „Wenus”. Otworzyła „Ilium” i ukazała się lista plików. Otworzyła pierwszy z nich. Był po niemiecku, a treść przerastała jej szkolną znajomość tego języka. Lecz kiedy przewinęła tekst, natknęła się na tabelę. W lewej kolumnie widniały nazwiska czterech kobiet, w środkowej czterech mężczyzn, a w prawej sumy podane w dolarach amerykańskich. Sumy były zawrotne, ale to nie z ich powodu nagle zaschło jej w ustach. Powodem było nazwisko w ostatnim wierszu lewej kolumny: Isabella Bacci. Tabela zawierała nazwiska wszystkich czterech druzhen przyporządkowane do nazwisk mężczyzn, których dzisiaj poznały. W parze z nią znalazł się Warren Hudsucker.

Wstrząśnięta, usiadła na łóżku, zapominając o uciekającym czasie. Zbyt słabo знаła niemiecki, by zrozumieć cały dokument, lecz zobaczyła dość, aby domyślić się planu Kappelów. Sięgnęła do torebki po przenośny twardy dysk, podłączyła go do laptopa i skopiowała cały katalog „Projekt Ilium/Wenus”.

Kiedy czekała na transfer danych, zastanawiała się nad tym, co zobaczyła. Przyszła tu w poszukiwaniu dowodu, że Helmut Kappel wykorzystał terapię jej ojca, by zdobyć miłość jej przyjaciółki. Teraz stało się jasne, że plan Kappelów sięga znacznie dalej.

Sygnal dźwiękowy oznajmił, że kopiowanie zostało zakończone. Sięgając po twardy dysk, spojrzęła na trzy puste osłonki w walizce. Gdzie znajdują się te pojemniki? Czy ich zawartość została już wykorzystana? A jeśli tak, to dlaczego nie poczuła...

--Isabello? Isabello!

Pierwsze stłumione okrzyki na korytarzu w ogóle do niej nie dotarły.

--Isabello!

Ale trzeci tak. Zerwała się z łóżka, odłączyła twardy dysk, zamknęła komputer i zatrzasnęła walizkę. Schowała ją z powrotem do szafy, podeszła do drzwi i zaczęła nasłuchiwać. Cisza.

Wzięła głęboki oddech, żeby uspokoić bicie serca. Ostrożnie uchyliła drzwi, wymknęła się na korytarz i ruszyła do swojego pokoju. Kiedy tam dotarła, usłyszała odgłosy kroków na dywanie i zobaczyła cień mężczyzny wylaniającego się zza zakrętu korytarza.

Przyłożyła dłoń do czytnika DNA przy swoich drzwiach, ale ręka trzęsła się tak mocno, że urządzenie nie zareagowało.

--Isabello! A, tutaj jesteś!

Obróciła się gwałtownie... i odetchnęła z ulgą, gdy zobaczyła, że to Hudsucker.

--Martwiłem się -- powiedział z szerokim uśmiechem. -- Myślałem, że próbujesz przede mną uciec. -- Wziął ją pod ramię. -- Na szczęście tutaj to niemożliwe. -- Wskazał sypiący za oknem śnieg, który lśnił niczym żywe srebro. -- Jak mogłabyś uciec? Nie możesz nawet zadzwonić po pomoc. Góry blokują sygnały telefonii komórkowej, a oprócz satelitarnego telefonu Odyna nie ma żadnej linii na zewnątrz. Odyn twierdzi, że lubi odosobnienie, ale ja nie cierpię być odcięty od świata. -- Uścisnął jej ramię. -- W tym wypadku zrobię jednak wyjątek. -- Z sali balowej doleciały dźwięki muzyki. -- Zatańczysz ze mną?

Isabella pragnęła wrócić do pokoju i przejrzeć dokładniej zawartość twardego dysku, ale nie chciała wzbudzać niczyich podejrzeń.

--Chętnie -- skłamała i prowadzona przez Hudsuckera wróciła na przyjęcie.

Dwie godziny później

Isabella nigdy nie była dobra w trzymaniu uczuć na wodzy, a reszta przyjęcia upłynęła jej w diabelskiej mgłę fałszywych uśmiechów, konwersacji i uprzejmego śmiechu. Miała świadomość, że Kappelowie ciągle na nią zerkają. Starła się porozmawiać z Phoebe i innymi druhnami, lecz były zbyt zajęte nowymi dziwacznymi partnerami, a Hudsucker nie odstępował jej na krok.

Gdy tylko impreza zaczęła przygasać, Isabella wyszła, obiecawszy Hudsuckerowi, że będzie mu towarzyszyć na jutrzejszej wycieczce saniami. W pokoju włączyła swój laptop, podłączyła przenośny twardego dysku i otworzyła plik „Ilium”, który skopiowała z komputera Joachima. Było to najwyraźniej podsumowanie projektu, lecz niemczyzna czyniła je praktycznie niezrozumiałym. Kiedy jednak przewinęła dokument, natknęła się na następną tabelę zapisaną tłustym drukiem. Tak jak w pierwszej, nazwiska czterech druzhen widniały w lewej kolumnie, ale teraz w środkowej znalazły się niemieckie słowa, a w kolumnie z prawej -- daty. Obok nazwisk Claire i Kathryn zapisano *Herzinfarkt*, zaś przy nazwiskach Gisele i samej Isabelli: *Krebs*. Isabella przełknęła z wysiłkiem ślinę. Rozumiała te słowa, bo zetknęła się z nimi w czasopismach medycznych i literaturze farmaceutycznej. *Herzinfarkt* oznaczało atak serca, a *Krebs* raka. Daty z ostatniej kolumny były odległe o sześć miesięcy. Sama kolumna nosiła tytuł *Todestag*. Isabella znów przełknęła ślinę. Wiedziała, że *tod* oznacza „martwy”, a *Tag* to dzień. Patrzyła na daty, kiedy ona i jej przyjaciółki miały umrzeć.

Wmawiała sobie, że doszła do pochopnych wniosków -- czemu Kappelowie mieliby je wszystkie zabijać? Kliknęła na następny katalog, „Wenus”, ale gdy przewijała tekst niemieckiego dokumentu, mogła myśleć tylko o dniu swojej śmierci. Rozsądek podpowiadał jej, że powinna zachować spokój, znaleźć sposób na przetłumaczenie dokumentów, a potem zdecydować, co dalej. Nie było jednak czasu. Musiała działać teraz, a mogła zrobić tylko jedno.

Sięgnęła po kosmetyczkę i wyjęła pojemnik. Przeczytała napis na nalepce z boku, jakby miał jej podpowiedzieć, co robić, odkręciła pokrywkę i wysypała na dłoń tabletkę. Była mniejsza od aspiryny i miała wytłoczony numer 135. Schowała ją do torebki, odłożyła pojemnik na miejsce, a potem zeszła na parter do baru przy głównej sali. Barman już zamykał, ale gdy poprosiła o butelkę amaretto i dwa kieliszki, podał je bez słowa.

Wracając na górę, zobaczyła tylko jedną parę. Inni musieli już udać się na spoczynek. Dotarła na najwyższe piętro i wyjrzała przez łukowe okno wychodzące na jezioro. Śnieg przestał padać i pызaty księżyc w pełni unosił się nad górami fiordu.

Na piętrze było dwoje drzwi. Pierwsze prowadziły do apartamentu Helmuta Kappela, drugie -- do pokojów Phoebe. Mając nadzieję, że przyjaciółka jest sama, Isabella zapukała. Po chwili Phoebe otworzyła. Była w szlafroku i miała rozpuszczone włosy. Skinęła na butelkę amaretto i roześmiała się.

--Chyba żartujesz, Izzy. Nie jesteś zmęczona?

--Nie przesadzaj, tylko po kieliszeczku w imię dawnych czasów. Jutro przez cały dzień będziemy zajęte, a potem czeka nas bal. A pojutrze wychodzisz za mąż. Wypijmy ostatniego drinka jako wolne przyjaciółki.

Phoebe westchnęła.

--Okej, przekonałaś mnie. Wejdz.

--Nie, chodźmy na zewnątrz. Przestało padać, świeci księżyc. Włóż futro... No, nie opieraj się, będzie cudownie. W końcu przez resztę życia będziesz stateczną panią Kappel.

Zeszły po schodach, a potem na dwór. Minęły budynek kotłowni i znalazły się na tafli jeziora. Kaplica była w istocie zwieńczonym kopułą lodowym amfiteatrem. Półkole trybun rozkładało się niby wachlarz przed podwyższeniem z ołtarzem. Siedzenia zostały wykute w lodzie i przykryte futrami, a przez środek biegła szeroka nawa.

--Czyż to nie piękne, Izzy?

--Oszalamiające. -- Isabella otworzyła amaretto i podniosła wzrok na lodowe sklepienie. Poświata księżycyca przenikała przez lód, nadając mu błękitny odcień, przez co wewnątrz zdawało się jeszcze chłodniejsze. Tylko grube czerwone dywany i futra na siedzeniach stwarzały złudzenie ciepła. Isabella była zmarznięta, ale musiała odciągnąć Phoebe od Kappelów. -- Pięknie. Ale zimno.

Phoebe objęła się ramionami i uśmiechnęła.

--Prawie tak zimno jak wtedy, gdy poszliśmy na imprezę do Mickeya Torca. Pamiętasz?

--Jak mogłabym zapomnieć? -- odparła Isabella. -- Było minus dziesięć stopni, ale chcieliśmy sprawiać wrażenie wyrafinowanych, więc włożyłyśmy najbardziej kuse sukienki.

Phoebe parsknęła śmiechem.

--Tylko że nie wiedziałyśmy, że w domu nie ma ogrzewania i wszyscy inni przyjdą w kombinezonach narciarskich. -- Podeszła do ołtarza. -- Wydaje się, że to było tak dawno. A teraz wychodzę za mąż.

Phoebe była odwrócona plecami, więc Isabella wrzuciła tabletkę do jej kieliszka i naląa amaretto. Pigulka natychmiast się rozpuściła. Miała wyrzuty sumienia, że doprawia drinka przyjaciółki narkotykiem, ale to był jedyny sposób, żeby wyzwolić ją spod władzy Helmuta.

--Nie obchodzi mnie, co mówi matka -- oświadczyła nagle Phoebe żarliwym tonem. -- Cieszę się, że biorę ślub. -- Zaczęła się przechadzać po kaplicy. Isabella ruszyła za nią z kieliszkiem. -- Nie obchodzi mnie, ile Helmut ma lat. Dla mnie jest idealny. Nigdy wcześniej, patrząc na kogoś, nie czułam takiej miłości. -- Obróciła się do Isabelli. -- Tylko ty mnie rozumiesz, Izzy. -- Odwracając się, Phoebe wytrąciła Isabelli kieliszek, który upadł i rozbił się o posadzkę.

Isabella patrzyła, jak płyn wsiąka w czerwony dywan. Będzie musiała wziąć z pokoju drugą tabletkę.

--Pójdę po następny kieliszek.

--Nie przejmuj się. -- Phoebe sięgnęła po butelkę i napiła się z gwinta. -- Jak powiedziałaś, mam czas, żeby stać się stateczną panią Kappel.

Isabella ledwo zdusiła narastającą panikę.

--Dzięki, że tak mnie wsparłaś, Izzy... Rozumiesz, dlaczego wychodzę za Helmuta, prawda?

Isabella milczała.

--Popierasz mnie, prawda? -- naciskała Phoebe.

Isabella mogła skłamać i spróbować podać lek później, mimo że mógł nie zadziałać w porę, albo powiedzieć prawdę, licząc, że przemówi przyjaciółce do rozsądku.

--Jesteśmy przyjaciółkami, Phoebe, prawda?

--Oczywiście, że tak. Najlepszymi przyjaciółkami. Zawsze tak było i będzie.

--Muszę ci coś powiedzieć, coś, czego nie będziesz chciała słuchać. Nie chodzi o moje przeczucia. Chodzi o fakty.

Piękne błękitne oczy Phoebe zmroził lód.

--O moim ślubie?

--O Helmucie.

Phoebe stała bez ruchu i milczała.

--Twoja miłość do Helmuta nie jest prawdziwa -- zaczęła Isabella. -- Podał ci preparat, który sprawił, że myślisz, że go kochasz. Wiem to, bo wynalazł go mój ojciec. Ale to jeszcze nie wszystko...

--O, tak, to wszystko -- wykrztusiła Phoebe przez ściśnięte gardło. Głos drżał jej, jakby ledwo panowała nad gniewem. -- W każdym razie wszystko, czego zamierzam wysłuchać.

--Phoebe, to ważne. Próbuję ci pomóc... pomóc nam wszystkim! Ale Phoebe pobiegła w głąb nawy do drzwi, zostawiając Isabellę samą w lodowej kaplicy, gdzie ciepły oddech zmieniał się w mgielkę w mroźnym powietrzu.

Helmut Kappel stał na korytarzu, przyglądając się własnemu odbiciu w okiennej szybie. Wieczór okazał się spektakularnym sukcesem. Wprawdzie większość gości przybyła na ślub ze względu na olśniewającą urodę Phoebe, ale wkrótce to do niego świat będzie się zwracał o przywództwo i pomoc.

Spojrzał w dół na jezioro i w świetle reflektorów zobaczył postać biegnącą z lodowej kaplicy do Walhalli. Kiedy Phoebe dotarła na górę, wyglądała, jakby płakała.

--Nic ci nie jest, kochanie?

--Nie, nic -- odpowiedziała, przykładając dłoń do czytnika i otwierając drzwi.

Helmut ruszył za nią do pokoju, lecz zanim wszedł, zerknął jeszcze za okno i zobaczył Isabellę wychodzącą z kaplicy. Wziął Phoebe w ramiona.

--Co się stało?

--Nie mogę w to uwierzyć. Najpierw moja matka, a teraz Izzy. Myślałam, że akurat ona będzie się cieszyć z naszego szczęścia.

Przytulił ją mocniej.

--Czy chodzi o to, że jesteś młodsza ode mnie i mogłabyś wyjść za kogoś znacznie bardziej odpowiedniego? Jedno i drugie jest, nawiasem mówiąc, prawdą.

--Ale ja chcę ciebie.

--Wiem. Jestem pewien, że Isabella jako twoja przyjaciółka po prostu się o ciebie martwi.

--Chodzi o coś więcej. Powiedziała, że podałeś mi narkotyk, żebym się w tobie zakochała.

Helmut odczekał ułamek sekundy, a potem wybuchnął śmiechem.

--Może tak zrobiłem.

--Mówię poważnie! Powiedziała, że to wynalazek jej ojca. I to ma być najlepsza przyjaciółka!

--Nie osądzaj jej zbyt surowo, kochanie. Isabella nie jest ostatnio sobą. Właśnie straciła ojca, a teraz traci najlepszą przyjaciółkę.

Puk, puk.

Joachim stał w otwartych drzwiach, ściskając w dłoni aluminiową walizkę.

--Przepraszam, *Vati*, musimy porozmawiać.

Zauważyłem to przez moje buty, *Vati*.

Helmut Kappel podszedł do stołu ustawionego w głębi swojego pokoju. Wciąż myślał o rozmowie Phoebe z Isabellą.

--O czym ty mówisz, Joachimie?

--Po bankiecie wróciliśmy do pokoju i Anna położyła się spać. Kiedy wieszalem garnitur, zauważyłem, że ktoś ruszał moje szkoty. Lewy but nie stał równolegle do prawego, tylko był zwrócony nosem do wewnątrz. -- Joachim uniósł aluminiową walizkę. -- To stało przy butach w głębi szafy.

Helmut zmrużył oczy.

--I?

Joachim położył walizkę na stole i otworzył ją.

--Ktoś uzyskał dostęp do mojego laptopa.

--Skąd wiesz?

Joachim pokazał ojcu lśniący ciemny włos.

--Znalazłem go, kiedy zajrzałem do środka. Ale to jeszcze nie wszystko. -- Wyjął z kieszeni małą buteleczkę, wylał kropelkę na mieszek włosa, a następnie położył go na ekran

czytnika DNA w laptopie. Po kilku sekundach na ekranie pojawiła się twarz Isabelli Bacci i komunikat: „Odmowa dostępu”.

Helmut wziął cygaro z pudełka na stole, sięgnął po nóż przy kostce i odciął czubek.

Zastanawiając się intensywnie, zapalił.

--Podróżowałaś z Isabellą Bacci z Bergen. Jeden z jej włosów mógł ci się przyczepić do ubrania, a potem wpaść do walizki.

--Pomyślałem o tym. Ale sprawdziłem w systemie, kiedy ostatnio korzystano z komputera i okazało się, że dziś o dwudziestej pięćdziesiąt sześć. O tej porze nie było mnie w

pobliżu pokoju, a co dopiero laptopa. A tylko ja mam do niego dostęp... albo ktoś, kto użyje mojego DNA i hasła. Jakimś sposobem Isabellą Bacci włamała się do komputera. Nie wiem, które pliki widziała, ale musimy założyć, że poznała tajemnicę Ilium i Wenus.

Helmut pomyślał o tym, co Isabellą powiedziała Phoebe.

--Ale czemu miałyby szperać w twoich rzeczach?

--Może podejrzewa, że mieliśmy coś wspólnego ze śmiercią jej ojca. Może Max coś jej powiedział.

--Gdyby tak było, przyznałby się. Zwłaszcza po tym, jak wstrzyknęliśmy mu preparat.

--Mówię tylko, że musimy się jej pozbyć.

Helmut westchnął. Wolalby poczekać do zakończenia ceremonii ślubnej. Trzeba też było pamiętać o Hudsuckerze -- mało prawdopodobne, by senator chciał zapłacić za miłość trupa - a także o reakcji Phoebe, która na pewno źle by przyjęła śmierć przyjaciółki. Sięgnął po telefon, lecz zanim wykręcił wewnętrzny numer, zwrócił się do Joachima.

--A co z preparatami?

--Pojemniki są w sejfie. Pieczęcie są nienaruszone. -- Dobrze. -- Helmut wykonał dwa telefony.

W ciągu kilku minut zjawili się Klaus i Max. Pierwszy miał na sobie piżamę i szlafrok i wyglądał, jakby właśnie się obudził. Max wyraźnie nie kładł się jeszcze spać, bo był nadal w garniturze, chociaż miał rozwiązaną muszkę.

--Jesteś pewny, że to była Isabella Bacci? -- spytał Klaus.

--Tak.

--I że widziała twoje pliki?

--Prawdopodobnie.

Helmut opowiedział im o rozmowie Isabelli z Phoebe.

--Jak Phoebe na to zareagowała?

--Uznała, że Isabella zmyśliła tę historię z zazdrości i strachu przed utratą przyjaciółki.

Możemy to wykorzystać na naszą korzyść.

--Więc Isabella wie o Ilium -- powiedział Klaus. -- Ale co może zrobić?

--Może ostrzec pozostałych -- odparł Joachim.

--Phoebe jej nie uwierzyła, więc czemu oni mieliby wierzyć? Tak czy inaczej, może Hudsucker zaabsorbuje jej uwagę. Pozbycie się jej przysporzy nam więcej problemów, niż ich rozwiąże. Uważam, że powinniśmy ją na razie obserwować, a wyeliminujemy później, jeśli okaże się to konieczne. Kiedy podamy jej zmodyfikowaną wersję MIN Siedemdziesiąt Dwa, i tak umrze w ciągu kilku miesięcy.

--Nie możemy liczyć na to, że Hudsucker ją zaabsorbuje, Klaus -- zaproponował Joachim. -- Terapia nie powstrzymała jej od włamania się do mojego laptopa ani od próby ostrzeżenia Phoebe. A poza tym może wiedzieć, że zamierzamy wstrzyknąć druhom genetyczną truciznę. Musimy się jej pozbyć. Możemy powiedzieć Phoebe, że się rozchorowała i musiała wyjechać.

--Albo że wyjechała, bo jest tak głęboko przeświadczona, że ten ślub to pomyłka, że postanowiła nie mieć z nim nic wspólnego -- zasugerował Helmut.

--Właśnie -- rzekł Joachim. -- Stracimy kontrakt z Hudsuckerem, ale zostaną nam trzy pozostałe. A później możemy znaleźć dla Hudsuckera inną kobietę i znowu wstrzyknąć mu preparat.

Klaus podrapał się po brodzie.

--Nie widziałem, żeby Isabella Bacci rozmawiała z którąś druha po tym, jak twoim zdaniem włamała się do komputera. Miała pełne ręce roboty z Hudsuckerem, a pozostałe interesowały się głównie swoimi partnerami.

Helmut pokiwał głową.

--Po nieudanej próbie ostrzeżenia Phoebe raczej nie będzie jeszcze dziś próbowała porozmawiać o tym z kimkolwiek, ale poproszę Steina i jego ludzi, żeby obserwowali jej pokój. Pytanie brzmi, co zrobimy jutro? -- Spojrzał na starszego syna, który stał w kącie. -- Max, co według ciebie powinniśmy zrobić z twoją przyjaciółką?

Joachim zmarszczył brwi.

--Czemu go pytasz? Przecież wiemy, co powie.

Helmut uniósł dłoń, uciszając go.

--Max, co proponujesz? Jak powinniśmy postąpić?

Max podniósł powoli wzrok.

--Nie mamy wyboru. Przynajmniej raz zgadzam się z Joachimem. Musimy ją uciszyć.

--Naprawdę? -- Helmut ledwo panował nad zaskoczeniem.

Max się nie wahał.

--Zrobię to jutro podczas wycieczki saniami. Daj mi jednego człowieka.

Helmut uśmiechnął się. Syn nie zabił do tej pory żadnej kobiety.

--Weź Steina.

--Skąd możemy być pewni, że rzeczywiście wypełnisz zadanie, Max? -- zapytał Joachim.

--Dość tego, Joachimie -- zgromił go Helmut i zwrócił się do starszego syna, napawając się władzą, jaką nad nim ma. -- Możemy ci zaufać, Max, prawda?

Twarz Maksa była pozbawiona wyrazu.

--Tak -- odrzekł. Spojrzał na Joachima, a potem na Klause. Wreszcie odwrócił się znowu do ojca. -- Udowodnię to.

Następnego dnia rano, 31 grudnia

Ilekoć jako dziecko Isabella miała nocne koszmary, ojciec siadał przy łóżku i gładził ją po policzku, aż się uspokoiła. Rano nigdy nie mogła pojąć strachu, który nie pozwalał jej zasnąć. Ale dziś rano koszmar nie wyparował, a ojciec nie mógł jej już pocieszyć.

Po rozmowie z Phoebe zastanawiała się, czy nie pójść do pozostałych druzhen, uznała jednak, że to bez sensu, bo one także są pod wpływem terapii. Postanowiła położyć się i wypaść. Kiedy wreszcie zmrużyła oczy, sen okazał się krótki i niespokojny. Obudziła się złana potem. Oczami wyobraźni widziała Kappelów, którzy zabijają jej ojca, ponieważ wiedział zbyt dużo. Max, mężczyzna, którego w swoim mniemaniu kochała, uniósł pistolet i oddał śmiertelny strzał.

Isabella wzięła przenośny twardy dysk i zeszła do jadalni na śniadanie. Siedziała z innymi gośćmi i słuchała, jak rozmawiali o dzisiejszych wycieczkach. Dzień zapowiadał się pogodny i słoneczny, więc większość zamierzała wybrać się helikopterem na koło podbiegunowe i przy odrobinie szczęścia zobaczyć zorzę polarną. Innym wystarczała jazda saniami wzdłuż wschodnich brzegów jeziora.

Po śniadaniu Isabella włożyła futro i wyszła na dwór. Przyjaciółki, zajęte partnerami poznanymi wczoraj wieczorem, przywitały się z nią zdawkowo. Phoebe w ogóle nie było w pobliżu.

Podeszła do sań, mając nadzieję, że przejażdżka i mroźne powietrze podziałają na nią otęrażająco. Potem zamierzała znaleźć niemiecki słownik i przetłumaczyć dokumenty znalezione w laptopie Joachima. Ledwo zbliżyła się do zaprzęgu, pojawił się Hudsucker.

--Obiecałaś, że pojedziemy razem-- powiedział, pomagając jej wsiąść. Zanim powożący zdążył ruszyć, ktoś stojący przy wejściu do Walhalli zawołał Hudsuckera i przyzwał go gestem ręki. Senator poklepał Isabellę po kolanie. -- Zaraz wracam.

Gdy patrzyła, jak idzie do pałacu, na sanie wdrapał się Max i usiadł obok niej. Powożący zeskoczył, a jego miejsce zajął Stein. Nim zdążyła zareagować, strzelił z bata i szczekające psy ruszyły.

Tknięta nagłym niepokojem próbowała wsiąść.

Max wziął ją za rękę.

--Proszę, Isabello, tylko krótka przejażdżka. Od wczoraj chcę z tobą porozmawiać. -- Skinął przez ramię na Hudsuckera i Delphine, którzy machali gorączkowo, żeby zwrócić na siebie uwagę. -- Ale ktoś cały czas cię oblegał.

--Sam też byleś zajęty kimś innym, Max. -- Obejrzała się do tyłu. -- Może twoja narzeczona chciałaby do nas dołączyć?

Uśmiechnął się.

--Jestem pewien, że Delphine i Hudsucker świetnie się dogadają. Chcę spędzić z tobą trochę czasu sam na sam.

Ogarnął ją strach. Zaraz jednak przypomniała sobie, że Kappelowie potrzebują jej żywej: według dokumentacji Joachima miała umrzeć dopiero za sześć miesięcy. Zerknęła do tyłu na Walhallę lśniąca w promieniach słońca i zauważyła, że inne zaprzęgi ruszyły w przeciwnym kierunku: w głąb lądu, w stronę rzeki.

--Dokąd jedziemy? -- Spojrzała na wodę płynącą pod lodem. -- Myślałam, że nie wolno

wypuszczać się w tę stronę. Joachim powiedział, że przy fiordzie lód jest za cienki. Ma to coś wspólnego z pływami i prądami morskimi.

--Wiemy, które obszary są bezpieczne. A chcę ci coś pokazać.

--Co?

--Zobaczysz.

Rozejrzała się. Wysokie brzegi jeziora były poprzecinane długimi wąwozami, a ogrom wszystkiego wokół sprawiał, że poczuła się mała i bezbronna.

Gdy zbliżyli się do wąskiego fiordu, lód stał się wyraźnie cieńszy: widziała, gdzie ustępował rzece, która wpływała do morza.

--Max, lód jest bardzo cienki.

--Nie bój się, wszystko jest w porządku. Sanie skręciły w jeden z wąwozów.

Górujące po obu stronach skały były tak blisko, że dźwięk niósł się w zimnym powietrzu echem, jakby znaleźli się w katedrze. Prócz odgłosu biegnących psów i skrzypienia płóz na lodzie panowała cisza. Isabella zobaczyła samotnego orla szybującego wysoko na niebie; zdawało się, że tego zamarzniętego świata nie zamieszkuje żadna inna żywa istota.

Obejrzała się za siebie, ale nie widziała już ani Walhalli, ani nawet jeziora. Wąwóz wił się i zakręcał, więc ze wszystkich stron otaczały ją teraz oblodzone skały. Docierało tu mniej słońca i było zimniej niż na jeziorze.

--Max, co takiego chcesz mi pokazać?

Max poklepał Steina po ramieniu i wskazał śnieżną wysepkę i głąz pod skalną przewieszką wysoko w górze. Psy pociągnęły sanie na ląd. Kiedy się zatrzymali, Isabella poczuła ulgę, że wrócili na pewny grunt.

Ulgą wyparowała, gdy Stein odwrócił się i utkwił w niej wzrok. Miał sadystyczny błysk w oczach, a w prawej dłoni trzymał zakrzywiony nóż.

--Ja to zrobię -- powiedział.

--Max, co się, do cholery, dzieje? -- zdołała wykrztusić przez ściśnięte gardło.

--Ja to zrobię -- powtórzył Stein. -- Będzie jak za dawnych lat. Pamiętasz Hawaje? -- Popukał palcem w przepaskę na oku i uśmiechnął się szeroko. -- Byleś jeszcze szczeniakiem, kiedy mi to zrobiłeś. Tej samej nocy utopiłem twoją matkę. Jeśli nie czujesz się na siłach, z przyjemnością cię wyręcę.

--Odlóż nóż -- powiedział Max i wyciągnął spod płaszcza pistolet z tłumikiem przykręconym do lufy. Spojrzenie miał zimne i twarde jak otaczające ich skały.

--Kulka jest za szybka -- odparł Stein. -- Pozwól, że załatwię ją nożem.

Max wciąż patrzył jej w oczy.

--Wiem, że włamałaś się do komputera Joachima.

Lewe kolano Isabelli drgało tak samo jak w Antibes, gdy się spotkali.

--Powiedz mi jedno -- poprosiła, przeklinając w duchu drżenie swego głosu. Przypomniał jej się ostatni sen. -- Czy zabiłeś mojego ojca?

--Nie. Usiłowałem go wtedy uratować. Zabił go mój ojciec. -- Uniósł pistolet. -- Nie oczekuję, że mi uwierzysz, ale jest mi z tego powodu naprawdę przykro. Żałuję, że nie dało się tego uniknąć.

Chciała patrzeć mu w twarz, gdy ją zabije, ale nie była w stanie. Wstrzymała oddech, zamknęła oczy i czekała. Wystrzał okazał się niewiele głośniejszy od metalicznego splunięcia,

które ledwie drasnęło mroźną ciszę. Skuliła się i otworzyła oczy. Zobaczyła, jak Stein osuwa się na ziemię z czerwoną dziurą w czole. Pocisk przeciął sznurek przepaski, odsłaniając pusty oczodół.

Odwróciła się do Maksa, nie pojmując, co się stało. Odłożył pistolet.

--Podaj mi rękę, Isabella -- powiedział. -- Mamy dużo do zrobienia.

Max patrzył na Isabellę, zdumiony, że tak wiele jest w stanie czuć do innej osoby. Serce bolało go, jakby pękło. Ból był tak silny, iż niemal żałował, że preparat Joachima nie zadziałał i że nie jest teraz zakochany w Dephine Chevalier. Nie potrafił pojąć, dlaczego terapia na niego nie podziałała.

Odłożył pistolet i zbliżył się do Isabelli, ale ona cofnęła się. Zabolało go, gdy zobaczył nieufność w jej oczach. Zabił dla niej i gotów był dla niej umrzeć, ale zasługiwał na jej strach, a nawet nienawiść. Pocieszał się tylko tym, że dzięki złu, które w sobie nosił, mógł ją teraz obronić.

Isabella wpatrywała się w martwego Steina.

--Nie rozumiem -- wymamrotała. -- Co się, do cholery, dzieje?

--Ze mną jesteś bezpieczna, Isabello. Potem wszystko ci wytłumaczę, ale na razie musisz mi zaufać.

--Zaufać ci? Po wszystkim, co zrobiłeś? Po Antibes? Po kłamstwach? Po zabójstwie mojego ojca?

Rzuciła się do przodu i zaczęła okładać go pięściami. Stał bez ruchu, przyjmując spadające razy. Kiedy jej gniew się wyczerpał, wziął ją w ramiona.

--Nienawidzę cię, nienawidzę -- syknęła.

--Wiem... i nie mam ci tego za złe. Aleja cię kocham. Kocham cię od pierwszej chwili, gdy cię ujrzałem. Jeszcze zanim wstrzyknąłem sobie preparat. -- Spojrzał jej w twarz i zobaczył, jak gromi go wzrokiem. Wiedział, że nie ma szans na zdobycie jej miłości, lecz wciąż mógł naprawić swoje błędy. -- To, co do mnie czujesz, nie ma znaczenia, Isabello. Liczy się tylko to, żebyśmy powstrzymali projekt Ilium i uratowali pozostałych.

--Dlaczego miałabym ci zaufać?

--Ponieważ cię nie zabiłem. I ponieważ masz tylko mnie. Milczała chwilę.

--To co zrobimy? -- spytała wreszcie.

Max podniósł nóż ze śniegu obok zwłok Steina i dotknął klingi. Była ostra jak brzytwa.

--Po pierwsze, podwiń rękaw.

W jej oczach znów pojawił się strach.

--Dlaczego?

--Bo przecież musisz umrzeć.

Godzinę później

Helmut Kappel siedział w lodowej kaplicy z młodszym synem i nie myślał już o Isabelli.

--Podanie preparatu Wenus jest proste, *Vati* -- powiedział Joachim, trzymając fiolkę w jednej dłoni, a drugą ręką stukając w klawisze laptopa. -- Do jutra rana goście będą zakażeni.

Helmut oparł plecy o futrzane siedzenie i patrzył, jak dym z cygara wije się na tle tęczyowych promieni słońca, które rozszczepiały się pod lodowym sklepieniem niczym w pryzmacie.

--Rozumiem, jak powinno się podać preparat -- rzekł. -- Ale wyjaśnij mi dokładniej, jak działa.

Joachim obrócił ekran w stronę ojca.

--Połączyłem dwa wypróbowane elementy. Wiem, że geny MIN Czterdzieści Dwa

wywołują obsesyjne oddanie wobec człowieka, którego rysy twarzy są zakodowane w doklejonej sekwencji, a jednocześnie tłumią wszystkie inne rodzaje miłości. Wiem też, jak wektor Domino dostarczy je do komórek, bo sam go opracowałem. Będzie działać. Jedyne problem to czas.

--Czas?

--Ponieważ jednym z komponentów wektora jest żywotny wirus grypy, musiałem wprowadzić pewne zabezpieczenia, dzięki którym mogę liczyć na dopuszczenie go na rynek

w Europie i Stanach Zjednoczonych. Jak pewnie pamiętasz, wektor Domino został opracowany z myślą o terapii, która sama rozprzestrzeniałaby się wśród chorych, zwłaszcza

chorych na AIDS. Działanie wektora obejmuje dwa stadia. W pierwszym podaje się pacjentowi preparat doustnie, a gdy wirus trafia do krwiobiegu, atakuje określone komórki.

Jeśli wykryje pewien chemiczny sygnał -- w wypadku AIDS jest to obecność HIV -- podlega

mutacji. Wtedy aktywizuje się komponent grypy, który powoduje łagodne podrażnienie dróg

oddechowych. Wektor Domino i jego zawartość terapeutyczna leczą pacjenta z AIDS i rozprzestrzeniają się poprzez kaszel, trafiając do następnych chorych, u których proces zaczyna się na nowo. Jeśli jednak w ciągu czterdziestu ośmiu godzin wektor niczego u pacjenta nie wykryje, to obumiera i opuszcza organizm. Zabezpieczenie to gwarantuje, że wirus będzie się mnożył i rozprzestrzeniał tylko wtedy, gdy może kogoś wyleczyć.

--Co to oznacza w przypadku Wenus?

--Wektor Domino dostarcza tu geny MIN Czterdzieści Dwa, a nie lek na AIDS, ale zasada jest ta sama. Tyle że czynnikiem aktywizującym nie jest HIV, lecz rozpoznanie twarzy. Goście przyjmą doustnie preparat z informacją genetyczną o twojej twarzy i nazajutrz rano obudzą się przeprogramowani. Potem, jeśli w ciągu czterdziestu ośmiu godzin zobaczą twoją twarz na żywo albo na fotografii, wektor Domino wejdzie w drugie stadium i zacznie się rozprzestrzeniać drogą powietrzną, a efekty terapii się utrwalą.

--A jeśli mnie nie zobaczą w ciągu tego czasu?

--Wirus opuści ich organizmy, a chemia mózgu powróci do poprzedniego stanu. Ale to nie ma prawa się zdarzyć, *Vati*. Jutro bierzesz ślub. Będziesz w centrum zainteresowania. Wszyscy zobaczą twoją twarz i wszystko pójdzie, jak trzeba. Tak jak prosiłeś, opracowałem przenoszony drogą powietrzną wirus miłości identycznej z naturalną, od którego nie ma ucieczki i który nie poddaje się leczeniu.

Mimo mrozu w kaplicy Helmuta ogrzewało ciepło bliskiej spełnienia wizji.

--Doskonale, Joachimie. Syn uśmiechnął się z dumą.

--Ale to jeszcze nie wszystko, *Vati*. Najlepsze, że...

Helmut usłyszał głosy przed drzwiami do kaplicy. Dwaj strażnicy zostali poinstruowani, żeby nikogo nie wpuszczać. Nawet Klausa i Maksa.

--Schowaj to wszystko, Joachimie.

Gdy Joachim wsunął fiolkę do kieszeni i zamknął laptop, drzwi otworzyły się i do kaplicy

wszedł Max ze skórzaną torbą w dłoni. Strażnik wbiegł za nim, protestując, ale Helmut podniósł dłoń na znak, że wszystko w porządku.

Max poczekał, aż strażnik wyjdzie, a potem postawił torbę na podłodze. Jego twarz była pozbawiona wyrazu.

--Co to takiego? -- spytał ojciec.

Max sięgnął po laptop. Joachim chciał go powstrzymać, lecz Helmut pokręcił głową. Max włączył komputer i poczekał, aż na ekranie pojawiło się okno logowania. Potem otworzył torbę.

--Obawiałeś się, że oddałem serce Isabelli i cię zdradziłem. Ale to niemożliwe. Jestem Kappelem i nie mam serca. -- Sięgnął po zamykaną hermetycznie plastikową torbę i otworzył ją, ukazując następną torebkę, która zawierała coś, co wyglądało jak kawał mięsa. Obie torebki były mokre od krwi. -- Isabella Bacci miała serce -- oznajmił i przechylił torebkę tak, że kropla krwi skapnęła na ekran czytnika DNA w laptopie. Po kilku sekundach na ekranie pojawiła się twarz Isabelli i napis: „Odmowa dostępu”. Max pokazał krwistą masę Helmutowi.

--Powiedziałem, że udowodnię ci swoją lojalność, *Vater*. -- Ojciec wzdrygnął się, a brat zwymiotował. -- Isabella miała duże serce. -- Max podsunął torebkę Helmutowi pod nos. -- Dalej! Dotknij go! Powąchaj! Posmakuj! Powiedziałeś mi, że prawdziwy Kappel niczego nie czuje, nie ma sumienia i nie okazuje bólu. Czy ten dowód wystarcza, żebyś uznał mnie za prawdziwego, lojalnego Kappela?

Helmut osłupiał. Wiele lat temu zabił kobietę, którą kochał -- a przynajmniej tak mu się wtedy wydawało -- ponieważ zagroziła rodzinie. Teraz ich syn przewyższył go brutalnością.

--Teraz mi ufasz, *Vater*? -- pytał Max. -- Jesteś ze mnie dumny? Pomimo szoku Helmut poczuł satysfakcję. Zmazał z syna wszelkie ślady wpływu pierwszej żony i ulepił go na swoje podobieństwo.

--Tak -- wyszeptał -- jestem z ciebie dumny.

--To dobrze -- powiedział Max.

Zamknął plastikowe torebki, włożył do skórzanej torby i wyszedł z kaplicy.

Max trząsł się, kiedy wyszedł z kaplicy, ale nie czuł zimna. Ruszył prosto do budynku kotłowni. W środku były dwa pomieszczenia. W pierwszym składowano stalowe liny i łańcuchy, flary, beczki z paliwem i zimowe zapasy na czarną godzinę. W drugim znajdował się awaryjny agregat i dwa żeliwne piece -- jeden na olej i drugi, pomocniczy, na paliwo stałe. Oba pracowały. Max podszedł do drugiego, otworzył klapkę i wrzucił do środka skórzaną torbę.

Na dworze zobaczył dwóch z pięciu byłych agentów Stasi, których ojciec sprowadził do Walhalli jako ochronę. Zawsze przyjmował ich obecność za oczywistą, lecz teraz dostrzegł w nich zagrożenie. Pozdrowili go i spytali:

--Herr Kappel, czy widział pan Herr Steina?

Mógł im opowiedzieć skomplikowaną kłamliwą historyjkę, lecz z doświadczenia wiedział, że prawda jest zawsze najbardziej wiarygodna.

--Nie widziałem go od powrotu.

Minął główne drzwi i po skrzypiącym śniegu wszedł na schody, które prowadziły na letni taras na pierwszym piętrze kryształowego pałacu. Jeśli nie liczyć dwóch świeżych par śladów -- jednych dużych i drugich mniejszych -- śnieg okrywający stopnie był nienaruszony. Kiedy dotarł na taras, zbliżył się do pierwszej pary rozsuwanych szklanych drzwi. Odblaskowe szkło uniemożliwiało zajrzenie do środka. Max zdjął rękawiczkę, nachuchał na dłoń i przyłożył ją do czytnika DNA. Po paru chwilach jego twarz ukazała się na ekranie i drzwi się rozsunęły.

Wszedł na wycieraczkę, a gdy drzwi się za nim zamknęły, rozejrzał się po salonie. Zdjął buty, przemierzył sypialnię i otworzył łazienkę. Isabella pochylała się nad wanną zajęta opatrywaniem nacięcia na lewym ramieniu. Obróciła się gwałtownie, ale jej strach minął, gdy zobaczyła, że to on. Była blada jak wtedy, gdy zmusił się do wycięcia Steinowi serca. Każda komórka jego ciała opierała się wykonaniu makabrycznej operacji, ale sztuczka okazała się skuteczna: teraz żaden Kappel nie mógł wątpić w jego lojalność, a co ważniejsze, zyskał dla siebie i Isabelli trochę czasu.

--Na razie jesteś bezpieczna -- powiedział łagodnym tonem. -- Myślą, że nie żyjesz.

Zaprowadził ją do salonu, nalał dwie szklanki whisky i podał jej jedną. Wychyliła ją do dna i zakasłała. Ponownie napełnił jej szklankę. Tym razem wzięła ją w obie dłonie i piła małymi łykami.

--Co wiesz o Ilium? -- zapytał.

Wyjęła z kieszeni żakietu przenośny twardy dysk.

--Niewiele. Dokumenty są po niemiecku.

--W takim razie -- rzekł -- powiem ci, co ja wiem.

Max opowiedział jej wszystko, niczego nie ukrywając. Opowiedział o tym, że gdy był dzieckiem, matka wywiozła go z Zurychu, dała amerykański paszport i nową tożsamość. I o tym, jak ojciec znalazł ich na Hawajach i zabił matkę. Wy tłumaczył, na czym polegają rodzinne interesy Kappelów i że jest ich dziedzicem. Opowiedział, jak mordował, żeby

pomóc klientom i bankowi. Opowiedział o tym, jak Trapani polecił Kappel Privatbank i Comvec jej ojcu. Omówił wydarzenia, które miały miejsce w noc zabójstwa Bacciego. Wreszcie opowiedział o projekcie Ilium, wyjaśniając, że po ceremonii ślubnej -- przy założeniu, że klienci wniosą wymagane opłaty -- każdej z drухen zostanie wstrzyknięta permanentna wersja MIN zmodyfikowana tak, aby je uśmiercić w ciągu sześciu miesięcy.

--Więc wszystkie otrzymałyśmy nieszkodliwą tymczasową wersję preparatu? -- zapytała Isabella.

--Tak. Zabójcza wersja permanentna zostanie wstrzyknięta dopiero jutro przy wyjeździe.

--Jesteś pewien, że wszystkim nam wstrzyknięto wersję tymczasową? Mnie też?

--Joachim i Stein zrobili wam zastrzyki podczas podróży. -- Wtedy do niego dotarło. -- Nie podziałała na ciebie, prawda? Nie czujesz nic do Hudsuckera.

--Nie.

--A trwała wersja nie podziałała na mnie. Ale w Antibes terapia poskutkowała. Więc dlaczego nie tym razem?

Coś błysnęło w jej oczach, lecz potrząsnęła głową, jakby chciała się pozbyć jakiejś myśli.

--O co chodzi? -- spytał.

Napila się whisky.

--O nic.

Wyglądała tak bezbronne i samotnie, że chciał ją pocieszyć.

--Nie zamierzam stać z założonymi rękami i patrzeć, jak moja rodzina cię zabija.

Próbowałem cię ostrzec wieczorem na dzień przed odlotem, ale ojciec wstrzyknął mi środek usypiający. Widziałem, jak wychodzisz z mieszkania, kiedy traciłem przytomność. -- Znów przeżywałem w myślach ten moment. -- Czulem się kompletnie bezradny. Byłem przekonany, że kiedy się obudzę, zapomnę, że cię kochałem. Ale tak się nie stało.

Isabella milczała chwilę. Potem wstała i wskazała twardego dysku.

--Masz laptop?

Skinął na biurko w kącie. Podeszła tam i podłączyła dysk do komputera.

--Jesteś pewien, że mamy czas do jutra, żeby udaremnić plan Ilium?

Max spojrzał na zegarek.

--Tak. Ojciec i stryj powinni teraz negocjować z klientami wysokość zapłaty. Zabójcza dawka wirusa ma zostać podana drużynom jutro przed wyjazdem z Walhalli. Ale nie dopuszczę do tego.

Włączyła komputer i otworzyła katalog.

--Rozumiem, na czym polega Ilium, ale wciąż nic nie wiem o projekcie Wenus.

--O czym?

Wskazała palcem na katalog o nazwie „Ilium/Wenus”.

--Nigdy o nim nie słyszałeś?

--Nie.

Kliknęła dwa razy na katalog, otwierając dwa podkatalogi, a potem przeniosła kursor na „Wenus”.

--Mieści się w tym samym katalogu co Ilium, więc przypuszczam, że to coś w rodzaju siostrzanego projektu. Może dotyczy antidotum.

Otworzyła katalog i ukazała się lista plików. Kliknęła dwa razy na pierwszy z nich.

Był to niemiecki dokument tekstowy zawierający streszczenie całego projektu. Max przeczytał pierwszy akapit i aż zapało mu dech. Sięgnął po myszkę. Projektu Helmuta Kappela nie można było nazwać antidotum -- chyba że miało się bardzo mroczne poczucie humoru. Przewijając tekst na ekranie, był oburzony arogancją ojca. Ale jednocześnie wszystko nabrało sensu.

--Cholera -- mruknał.

--Co? -- zapytała. -- Mów.

Dwie godziny później

Chcieliście się ze mną zobaczyć. -- Feliks Łysenko był trzecim z klientów wezwanych do małej salki konferencyjnej przy głównym holu. Teraz, gdy Isabella nie żyła, będą musieli poczekać z wydobyciem zapłaty od Hudsuckera, lecz Helmut Kappel był zadowolony. Giscard Corbasson i Christophe Nadolny zgodzili się na postawione warunki i nie miał powodu przypuszczać, że Rosjanin nie zachowa się podobnie. Helmut nigdy dotąd nie czuł się tak potężny.

Bal maskowy miał się rozpocząć dopiero za parę godzin, ale Łysenko ubrał się już w doskonale skrojony smoking i trzymał w ręku ozdobną maskę. Zerknął na Klause Kappela, który siedział w kącie wpatrzony w ekran laptopa.

--Gdzie wasze maski? -- spytał, podekscytowany jak dziecko w Halloween.

--Zalozymy je, kiedy zacznie się bal -- odparł Helmut.

Łysenko pogroził mu palcem.

--Czy to spotkanie w interesach? Wstydz się! Jutro się żenisz.

--Usiądź, Feliksie. Dobrze się u nas bawisz?

Łysenko usiadł i wykrzywił twarz w szerokim uśmiechu.

--Nigdy w życiu nie bawilem się lepiej. Towarzystwo jest wprost wymarzone.

Helmut też się uśmiechnął.

--Katriryń Walker jest rzeczywiście wspaniała -- rzekł. -- A zakochać się w pięknej młodej kobiecie, która odwzajemnia tę namiętność! Wierz mi, wiem, jakie to uczucie.

Łysenko wyszczerzył radośnie zęby i Helmut musiał się odwrócić, żeby nie okazać pogardy. Zdumiewało go, jak szybko alchemia miłości zmieniła Rosjanina w bezmyślnego wyrostka.

--Ale akurat ty, Feliksie, na pewno rozumiesz, że wszystko ma swoją cenę. Odkąd zaprosiłem cię na ślub, nie mogłeś się powstrzymać od rozmyślenia o Kathryn. Nie zaprzeczaj, przyjacielu: przeżywałeś swego rodzaju piekło. Potem przyjechałeś tutaj, poznałeś obiekt swych westchnień i teraz jesteś w niebie. Czy mam rację?

Łysenko nie odpowiedział.

--Byłoby nie do pomyślenia wrócić teraz do piekła, prawda? Wiem, że cierpiałbym katusze, gdyby Phoebe przestała mnie pragnąć.

Rosjanin zmarszczył brwi.

--Pozwól, że będę z tobą szczery, Feliksie. Chociaż zamierzasz wycofać fundusze z Kappel Privatbank, wciąż jesteśmy wobec ciebie lojalni. Nadal chcemy służyć ci jako swojemu klientowi. Niczego nie pragniemy bardziej, niż żebyś wyjechał stąd ze swoją nową miłością i żebyście żyli w szczęściu i pomyślności aż do śmierci. -- Zrobił pauzę. -- Ale jest pewien problem.

--O czym ty mówisz?

--O tym, że miłość Katriryń Walker jutro wygaśnie. Kiedy stąd odjedziesz, dwa cudowne dni, które z nią spędziłeś, będą tylko wspomnieniem, które będzie cię prześladować przez resztę życia. Jeśli jednak zgodzisz się na pewne warunki, możemy ci zagwarantować jej dozoną miłość.

Pierwsza reakcja Łysenki była taka sama jak Francuza i Szwajcara. Wpadł w furję.

--Za kogo ty się, kurwa, uważasz? Jak śmiesz? Zniszczę cię.

Ruszył do drzwi.

--Nie bądź głupi, Feliksie. Spójrz na fakty. Twoja namiętność do Kathryn wybuchła, gdy przysłaliśmy ci zaproszenie na ślub. Kiedy cię jej przedstawiłem, natychmiast zapalała do ciebie szaleńczą miłością. Dlaczego? Nie potrzebuje twoich pieniędzy. Nie dorównujesz jej pozycją towarzyską. I z całą pewnością nie chodzi jej o twój młodzieńczy wygląd.

Twarz Łysenki była czerwona ze złości. Ale zatrzymał się przed drzwiami.

Helmuta po raz kolejny zdumiała potęga miłości, która potrafi zmienić nawet najbardziej bezwzględnego i trzeźwo myślącego mężczyznę w podatnego na manipulację durnia.

--Nie obrażaj się, Feliksie. Spójrz na Phoebe i na mnie. Jak, twoim zdaniem, udało mi się ją zdobyć? Nie mam złudzeń, że wyszłaby za mnie bez odrobiny pomocy. Ale marzenia mają swoją cenę. Na szczęście pieniędzy ci nie brakuje.

Łysenko położył dłoń na klamce. Lecz jego stopy ani drgnęły.

--Ile? -- spytał w końcu.

--Cóż, właśnie tu jest pies pogrzebany. Osoba trzecia także wyraziła swoje zainteresowanie. Kathryn Walker jest bardzo dobrą partią. Ale chcemy, żebyś to ty ją dostał. Jesteś naszym klientem od długiego czasu i mamy nadzieję, że zostaniesz z nami jeszcze dłużej.

--Ile? -- powtórzył Łysenko.

--A ile jest dla ciebie warta?

--Milion?

Helmut parsknął śmiechem i zwrócił się do Klausa.

--Na ile stać naszego dobrego przyjaciela?

--Na co najmniej tysiąc razy tyle.

--Więc taka jest stawka, Feliksie. Jeśli pragniesz zagwarantować sobie miłość Kathryn Walker do końca życia, przelejesz miliard euro na rachunek depozytowy. Dopilnujemy odpowiedniego rozkładu wpłaty, żeby sprawa nie rzucała się w oczy.

--Miliard? To absurd. Praktycznie bym zbankrutował.

--Masz godzinę na podjęcie decyzji. Potem cena będzie rosła o sto milionów euro na godzinę. Kiedy jutro stąd odjedziesz, oferta przestanie obowiązywać. Jeśli możesz żyć bez Kathryn, moja cena jest wygórowana. Jeśli jednak naprawdę ją kochasz, to będzie najlepszy interes twojego życia. Po co szukać prawdziwej miłości, skoro można ją kupić? Trudno o inwestycję lepszą od inwestycji we własne szczęście.

Helmut zapalił papierosa.

--Masz godzinę -- powtórzył. -- Kiedy podejmiesz decyzję, skontaktuj się z Klausem, a on wszystko zorganizuje. -- Wstał i wyciągnął rękę do Rosjanina. -- Milej zabawy, Feliksie. Ciesz się towarzystwem Kathryn, póki możesz. I nie gniewaj się na nas. Po prostu oferujemy ci prawdziwą miłość, której do tej pory pieniądze nie zdołały ci zapewnić.

Po odejściu Łysenki do pokoju wszedł Joachim. Niósł tacę z czterema uformowanymi z lodu kieliszkami. Na każdym znajdowały się podobizny Helmuta i Phoebe.

--Dziękuję, Joachimie.

--Podobają mi się te kieliszki -- powiedział Klaus, sięgając po jeden z nich.

Helmut uśmiechnął się.

--Zostały zaprojektowane specjalnie do toastu dziś wieczorem. Pomyślałem, że wypróbujemy je, aby uczcić sukces projektu Ilium.

--Gdzie Max? -- spytał Klaus.

Helmut znów się uśmiechnął.

--Nie widziałem go, odkąd zgłosił się do mnie ze sprawozdaniem ze swojej wycieczki z Isabellą Bacci. Pewnie odpoczywa po pracowitym przedpołudniu.

--Isabellą Bacci nie stanowi już problemu? -- zapytał Klaus.

--Myślę, że została wyeliminowana z równania -- odparł Helmut i uniósł kieliszek. -- Za potęgę miłości.

--Za miłość -- powtórzyli pozostali i spełnili toast.

Isabellą wpatrywała się w ekran i robiła notatki, popijając szkocką. Nie lubiła whisky, ale teraz, gdy usiłowała ogarnąć szaleństwo projektu Wenus, ognisty smak koił nadszarpnięte nerwy i pozwalał się uspokoić. Od dwóch godzin siedzieli z Maksem przy laptopie i tłumaczyli notatki Joachima. Starła się ignorować intensywność sprzecznych uczuć, jakie budził w niej Max. Wciąż nie potrafiła rozstrzygnąć, czy jest jej prześladowcą czy wybawicielem. Uwierzyła mu, kiedy powiedział, że próbował ocalić jej ojca, lecz wątpiła, czy kiedykolwiek zdoła mu wybaczyć rolę, jaką odegrał, realizując plan Ilium.

Jej zmieszanie potęgował fakt, że tym razem terapia nie podziałała ani na jego, ani na nią. Przy założeniu, że preparat podano właściwie, istniało tylko jedno wytłumaczenie sytuacji: zerowy efekt substytucyjny, o którym przeczytała w zapiskach ojca. Ale nie chciała o tym myśleć. W każdym razie jeszcze nie teraz.

Skupiła się na tym, czego dowiedziała się o Wenus i co może zrobić, by nie dopuścić do katastrofy.

--Powiedz mi, co do tej pory mamy -- poprosił Max.

Wyglądał na zmęczonego, ona też była wykończona.

Zajrzała do notatek.

--Wenus to wcześniejsza wersja MIN połączona z wektorem Comvecu. Twój brat wybrał jeden z prototypów mojego ojca i umieścił geny w swoim wektorze Domino.

--Nigdy nie udałoby mu się uzyskać zgody na wprowadzenie wektora Domino na rynek.

--Pewnie właśnie dlatego twój ojciec postanowił go wykorzystać. Praktycznie nie można zapanować nad jego rozprzestrzenianiem.

--Ale dlaczego użył wcześniejszego prototypu MIN?

--Ponieważ MIN Czterdzieści Dwa jest obojętny na różnice płciowe.

--Co?

--Nie wpływa na chemię podniecenia seksualnego. Powiedzmy, że dokleiłabym do Wenus informację genetyczną o mojej twarzy i wstrzyknęła preparat heteroseksualnej kobiecie albo homoseksualnemu mężczyźnie. Nie chcieliby uprawiać ze mną seksu, ale i tak by mnie wielbili. Co więcej, wszelka miłość, jaką odczuwaliby wobec kogokolwiek innego: dzieci, przyjaciół, rodziny, została by stłumiona przez uczucie, jakie żywiliby do mnie. Ta wersja jest znacznie silniejsza od MIN Sześćdziesiąt Dziewięć czy Siedemdziesiąt Dwa. Właśnie po eksperymencie z nią mój ojciec o mało nie zarzucił całego przedsięwzięcia. W swoich zapiskach określił ją jako „przeciwnieństwo miłości”.

Przypomniała sobie, jak siedziała u ojca na strychu, czytając jego listy do zmarłej żony.

--Każdy, komu podano by preparat, darzyłby mnie czcią i uwielbieniem. Czułby nieustanny przymus patrzenia na moją twarz albo jej podobiznę. Gdyby nie miał takiej możliwości, odczuwałby nieznośny niepokój. Stałabym się centrum jego egzystencji, czymś w rodzaju bóstwa. Ale to nie wszystko. Wykorzystując wektor Domino, Joachim nadał preparatowi nowy wymiar. Załóżmy, że pacjent, a właściwie ofiara, jest kobietą. Podobnie jak przy MIN Sześćdziesiąt Dziewięć i Siedemdziesiąt Dwa jej mózg zostaje przeprogramowany podczas snu i miłość budzi się, gdy następnym razem zobaczy twarz zakodowaną w genach. Ale po przyjęciu Wenus sytuacja jest inna.

--Mianowicie?

--Po pierwsze, jak powiedziałam, różnice płciowe stają się nieistotne, a po drugie, preparat ma postać płynną i przyjmuje się go doustnie, a nie za pomocą zastrzyku. Po trzecie, gdy tylko ofiara zobaczy zakodowaną twarz, w jej organizmie aktywizuje się podobny do grypy komponent wektora Domino i staje się nieświadomym rozносителеm wirusa, który może się rozprzestrzeniać drogą kropelkową, dzięki czemu cykl się powtarza.

--A preparat zawiera kod genetyczny twarzy mojego ojca -- powiedział Max.

--Oczywiście.

Wiedział, że ojciec zawsze miał obsesję na punkcie obowiązku i przeznaczenia, a to było spełnieniem jego największej fantazji. Wirus uwolniłby świat od wszystkich konfliktowych, wprowadzających zamieszanie aspektów miłości, zastępując ją tylko jednym prostym uczuciem: powszechnym uwielbieniem dla niego. Helmut zapewne był przeświadczony, że oddaje światu wielką przysługę, oczyszczając go z miłości. W swoim mniemaniu pomagał ludziom odnaleźć nowe poczucie celu i obowiązku. Stałby się najwyższym patriarchą, a ludzkość byłaby oddaną mu i posłuszną rodziną.

Max wstał i zaczął krążyć po pokoju.

--Teraz rozumiem, dlaczego zależało mu na tym cyrku ze ślubem. To doskonale współgra z jego planem. Gdy goście są tutaj, w kontrolowanym środowisku, może ich obserwować i wybrać odpowiedni moment. Musi mieć wielką frajdę.

--Według notatek Joachima plan przewiduje podanie preparatu właśnie dzisiaj, żeby wirus mógł się jutro uaktywnić.

--Max jęknął.

--Jutro oczy wszystkich będą zwrócone na młodą parę w lodowej kaplicy. Gdy tylko zobaczą ojca, poczują uwielbienie, a kiedy wrócą do domów, pozarazają wszystkich, z którymi będą mieli styczność. Z powodu globalnej gorączki medialnej, jaka nastąpi po ślubie, twarz ojca będzie praktycznie wszędzie. -- Ledwo obejmował ogrom szalonej ambicji Helmuta.

--Stanie się ważniejszy od Chrystusa -- powiedziała Isabella. -- W ciągu kilku dni wektor Domino rozprzestrzeni geny MIN Czterdzieści Dwa po całym świecie. Badania wykazują, że przy współczesnych środkach komunikacji wirus podobny do grypy może obieć kulę ziemską w niecały tydzień. Po kilku dniach większość ludzi będzie obsesyjnie wielbiła twojego ojca, a miłość do kogokolwiek innego zaniknie.

Plan Ilium miał zabezpieczyć finansową przyszłość rodzinnego banku i ukarać nielojalnych klientów -- ale był zaledwie przygrywką: tylko odwracał uwagę od głównego wydarzenia.

--Czy Klaus i Joachim też biorą w tym udział? -- zastanawiał się. -- Joachim na pewno.

--Po ślubie nie będzie miało znaczenia, kto brał w tym udział. Kiedy zostaniesz zarażony, też będziesz czcił swojego ojca. Ale czemu uważasz, że twój brat mu pomaga?

Max wyobrażał sobie, co się stało. Od pierwszego spotkania, kiedy Bacci opowiedział o katastrofalnym eksperymencie z MIN 042, w umyśle ojca musiała zakiełkować szatańska myśl. Prawdopodobnie szybko wpadł na pomysł, żeby połączyć terapię Bacciego z wektorem Domino. Zaczął więc schlebiać Joachimowi, aby ten przygotował permanentną wersję MIN 042 z informacją genetyczną jego twarzy. A zachwycony Joachim spełnił prośbę, nie podejrzewając, że ojciec zaaplikuje preparat właśnie jemu. Kiedy Joachim znalazł się już w sidłach, Helmut bez kłopotu przekonał go do połączenia MIN 042 z wektorem Domino. Na ironię zakrawał fakt, że Joachim zawsze uwielbiał ojca i prawdopodobnie i tak spełniłby jego prośbę. Nie miał jednak

szansy się wykazać.

--To jeszcze nie wszystko, Max -- powiedziała Isabella. -- Wektor Domino nadaje projektowi Wenus aspekt, który na pewno wprawia twojego ojca w zachwyty.

--Tak?

--Po pierwsze, musisz pamiętać, że kluczowa różnica między tymczasową wersją Sześćdziesiąt Dziewięć a trwałą wersją Siedemdziesiąt Dwa standardowej terapii MIN dotyczy tego, jaki typ komórek zostaje zmutowany. Terapia Sześćdziesiąt Dziewięć wykorzystuje wektor atakujący komórki somatyczne, których życie jest ograniczone. Gdy te komórki obumierają, skutki terapii umierają wraz z nimi. W przypadku MIN Sześćdziesiąt Dziewięć trwa to około czterdziestu ośmiu godzin. Wektor użyty przy MIN Siedemdziesiąt Dwa atakuje nie tylko komórki somatyczne, lecz także macierzyste, które nie zmieniają się przez całe życie organizmu. Skutki wersji Siedemdziesiąt Dwa utrzymują się aż do śmierci. -- Wzięła łyk whisky. -- Jednak Wenus wkracza na zupełnie nowy poziom.

Max domyślał się, co to oznacza.

--Mów dalej.

--Wektor Domino atakuje nie tylko komórki somatyczne i macierzyste, ale też komórki płciowe odpowiedzialne za reprodukcję. Został zaprojektowany tak, aby przekazywać leczniczą sekwencję genów nie tylko od pacjenta do pacjenta, ale również z pokolenia na pokolenie. W drugiej fazie inkubacji wektor Domino dostarcza porcję swoich genów do jąder męczyzny albo kobiecych jajników. Działanie Wenus jest nie tylko trwałe, ale i wieczne. Twój ojciec namówił Joachima do opracowania wirusa, dzięki któremu ludzkość będzie go wielbiła do końca świata. Nawet po jego śmierci ludzie wciąż będą czcić zarówno jego, jak i jego potomków.

Max pomyślał o mauzoleum, w którym miały stanąć zakonserwowane zwłoki, i zbladł, gdy pojął ogrom zuchwałości ojca.

--Muszę go powstrzymać -- powiedział. -- Muszę powstrzymać ich wszystkich.

--A jeśli już wypuścili Wenus? Mogli dolać preparat do mleka przy śniadaniu. -- Sięgnęła po butelkę wody mineralnej na stoliku. -- Obsługa codziennie przynosi po jednej z nich do każdego pokoju. Wystarczy zaledwie kilka zarażonych osób, żeby wirus się rozprzestrzenił.

--W takim razie muszę się dowiedzieć, czy już go podali. Jeśli nie, zrobię wszystko, żeby ich powstrzymać. Jeśli tak... -- z przerażenia pociemniało mu w oczach -- nie mogę dopuścić, żeby ktokolwiek opuścił tę wyspę.

Isabella współczuła Maksowi. Przyjmował pełną odpowiedzialność za to, co zrobił Helmut Kappel, jakby grzechy ojca były jego własnymi. Wszystko, co było w nim dobre, przypisywał matce, a całe zło ojcu. Po śmierci matki, o którą się obwiniał, pozwolił, żeby system wartości ojca zdominował jego życie. Teraz z jakiegoś powodu zwrócił się przeciwko rodzinie i wszystkiemu, co go do tej pory określało. Był sam, tak jak ona.

--Nawet gdybyś zabił ojca, nie powstrzymasz skutków epidemii. Świat będzie czcił jego obraz. Wenus uczyni go nieśmiertelnym. Musimy powstrzymać samą chorobę.

--Ale jak? Istnieje jakieś antidotum?

--Nie. -- Przejrzała notatki. Nawet zerowy efekt substytucyjny odnosił się tylko do późniejszych wersji genowej terapii opracowanej przez ojca. Wtedy wpadła na pewien pomysł. -- Jest środek, który mógłby zadziałać -- powiedziała. -- Według dokumentacji Joachima

wektor Domino ma pewną słabość.

Opowiedziała Maksowi o tabletkach, które przywiozła z Mediolanu i bezskutecznie próbowała podać Phoebe. Gdy wyjaśniała swój plan, oczy rozbłysły mu radośnie.

--Problem w tym -- zakończyła -- jak potajemnie podać wszystkim tabletki.

--To proste -- odparł. -- Nie zrobimy tego potajemnie, tylko otwarcie. Powiem wszystkim, żeby wypili to, co im podasz.

--Nie rozumiem.

--Jestem drużbą. Jeśli wzniosę toast na cześć państwa młodych, wszyscy będą musieli go spełnić. -- Spojrzał jej w oczy. -- Prawdziwy problem polega na tym, jak rozpuścić tabletki w drinkach.

Isabelli udzielił się jego optymizm.

--Myślę, że wiem, jak to zrobić -- powiedziała -- ale sama nie dam rady.

--Tkwimy w tym razem -- odparł -- więc nie jesteś sama. Już nie.

Tego samego dnia wieczorem

Tradycja wymaga, aby w przeddzień ślubu narzeczeni się nie widzieli, i chociaż Helmut siedział obok Phoebe podczas sylwestrowego przyjęcia, zasada nie została złamana. Wszyscy nosili maski. Kobiety skryły twarze pod maskami przedstawiającymi Freję, a mężczyźni pod maskami boga Odyna. Nawet kelnerki w pancerzach na piersiach, skórzanych spodnicach, długich butach i hełmach miały pozłocane maski.

Kiedy goście zajęli miejsca przy długich stołach w głównej sali, Helmut upajał się myślą, że choć dziś nikt go nie rozpoznaje, wkrótce będą go znali wszyscy. Jutro stanie przed ołtarzem w lodowej kaplicy obok najpiękniejszej kobiety świata, ale wszystkie oczy będą wpatrzone w niego. W ciągu kilku dni ludzkość zacznie go błagać o przejęcie przywództwa.

Przeczytał kiedyś, że najbardziej rozpowszechnionym wizerunkiem na świecie jest podobizna królowej Anglii. Jej twarz pojawiała się na znaczkach pocztowych i pieniądzach w Wielkiej Brytanii i wielu krajach Wspólnoty Narodów w różnych zakątkach globu. Lecz on przyćmi wszystkie koronowane głowy, prezydentów i gwiazdy filmowe. Religijni mesjasze i prorocy zginą w pomroce dziejów. Beatlesi zażartowali kiedyś, że są popularniejsi od Jezusa. Ale on naprawdę będzie od niego popularniejszy. Wszyscy, bez względu na pozycję i władzę, będą zabiegać o jego radę. Przyniesie porządek i siłę światu ogarniętemu chaosem i słabością.

Rozsiadł się wygodnie i płał w obietnicy przyszłości. Wszystko było przygotowane. Plan Ilium zakończył się sukcesem: godzinę temu Łysenko poszedł w ślady pozostałych i zlecił przelanie miliarda euro na rachunek depozytowy. Ale Wenus przyniesie znacznie więcej. Phoebe pociągnęła go za rękę.

--Wciąż nie mogę uwierzyć, że Isabella wyjechała. Co powiedziała?

--Zapomnij o niej -- odparł. -- Masz jeszcze trzy inne druhny.

--Ale co powiedziała?

--Przecież ci mówiłem. Tak bardzo wstydziła się, że cię wczoraj okłamała, że nie była w stanie spojrzeć ci w twarz. Nadal nie akceptuje naszego małżeństwa i nie chciała patrzeć, jak popełniasz największy błąd swojego życia.

--Tak powiedziała?

--Ma prawo do swojego zdania i szanuję jej szczerłość. Jestem przekonany, że gdy przywyknie do nowej sytuacji, znowu będziecie przyjaciółkami. A teraz postaraj się dobrze bawić.

Wyjaśnienie zniknięcia Isabelli okazało się znacznie łatwiejsze w przypadku Phoebe niż Hudsuckera. Kiedy Helmut oznajmił mu, że Isabella wróciła do domu, senator był niepokieszony.

Wyborne jedzenie i picie serwowano na srebrnych półmiskach i w kryształowych kieliszkach, które lśniły jak brylanty. Wzniesienie toastu zaplanowano po głównym daniu, pieczeni z sarniny. Helmut spostrzegł, jak Joachim sięgnął do kieszeni marynarki i wyjął nieduży kluczyk, przygotowując się do rozdania drinków, które tak pracowicie przyrządził. Lecz zanim zdążył się ruszyć, wstał Max.

--Dokąd idziesz? -- spytał Joachim.

--Przygotować toast.

--Ale już załatwiłem kieliszki z lodu.

--Zostaw to mnie.

--Ale...

--Jestem drużbą. Ja powinienem to zrobić.

Joachim zerknął na ojca, a Helmut pokiwał głową. Trzeba było docenić i pochwalić nową lojalność Maksa. Joachim zmarszczył brwi, lecz podał bratu kluczyk.

--Są w pierwszej chłodni obok kuchni. Drinki zostały nalane do kieliszków i poustawiane na tacach. Po prostu otwórz drzwi chłodni i powiedz kelnerkom, żeby rozdały kieliszki.

Helmut patrzył, jak Max zmierza do wahadłowych drzwi, które prowadziły do pomieszczeń kuchennych. Po chwili zauważył dwóch ludzi Steina. Obaj byli w kombinezonach polarnych i ciężkich butach. Podeszli do niego i jeden pochylił się, żeby szepnąć:

--Herr Kappel, psy znalazły coś, co powinien pan obejrzeć. Kiedy Helmut zobaczył, co agent trzyma w ręce, jego radosny entuzjazm zmienił się w gniew.

--Chodźcie ze mną.

Max wolnym krokiem przemierzył salę, uśmiechając się do gości, których mijał. Zależało mu na pośpiechu, bo było mało czasu, lecz zdawał sobie sprawę, że Joachim albo ojciec mogą go obserwować. Wszedł do kuchni i zapytał o drogę do chłodni. Podążał za wskazówkami, mijając liczne kelnerki.

Ktoś klepnął go po ramieniu.

--Mogę w czymś pomóc, proszę pana? Odwrócił się i zawahał tylko na sekundę.

--Owszem. Czas podać drinki do toastu -- odpowiedział kelnerce.

--Gdzie są?

--Tędy.

Zaprowadził ją do chłodni, otworzył drzwi i wszedł do środka. Wewnątrz znajdowały się dwa pomieszczenia: większe, gdzie według termometru panowała temperatura czterech stopni Celsjusza, i mniejsza zamrażarnia, gdzie były minus dwadzieścia trzy stopnie. W większej chłodni na hakach wisiały kawały surowego mięsa, a na tacach z nierdzewnej stali leżały duże płyty łososa. Max otworzył drzwi do zamrażarni, w której na stalowym stoliku pośrodku stały cztery kwadratowe przezroczyste tace. Na każdej z nich ustawiono po dwadzieścia pięć lodowych kieliszków z wizerunkami Helmuta i Phoebe.

--To drinki do toastu? -- spytała kobieta.

Pokiwał głową i odwrócił się, żeby zamknąć drzwi.

W progu stał mężczyzna. Jeszcze zanim zdążył zdjąć maskę, Max zorientował się, że to ojciec.

--Proszę cię, Max, wyjdź na zewnątrz.

Max zmarszczył brwi pod maską.

--Czemu?

Za plecami Helmuta pojawiło się dwóch byłych agentów Stasi w polarnych kombinezonach.

--Po prostu to zrób.

Max wyszedł, zostawiając kelnerkę z drinkami.

--Co się stało?

--Ci dwaj właśnie wrócili z poszukiwań Steina. Psy poszły za tropem przez jezioro aż do wąwozu przy fiordzie. -- Helmut uniósł rękę i otworzył dłoń, ukazując przepaskę Steina. -- Przypuszczam, że jego zwłoki są w jeziorze. I zgaduję, że Isabella Bacci wciąż żyje.

W pierwszym odruchu Max chciał rzucić się na ojca, ale gdy przypomniał sobie główny cel, zmienił zdanie. Helmut nie odrywał od niego wzroku.

--Zawiodłeś mnie, Max -- rzekł w końcu. -- Gdzie jest Isabella?

--Nie ma jej tutaj. Pomogłem jej uciec. Opowiedziała mi o Wenus i ma na dysku wszystkie dowody. Przekáže je policji.

Helmut zacisnął zęby.

--Nawet jeśli uda jej się dotrzeć do cywilizacji, pojutrze nie będzie to miało najmniejszego znaczenia, bo wszyscy wypiją już toast. -- Jego spojrzenie stało się zimne jak lód. -- Martwi mnie raczej to, że znowu mnie zdradziłeś. Dlaczego?

--Bo jesteś szaleńcem i trzeba cię powstrzymać.

Helmut zgromił go wzrokiem, wyraźnie nie wierząc, że ktokolwiek, zwłaszcza syn, może mówić do niego w ten sposób.

--Jesteś jak matka. Nigdy nie mogłem przemówić jej do rozsądku. Kiedy zdradziłeś mnie w Mediolanie, wybaczyłem ci. Myślałem, że pobłądziłeś. Teraz jednak widzę, że to ja błądziłem.

Zjawił się następny mężczyzna w masce.

--Z toastem wszystko w porządku?

--Tak, Joachimie. Max nie mógł wiedzieć, że zamierzamy podać w nim preparat, ale sprawdź to, proszę.

Joachim zdjął maskę i uśmiechnąwszy się złośliwie do brata, wszedł do chłodni. Max usłyszał, jak polecił kelnerce:

--Niech pani poczeka na zewnątrz.

Dziewczyna wyszła i stanęła dyskretnie w pewnej odległości od nich.

--Więc wykorzystacie toast do podania Wenus -- powiedział Max. -- Nie ujdzie wam to na sucho.

Helmut zignorował jego słowa. Joachim wrócił po niespełna minucie.

--Może pani rozdać kieliszki -- zwrócił się do kelnerki. -- Pomogę pani.

Ojciec odczekał, aż kobieta i Joachim oddalą się z tacami, po czym zwrócił się do ochroniarzy.

--Muszę wrócić na toast. Wiecie, dokąd go zabrać... w miejsce, gdzie nikt nie będzie nam przeszkadzał, kiedy się z nim rozmówię. Zabił waszego szefa, więc zrozumieć, jeśli nie potraktujecie go łagodnie.

Proszę za mną -- polecił Joachim. -- Niech pani zanieś tacę na tamten stół i dopilnuje, żeby każdy miał kieliszek. Potem proszę rozdać kieliszki z następnej tacy. Ja zajmę się ostatnią.

Isabella usiłowała opanować drżenie rąk, gdy weszła za Joachimem do sali. Z trudem powstrzymywała chęć obejrzenia się za siebie w poszukiwaniu Maksa. Starła się też nie myśleć o tym, że jest jedyną ciemnowłosą kelnerką wśród blondwłosych walkirii Odyna. Miała nadzieję, że maska i hełm okażą się skutecznym przebraniem.

Plan był stosunkowo prosty. Max bez trudu zdobył maskę i strój kelnerki z działu obsługi. W tym przebraniu Isabella kręciła się w pobliżu kuchni, czekając, aż nadejdzie pora toastu i zjawi się Max. Miała wrzucić do każdego drinka po tabletkę, a następnie czym prędzej wrócić do apartamentu Maksa.

Nawet gdyby wszystko poszło gładko, prawdopodobieństwo, że uda się powstrzymać Wenus, wynosiło w najlepszym razie pięćdziesiąt procent. Teraz szanse powodzenia drastycznie zmalały. Przeżyła szok, gdy pojawił się Helmut, ale miała dość czasu, by wrzucić tabletki do kieliszków, kiedy była sama w chłodni. Gdy Max powiedział: „Więc wykorzystacie toast do podania Wenus”, jej serce zamarło. Uświadomiła sobie, że goście przyjmą oba preparaty jednocześnie. Nie miała pojęcia, jaki będzie efekt.

Ona albo Max powinni byli przewidzieć, że Helmut Kappel poda Wenus w toaście. Teraz jej plan był zagrożony... a ona sama pomagała urzeczywistnić plan przeciwnika. Nie miała jednak wyboru. Bez potknięcia rozdała kieliszki z pierwszej tacy, mimo że o mało nie wpadła w panikę, gdy rozpoznała znamię w kształcie Australii na dłoni Warrena Hudsuckera. On jednak nie zwrócił na nią uwagi. Kelnerki zwykle ignorowano. Zamaskowane kelnerki stały się niewidoczne.

Poszła po drugą tacę, a kiedy wróciła, Joachim polecił jej rozdać kieliszki gościom przy głównym stole. Spuściła oczy, aby uniknąć choćby możliwości kontaktu wzrokowego. Najpierw obsłużyła Klause Kappela i jego żonę. Kiedy stawiała kieliszek przed pustym krzesłem Maksa, usłyszała, jak Delphine Chevalier pyta, dokąd poszedł.

Podawanie drinków Gisele, Claire i Kathryn było tak dziwne, że niemal nierzeczywiste. Rozpaczliwie pragnęła powiedzieć im, co się dzieje, lecz wydawały się tak zaabsorbowane swoimi partnerami, że wątpiła, by zauważyły jej obecność, nawet gdyby nie nosiła maski.

Helmut Kappel siedział sztywno, a gdy postawiła przed nim kieliszek, wyczuła bijącą od niego złość. Odruchowo odsunął od siebie drinka. Kiedy stawiała kieliszek przed Phoebe, niechcący otarła się o jej ramię. Phoebe odwróciła się i na moment ich spojrzenia się spotkały. Isabella poczuła przemożną potrzebę zderzenia maski i powiedzenia przyjaciółce, co zaplanował jej przyszły mąż. Ale wtedy Phoebe odwróciła się i chwila minęła.

Isabella zmusiła się do przejścia przez salę wolnym krokiem. Gdy wreszcie dotarła do wahadlowych drzwi prowadzących do kuchni, odetchnęła z ulgą.

Wtedy Joachim zawołał za nią:

--Ty, ta, która rozdała kieliszki.

Stłumiła impuls, żeby rzucić się do ucieczki, i odwróciła się do niego. Ledwo na nią spojrzal, gdy wręczał jej pustą tacę. -- Zanieś to do kuchni. Wzięła tacę, pchnęła drzwi i wyszła z sali.

Kiedy Joachim przemawiał w zastępstwie Maksa, Helmut myślał o zdradzie starszego

syna. Tyle wysiłku włożył w jego wychowanie. Gdy Max próbował ostrzec Isabelłę, dał mu drugą szansę i ułatwił spełnienie obowiązku, wstrzykując preparat MIN. Do tego czasu Max powinien był oszaleć na punkcie Delphine Chevalier i zapomnieć o Isabelli. Tymczasem otwarcie wystąpił przeciwko niemu i starał się pokrzyżować mu plany.

Lecz dla Helmuta była to i tak chwila triumfu. Łysenko, Corbasson i Nadolny szaleli z miłości do druchen, spełniwszy jego żądania. Za sześć miesięcy ich ukochane będą martwe. A za dwa dni świat padnie przed nim na kolana.

Nie udało mu się zapanować tylko nad własnym synem. Czyżby Max nie doceniał uprzywilejowanej pozycji członka rodu Kappelów? Będzie go musiał za to ukarać, tak jak ukarał jego matkę. Grzech syna był jej winą. Jej geny zbrukały czystość krwi Kappelów. Helmut zrobił wszystko, co mógł, aby zmienić Maksa w rasowego Kappela, lecz syn w głębi duszy zawsze był kundlem.

--Co się stało, kochanie? -- spytała szeptem Phoebe. -- Wydajesz się spięty, a powinieneś być szczęśliwy.

--Jestem szczęśliwy -- wychrypiał Helmut. Kiedy usłyszał, jak Joachim dziękuje Odynowi za gościnę, uspokoił się. Wkrótce zdrada Maksa przestanie się liczyć. Cały świat stanie się jego rodziną, jego dynastią, a każde przyszłe pokolenie będzie w nim widzieć swego patriarchę. Joachim uniósł kieliszek i zwrócił się do ojca.

--Za jutrzejszy ślub i wspaniałą przyszłość. Za przeznaczenie.

--Za przeznaczenie -- powtórzyli chóralnie goście. Gdy spełnili toast, po sali przetoczyły się pomruki i wszyscy podnieśli wzrok na kryształowe sklepienie. Wieczorne niebo jaśniało migoczącymi kolorami. Widmowe łuki i stożki czerwieni i zieleni jarzyły się w mroku.

W Helmucie wezbrało poczucie potęgi, które stłumiło gniew. Podał Phoebe kieliszek i patrzył, jak pije. Kiedy spojrział w górę na rozedrgane wstęgi barw, uświadomił sobie, że Max się nie liczy. Teraz nikt się już nie liczył, nawet Dieter Kappel. Miał wrażenie, jakby bogowie Walhalli wzywali go do swego grona.

Isabella wyszła z kuchni i przemierzała korytarze pełna niepokoju. Gdy usłyszała okrzyki toastu z wielkiej sali, zdała sobie sprawę, że przynęta została zarzucona. Wyjrzała przez okno i aż zapało jej dech. Niebo jaśniało widmowymi płomieniami. Migoczące czerwone i zielone zjawy rozświetlały ciemność. Zorza polarna wywarła na niej znacznie większe wrażenie, niż mogła się spodziewać. Ale fakt, że pojawiła się akurat w przeddzień projektu Wenus Helmuta Kappela, zdawał się złym znakiem, zwiastunem nowego ciemnego świtu.

Spojrzała w dół na lodową kaplicę i w świetle reflektorów zobaczyła dwóch uzbrojonych strażników prowadzących trzeciego, wyższego mężczyznę do budynku kotłowni. W więźniu natychmiast rozpoznała Maksa. Przy kotłowni podeszli do nich kolejni dwaj ochroniarze. Jeden uderzył Maksa w głowę kolbą karabinu, kiedy zaś padł na śnieg, pozostali zaczęli go kopać, a potem zawlekli do środka. Max zabił jednego z ich towarzyszy, żeby ją obronić, więc teraz brali na nim odwet. Przypomniała sobie, co Helmut zrobił z matką Maksa. Wątpiła, by Max przeżył tę noc.

Popelniał wiele złych uczynków, ale dwa razy ocalił jej życie. Czy mogła mu jakoś pomóc? Była sama. Phoebe i pozostałe przyjaciółki były pod otumaniającym wpływem terapii MIN, szaleńczo zakochane w podstarzałych facetach, którzy je kupili.

Wtedy wpadła na pomysł. Ryzykowny, ale nie widziała innego wyjścia. Po tym, jak Max narażał się, żeby ją ocalić wbrew ojcu, była mu coś winna. I tak jak powiedział, miała tylko jego.

Pobiegła do swojego pokoju. Max zdążył zabrać większość rzeczy, jakich potrzebowała, ale w walizce miała leki nasenne, które przepisał jej lekarz po śmierci ojca.

Wzięła tabletki, poprawiła maskę na twarzy i ruszyła z powrotem w kierunku głównej sali. Niektórzy biesiadnicy już tańczyli, lecz ten, na którym jej zależało, nadal siedział przy stole. Podeszła do niego i szepnęła, że jest proszony do holu. Wstał posłusznie i wyszedł za nią z gwarnej sali.

Rozejrzał się, a potem spytał:

--Kto chce się ze mną widzieć? Zdjęła maskę.

--Ja.

Warren Hudsucker zerwał swoją maskę i wpatrywał się w Isabellę, jakby była duchem... albo aniołem. Twarz jaśniała mu radością.

--Mówili mi, że wyjechałaś -- powiedział. -- Ale dlaczego jesteś ubrana jak kelnerka?

--Nie ma czasu na wyjaśnienia, Warren. Zrobisz coś dla mnie?

--Wszystko.

Dwie godziny później

--Szczęśliwego Nowego Roku, synu.

Max dźwignął się z betonowej wylewki pomieszczenia magazynowego w kotłowni i zwrócił twarz do ojca. Spojrzał na zegarek: 12.35. Nowy rok już się zaczął.

--Szczęśliwego Nowego Roku, *Vater*.

Ojciec sięgnął do kieszeni po cygaro, wyjął nóż z pochwy na kostce i odciął czubek. Zapalił cygaro, wciągnął dym i westchnął z satysfakcją.

--To będzie wspaniały rok, Max. -- Zwrócił się do strażników. -- Dajcie mi pistolet i wyjdźcie.

Smoking Maksa był poplamiony krwią, a żebra bolały go od ciosów, ale nie przejmował się bólem ani nawet perspektywą śmierci. Przynajmniej nie złapali Isabelli. Wciąż jest szansa, pomyślał.

--Nie możesz stać na drodze przeznaczeniu, Max -- powiedział Helmut. -- Preparat Wenus już zaczyna działać. Wkrótce wszyscy poczują się senni i za godzinę cała Walhalla pograży się w ciszy. Jutro rano obudzą się, żeby zacząć nie tylko nowy rok, ale i nową erę. Świat jest w rozsypce, Max. Ludzie nie potrafią dojść do porozumienia w żadnej sprawie. Każdemu zależy na czym innym, na różnych ludziach, różnych bóstwach, różnych krajach, a nawet różnych drużynach piłkarskich. I biją się o to wszystko. Zabijają się za to, co kochają. Miłość nie jednoczy świata, tylko go rozbija. Patriotyzm to nie miłość do ojczyzny, tylko nienawiść do innych krajów. Jeśli kochasz jednego boga, musisz potępiać wszystkich, którzy wierzą w innego. Miłość wyklucza, rozbija i dzieli. Ale Wenus to naprawi. Świat będzie miał odtąd jeden cel, jedną miłość. Mnie. Ludzkość stanie się jedną rodziną, a ja będę jej ojcem. Zrobił pauzę.

--Mogłeś na tym skorzystać, Max. Mogłeś być moją prawą ręką. Ale zawiodłeś mnie. -- Zaśmiał się gorzko. -- Isabella zamglila ci trzeźwość osądu. Przez nią stałeś się słaby. I po co? -- Dotknął krwi na kołnierzyku syna. -- Po nic.

Max pokręcił głową.

--Mylisz się. Nigdy nie myślałem tak jasno jak teraz. Nigdy nie rozumiałem lepiej, kim jestem i kim jesteś ty.

--Doprawdy? To powiedz mi, kim twoim zdaniem jestem.

--Jesteś hipokrytą i tchórzem. Mówisz o lojalności i rodzinie, a potem mordujesz własną żonę i niegodziwie wykorzystujesz synów. Mówisz o dynastii i obowiązku przekazania potomności więcej, niż sam otrzymałeś, a potem obmyślasz plan, który uczyni cię nieśmiertelnym, a ze wszystkich przyszłych pokoleń zrobi twoich niewolników. Masz gdzieś rodzinę, dynastię i obowiązek. Zależy ci tylko na sobie. Zabijeś moją miłość do ciebie i nadużyłeś miłości Joachima, skłaniając go do stworzenia wirusa, który zmusza wszystkich do kochania ciebie. To najgorszy objaw twojego zakłamania: szydzisz z miłości, a mimo to się jej boisz. Ona cię przeraża. Nienawidzisz jej, ale nie masz odwagi umrzeć niekochany. Isabella nie uczyniła mnie słabym. Pokazała mi, jak znowu być silnym. Przez ciebie zapomniałem, czego nauczyła mnie matka, ale dzięki Isabelli przypomniałem to sobie. To ty jesteś słaby, *Vater*. Jesteś tchórzem, który nie potrafi się zdobyć ani na to, by zasłużyć na miłość, ani na to, żeby żyć i umrzeć bez niej.

Helmut wpatrywał się w niego przez dłuższą chwilę. Zdawał się spokojny, lecz Max wyczuwał w nim podskórną złość.

--Jako syn bardzo mnie rozczarowałeś.

Max parsknął śmiechem.

--Jako ojciec rozczarowałeś mnie jeszcze bardziej.

Helmut uniósł pistolet.

--Powiniennem był cię utopić razem z matką.

--Często żałuję, że tego nie zrobiłeś.

Okrutny uśmiech rozjaśnił twarz Helmuta.

--Dostaniesz nauczkę, Max. Nie zabiję cię. Nie podam ci nawet preparatu Wenus.

Zostawię cię tutaj, żebyś przemyślał sobie wszystko i powitał nowy świat. Chcę, żebyś był

świadkiem tego, co przyniesie Wenus, a potem, gdy zobaczysz moją wizję wcieloną w życie, zarazisz się wirusem i też mnie pokochasz. I dopiero wtedy wymierzę ci karę, Max. Kiedy będziesz z uwielbieniem patrzył mi w oczy, wbiję ci nóż w serce.

Ruszył do wyjścia, lecz nagle się zatrzymał.

--Twoja miłość do Isabelli nie ma znaczenia. Czy tego chcesz, czy nie, umrzesz, kochając mnie. I tylko mnie.

Isabella odczekała, aż Helmut Kappel wróci do swego apartamentu, nim zapukała do drzwi kotłowni. Ze środka dobiegły ją głosy, a potem jeden ze strażników, którego pamiętała ze Schloss Kappel, wyszedł na dwór i zamknął za sobą drzwi.

--Czego chcesz? -- spytał.

Pokazała mu tackę z drinkami.

--Herr Helmut Kappel poprosił, że bym przyniosła wam to dla uczczenia nowego roku i jutrzejszego ślubu.

--Jesteśmy na służbie -- odparł strażnik.

Jej twarz pod maską była rozpalona mimo mrozu.

--Herr Helmut bardzo nalegał -- powiedziała, starając się zachować lekki ton. -- Czy mam do niego wrócić i przekazać, że nie wypijecie za jego szczęście?

Strażnik uśmiechnął się, lecz oczy wciąż miał zimne.

--Skoro Herr Kappel nalega, niegrzecznie byłoby odmawiać.

--Ilu was tam jest?

--Dwóch. -- Otworzył drzwi, podał jeden kieliszek towarzyszowi i sam wziął drugi. Skinął głową na jezioro. -- Dwaj następni pilnują helikopterów. *Dankeschön, Fräulein.* Szczęśliwego Nowego Roku.

Pół godziny później

Max nie spał, ale nie z powodu bólu. Po prostu nie mógł przestać myśleć o tym, co przyniesie jutro. Nie mógł znieść swojej bezsilności i niepewności.

Usłyszał odgłos otwieranych i zamykanych drzwi, a potem zgrzyt odsuwanej skobla w stalowych drzwiach magazynu. Rozejrzał się po pomieszczeniu, podniósł łańcuch z przyczepioną na końcu kłódką i zamachnął się nim jak cepem. Jeśli strażnicy zamierzają znowu go pobić, gorzko zapłacą za ten przywilej. Napiąwszy mięśnie, podkradł się do drzwi i czekał, aż się otworzą.

--Isabella! Co ty tu, do cholery, robisz? -- Upuścił łańcuch.

--Przyszłam cię wydostać.

--Gdzie strażnicy?

Wskazała palcem za siebie. Wyjrzał za drzwi i zobaczył, że leżą na podłodze pogrążeni w głębokim śnie.

--Dałam im końską dawkę środków nasennych. Nieprędko się obudzą. Ci dwaj przy helikopterach też śpią jak dzieci.

Chciał ją przytulić, ale nie wiedział, jakby to przyjęła. Spytał więc tylko, co się stało po tym, jak go schwytali. Kiedy wszystko opowiedziała, skinął na sprzęt w magazynie.

--Chodź. Póki nie wiemy, co się jutro stanie, musimy dopilnować, żeby nikt nie mógł opuścić wyspy.

Prawie godzinę zajęło im obwiązanie płóz obu helikopterów stalowymi łańcuchami i unieruchomienie sań.

--Wątpię, żeby ktokolwiek zamierzał wyjechać przed ślubem, ale jeśli nasz plan spali na panewce, to powinno zatrzymać tu wszystkich na dłużej. -- Zerknął na zegarek. Dochodziła trzecia. Nagle poczuł się bardzo zmęczony. -- Nic więcej nie możemy zrobić, teraz trzeba czekać.

--Powinniśmy się przespać.

--Dobry pomysł. Ale gdzie?

Uśmiechnęła się i poprowadziła go z powrotem do Walhalli.

--Chodź ze mną.

Zaprowadziła go do gościnnego pokoju na pierwszym piętrze. Drzwi były uchylone, a w szparze tkwił but. Max otworzył je szerzej i zobaczył Hudsuckera, który leżał w ubraniu na łóżku i chrapał z otwartymi ustami. Na stoliku obok stał pusty kieliszek. Max uśmiechnął się.

--Znowu środki nasenne? Czy wy, lekarze, nie macie wstydu?

--Nie zaszkodzą mu. Poza tym powiedział, że mogę skorzystać z jego pokoju. Właściwie błagał, żebym się rozgościła. Myślę, że trochę się we mnie buja. -- Weszła do łazienki, wróciła z kosmetyczką i zaczęła charakteryzować Hudsuckerowi twarz tak, żeby wydawało się, że ma podbite oko i sińce. Potem wilgotną chusteczką starła Maksowi krew z twarzy i umazała nią Hudsuckerowi nos, czoło i policzki, aż senator był nie do poznania. Wreszcie założyła mu maskę Maksa. Dokonajmy zamiany, póki wszyscy śpią. Dzięki temu zyskamy rano trochę więcej czasu.

Dwadzieścia minut później byli z powrotem w pokoju Hudsuckera, a senator leżał na podłodze w kotłowni i chrapał w najlepsze z maską na twarzy. Isabella podeszła do lodówki i wyjęła butelkę szkockiej. Napelniła dwie szklanki. Ręce jej drżały.

--Nie rozumiem -- powiedziała, podając Maksowi whisky. -- Bez problemu udało mi się rozdać drinki tuż pod nosem twojego ojca, a potem uśpić strażników i Hudsuckera, ale teraz nie mogę nawet utrzymać szklanki.

--To dlatego, że twoje ciało wie, że możesz się rozluźnić. -- Max poprowadził ją w stronę łóżka. -- Dobrze się spisałaś. Teraz chodź i odpocznij.

Usiadła na brzegu, wzięła łyk whisky i skrzywiła się.

--Nadal nie lubię tego świństwa.

--Wiem, ale do wszystkiego można się przyzwyczaić.

--Co będzie, jeśli nam się nie uda, Max?

--Uda się.

Z trudem pojmowała ogrom tego, co miała przynieść przyszłość.

--To może być ostatnia noc, zanim... zanim wszystko się zmieni.

--Uda nam się -- powtórzył. -- Musi się udać. -- Dotknął jej policzka, a potem pocałował w czoło. Nie śmiał pocałować jej w usta. Nie miał prawa się ludzić, że wciąż coś do niego czuje.

--To może być nasza ostatnia noc -- szepnęła. A potem, zanim zorientował się, co się dzieje, jej usta znalazły się na jego wargach, miękkie i niecierpliwe.

W pewnej mierze wciąż nienawidziła Maksa i nie chciała się do niego zbliżać, ale potrzebowała jego siły, zwłaszcza tej nocy, gdy nawet rozświetlone niebo zdawało się świadczyć, że świat znalazł się na skraju szaleństwa. Cały czas zastanawiała się, dlaczego tym razem terapia nie podziałała ani na nią, ani na niego.

Odsunęła od siebie te myśli. To nie była pora na rozważania o przeszłości albo przyszłości. Gdy przyciągnęła Maksa do siebie, przemknęło jej przez głowę, że tak muszą się czuć ludzie w przededniu wojny. Przypomniła jej się noc w Antibes. Wtedy ich napiętność została wywołana sztucznie, ale dzisiaj była prawdziwa. Nieważne, co zdarzyło się od Antibes i co mogło się zdarzyć nazajutrz rano. Skupiła się na tu i teraz: na dotyku jego skóry, zapachu włosów. Przez

kilka minut nie istniało nic więcej. Aż wreszcie nie mogła dłużej ukrywać prawdy przed sobą ani przed nim:

--Max, kocham cię.

Po raz pierwszy od dzieciństwa Max poczuł pod powiekami łzy. Potem, kiedy leżał obok niej w mroku, wyszeptał:

--Musisz mi uwierzyć, Isabello. Bez względu na to, co zrobiłem, ja też cię kocham.

--Wiem. I właśnie dlatego terapia nie podziałała na żadne z nas. W notatkach ojca przeczytałam, że po doświadczeniu z MIN Czterdzieści Dwa wprowadził zabezpieczenie, które nazwał „zerowym efektem substytucyjnym”. Działa na zasadzie szczepionki, jak wtedy gdy ci z ospą krowią nie mogą zapaść na czarną ospę. Wszystkie wersje po MIN Czterdzieści Dwa, łącznie z sześćdziesiątkądziewiątką i siedemdziesiątkądwójką, zostały zaopatrzone w mechanizm, który sprawia, że gdy chemia czyjś mózgu wskazuje, że osoba jest już zakochana, terapia nie wywołuje żadnych skutków. Ojciec zadbał, by miłość identyczna z naturalną nie mogła zastąpić prawdziwej.

Max pomyślał o przeszłości i niepewnej przyszłości.

--Naprawdę mnie kochasz, nawet po tym, co zrobiłem?

--Tak.

--A możesz mi wybaczyć?

Nie odpowiedziała, tylko utkwiała wzrok w ciemnościach. Zrozumiał jej milczenie. Nie był pewien, czy sam kiedykolwiek sobie wybaczy.

Część czwarta

Nazajutrz rano, Nowy Rok

Helmuta wyrwał ze snu dźwięk budzika. Otworzył oczy. Był spocony, serce waliło mu jak młotem. Śnił o przyszłości, o świecie, który kręci się wokół niego.

Rozległo się pukanie.

Spojrzał na zegarek, narzucił szlafrok i otworzył drzwi. Przyjął od kelnera tacę ze śniadaniem i położył ją na stoliku przy łóżku. Postanowił nie jeść w sali bankietowej, bo nie chciał, aby któryś z gości zobaczył jego twarz przed wielkim wejściem do lodowej kaplicy. Zarządził, żeby nawet Phoebe już tam na niego czekała.

Sięgnął po telefon przy łóżku.

Joachim odebrał po trzecim sygnale.

--Halo.

W słuchawce trzeszczało.

--Masz jakiś dziwny głos, Joachimie.

--Zorza polarna powoduje zakłócenia na linii. Czy u ciebie wszystko w porządku?

--Oczywiście, ale chciałbym, żebyś zajrzał do Maksa.

--Jak sobie życzysz, *Vati*.

64

Max i Isabella wstali wcześniej rano i wykradli się z apartamentu Hudsuckera do własnych pokoi, żeby się przebrać. Kiedy się znów spotkali, nie rozmawiali ani o ostatnim wieczorze, ani o tym, co czekało ich dzisiaj. Max zachował wspomnienie ich wspólnej nocy jako najcenniejszy skarb i uznał, że to mu wystarczy: nie zasługiwał na jej miłość. A wszystko, co zaszło między nimi, zdawało się blaknąć w porównaniu ze znaczeniem tego, co mogło stać się dzisiaj.

Ślub zaplanowano na przedpołudnie. Max i Isabella zaczekali, aż ostatni goście skończą śniadanie. Potem włożyli utrudniające rozpoznanie futra i czapki i dołączyli do pochodu kierującego się w stronę kaplicy. Mimo wszystkich środków ostrożności Max, wychodząc z pokoju Hudsuckera, znalazł się oko w oko z Feliksem Łysenką. Rosjanin zmierzał korytarzem w jego stronę z grymasem, który wyrażał ni to gniew, ni to zagubienie. Był sam, bez Kathryn, która nie odstępowała go, odkąd poznali się na powitalnym bankiecie. Na moment spojrzeli sobie w oczy, lecz Łysenko zignorował go i ruszył dalej.

Sprawdził numery pokoi i zatrzymał się pięć drzwi dalej. Załomotał do drzwi.

--Klaus! Zrywam umowę! Zatrzymuję pieniądze!

Załomotał jeszcze raz. Zorientowawszy się, że nikt nie wyjdzie, sięgnął do kieszeni i wyjął kartkę i długopis. Napisał liścik i wsunął go w szparę pod drzwiami.

Max i Isabella wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Z pochylonymi głowami zeszli po schodach do frontowego wyjścia. W połowie drogi przez hol Isabella wpadła na postać wycofującą się z głównej sali.

Mężczyzna odwrócił się, pogładził nerwowo siwą brodę i wlepił w nią wzrok. Wyglądał na zagubionego i niepewnego, póki się nie uśmiechnęła.

--Przepraszam -- powiedział.

Max szybko odwrócił głowę, lecz mężczyzna zdażył spojrzeć mu w oczy.

--Dziwny dzień -- powiedział do siebie. -- Bardzo dziwny dzień -- powtórzył i odszedł.

Max o mało nie parsknął śmiechem.

--To się może udać -- usłyszał szept Isabelli.

--Bardzo możliwe -- przyznał, patrząc, jak stryj Klaus wraca do swojego pokoju. Wziął Isabellę pod ramię i szybkim krokiem ruszyli do kaplicy.

Joachim czuł się dezorientowany. Pocięszał się tylko tym, że otuleni w futra goście, idący do kaplicy, wyglądali na równie zagubionych.

Przed głównym wyjściem przejrzał się w lustrze i przetarł oczy. Pewnie wypił wczoraj za dużo wina. A może to skutek zorzy polarnej? Feeria barw zniknęła wraz ze wschodem słońca, lecz powietrze wciąż było naładowane elektrycznością.

Wyszedł na dwór i ruszył po świeżym śniegu do kotłowni. Zapukał do drzwi cztery razy, zanim jeden ze strażników otworzył mu z sennym wyrazem twarzy.

--Spaliście? -- burknął Joachim.

--Nie -- skłamał strażnik.

--Gdzie mój brat?

Strażnik wpuścił go do środka. Joachim ledwie zerknął na drugiego ochroniarza, który odryglował drzwi magazynu. Za drzwiami zobaczył leżącego na podłodze i pogrążonego we śnie mężczyznę. Twarz zasłaniała mu maska. Joachim podszedł bliżej.

--Max?

Cisza.

Pochylił się, podciągnął ostrożnie maskę i spojrzał na zakrwawioną, posiniaczoną twarz. Znowu przetarł oczy. Słyszał, że wyładowania elektryczne powodowane przez zorzę polarną mogą plątać umysłowi złośliwe figle. Głowa pękała mu z bólu. Ile właściwie wczoraj wypił? Zerknął na strażnika, opuścił maskę i wyszedł z magazynu.

Kiedy wrócił do pokoju, żona wciąż była na śniadaniu. Łyknął dwie tabletki przeciwbólowe z podręcznej apteczki, a potem sprawdził sejf. W środku były dwa zamknięte pojemniki. Zignorował pierwszy, który zawierał cztery fiołki zabójczo zmodyfikowanego preparatu MIN 072, i skupił się na drugim, z zapasową dawką Wenus. Otworzył go, uniósł fiołkę do światła, a następnie włożył ją do aluminiowej walizki.

Nie powinna być potrzebna -- widział, że wszyscy goście wypili toast -- lecz niczego nie można zostawić przypadkowi. Jeśli dzisiejszy dzień nie zakończy się powodzeniem, ojciec nigdy mu nie daruje. Postawił walizkę przy drzwiach, żeby nie zapomnieć zabrać jej do kaplicy.

Zadzwoił telefon.

--Joachimie, tu Klaus. Chcą się wycofać. Powinniśmy zawiadomić Helmuta?

--O czym ty mówisz?

--O Ilium. Corbasson i Nadolny właśnie do mnie zadzwonili. A Łysenko zostawił liścik.

Wszyscy mówią, że nie zapłacą za druhny.

W słuchawce zaszumiało. Co się dzieje? -- zastanawiał się Joachim.

--Uważają, że blefujemy. Porozumieli się między sobą i postanowili nas sprawdzić -ciągnął Klaus. -- Czy zawiadomimy Helmuta już teraz?

--Nie ma sensu zawracać mu głowy przed ślubem. -- Joachim uznał, że gdy Wenus zacznie działać, wszystko się ułoży. Po ślubie nikt nie sprzeciwi się woli ojca. -- Nie przejmuj się, Klaus. Gdy tylko Łysenko i cała reszta zorientują się, że nie blefujemy, spotulnieją.

Rozłączył się i zadzwonił do ojca.

--Max siedzi pod strażą w kotłowni, *Vati*.

--Doskonale -- odparł Helmut. -- Zajmę się nim po ceremonii. Zadzwoni do mnie, kiedy wszyscy znajdą się w kaplicy.

Helmut Kappel zjadł obfite śniadanie: płatki zbożowe, ser i *Wurst*. Wszystko smakowało mu lepiej niż zwykle. Po śniadaniu wziął prysznic, wyjął z szafy strój ślubny i położył go na łóżku. Zaprojektowany przez Odyna garnitur miał klasyczny krój i wyróżniał się tylko tym, że był biały. Obok leżała futrzana peleryna. Kiedy gładził miękkie futro, wyobraził sobie Phoebe wkładającą swoją kreację od Odyna. Jego Królowa Śnieżka będzie wyglądać przepięknie, ale oczy wszystkich będą wpatrzone w niego.

Podszedł do okna, żeby popatrzeć na gości, którzy zdążali z Walhalli do lodowej kaplicy. W nocy spadł śnieg i wszystko było białe z wyjątkiem wstęgi czerwonego dywanu, który łączył wyspę z kaplicą. Czy mu się tylko zdawało, czy też powłóczący nogami goście wyglądali na zagubionych i przybitych?

Zaczął się ubierać. Najpierw włożył bieliznę i skarpetki i przypiął do kostki pamiątkowy nóż. Potem wdział spodnie i koszulę. Zawiązał pod brodą fular, włożył białą jedwabną kamizelkę, marynarkę z gronostajów i wreszcie czarne buty. Uczesał włosy, zapalił papierosa i uśmiechnął się, widząc efekt w lustrze. Oprócz j arzącego się czarnego papierosa i butów był biały od stóp do głów.

Zadzwonił telefon.

--Wszyscy są już w kaplicy, *Vati* -- oznajmił Joachim. -- Jesteś gotowy do wyjścia?

--Tak, jestem gotowy.

Helmut Kappel szedł po czerwonym dywanie do kaplicy. Dzień był bezwietrzny i zaskakująco ciepły. Białe niebo zlewało się z górami, a słabe słoneczne światło zmieniało obsypane świeżym śniegiem tereny w anonimową białą równinę. Helmut czuł się, jakby kroczył przez otchłań, w której znajdują się tylko trzy materialne przedmioty: kryształowy pałac z tyłu, lodowa kaplica z przodu i czerwony dywan pod stopami. Nawet jego własna biała postać wydawała się niewidzialna na tle śniegu.

Przystanął przed lśniąca kopułą, napawając się doniosłością chwili. Za kilka sekund niewidzialność przeminie na zawsze. Jego twarz stanie się najpopularniejszym obliczem, jakie znał świat. Dzisiaj był nie tylko pierwszy dzień nowego roku. To był pierwszy dzień nowej ery w dziejach ludzkości. Dwaj agenci Stasi przy wejściu do kaplicy wlepili w niego wzrok i przez chwilę wyglądali, jakby chcieli coś powiedzieć. Potem jednak rozmyślili się, otworzyli drzwi i stanęli po bokach.

Wkroczył do kaplicy przy dźwiękach organów i zobaczył, jak wszystkie głowy zwracają się w jego stronę. Nawa prowadziła do podwyższenia, gdzie czekały druhny i Joachim, jego nowy drużba. Okryta welonem Phoebe stała u stóp ołtarza.

Dostojnym, pewnym krokiem szedł przez nawę. Czuł na sobie wzrok wszystkich oczu i słyszał, jak zebrani szepczą do siebie nawzajem. Przypomnił sobie, co powiedział Joachim: gdy zgromadzeni rozpoznają jego twarz, wirus wywoła ich uwielbienie i aktywizuje komponent wektora Domino, który wkrótce rozprzestrzeni się po całej ziemi. Marzenie stanie się rzeczywistością.

Kiedy zbliżył się do syna, Joachim zmarszczył na moment brwi, a potem uśmiechnął się. Helmut o mało nie poklepał go po plecach za to, że wszystko umożliwił, powstrzymał się jednak: wszak w pełni zasługiwał na chwałę i uwielbienie. Wchodząc po schodkach na podwyższenie, czuł, jakby wznosił się na wyższy duchowy poziom. Był to nie tylko ślub, ale i narodziny bóstwa.

Stał naprzeciwko Phoebe. W sukni zaprojektowanej przez Odyna z białego jedwabiu i gronostajów, której prosty, klasyczny krój podkreślał jej smukłą sylwetkę, wyglądała oszalamiająco. Helmut nie mógł się doczekać, kiedy zobaczy uwielbienie w jej oczach. Kapłan uśmiechnął się do niego, a on odwzajemnił uśmiech, po czym spojrzał w dół na zgromadzonych gości. Miał poczucie nieskończonej potęgi, rozpierała go energia.

Dał kapłanowi znak, żeby rozpoczął ceremonię, i w całej kaplicy zaległa cisza.

Isabella poczuła na udzie powstrzymującą rękę Maksa, gdy pochyliła się do przodu, jakby siłą woli próbowała nakłonić przyjaciółkę, by zrezygnowała ze ślubu. Miała ochotę wstać i krzyknąć: „Nie rób tego, Phoebe. To twoja ostatnia szansa”.

Opanowała się jednak, świadoma, że wszystko musi się potoczyć swoją koleją, jeśli mają zyskać pewność, że udało się powstrzymać Wenus. Zachowanie Phoebe będzie najlepszym sprawdzianem, bo podano jej zarówno trwałą wersję Ilium, jak i Wenus. Jeżeli się opamięta, będzie to świadczyło, że ich plan się powiódł. Jeżeli zaś dopuści do ślubu, będzie to oznaczało początek „nowego wspaniałego świata” Helmuta Kappela.

Kapłan odchrząknął, gotowy rozpocząć, ale zanim zdążył wymówić pierwsze słowo, Phoebe uniosła welon.

Helmut uśmiechnął się, gdy panna młoda podniosła welon, pewny, że zrobiła to, chcąc go

lepiej widzieć.

--Witaj, Phoebe -- szepnął.

Popatrzyła na niego, zmarszczyła brwi i pokręciła głową.

--Przykro mi, Helmucie, ale nie mogę za ciebie wyjść. Nie kocham cię. Po kaplicy przebiegł chóralny pomruk zdziwienia.

Helmut w pierwszej chwili nie zrozumiał. To było niemożliwe.

--Jak to mnie nie kochasz? -- zapytał.

--Przykro mi, Helmucie, ale nawet nie wiem, kim jesteś -- odparła szeptem. Chwycił ją za ramię.

--Oczywiście, że wiesz. Popatrz na mnie, Phoebe. Kochasz mnie. Przepadasz za mną.

--Ona wcale cię nie kocha.

Helmut odwrócił się i zobaczył, jak Isabella Bacci wstaje i podchodzi do ołtarza, z Maksem u boku. To nie mogło dziać się naprawdę.

--Co wy tu robicie?

--Izzy, czy to ty? -- spytała zdumiona Phoebe. -- Helmut mówił mi, że wyjechałaś. W kaplicy rozbrzmiewał teraz głośny gwar.

--Powiedział ci wiele rzeczy, które nie były prawdą, Phoebe. Spójrz na niego jeszcze raz.

Czy rozpoznajesz w nim człowieka, którego kochasz?

Phoebe pokręciła przecząco głową, ale Helmut nie przyjął tego do wiadomości.

--Bzdury -- mruknął gniewnie. -- Phoebe mnie uwielbia. Nie możecie powstrzymać Wenus - - syknął chrapliwym głosem. -- Spóźniliście się. Już się zaczęło. -- Wskazał na wyraźnie poruszonych gości. -- Oni też mnie uwielbiają.

--Są zagubieni, ale wcale cię nie uwielbiają -- rzekł Max spokojnie. -- Działanie Wenus zostało zneutralizowane.

--Co ty wygadujesz? Joachim wszedł na podest.

--Oni blefują, *Vati* -- szepnął. -- Na to nie ma lekarstwa.

--Ale co tu robi Max? Powiedziałeś, że siedzi pod strażą w kotłowni. Joachim spojrzał na brata i zmarszczył brwi.

--Myślałem, że tak było.

--Jak to myślałeś? Nie potrafisz rozpoznać własnego brata?

--Nie, nie potrafi -- powiedział Max ściszym głosem. -- Oprócz ciebie, Isabelli i mnie nikt w kaplicy nie potrafi rozpoznać niczyjej twarzy, nawet twojej, *Vater*.

Stojąc twarzą w twarz z Helmutem Kappelem, Isabella czuła raczej ulgę niż satysfakcję ze zwycięstwa.

--Nie tylko Joachim przyprawił wczorajszy toast swoim preparatem -- wyjaśniła. -- Wszyscy, którzy spełnili toast, wypili nie tylko Wenus, ale i eksperymentalną substancję, która jest ekstraktem z narkotyku amigo i wywołuje tymczasową prozopagnozję. Podalam ją również strażnikom.

--Prozopagnozja? O czym ty mówisz?

--Wszyscy, którzy wypili wczorajszy toast, obudzili się dziś rano z tymczasową niezdolnością rozpoznawania ludzkich twarzy. -- Wróciła myślami do ostatniego wieczoru spędzonego w mieszkaniu Phoebe. Laurka od małej Sofii podsunęła jej pomysł, jak zneutralizować skutki terapii MIN za pomocą ekstraktu z amigo: katalog, który ojciec przeznaczył specjalnie dla niej, zawierał informacje dotyczące zależności między stworzoną

przez niego sztuczną miłością a prozopagnozją. Wynikało z nich, że tymczasowa prozopagnozją może zdjąć miłosny urok. Isabella pojechała czym prędzej do szpitala i zabrała

z szafki tabletki z ekstraktem amigo przeznaczone do badań nad prozopagnozją. Wczoraj wieczorem, gdy Helmut przesłuchiwał Maksa, wrzuciła tabletkę do każdego kieliszka, a potem pomogła Joachimowi rozdać je gościom.

Nie miała pojęcia, jaki będzie efekt, zwłaszcza że ekstrakt został zmieszany z preparatem Wenus. Dopiero rano, kiedy szła z Maksem do kaplicy, a Klaus, na którego wpadli po drodze, nie rozpoznał ich, zaczęła wierzyć, że wyciąg z amigo zadziałał. Ostateczne potwierdzenie uzyskała w momencie, gdy Phoebe odtrąciła Helmuta.

--Wektor Domino został zaprojektowany w taki sposób, żeby odpowiadał wymogom bezpieczeństwa, i to jest jego słabość -- kontynuowała wyjaśnienia. -- Jeśli nikt nie rozpozna

twojej twarzy w ciągu najbliższych czterdziestu ośmiu godzin, wirus nie przejdzie w stadium

zakaźne i geny Wenus zostaną zneutralizowane, a potem wypłukane z organizmu. A wierz mi, ekstrakt z amigo na pewno będzie działał dostatecznie długo.

Helmut spojrział na nią z nienawiścią.

--To już koniec -- oznajmił Max. Helmut odwrócił się do młodszego syna.

--Powiedz mi, że oni kłamią.

Joachim rozglądał się nerwowo, jakby czegoś szukał.

--Odezwij się, Joachimie! Czy to, o czym mówią, jest prawdą?

--Zaufaj mi, *Vati*. To jeszcze nie koniec. Nie zawiodę cię. -- Joachim wycofał się i podniósł aluminiową walizkę, która stała obok jego siedzenia. -- Pokażę ci. Jeszcze nie wszystko stracone. -- Wybiegł z kaplicy, wołając do strażników: -- Który z was jest

Gustav?

Kto potrafi pilotować helikopter?!

Max nie czuł triumfu ani satysfakcji. Wiedział, że ojciec nigdy nie zaakceptuje porażki.

Sięgnął po glocka i ruszył w pościg za Joachimem. Bez względu na to, co było w walizce, nie mógł pozwolić mu uciec.

Minął agentów Stasi przy drzwiach i popędził za bratem w kierunku helikopterów.

--Nie rób tego! -- krzyknął, gdy jeden ze strażników przy chinookach zerwał plandekę z pierwszego helikoptera i Joachim wskoczył na pokład. -- Nie możesz odlecieć.

Pilot włączył silnik, a Joachim stanął w drzwiach, celując do brata z pistoletu.

--Nie mów mi, co mam robić! -- zawołał. -- To ty wszystko zepsujesz!

Max zatrzymał się i opuścił broń.

--Jeszcze nie jest za późno, żeby położyć kres temu szaleństwu. Nie możemy dopuścić, żeby ojcu uszło to bezkarnie. Wstrzyknął ci MIN Czterdzieści Dwa, na litość boską. Nie kocha cię, Joachimie. Nie kocha mnie. Nie obchodzi go nikt poza nim samym.

Joachim uśmiechnął się ponuro.

--Ale ja kocham jego. -- Uniósł walizkę. -- Tu mam więcej preparatu Wenus. Podam go innym. Poczekam, aż prozopagnozja minie, i sam też się napiję. Wciąż mogę wcielić wizję ojca w życie. *Vati* może na mnie polegać. A kiedy będzie po wszystkim, zasiądę obok niego.

--Ale nie możesz odlecieć! -- krzyknął Max, gdy śmigło obudziło się z warkotem do życia, wzbijając tumany śniegu i zagłuszając wołanie.

Pobiegł do helikoptera, ale zatrzymał się, zawadziwszy stopą o jeden ze stalowych łańcuchów przykrytych śniegiem.

--Śmigłowce nie odlecą! -- zawołał. -- Wczoraj w nocy z Isabellą przywiązaliśmy je łańcuchami do ziemi!

Helikopter uniósł się w górę. Wzbijał się coraz wyżej i wyżej, aż na moment Max przestraszył się, że jednak zdoła odlecieć. Wtedy zobaczył, jak rozwijają się dwa stalowe łańcuchy. Gdy pierwszy naprężył się ze szczękiem, śmigłowiec zatrzęsł się gwałtownie w powietrzu. Kiedy napiął się drugi, rozległ się chrzęst rozdieranego metalu. Przez moment maszyna wisiała w powietrzu zupełnie nieruchoma, a potem runęła na ziemię. Drasnęła kryształową kopułę kaplicy i roztrzaskała się o zamrożone jezioro. Jeden ze zbiorników z paliwem eksplodował i helikopter stanął w płomieniach. Na jeziorze pojawiły się rysy biegnące do kaplicy i pod nią. Patrząc, jak maszyna tonie, Max poczuł żal za utraconym bratem.

Potok przerażonych gości wylewał się z kaplicy i pędził po czerwonym dywanie w stronę wyspy. Przedzierając się przez ludzką falę, Max pobiegł w przeciwnym kierunku po rozsuwających się lodowych płytach. Przy wejściu do kaplicy zobaczył Klause i Odyna, lecz ani śladu po ojcu i Isabelli.

Posadzka kaplicy rozerwała się na pół. Pęknięcie biegło w poprzek, rozdzielając dwa pierwsze rzędy trybun i podwyższenie z ołtarzem od reszty siedzeń i wyjścia. Max widział wodę chlupoczącą w wyrwie. W rozpaczliwej ucieczce do drzwi druhny i pozostali weselnicy zeskakiwali z podestu na drugą stronę i mijali go, pędząc dalej. Claire poślizgnęła się i zsunęła do wody. Max chwycił ją za rękę, wyciągnął i pchnął w kierunku wyjścia.

Helmut wciąż stał na podeście niczym kapitan tonącego okrętu, Phoebe i Isabella właśnie gotowały się do skoku. Max spojrzał ojcu w twarz, a ten zgromił go wzrokiem przepelnionym nienawiścią i gniewem.

--Zabij go! -- wrzasnął. -- Zabij mojego syna. Tego wysokiego z blond włosami. Zastrzel go!

Max odwrócił się i zobaczył jednego z agentów Stasi, który przedzierał się przez tłum. Strażnik uniósł pistolet i strzelił do niego, chybiając o parę centymetrów. Max bez wahania pociągnął za spust, trafiając agenta w pierś. Kiedy się odwrócił, Helmut trzymał nóż i wyciągał rękę po Phoebe.

Kilka chwil wcześniej

To, co się działo, było tak odległe od marzeń, że Helmut Kappel wciąż nie mógł otrząsnąć się z szoku. Patrzył na uciekających gości i czuł tylko pogardę, obrzydzenie i wściekłość. Realizacja Wenus mogła się odwlec, ale z pewnością nie było jeszcze po wszystkim. Marzenia umierają, dopiero gdy się spełnią.

A kto go zdradził? Własny syn. Chłopak, którego wychował na wzorowego Kappela. Powinien był go utopić razem z matką. Kiedy Max strzelił do agenta Stasi, Helmut wyciągnął nóż, szedł na niższy stopień i złapał Phoebe za ramię.

--Już po wszystkim, *Vater!* -- zawołał Max, przeskakując przez wodę. -- Joachim nie żyje i zabrał preparat Wenus ze sobą. Przegrałeś, pogódź się z tym! To już koniec.

Helmut puścił te słowa mimo uszu. Możliwe, że musi jeszcze poczekać na spełnienie się przeznaczenia... ale Phoebe uwielbiała go już wcześniej, przed Wenus.

--Dokąd się wybierasz? -- spytał.

--Puść mnie -- odparła, próbując się wyrwać. -- Musimy uciekać.

--Nie możesz mnie zostawić. Jesteś moja. Kochasz mnie.

--Puszczaj, Helmut. Proszę.

Zobaczył strach w jej oczach. I obrzydzenie. Wymierzył jej policzek.

--Ubóstwiasz mnie -- wychrypiał.

Silne uderzenie w łopatkę sprawiło, że puścił Phoebe. Odwrócił się i zobaczył Isabellę gotową do zadania następnego ciosu.

--Zostaw ją -- powiedziała. -- Chodź, Phoebe, uciekajmy stąd.

--Odsuń się, Isabella! -- zawołał Max z dołu i wycelował pistolet w ojca.

Kiedy Helmut zobaczył wyraz oczu syna, natychmiast zrozumiał, co musi zrobić. Zepchnął Phoebe ze schodów i przyciągnąwszy do siebie Isabellę, przystawił jej nóż do gardła.

Phoebe chciała ruszyć na pomoc przyjaciółce, lecz Max ją powstrzymał.

--Łód pęka -- rzucił. -- Uciekaj, póki możesz. Ja się tym zajmę.

--Ale...

Pchnął ją na drugą stronę powiększającej się rozpadliny.

--Uciekaj. Szybko.

Nie oglądał się za siebie, gdy z pistoletem w garści wszedł na podest i ruszył w stronę ojca.

--Zastrzel go! -- krzyknęła Isabella. -- Zamordował twoją matkę. Zabił mojego ojca.

Zastrzel go. Nie przejmuj się mną.

--Rzecz w tym -- szepnął jej Helmut do ucha -- że Maksowi na tobie zależy. Miłość zrobiła z niego słabeusza. Mogę nim manipulować poprzez ciebie.

Uśmiechnął się, patrząc w oczy ukochanej syna. Dzisiejszy dzień nie okazał się zupełną klęską. Wciąż dysponował technologią i dokumentacją Joachima. Zapłaci jakiemuś naukowcowi za sporządzenie preparatu i tym razem znacznie uprości plan. Po prostu wstrzyknie wirusa pierwszym osobom, z którymi się zetknie, i poczeka, aż Wenus rozprzestrzeni się po świecie. Popenił błąd: w całym planie było za dużo teatralnego zadęcia. Ale jego marzenie wkrótce się spełni. A wtedy nikogo nie będzie obchodziło, co stało się dzisiaj.

Najpierw jednak musi ukarać Maksa i tę wścibską sukę za to, że pokrzyżowali mu plany. Zemści się na Maksie, zabijając ukochaną na jego oczach. Potem zabije i jego.

--Odlóż pistolet, Max, albo poderżnę jej gardło.

Nie opuszczaj pistoletu! -- krzyknęła Isabella, pewna, że Helmut Kappel zabije ją, gdy tylko syn odłoży broń. Dostrzegła wahanie w oczach Maksa i zrozumiała, że on naprawdę ją kochał. Miłość do niej przeważała nad nienawiścią do ojca. Lecz w tej chwili nie działało to na jej korzyść. -- Na litość boską, zastrzel go.

--Milcz -- warknął Helmut, przyciskając zimne ostrze do jej gardła tak mocno, że z trudem mogła przełknąć ślinę. -- Nóż jest zaledwie parę milimetrów od tętnicy. Jeśli go obróczę, wykrwawisz się na śmierć w ciągu paru minut. Robiłem to już wcześniej. Wiem, co mówię.

Wpatrywała się w Maksa, pragnąc, by zachował się jak zabójca, którym był, a nie jak człowiek, w jakiego starał się zmienić. Ojciec i syn stali naprzeciw siebie bez ruchu.

Nagle rozległ się głośny trzask i Isabella poczuła, jak lód przesuwają się jej pod stopami. Utraciwszy na chwilę równowagę, Helmut rozluźnił uchwyt i odchylił nóż. Isabella błyskawicznie rzuciła się do tyłu, odpychając go.

Okazał się jednak za szybki. Zamachnął się sztyletem, rozcinając jej lewy policzek, futro z renifera i ramię. Instynktownie sięgnęła prawą dłońią do barku, próbując zatamować krew. Kiedy palce przecisnęły się przez nacięcie w grubej skórze renifera i zniknęły w głębokiej ranie, wiedziała, że ścięgna zostały zerwane. Ręka wisiała bezwładnie przy boku.

Patrzyła, jak Helmut Kappel podchodzi bliżej. Nóż w jego dłoni wciąż lśnił srebrnym blaskiem. Jak ostry musiał być, skoro rozciął jej twarz i ramię tak gładko, że nie pobrudził się krwią. Próbowwała wstać. Musiała uciec od tego noża.

Max położył palec na spuście i wycelował ojcu w pierś. W tym momencie rozległ się następny głośny trzask i lodowa kopuła zaczęła się walić. Masywny blok uderzył w krę, na której stał Max. Stracił równowagę i wystrzelił prosto w dziurę ziejącą w kopule. Kolejne kawały lodu roztrzaskały się o podest, który pękł pod Isabella.

Max runął na lód. Padając, wypuścił z dłoni broń. Pistolet ześlizgnął się po krze i wpadł w rozszerzającą się otchłań ciemnej wody, która oddzielała Maksa od ojca i Isabelli. Nóż wyślizgnął się Helmutowi z ręki, ale leżał zaledwie kilka metrów dalej, za następnym, wąskim pęknięciem. Na lewo od Helmuta w kałuży krwi leżała Isabella. Była niebezpiecznie blisko wzburzonej wody.

Helmut zerknął na nóż, potem na Isabellę i syna i wreszcie na wyjście z kaplicy. Mógł tam dotrzeć, tylko obchodząc szeroką szczelinę dookoła, lecz Max z łatwością zdołałby zagrozić mu drogę. Max z kolei miał dwie możliwości: przepłynąć trzymetrową szczelinę albo wyminąć ją bokiem. W obu wypadkach Helmut zdążyłby złapać nóż albo Isabellę, zanim zbliżyłby się na tyle, by móc cokolwiek zrobić.

--Nie pozwolę ci wyjść bez Isabelli! -- zawołał do ojca. -- Jeśli ona zginie, to ty też.

Helmut wahał się chwilę. Wreszcie ruszył w stronę Isabelli. Pochylił się nad nią, ale zamiast pomóc, pchnął ją w kierunku wody.

--Zostaw mnie! -- krzyknęła.

Próbowała go kopnąć i odturlać się dalej, lecz była zbyt słaba, by się bronić.

Helmut spojrział na Maksa.

--Słyszałem, że w tym miejscu nurt jest szczególnie zdradliwy. Wciągnie ją pod lód i poniesie aż do morza. -- Uśmiechnął się. -- Pytanie, na które musisz sobie odpowiedzieć, brzmi następująco: czy zatrzymasz mnie, czy też spróbujesz uratować ją, tak jak kiedyś matkę? --

Uśmiechnął się szerzej. -- Domyślam się, co wybierzesz.

Wepchnął Isabelle do lodowatej wody, podniósł nóż i pobiegł w stronę wyjścia.

Isabella, czując, jak znosi ją prąd, próbowała płynąć. Nawet z dwoma zdrowymi rękami byłoby to trudne, a z jedną okazało się niemożliwe. Machała nogami, usiłując utrzymać się na powierzchni. Nurt pchał ją w kierunku brzegu, na którym stał Max, jednak nie na wprost, tylko na ukos.

Obróciła się do lodowej półki, gdzie siedziska pierwszego rzędu wystawały nad spienioną wodą. Uderzyła zranionym barkiem o lód, ale w zimnej wodzie prawie nie poczuła bólu. Z całych sił chwyciła zdrową ręką siedzisko, opierając się potężnemu prądowi. Zobaczyła, że lodowata woda czerwieni się od krwi.

Max wyciągnął ręce nad siedzeniem, próbując jej dosięgnąć. Poruszał wargami, lecz niczego nie słyszała. Wpatrzyła się w jego usta: „Trzymaj się, Isabello. Mam cię”.

Gdy jego ręka była tuż-tuż, poczuła, że jej ramię ześlizguje się z siedziska. Usiłowała złapać się ponownie, ale ciało odmawiało posłuszeństwa. Poczuła -- albo tak jej się tylko zdawało -- muśnięcie jego palców na dłoni. Potem zsunęła się do wody.

Tym razem nie była w stanie zmagać się z prądem, który zassał ją i wciągnął pod lód. Szukała następnej wyrwy, lecz widziała tylko własne odbicie w lodowej tafli i przebijające przez nią białe migotliwe światło. Szrama na policzku była głęboka i czerwona. Uśmiechnęła się, gdy zdała sobie sprawę z absurdalności sytuacji: martwi się o wygląd, mimo że za chwilę ma umrzeć.

Życie wyciekało z niej razem z krwią do zimnych wód jeziora.

Powrócił ból, gorący i gwałtowny. Potężne ramiona wyrwały ją z objęć nurtu. Poczuła instynktowny opór wobec siły, która zadawała jej ból i nie pozwalała umrzeć, ale była zbyt słaba. Jeszcze jedno pchnięcie i wynurzyła się z wody, a powietrze wypełniło płuca. Po chwili znalazła się na twardym, zimnym lodzie. Z trudem chwytając oddech, podniosła wzrok... i krzyk zamarł jej w gardle. Leżała przy drzwiach do kaplicy, a nad nią stał Helmut Kappel z zakrzywionym, ostrym jak brzytwa nożem w dłoni.

Gdy Max szykował się do wypchnięcia Isabelli z wody, zobaczył ciemną postać majaczącą mu nad głową. Od razu zorientował się, że to ojciec, nie miał jednak wyboru: Isabella musiała się wynurzyć, bo inaczej utonie.

Był tylko jeden sposób, żeby to zakończyć.

Zebrał wszystkie siły, wypchnął ją na lód, po czym wziął głęboki wdech i zanurzył się znowu. Zanim nurt zdążył go porwać, wybił się mocno ramionami i nogami, wyskakując nad powierzchnię tak wysoko, jak zdołał. Zobaczył ojca pochylonego nad Isabella z nożem w garści. Ledwo wylądował na zamarznętej skorupie, prześlizgnął się obok Isabelli i pociągnął ojca za kostkę, przewracając go niczym kręgiel. Triumfalny uśmiech Helmuta zmienił się w grymas, gdy runął na lód, wypuszczając nóż. Max wykonał serię krótkich wdechów i zsunął się z powrotem do wody, pociągając ojca za sobą. Nieustępliwy nurt porwał obu pod lód.

Isabella widziała, jak Max przepływa pod nią, trzymając ojca w uścisku. Dźwignęła się na kolana i poczołgała za nim. Gdy woda uniosła go pod mur kaplicy, wstała i chwiejnym krokiem wyszła na zewnątrz. Spojrzała w stronę, w którą płynął nurt, ale zobaczyła tylko gładką taflę.

Podążała za Maksem, patrząc, jak sunie pod jej stopami. W końcu padła wyczerpana na lód i zobaczyła, że spojrzał w górę. Uśmiechał się do niej -- z pogodą. W tej chwili uświadomiła sobie, że nie tylko go kocha, ale i mu wybaczyła. Prawdziwa miłość jest przebaczeniem. Ale było już za późno.

Patrząc, jak się od niej oddala, krzyknęła ze wszystkich sił:

--Max! Kocham cię, Max! Kocham cię!

Phoebe, drużny i kilku odważniejszych gości podbiegło do niej po zdradliwym lodzie, ale nie zwracała na nich uwagi. Wpatrywała się w zamarznęte jezioro, wykrzykując swoje miłosne wyznanie w nadziei, że Max usłyszy je przed śmiercią.

Helmut Kappel spojrzał w nieprzejednane oczy syna i zdał sobie sprawę, że dalsza walka nie ma sensu. Nawet gdyby wyrwał się z jego stalowego uścisku, nie miałby dokąd uciec. Gdy przytłumione miłosne okrzyki Isabelli dobiegły uszu Maksa, na jego twarzy odmalował się radosny spokój i Helmut zrozumiał, że patrzy w oblicze człowieka, który nie boi się śmierci.

Była to dla niego gorzka pigułka. Człowiek, którego wychował na swojego dziedzica, stał się jego Nemezis. Usiłował ogłuszyć go na syreni śpiew miłości, lecz syn i tak mu się poddał. Nawet w chwili śmierci Max wierzył, że miłość nadaje życiu sens. Pewnie myślał, że będzie żył dalej w sercu Isabelli. Ale ona też w końcu umrze i co wtedy? Max wciąż nie rozumiał, że miłość jest tylko chytrą sztuczką natury -- chorobliwym złudzeniem, które ma zagwarantować, że ludzie będą się rozmnażać.

Ale gdy płuca zaczęły go palić, a potrzeba zaczerpnięcia tchu stała się nieodparta, Helmut stracił pewność siebie. Zdał sobie sprawę, że mimo marzeń o nieśmiertelności umrze samotny i nikt po nim nie zapłacze. Zniknie z powierzchni ziemi, jakby nigdy nie istniał.

Ogarnęła go panika. Nagle pozazdrościł Maksowi pewności i spokoju. Uścisnął syna i utkwil wzrok w jego twarzy, rozpaczliwie próbując nakarmić się jego odwagą i pogodą ducha.

Pierwszy haust lodowatej wody sprawił, że Helmut zakrztusił się i skurczył konwulsyjnie, lecz uchwyt Maksa był mocny. Kiedy nabral w płuca, dostrzegł w oczach syna isierkę współczucia, lecz to okazało się marną pociechą. W głębi duszy czuł tylko rozpacz tak czarną jak woda, która ścisnęła go w lodowatych objęciach.

Potem była tylko nicość.

Gdy ciało ojca podryfowało z prądem, Max stał się intensywnie świadomy niosącej go wody. Czuł się lekki, bliski nieważkości, jakby lodowaty nurt obmywał go z grzechów. Miał dziwne wrażenie, jakby urodził się na nowo, i uśmiechnął się, widząc ironię w fakcie, że nastąpiło to tuż przed śmiercią.

Pomyślał o miłosnym wyznaniu Isabelli i przez jego kontemplacyjny spokój przedarł się smutek. Pragnął jej przebaczenia, chociaż na nie, nie zasługiwał, a nie miał już czasu, żeby to zmienić. Mógł tylko wybaczyć sam sobie.

Pocieszył się, gdy zdał sobie sprawę, że to, co ona do niego czuła, właściwie się nie liczy. Prawdziwa miłość jest bezwarunkowa i nie wymaga wzajemności. Polega na dawaniu, a nie przyjmowaniu. Miłość do Isabelli uczyniła go silnym i dowiodła, że namiętność nie jest czymś, czego należy się bać albo kontrolować z pomocą medycyny. Dar miłości nadaje życiu sens. Jego matka to rozumiała, teraz pojął to i on. Był wdzięczny Isabelli, że mu o tym przypomniała, zanim było za późno.

Zastanawiał się, jak długo przebywa pod wodą. Jak zwykle przy nurkowaniu spowolnił pracę serca i przypuszczał, że zimno tak samo wpłynęło na przemianę materii, jeszcze bardziej redukując potrzebę tlenu. A może była to po prostu hipotermia albo pierwsze stadium niedotlenienia mózgu i początki ekstazy. Tak czy inaczej, czuł spokój. Lód stał się jakby bardziej przezroczysty, odsłaniając błękit nieba. Kiedy spojrzał w górę, wydało mu się, że widzi sylwetkę orła, który za nim leci. Potem wizja zniknęła.

Rozejrzał się dookoła i stwierdził, że lód jest tu grubszy, a woda ciemniejsza. Przed nim otwierały się trzy kanały. Zastanawiał się, które prowadzą do wąwozów wrzynających się w brzeg jeziora, ślepych zaułków, gdzie jego ciało zamarzłoby i leżało nieodnalezione przez miesiące albo i lata, a który biegnie przez fiord do morza, gdzie lód ustępuje rzece wpływającej do oceanu.

Kiedy nad tym rozmyślał, z głębin wyłoniła się biała postać. Rozpoznał matkę i zrozumiał, że mózgowi zaczyna brakować tlenu. Uśmiechnęła się i rozłożyła szeroko ramiona -- już nie była aniołem zemsty, jak ostatnim razem. Cieszył się, że po niego przyszła; chciał ją zapewnić, że teraz rozumie, co próbowała mu powiedzieć przed laty na pokładzie jachtu przy brzegu hawajskiej wyspy: bez miłości jesteśmy niczym.

Jakby słyszała jego myśli, uśmiechnęła się szerzej i przytknęła palec do warg. Potem wzięła go za rękę i poprowadziła lewym kanałem. Widząc światło majaczące z przodu, Max pomyślał, że zbliża się koniec, ale wciąż nie zamierzał poddać się impulsowi zaczerpnięcia tchu. Czuł się rozluźniony, spokojny, pogodzony ze śmiercią. Zamknął oczy i dał się prowadzić matce. Odrętwiające zimno jakby trochę zelżało i wyobraził sobie, że wraca do ciepłego łona. Potem świadomość zgasła i nie czuł już niczego.

Odyn użył jedyne­go telefonu satelitarnego w Walhalli, żeby wezwać pomoc, ale z powodu Nowego Roku przybycie ekipy ratunkowej opóźnia­ło się. Zdezorientowani goście snuli się po pałacu. W pobliżu budynku kotłowni ktoś widział oszołomionego, umazanego krwią Warrena Hudsuckera, który wciąż dopytywał się, gdzie jest kaplica. Ktoś inny w milczeniu wpatrywał się w miejsce, gdzie rozbił się helikopter. Inni siedzieli w grupkach i zastanawiali się, co się stało. Klaus i klienci Kappel Privatbank udali się do swoich pokojów, żeby się spakować. Chcieli uniknąć kontaktu z policjantami i przedstawicielami władz, gdy ci wreszcie dotrą do Walhalli. Wyrwy i szczeliny w lodzie zaczynały się zaskle­piać i zamarzać, gojąc rany jeziora.

Rany Isabelli miały goić się dłużej. Gdy lekarz zakładał jej szwy na twarzy i prowizorycznie zszywał bark, nie zwracała uwagi na fizyczny ból. Mogła myśleć tylko o ciele Maksa, jeszcze niedawno tak ciepłym, które stygło pod lodową powłoką. Samotny orzeł szybował wysoko nad jeziorem, kierując się w stronę fiordu i morza. Zastanawiała się, czy to ten sam ptak, którego widziała wczoraj na przejażdżce saniami, kiedy myślała, że Max ją zastrzeli. Może widział Maksa pod lodem, może był świadkiem jego śmierci. Ogarnął ją nieznośny smutek. Czula się pusta i samotna. Miała tylko nadzieję, że Max umarł, wiedząc, że go kocha. Phoebe usiadła obok i wzięła ją za rękę.

--Dobrze się czujesz?

Isabella pokiwała głową, mimo że było zupełnie inaczej.

--Co się, do cholery, tutaj stało, Izzy? -- wyszeptala Phoebe. -- Dlaczego nie rozpoznaję niczyjej twarzy? Co powiemy policji, czy kto tam po nas przyjedzie?

Isabella była zbyt zmęczona, żeby cokolwiek wyjaśniać, a poza tym wolała nie mówić policji o Wenus, Ilium ani o tym, że wczoraj wieczorem podała wszystkim gościom narkotyk. Im mniej ludzi wiedziało o istnieniu terapii genowej ojca, tym lepiej. Zresztą jaki cel miałyby podawanie tej informacji? Helmut nie żył, a ona zbrukałaby tylko w ten sposób pamięć o ojcu.

Podniosła wzrok na przyjaciółkę. Była pewna, że gdy tymczasowa prozopagnozja minie, błędne koło obsesji zostanie zerwane, uwalniając Phoebe i resztę osób, którym podano MIN, od ich fiksacji.

--Szok wywołuje różne dziwne reakcje -- odparła. -- Ale zaufaj mi, nieumiejętność rozpoznawania twarzy minie. Wyjaśnię ci to później, a na razie ciesz się, że uniknęłaś nieszczęścia. -- Najlepiej, żeby wszyscy myśleli, że to tylko skutki szoku. Zresztą nie było to znowu takie dalekie od prawdy, biorąc pod uwagę, co się stało: goście za dużo wczoraj wypili, zorza polarna zaburzyła im chemię mózgu, a ślub Phoebe zakończył się traumatycznym wstrząsem. Próbowala się uśmiechnąć, ale zbierało jej się na płacz.

Phoebe uściskała jej zdrową rękę.

--Dziękuję, Izzy. Dziękuję, że ocaliłaś mnie przed Helmutem.

--To Max ocalił nas wszystkich. -- Isabella spojrziała na zamarzniete jezioro i poczuła ból bardziej dojmujący niż ten, który zadał jej sztylet Helmuta Kappela.

Phoebe objęła ją.

--Tak mi przykro, Izzy.

Słyszając warkot nadlatujących helikopterów, Isabella poczuła, jak lzy napływają jej do oczu.

--Mnie też -- powiedziała cicho.

EPILOG

Cztery miesiące później

Zdumiewające, doktor Bacci, po prostu zdumiewające. -- Roberto Zuccatto, ordynator neurologii mediolańskiego szpitala uniwersyteckiego, poprawił okulary i wskazał rozświetlony obszar na monitorze. -- Cały rejon wzrokowej kory skojarzeniowej rozbłyskuje, kiedy dziewczynka rozpoznaje czyjąś twarz. Nigdy wcześniej nie widziałem czegoś podobnego u prozopagnostyka.

Isabella patrzyła przez szybę na Sofię. Wszystkie ślady po wypadku zniknęły. Włosy odrosły, a blizny były prawie niewidoczne. Ale to nie dlatego dzisiejszy dzień był tak ważny. Dziewczynka, z głową podłączoną do aparatury, siedziała przed dużym ekranem, na którym kolejno pojawiały się ludzkie twarze. Znajomi i rodzina Sofii byli przemieszani z obcymi. I za każdym razem, gdy ukazywało się zdjęcie kogoś, kogo знаła, funkcjonalny obraz obszaru mózgu odpowiadający za identyfikację twarzy rozbłyskiwał. Sofia, znowu rozpoznawała twarze.

--Nadal nie pojmuję, jak udało się pani dokonać tak ogromnych postępów w ciągu zaledwie kilku miesięcy -- powiedział Zuccatto.

--Ojciec mi pomógł -- odparła Isabella. -- Przed śmiercią zajmował się pokrewną dziedziną badań. Dużo uwagi poświęcił stymulacji obszaru mózgu odpowiedzialnego za rozpoznawanie twarzy.

--Powinna pani być z niego dumna.

--Jestem.

Cieszyła się, że z fatalnego pomysłu stworzenia sztucznej miłości wynikło coś dobrego. Dzięki temu łatwiej jej było wybaczyć ojcu zdradę i zrozumieć, że chociaż postąpił źle, kierowały nim szlachetne intencje: pragnął nieść ludziom szczęście. Katalog dotyczący prozopagnozji, który opracował, zaoszczędził jej dziesięcioleci badań i zrewolucjonizował leczenie tej przypadłości. Terapia była jeszcze w fazie eksperymentów, a skutki utrzymywały się tymczasowo, lecz Isabella wierzyła, że z czasem uda jej się trwale wyleczyć Sofię i inne osoby cierpiące na prozopagnozję. To było prawdziwe dziedzictwo jej ojca -- rzeczywisty lek miłości.

Kiedy wieczorem wróciła do mieszkania, cieszyła się, że należy tylko do niej. Miło było korzystać z gościnności Phoebe, ale teraz czuła, że ma własny kąt i może żyć własnym życiem. Ramię zabolalo ją, gdy nalewała sobie szkockiej z lodem -- polubiła whisky, bo przypominała jej Maksa. Przecięte ścięgnięta się zrosły, ale musiało upłynąć jeszcze trochę czasu, zanim ból i odrętwienie całkiem ustąpią. Zobaczyła własne odbicie w przeszklonych drzwiczkach szafki obok lodówki i przystanęła, żeby przyjrzeć się cienkiej srebrzystej bliźnie, która biegła od kości policzkowej aż do szczęki.

Wieczór był nadzwyczaj chłodny jak na tę porę roku, więc napaliła w kominku i przysunęła fotel do ognia. Z okładki „Vogue'a” leżącego na stoliku patrzyła na nią znajoma

twarz. Tak jak u innych, prozopagnozja Phoebe ustąpiła, a po terapii MIN nie pozostał nawet ślad. Jej kariera jeszcze zyskała dzięki aurze tajemniczości, jaka otaczała niedoszły ślub i śmierć Helmuta Kappela. Isabella sięgnęła po „Time'a”, którego róg wystawał spod „Vogue'a”. Na okładce widniało zdjęcie Helmuta Kappela z podpisem: „Czy tak wyglądała twarz szwajcarskiej mafii?” Otworzyła pismo. Na drugiej stronie znalazła niewyraźne zdjęcie

Maksa. Czytając artykuł o Kappelach, starała się pogodzić w myślach Maksa mordercę z mężczyzną, którego kochała.

Autor skupiał się na głośnych niebieskich teczkach, które zaczęły napływać do paryskiej siedziby Interpolu wkrótce po nieudanym ślubie w Walhalli, a zawierały dowody obciążające Kappel Privatbank i należąca do banku firmę Comvec. W pranie brudnych pieniędzy i inne niezgodne z prawem działania byli zaangażowani wszyscy Kappelowie: Helmut, Max, Joachim i Klaus. Ten ostatni -- jedyny jeszcze żyjący -- poszedł na współpracę z prokuraturą i przekazał wszystkie informacje dotyczące klientów banku. Według „Time'a” prawie osiemdziesiąt procent z nich było zaangażowanych w działalność przestępczą. Warren Hudsucker został usunięty z senatu i aresztowany. Pozostali ukrywali się. Przez pewien czas Isabella obawiała się, że Klaus naśle na nią jakichś zbirów, chcąc się zemścić za pokrzyżowanie planu Ilium i innych przedsięwzięć Kappelów, ale najwyraźniej miał teraz poważniejsze zmartwienia. W zeszłym miesiącu skazano go na dożywocie.

Prawnicy Isabelli także otrzymali teczkę, która zawierała list informujący, że Kappel Privatbank przekazał jej wszelkie prawa do prac jej ojca. Isabella zamknęła turyńskie laboratorium, sprzedała całe wyposażenie i -- z wyjątkiem wyników przydatnych w leczeniu prozopagnozji -- zniszczyła wszystkie próbki i dokumentację.

Artykuł w „Timie” nie wspominał ani o jej ojcu, ani o jego terapii. Nie zawierał też żadnej wzmianki o Ilium czy Wenus. Zwracał natomiast uwagę na dwie nierozwiązane zagadki.

Pierwsza dotyczyła tego, co właściwie stało się w Walhalli. Kiedy gościom minęła prozopagnozja, żaden nie chciał mówić policji zbyt wiele -- i w rzeczy samej, niewiele mieli do powiedzenia. Nie był to rodzaj rozgłosu, na którym mogłoby zależeć Odynowi, a klienci Kappelów mieli własne mroczne sekrety do ukrycia. Phoebe, Claire, Kathryn i Gisele chciały jak najszybciej zapomnieć o całym epizodzie i wrócić do normalnego życia, Isabella też nie była tu wyjątkiem. Nie zamierzała ujawniać istnienia miłości identycznej z naturalną opracowanej przez ojca. Najnowsza hipoteza, którą zaprezentował autor artykułu, zakładała, że Joachim i Max toczyli długotrwałą walkę o schedę po Helmucie. Rywalizacja przerodziła się w otwarty konflikt, kiedy ojciec zmienił zdanie na temat tego, kto powinien być jego drużbą i dziedzicem.

Druga zagadka interesowała Isabellę bardziej, bo nie znała na nią odpowiedzi. Kto wysyłał tecki? Zbuntowany były pracownik? Konkurencyjny bank? A może mściwy klient? Wysuwano liczne kandydatury, lecz prawda wciąż pozostawała tajemnicą.

Przez jakiś czas Isabella przypuszczała nawet, że Max jakimś cudem przeżył i właśnie on był nadawcą. Przypominała sobie, jak nurkował w Antibes, i wyobrażała sobie, że udało mu się wstrzymać oddech pod lodem tak długo, aż dopłynął do cieplejszych wód fiordu. Jego ciała nie odnaleziono. To jednak nic nie znaczyło -- Helmuta także traktowano oficjalnie jako zaginionego.

Odłożyła pismo na stolik, położyła się na kanapie i spojrzała w ogień. Stopniowo powieki stawały się coraz cięższe i wreszcie zapadła w drzemkę. Wtedy powrócił sen, który nawiedzał ją często, odkąd wyjechała z Walhalli. Tym razem był szczególnie wyrazisty.

Isabella jest orłem, który szybuje wysoko nad zamarzniętym jeziorem i spogląda na człowieka uwięzionego pod lodem i dryfującego z nurtem. To Max Kappel. Kiedy zniża lot, aby mu się lepiej przyjrzeć, Max otwiera oczy. Isabella widzi jego ból, zna jego myśli.

Wstrzymywał oddech od wielu minut i zaczyna powoli tracić przytomność. Pierwszy

mimowolny oddech napelnia mu usta wodą i wyrzywa z odrętwienia. Tak jakby ciało nie pozwalało mu umrzeć bez świadomości i zmuszało go do walki o przetrwanie -- czy tego pragnie, czy nie. Max zwija się w konwulsyjnym skurczu i bierze ostatni wdech.

Czeka, aż jego płuca napelnią się wodą i odmówią posłuszeństwa. Lecz nic takiego nie następuje. Zamiast tego wymiotuje wodą którą połknął. Kaszląc i prychając, wdycha powietrze. Otwiera oczy. Unosi się na plecach, otoczony światłem. Nagle przenika go zimno -- nie odrętwiający chłód wody, lecz suchy, szczypiący mróz. I ból. Całe ciało eksploduje bólem.

Na moment wszystko okrywa się czernią. Potem ból wraca i Max znowu wymiotuje wodą. Nie ma pojęcia, jak długo tak leży, na przemian tracąc i odzyskując przytomność. W końcu podnosi wzrok i widzi, że światło osłabło. Zadziiera głowę i szum wypełnia mu uszy. Sięga ramionami w dół i czuje wodę przepływającą między palcami. Prąd przyspiesza i Max zdaje sobie sprawę, że to nie woda porusza się szybciej, tylko on się zatrzymał.

Próbuje usiąść. Całe ciało ma obolałe, a skóra piecze go od mrozu, ale udręczone mięśnie poddają się jego woli. Jest w otoczonej skałkami płytkiej zatoczce. Z lewej wznoszą się wysokie góry, a na prawym brzegu rozległa ośnieżona łąka ciągnie się aż do gęstego jodłowego lasu. Max spogląda w dół rzeki i widzi płaską równinę w oddali. Morze. Odwraca głowę. Za plecami też ma góry, przecięte wąskim fiordem.

Nie ma pojęcia, jak długo dryfował, ale musiał zaczerpnąć powietrza po wypłynięciu spod lodu, bo inaczej dawno by utonął. Znajdował się pod wodą co najmniej osiem minut. Dłużej, niż kiedykolwiek udawało mu się wstrzymać oddech.

Dopiero teraz, gdy dźwiga się na nogi, zaczyna wierzyć, że przeżył. Natychmiast wstrząsają nim niepohamowane dreszcze. Spogląda na sine dłonie i zdaje sobie sprawę, że choć woda go nie zabiła, wkrótce zrobi to hipotermia.

Do jego świadomości wdziera się odległy warkot helikopterów, lecz zamiast wybiec na otwartą przestrzeń i zawołać o ratunek, szuka kryjówki. Wspiąwszy się po głazach na ośnieżoną polanę, idzie w stronę lasu.

Coś błyska w słabym świetle. Paręset metrów dalej mężczyzna z psim zaprzęgiem patrzy przez lornetkę w niebo. Potem strzela z bicia, popędzając psy w stronę drzew. Jest ubrany w futro, ma strzelbę przewieszoną przez ramię, a sanie są obciążone skórą i martwą zwierzyną. Musi być kłusownikiem, który właśnie wraca z polowania.

Max przygląda się jego ucieczce; mężczyzna też go zauważa. Chwilę się waha, a gdy Max osuwa się na kolana, strzela z bicia i kieruje sanie w jego stronę. Podnosi go, kładzie na stosie skór i martwych zwierząt niektórych wciąż ciepłych, i wiezie pod osłonę drzew.

Max próbuje się odezwać, ale nie jest w stanie. Ogorzała od wiatru twarz kłusownika marszczy się z niepokojem. Mężczyzna wyciąga zza pasa długi nóż, rozcina sztywne od lodu ubranie, a potem otula Maksa dwiema dużymi, wciąż krwawymi skórą. Bierze z sań butelkę i przykłada mu do ust.

--Drikke, drikke -- poleca.

Ognisty płyn pali Maksa w gardle i rozgrzewa ciało; mężczyzna rozmasowuje mu ramiona i nogi.

Stopniowo do członków zaczyna wracać krążenie. Silne dłonie kłusownika kontynuują pracę, a z jego ust wylewa się nieustanny potok niezrozumiałych słów. Leżąc tak i patrząc mu w twarz, Max czuje się jak niemowlę. Wreszcie mężczyzna ogląda Maksowi dłonie i stopy, wydaje

głośny okrzyk radości i klepie go po ramieniu.

Max siada, a kłusownik podaje mu futrzaną czapę i długi rzemień, żeby mógł obwiązać skóry wokół ciała. Potem siada na przodzie i strzela z bicia, popędzając psy. Max kładzie się i patrzy, jak psy ciągną sanie w głąb ciemniejszego lasu; ogarnia go błogość i spokój. Spogląda w górę i widzi orła lecącego nad głową.

Isabella wciąż jest orłem, lecz teraz obserwuje miasto. Przelatuje nad swoim mieszkaniem w Mediolanie i widzi siebie śpiącą przy ogniu.

Budzi ją pukanie do drzwi. Wstaje z kanapy i otwiera.

Mężczyzna jest szczupły. Długie włosy sięgają mu do ramion, skóra jest ogorzala od słońca. Nosi zdefasonowany kapelusz, ciemne okulary, wypłowiałe džinsy, pogniecioną lnianą marynarkę i czerwoną koszulę. Ma kilkudniowy zarost na policzkach i trzyma w ręku podniszczoną skórzaną aktówkę. Zdejmuje okulary i kapelusz.

--Poznajesz mnie? Wygląda tak bardzo inaczej.

--Przepraszam, że bez zapowiedzi -- mówi. -- Drzwi domu były otwarte, więc wszedłem na górę. Pomyślałem, że nie zgodziłabyś się na spotkanie, gdybym zadzwonił.

Przez kilka sekund Isabella stoi oniemiała.

--Mogę wejść? -- pyta mężczyzna.

Oszołomiona cofa się od drzwi, a on wchodzi i zamyka je za sobą.

--Myślałam, że nie żyjesz.

--Max Kappel nie żyje. -- Sięga do kieszeni marynarki, wyciąga zielony amerykański paszport i otwiera.

Obok zdjęcia jego odmienionej twarzy widnieje nazwisko, którego Isabella nie zna. Potem przypomina sobie, jak opowiadał jej, że matka wyrobiła mu amerykański paszport, kiedy uciekła z nim od Kappelów.

Isabella nie może się oprzeć odruchowi wyciągnięcia ręki i dotknięcia jego twarzy, żeby sprawdzić, czy jest tu naprawdę. Po chwili on kładzie jej dłoń na policzku. Isabella próbuje się odwrócić, lecz Max przytrzymuje ją i gładzi bliźnę.

--Jest taka mała -- mówi. -- Nie oddaje odwagi, jaką wtedy okazałaś.

--Jest brzydka -- odpowiada Isabella.

--Dla mnie jest piękna. Zresztą to nie w twojej twarzy się zakochałem. Raczej w twoich oczach, w tym, jak patrzyłaś na świat. Kocham cię, Isabello. Nauczyłaś mnie, że życie bez miłości nie jest życiem.

Isabella wpatruje się w niego, nie wiedząc, co o tym myśleć.

--Co robiłeś przez ostatnie miesiące? Gdzie się podziewałeś?

--Uczyłem nurkowania w Europie, w Stanach, w Australii. Isabella zaciska pięści, rozgniewana.

--Dlaczego się do mnie nie odezwałeś?

--Byłem zajęty.

--Co było tak ważne, że nie mogłeś się ze mną skontaktować?

Mężczyzna sięga do aktówki i wyciąga niebieską teczkę z napisem MAX KAPPEL.

--Musiałem uporządkować pewne sprawy.

Isabella pochyla się nad stolikiem i podnosi swoją szklankę. Potem nalewa do drugiej szklankę i podaje Maksowi. Ten siada, spogląda na szklankę i uśmiecha się.

--Myślałem, że nie lubisz whisky.

Isabella siada obok niego.

--Tak było. Zmieniłam się.

--Ja też się zmieniłem. -- Bierze tyk, odstawia szklanekę i podnosi niebieską teczkę. -- Nie chcę burzyć ci życia, ale musiałem się z tobą jeszcze raz zobaczyć. Zamierzam oddać się w ręce policji.

--Dlaczego?

Max wertuje zawartość teczki.

--To kopia dossier, które wysłałem do Interpolu, z listą moich wszystkich przestępstw. Dużo tego, ale pewnie o większości już wiesz. Chodzi o to, że zrobiłem wszystko, co mogę, żeby naprawić swoje błędy. Kappel Privatbank jest skończony, Klaus siedzi w więzieniu, a wyniki pracy twojego ojca zostały ci zwrócone tak, że nikt się o tym nie dowiedział, łącznie z władzami. Teraz jestem gotów oddać się w ręce policji, ale zanim to zrobię, chciałbym cię o coś poprosić.

--Tak?

--Przyszedłem prosić cię o wybaczenie. Szczerze mówiąc, nie obchodzi mnie, co sąd myśli o tym, co zrobiłem. Ale zależy mi na tobie.

Isabella bierze tyk whisky. Kiedy się odzywa, w jej głosie pobrzmiewa gniew.

--Wybaczyć ci? Jak niby mogłabym to zrobić?

Max robi smutną minę.

--Rozumiem -- mówi i wstaje, żeby wyjść.

Isabella zastępuje mu drogę.

--Nie, nie rozumiesz. Jak mogę wybaczyć komuś, kto nie żyje? Człowiekiem, który potrzebował mojego przebaczenia, był Max Kappel. I wybaczyłam mu w Walhalli, kiedy zniknął w zamrożonym jeziorze, ponieważ go kochałam. Max Kappel zapłacił za swoje zbrodnie i nie żyje. Wszyscy tak mówią. Policja, media, nawet ty. Nie mogę ci wybaczyć, bo przebaczenie dotyczy przeszłości, a ta już mnie nie obchodzi. W tej chwili zależy mi tylko na przyszłości.

--Muszę się oddać policji, Izzy. Muszę zapłacić za to, co zrobił Max Kappel.

--Ale dlaczego ja miałabym za to płacić? Jak powiedziałaś, życie bez miłości nie jest życiem. Cóż, ja chcę żyć, i to żyć z tobą. Jeśli ja mogę wybaczyć Maksowi Kappelowi i nie wracać do przeszłości, to ty też możesz.

Odstawiła drinka.

--Daj mi tę teczkę.

Max spełnia prośbę, a Isabella wrzuca teczkę do ognia.

--Max Kappel nie żyje - mówi. -- Zapłacił za swoje zbrodnie. I nie wspominaj już o oddaniu się w ręce policji.

Jakiś hałas przedarł się przez sen. Uśmiech zniknął z twarzy Isabelli. Zmarszczyła brwi. Była tak pogrążona w marzeniach, że pierwsze odgłosy pukania w ogóle do niej nie dotarły. Potem pukanie stało się głośniejsze. Otworzyła oczy. Jak zawsze po przebudzeniu z tego snu, poczuła smutek -- zwłaszcza że tym razem trwał dłużej niż przedtem. Zwykle kończył się w Norwegii: Max był bezpieczny, lecz daleko stąd.

Znowu pukanie.

Nagle ogarnęła ją irracjonalna nadzieja. Wiedziała, że to niemożliwe, ale wstała z kanapy,

a gdy podchodziła do drzwi, serce zabiło jej mocniej.

--Idę -- powiedziała prawie bez tchu. O mało nie zamknęła oczu, gdy naciskała klamkę. Ale w progu nie stała osoba, o której widoku marzyła. To była sąsiadka z mieszkania obok, która zawsze przychodziła coś pożyczyć. I zwykle tego nie oddawała.

--Signora Pitti, czy mogę w czymś pomóc?

Signora Pitti miała na sobie jaskrawozielony płaszcz.

--Idę do sklepu całodobowego. Kupić coś pani?

Isabelli zrobiło się głupio. Nie tylko dlatego, że spodziewała się kogoś innego, ale i dlatego, że niesprawiedliwie oceniła sąsiadkę.

--Nie, niczego mi nie potrzeba. Ale dziękuję.

Zamknęła drzwi i wróciła do swojego drinka. Wzięła egzemplarz „Time'a” i wrzuciła go do ognia. Kiedy patrzyła, jak twarz Maksa pożerają płomienie, wmawiała sobie, że dobrze jest marzyć, ale lepiej robi, jeśli skupi się na ułożeniu sobie życia. Odwróciła się od kominka, podeszła do okna i zamknęła okiennice.

Przechadzający się po chodniku mężczyzna podniósł wzrok na okna mieszkania. Kiedy zobaczył, że zamyka okiennice, zdał sobie sprawę, że musi działać. Był szczupły i opalony, miał krótko ostrzyżone włosy, brodę i ciemne okulary. Był w palcie Burberry i trzymał brązową skórzaną aktówkę.

Bez trudu udało mu się zdobyć adres -- śledził ją, gdy wracała ze szpitala -- ale teraz, kiedy stał przed jej domem, nagle stracił pewność siebie. Myślał o tej chwili wiele razy, lecz wciąż nie zdecydował, co powinien powiedzieć. I nawet nie wyobrażał sobie, jak może zareagować na jego niespodziewaną wizytę.

Potem przypomniał sobie inne życie -- chwilę, gdy stał przed innym domem i próbował zmobilizować się do działania tylko po to, by w ostatniej chwili mu to uniemożliwiono. Tym razem nie mógł pozwolić, aby cokolwiek go powstrzymało. Zrobił wszystko, co mógł, żeby odkupić winy przeszłości, a teraz musiał stanąć przed nią i poprosić o wybaczenie.

Drzwi budynku otworzyły się i wyszła kobieta. Miała na sobie jaskrawozielony płaszcz. Mężczyzna, który był kiedyś Maksem Kappelem, uznał ten kolor za sygnał. Wziął głęboki oddech, przebiegł przez jezdnię i dopadł drzwi, zanim się zatrzasnęły.

PODZIĘKOWANIA

Jak zawsze, dziękuję przede wszystkim mojej żonie Jenny, która pomogła mi nie tylko przy tworzeniu postaci i wątków fabularnych, lecz także przy zbieraniu materiałów o najnowszych badaniach naukowych potrzebnych do napisania tej książki.

Oprócz artykułów w „New Scientist” szczególnie przydatne okazały się następujące prace: D. Marazziti, H.S. Akiskal, A. Rossi, G.B. Cassano Alteration of the platelet serotonin transporter in romantic love, [w:] Psychological Medicine (Cambridge University Press, 1999); Glen D. Wilson, Chris McLaughlin The Science of Love (Fusion Press, 2001); Tim Ecott Neutral Buoyancy (Penguin, 2001).

Dziękuję też mojemu redaktorowi prowadzącemu, Billowi Scottowi-Kerrowi z wydawnictwa Transworld, za cierpliwość i trafne spostrzeżenia, oraz Hazel Orme, która nadała książce ostateczny szlif.

Na koniec, lecz nie mniej serdecznie, pragnę podziękować mojemu agentowi Patrickowi Walshowi.

This file was created with BookDesigner program
bookdesigner@the-ebook.org
2010-11-27

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/

Table of Contents

[\(The Venus Conspiracy\)](#)

[IDENTYCZNA Z NATURALNA](#)

[2](#)

[3](#)

[4](#)

[5](#)

[6](#)

[7](#)

[8](#)

[9](#)

[10](#)

[11](#)

[12](#)

[13](#)

[14](#)

[15](#)

[16](#)

[17](#)

[18](#)

[19](#)

[20](#)

[21](#)

[22](#)

[ILIUM](#)

[24](#)

[25](#)

[26](#)

[27](#)

[28](#)

[29](#)

[30](#)

[31](#)

[32](#)

[33](#)

[34](#)

[35](#)

[36](#)

[37](#)

[38](#)

[39](#)

[40](#)

[41](#)

[42](#)

[43](#)

[44](#)

[WALHALLA](#)

[46](#)

[47](#)

[48](#)

[49](#)

[50](#)

[51](#)

[52](#)

[53](#)

[54](#)

[55](#)

[56](#)

[57](#)

[58](#)

[59](#)

[60](#)

[61](#)

[62](#)

[WENUS](#)

[65](#)

[66](#)

[67](#)

[68](#)

[69](#)

[70](#)

[71](#)

[72](#)

[EPILOG](#)

[PODZIĘKOWANIA](#)